

ZESZYT TRZYDZIESTY TRZECI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1973

ZESZYT TRZYDZIESTY TRZECI

O P O N

Box 5.75

102 41 STOCKHOLM 5

2738

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1975

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 256

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE**

Bogusław MIEDZIŃSKI

MOJE WSPOMNIENIA (1)

PRZEDMOWA AUTORA

Czytelnik, który sięgnie po tę książkę, przypuszczając że jest to książka o Józefie Piłsudskim — nie zawiedzie się. Bo i jakież mogłoby być inaczej. W okresie, który wspomnienia moje obejmują — od roku 1905 poczynając — praca polityczna tego człowieka zaciążyła nieporównaną ważkością początkowo na dziejach jednego odłamu społeczeństwa, odłamu socjalistycznego i postępowego, następnie zaś na dziejach całego narodu. Jeśli by mierzyć wartość polityków i mężów stanu rozmiarami wpływów jakie wywierali na swych współczesnych, zostałyby w nowoczesnej historii polskiej tylko dwa nazwiska wybijające się wysoko i nie mające sobie równych wśród całego zastępu działaczy politycznych i społecznych, nawet najbardziej uzdolnionych, zastużonych i mogących się wykazać niepospolitymi osiągnięciami w dziedzinach swej pracy. Byłyby to nazwiska Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego.

Niestety działania ich nie dadzą się podsumować z punktu widzenia wspólnego dobra narodu. Można by wprawdzie w okresie pierwszej wojny światowej uważać, że dopełniały się one wzajemnie, że były swego rodzaju grą polityczną równoległą, toczącą się przy różnych stolikach. Jednak już od listopada 1918 roku nie podobna nawet przy najlepszej woli w tym kierunku dopatrzeć się czegokolwiek innego, jak tylko ciągłego krzyżowania się działań tych dwóch niepospolitych indywidualności. Próżno by dociekać czy mogło być to inaczej. Zdaniem moim — nie. Zarówno ze względu na cechy osobiste, jak i na istotną rozbieżność poglądów politycznych i społecznych i nastawienia

psychicznego tych dwóch postaci. W toku mych wspomnień będę miał sposobność rozwinięcia tego tematu.

Należałem do tych, którzy znaleźli się w orbicie wpływu Józefa Piłsudskiego, najpierw pośrednio będąc jeszcze dzieckiem niemal, a następnie bezpośrednio od pierwszych z nim zetknięć w roku 1910, jako 19-letni młodzieniec. W orbicie tej pozostałem niezmiennie przez cały czas mej działalności politycznej. Byłem też żołnierzem pod jego dowództwem — najszcześniejszy okres mego życia.

Książka, do pisania której przystępuję, nie będzie jednak — uchowaj Boże — autobiografią. Jeśli pisać będę o sobie i swoich przeżyciach, to tylko w tych wypadkach — i tylko dlatego, że przeżycia te będą typowe dla przeżyć całego zastępu ludzi z mego pokolenia, że obrazować one będą zjawisko, przez które przeszły tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi. Zjawisko magicznego, niemożliwego zdawałoby się do racjonalnego wyjaśnienia wpływu Piłsudskiego na ludzi, którzy raz znalazłszy się pod tym wpływem pozostawali pod nim trwale przez całe swe życie, w wojnie i pokoju, w tryumfie i porażce, za jego życia i po jego śmierci.

Dotychczasowa literatura o Józefie Piłsudskim jest stosunkowo uboga; za jego życia składała się bądź z panegiryków, bądź z paszkwili; w najlepszym razie była to literatura polemiczna. Będę chciał we wspomnieniach moich pokazać go takim, jakim go widziałem. Człowieka naznaczonego niewątpliwie stygmatem wielkości, a jednak człowieka z krwi i kości. W poglądach moich nie będę bezkrytyczny. Lord Roseberry, w ostatnim rozdziale swej znakomitej biografii Williama Pitt'a młodszego, powiedział: „Nie starałem się wykazać, że Pitt był doskonałością jako człowiek, lub jako mąż stanu. Takie potwory nie istnieją”. Istotnie, zarówno zdrowy rozsądek jak i zwykłe ludzkie doświadczenie mówi, że nie ma ludzi bez wad i że historia nie zna męża stanu, który by nigdy nie popełnił żadnego błędu.

Błędem też byłoby przypuszczać, że Józef Piłsudski nie zmienił się przez całe życie, że był taki sam w roku 1895 czy w 1935. Byłoby rzeczą wręcz niewiarygodną, aby mógł on przejść przez całe swe burzliwe, tragiczne, pełne niezmiennych przeciwieństw życie, bez śladu pozostawionego na jego usposobieniu i charakterze. Tak też nie było. Rozróżniam co najmniej trzy fazy w życiu Piłsudskiego. Pierwsza do roku 1922, druga — do roku 1930, trzecia wreszcie — ostatnie lata jego życia.

Mówiłem o stygmacie wielkości, który cechował Piłsudskiego. Zetknąłem się w ciągu mego życia z całym szeregiem osobistości wybitnych, z autorytetami o ustalonej sławie w dziedzinie wie-

dzy, literatury i sztuki. Dla wielu z nich czułem najgłębszy szacunek i podziw. Nigdy jednak nie przeżywałem nawet w przybliżeniu nic podobnego do tego dziwnego uczucia, które budziło zetknięcie się z postacią Józefa Piłsudskiego. Było to uczucie onieśmienia i jakiegoś dziwnego poczucie niższości, nie mając w sobie nic upakarzającego, nic uchylającego własnej godności, narzucające się jako rzecz zupełnie naturalna. Wrażenia tego nie zmniejszało bynajmniej zbliżenie się, a nawet stały i codzienny kontakt z Piłsudskim. Ludzie, którzy pozostawali w najbliższym stosunku z nim przez lat dziesiątki, ludzie których traktował jako swych przyjaciół, nawet ci nieliczni, z którymi był na ty — nigdy nie byli wolni od tego poczucia i zawsze przeżywali coś w rodzaju „tremy”; częstokroć, gdy zamierzali przeciwstawić się tym czy innym poglądom lub zamierzeniom Komendanta, i gdy z tą decyzją do niego wchodzili, przyznawali się później po zakończonej rozmowie, że zabrakło im odwagi, lub że — jak sztubacy przed groźnym profesorem — zapominali połowy swych argumentów. A przecież w formach postępowania Piłsudskiego nie było nic zgoła co by to tłumaczyło; nie miał on nigdy żadnej, że tak powiem, manii wielkości; był prosty, naturalny, uprzejmy. Rozróżniam dwie strony w zagadnieniu narzucającego się w sposób naturalny autorytetu Piłsudskiego. Z jednej strony była to rzecz zupełnie zrozumiała, racjonalna, płynąca z tego doświadczenia, które wynosiło się z każdej rozmowy z nim lub z wystuchania jego sposobu oświeclania zagadnień, że ujmując on zawsze bez porównania głębiej niż jego rozmówca lub jego słuchacz, że ma całkiem inną, niewspółmiernie dalej sięgającą perspektywę w rozumieniu zjawisk i zagadnień — wobec czego odnosiło się wrażenie, że najlepsza argumentacja, którą się miało w danej sprawie, że najpracowitsze — zdawałoby się — dociekania własne, błędy i mała, wydawały się płytkie i dalekie od sedna rzeczy po wystuchaniu analizy i oświeclenia danego przez Piłsudskiego. W dodatku regułą było, że przyszłość niemal bez wyjątku potwierdzała opinie i przewidywania Piłsudskiego, choćby początkowo rażąco odbiegały one od powszechnego ich rozumienia. Dlatego też, u tych ludzi z otoczenia Piłsudskiego, którzy umieli krytycznie analizować i oceniać swoje w obcowaniu z nim doświadczenia, musiała w sposób naturalny i logiczny przyjść — prędzej czy później — następująca refleksja: jeśli tyle razy przekonałem się, że Piłsudski, widząc rzeczy inaczej niż ja, ma rację; jeśli tylekroć sprawdziłem, że przewidywania jego, inne niż moje, sprawdzają się po krótszym lub dłuższym okresie czasu, to lepiej jest czasu tego nie tracić i iść od razu po linii przez niego wytkniętej, choćby w moich oczach nie była tak pewna i wy-

rażna. U szeregu współpracowników Piłsudskiego wyrobiła się też ta pozornie dziecinna wiara w jego nieomyślność, to przyjmowanie jego słów jak ewangelii, które to zjawisko de facto oparte było po prostu na doświadczeniu. Wielu z nich w początkach swej pracy politycznej odpowiadało zdecydowaną opozycją na każdy nowy krok, nowy zwrot, nową inicjatywę Piłsudskiego. Dość przytoczyć jako przykład „najwierniejszego z wiernych”, Walerego Stawka.

Ale to jest jedna strona sprawy, dająca się, jak się rzekło, wytłumaczyć racjonalnie. Pozostaje strona druga, wręcz irracjonalna, to niezmiernie zaufanie, to najgłębsze przekonanie, że to jest człowiek za którym iść należy, w którego ręce złożyć można i trzeba swe życie, swą wolność, swój największy wysiłek — przekonanie które prowadziło do szeregów Piłsudskiemu posłusznych tysiące i tysiące ludzi, ze wszystkich warstw, wszelkiego wieku i wszelkiego stopnia rozwoju intelektualnego, a którzy z nim nigdy nie rozmawiali, nigdy nie mieli sposobności oceniać racjonalnie jego poglądów, planów i zamierzeń. To już da się wytłumaczyć tylko tą iskrą Bożą, która niewielu ludziom jest dana, która cechuje wodzów wielkiej miary.

Piłsudski nigdy nie starał się o popularność, nigdy ani w wojску ani w życiu cywilnym nie rozdzielał na prawo i na lewo uśmiechów, nie poklepywał łaskawie po ramieniu, nie schlebiał masom. Słowo pochwały z jego ust, najbardziej nawet zasłużone, było niezmierną rzadkością. I nigdy nie wskazywał ludziom drogi łatwej; przeciwnie, prowadził zwykle pod prąd, pod górę, drogami stromymi, którym towarzyszyło częściej potępienie lub drwina ogółu, niż poklaski pochwały.

Trzon główny działań Piłsudskiego, podstawa jego historycznej roli, jest to droga na pozór krótka, od „Oleandrów” na Wawel — na pozór gładko wymoszczona ulicami prastarej stolicy. Naprawdę zaś prowadziła ona przez Kielce i Kościuchnowkę, przez Kijów, przez Wilno, Lwów i Warszawę. I trwała bez mała lat trzy dziesiątki.

ROZDZIAŁ I

Dla młodzieży, wkraczającej w świadome życie polityczne w okresie lat 1905 i następnych, początki nie były łatwe. Podniecająca i przedwcześnie rozbudzająca atmosfera kolosalnego wstrząsu, jakim była wojna rosyjsko-japońska, obalająca mit nie-

przepartej potęgi kolosa rosyjskiego, przychodzące wraz z nią wstrząsy rewolucyjne, wskrzeszenie nadziei na możliwość i prawdopodobieństwo odzyskania niepodległości — były to rzeczy pociągające do zagadnień politycznych już nie tylko młodzież, ale nawet dzieciuchów, które w innych warunkach i w innym okresie czasu nie miałyby jeszcze w głowie nic oprócz przeżyć szkolnych i zabawy lub sportu. A jednocześnie, zagadnienia polskiego życia narodowego i politycznego w tym czasie były niezmiernie skomplikowane i odbywały się pod znakiem głębokiego przełomu w obu głównych nurtach, skupiających aktywną część społeczeństwa. W młodym obozie socjalistycznym powstał ostry kryzys na tle zagadnienia niepodległości. W obozie narodowym, dochodził powoli do świadomości szerszego ogółu przełom, który u szczytów tego obozu nastąpił już przed szeregiem lat, z chwilą dojścia Romana Dmowskiego do decydującego głosu w zorganizowanej partyni części tego obozu. Porzucenie starych haseł Ligi Narodowej: walki o niepodległość, odrzucenia wszelkiej ugody w dziedzinie narodowej, postępu i demokracji w dziedzinie społecznej — na rzecz ugody z Rosją i konserwatyzmu społecznego było jeszcze tajemnicą góry; doły wciąż jeszcze karmione były starymi, ultra-narodowymi hasłami. Wszystkie te rzeczy nie nastroczały większych trudności ludziom urodzonym w latach 60-tych, lub 70-tych ubiegłego stulecia. Pamiętali oni, i od lat wczesnej młodości przeżywali, wszystkie zjawiska kryzysu powstaniowego: początek i rozwój ruchu pozytywistycznego w postępowym odcieniu społeczeństwa, stopniowy rozwój i przebieg kryzysu „realistycznego” w obozie narodowym. Ale dla młodzieńca, nie mającego jeszcze lat 20, wszystko to były jakieś „dalsze ciągi”, których początku nie znał, a — jeśli chodzi o zabór rosyjski — to nie mógł się nauczyć nawet z książek, które były zakazane i niedostępne. Wchodził więc do polityki jak do ciemnego pokoju, pociągającego swą tajemniczością, w którym jednak co krok napotykał na trudne do wytłumaczenia niespodzianki i przeciwnieństwa, na zagadnienia które koniecznie trzeba było rozwiązać, a na które padały wręcz sprzeczne odpowiedzi, nawet w ramach tego samego kluczowego światopoglądu. Gdy pociągnięty porywającymi młode serca hasłami sprawiedliwości społecznej i wolności myśli ludzkiej, szukał sobie miejsca w szeregach socjalistycznych, natykał się natychmiast na spór o sprawę niepodległości narodowej; jedni z pasją traktowali go jako sztukę kapitalizmu, obliczoną na zbałamucenie świadomości klasowej warstw uciśnionych; drudzy uważali postulat niepodległości za całkowicie zgodny z dążeniem do sprawiedliwości społecznej i widzieli w socjalizmie jedyną drogę do osiągnięcia niepodległości

narodowej. Gdy pociągnięty urokiem bohaterskich walk powstańczych, nie dającą się wykorzenić tradycją uwielbienia dla Kościuszki i Poniatowskiego, dla Podchorążych i Nocy Listopadowej, dla tragicznej postaci Traugutta i „Kryjaków” 63-go roku zaciągnął się pod chorągwie Narodowej Demokracji, uczono go że były to rzeczy godne potępienia, zgubne i podstępne machinacje wrogów narodu polskiego, Żydów i masonów. W tych samych rodzinach, w których szczycono się przodkami powstańcami — dziadami i pradiadami — ojcowie zakazywali synom mrzonek o niepodległości. Zagadnienie zatem, czy uwielbiani przodkowie byli bohaterami, czy też szkodnikami lub w najlepszym razie obałamuconymi durniami, stawało się dylematem nie do rozwiązania.

Nie trzeba też zapominać, że wszystkie te spory miały charakter głęboko emocjonalny, toczyły się w atmosferze rozpalonych namietności, doprowadzały zarówno w obozie socjalistycznym jak narodowym nie tylko do rozłamów organizacyjnych, lecz i do zrywania zażyłej przyjaźni, węzłów rodzinnych między braćmi, między ojcami i dziećmi.

W roku 1906 miałem lat piętnaście. Byłem uczniem 6-ej klasy w świeżo otwartym polskim gimnazjum w mieście Siedlcach. Według metryki zatem byłem dzieckiem, i — rzecz prosta — pod wieloma względami byłem nim istotnie. Ale jednocześnie miałem już zdecydowany ramowo światopogląd polityczno-społeczny, wyrażający się krótko mówiąc tym, że uważałem się za członka Polskiej Partii Socjalistycznej, oczywiście, ze względu na wiek, nie byłem do niej formalnie przyjęty, tak samo jak wielu moich kolegów i przyjaciół; tylko niektórzy, zaledwie o cztery lata starsi ode mnie, brali już czynny udział w działalności partyjnej, byli członkami organizacji bojowej i dokonywali zamachów.

W życiu innych narodów, a w innych okresach czasu i w Polsce, chłopcy w tym wieku interesowali się sportem lub wagarami, jeśli czytali, to literaturę w rodzaju Karola May’a, Maine Reed’a i Fenimora Cooper’a, bawili się w Indian, lub w przygody na wyspie bezludnej. Ja i moi przyjaciele mieliśmy pełną głowę zagadnień takich jak materialistyczne pojmowanie dziejów, jak realizm hasła niepodległości i jego zgodność z socjalizmem. Prowadziliśmy na ten temat nieskończone dyskusje. Zaś jeśli chodzi o lekturę, mieliśmy już za sobą Wiktora Hugo i Multatulego, Dostojewskiego i Czechowa, entuzjamowaliśmy się Gorkim i Andrejewem. Płonęły nam policzki nad Żeromskim; zaś z literatury apolitycznej rozczytywaliśmy się w Przybyszewskim i Oskarze Wilde.

Miasto Siedlce uwiecznione, ku szczeremu zdumieniu jego

mieszkańców, przez Żeromskiego w *Przedwiośniu*, z czysto osobistych powodów — było to najmniejsze, najbiedniejsze i najmniej ciekawe z ówczesnych miast gubernialnych w zaborze rosyjskim. Na dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców pewnie ze dwadzieścia stanowiła biedota żydowska. Ogromny garnizon rosyjski był niewiele mniejszy niż ludność cywilna. Miało ono jednak swoją szczególną kartę w historii, dotyczącą młodzieży szkolnej. Mianowicie, gdy we wszystkich gimnazjach państwowych na terenie Kongresówki istniała nauka języka polskiego, jako przedmiotu nieobowiązkowego, zaś nauka religii katolickiej odbywała się w języku polskim — jedynie w Siedlcach i pobliskiej Białej Podlaskiej nauka języka polskiego była z programu wyłączona, zaś nauka religii katolickiej odbywać się musiała w języku rosyjskim. To spowodowało, że w tych dwóch gimnazjach, na trzy lata przed ogólnym strajkiem szkolnym, w roku 1902, wybuchł miejscowy strajk połączony z burzliwymi manifestacjami, z żądaniem nauki religii w języku polskim i wprowadzenia nauki języka polskiego. Wpłynęło to niewątpliwie na fakt, o którym wspominałem poprzednio, na przedwczesne rozbudzenie świadomości politycznej i patriotycznej wśród młodzieży szkolnej i z jej niebywale wczesne wejście w życie polityczne.

W roku 1902 byłem w pierwszej klasie. Oczywiście, ani ja ani moi rówieśnicy z młodszych klas nie byliśmy wtajemniczeni w zamierzoną akcję. Pozostało mi jednak z całą wyrazistością wspomnienie, jak nagle pewnego ranka usłyszeliśmy z sąsiedniego gmachu szkolnego, w którym mieściły się klasy wyższe, dźwięk wybijanych szyb, okrzyki i niebywały tumult. Lekcje zostały przerwane. Wybiegliśmy wbrew zakazom pedlów na podwórzec szkolny, zobaczyliśmy rozbite szyby w salach 6-ej, 7-ej i 8-ej klasy; zobaczyliśmy leżące na ziemi, przez okna wyrzucone, rosyjskie podręczniki religii; spostrzegliśmy niebywały ruch i wrzawę; po chwili pojawiło się kilkunastu policjantów, którzy nie wchodząc poza ogrodzenie podwórca gimnazjalnego rozstawili się gęstym łańcuchem, czekając najwidoczniej na dalsze rozkazy. Po chwili wysypała się dzieciarnia z młodszych klas, której kazano iść do domu. Oczywiście nie poszliśmy do domu, lecz wyszedłszy poza kordon policyjny, rozsypaliśmy się w niewielkim ogródku miejskim i czekaliśmy w najwyższym podnieceniu, co będzie dalej. Widzieliśmy, jak przyjechali jacyś wysocy dostojnicy z gubernatorem na czele na naradę z dyrektorem gimnazjum. Po pewnym czasie, nie pamiętam już czy upłynęła godzina, czy godzin kilka, zaczęli wychodzić grupami z gmachu gimnazjalnego nasi starsi koledzy, podnieceni, z płonącymi policzkami, rozprawiający i śmiejący się nerwowo. Pierwszy z nich zatrzymał się na schodach,

zdziałł czapkę mundurową, zerwał z niej znaczek gimnazjalny, rzucił go na ziemię i z pasją podeptał nogami. To samo powtórzyli za nim inni i w ten sposób około setki chłopców z 6-ej, 7-ej i 8-ej klasy opuściło progi szkolne, otrzymawszy już wyrok wypędzenia z gimnazjum z tzw. „wilczym biletem”, co oznaczało, że nie mogą uzyskać wstępu do żadnego innego gimnazjum na całym terenie imperium rosyjskiego. Wrażenie było wstrząsające. Proszę pamiętać bowiem, że działo się to w czasach kilka lat przed wrzeniem rewolucyjnym 1905 roku; że wśród społeczeństwa polskiego panował głęboki i beznadziejny spokój, uznający ówczesny stan rzeczy za dopust Boży, na który nie ma rady ani sposobu.

Mimo charakteru tej manifestacji, która powinna była apelować nie tylko do patriotycznych, ale i religijnych uczuć społeczeństwa polskiego, przyjęło ono ten „bunt” raczej z uczuciem zgrozy i z na wpół potępiającym wzruszeniem ramion.

Tak więc Siedlce, nie bardzo podłe miasto, poprzedziło o trzy lata późniejszą historyczną „krucjatę dziecięcą” — powszechny strajk szkolny roku 1905. W życiu moim i moich rówieśników była to data niezapomniana. Nasze dziecięce głowy po raz pierwszy zapłonęły nie tylko ciekawością dla zagadnień życia publicznego, ale i nadzieją, że czasy walki o Polskę, z opowieści, nie są może niepowrotną przeszłością.

Strajk szkolny i ogłoszenie bojkotu szkół państwowych, dopóki nie zostanie wprowadzony język polski jako wykładowy — zastał mnie w klasie 4-ej. Były to już inne czasy, niemal inna epoka. Wojna rosyjsko-japońska, niespodziewane klęski potęgi carskiej, walki rewolucyjne wstrząsające całym imperium, widoczne oszołomienie i nagły upadek buty Rosjan, od których jeszcze przed rokiem słyszeliśmy: „*Japoncy — da my ich szapkami zakidajem*” — przyniosły nam znowu niepospolite i niezapomniane przeżycia. Groza kolosa rosyjskiego bladła z dnia na dzień.

W tym okresie stosunki w gimnazjach rosyjskich w Polsce — mimo jednoczesnych postępowych reform w szkolnictwie we właściwym imperium rosyjskim — uległy zmianie na gorsze. Wprawdzie podniósł się poziom wykształcenia nauczycieli, wprawdzie unowocześniono ogólne zasady nauki i wychowania, ale jednocześnie powiększono nacisk na rusyfikację młodzieży, ubierając to dążenie w zgrabny frazes o pozyskiwaniu młodzieży dla wielkiej kultury rosyjskiej. Znamy zarówno te dążenia, jak ich wyniki ze znakomitych *Szyfowych Prac* Żeromskiego. Z doświadczenia moich lat dziecięcych powiedzieć mogę, że Żeromski wiernie i bez przesady przedstawił rzeczywistość, którą poznałem na własnej skórze. Moi rosyjscy nauczyciele natknęli się na problemat w mojej małej osobie. Albowiem już od pierwszego

roku za wszystkie moje ćwiczenia rosyjskie, zarówno klasowe jak domowe, otrzymywałem zawsze piątkę z plusem, z tym dodatkowym wyróżnieniem, że ćwiczenia moje były głośno odczytywane w klasie jako wzór. Ale po trzech latach nastąpiła zmiana; wprawdzie w dalszym ciągu otrzymywałem piątkę z plusem, ale ćwiczenia odczytywane były już nie w klasie, lecz na radzie nauczycielskiej, jako dowód nieprawomyślnych przekonań i buntowniczego umysłu. Przybył bowiem z głębi Rosji nowy, młody nauczyciel rosyjskiego, przejęty swą rolą szerzyciela kultury w „przywiślińskim kraju”, co się jakoś godziło w jego duszy z gotowością do użycia policyjnej metody. A więc po zapoznaniu się z pierwszymi próbami mojej twórczości literackiej zaczął zapraszać mnie na rozmowy prywatne, chwalić, częstować owocami, czytać mi głośno wyjątki z *Eugeniusza Oniegina*, ale — wróżąc mi przyszłość literacką — z ubolewaniem mówił o prowincjonalnym charakterze literatury polskiej, o niezmiernie małym zasięgu języka polskiego, którym nikt poza Polakami się nie interesuje, wymieniał — a był dobrze poinformowany — cyfry nakładu najwybitniejszych dzieł literatury polskiej, zestawiał z olbrzymimi nakładami książek rosyjskich, pytał się, ilu polskich pisarzy jest w ogóle tłumaczonych na języki obce i na jakie, przytaczając jednocześnie przygniatające cyfry dotyczące literatury rosyjskiej. Niby szczerze i po przyjacielsku wskazywał na to, że pisanie po rosyjsku tak łatwo może przynieść olbrzymią poczytność i sławę światową, na co piszący po polsku doprawdy liczyć nie może. Proponował mi też wzięcie udziału w dorocznym wieczorze literacko-dramatycznym, który co rok odbywał się w szkole, lecz przez młodzież polską był milcząco bojkotowany. Wybrał mi śliczny wiersz do deklamacji, ofiarowując swoją pomoc w przygotowaniu. Wszystko to oczywiście służyło po mnie, jak po gęsi wodą. Zorientowawszy się w sytuacji, mój „przyjaciel” zmienił taktykę i zaczął denuncjować na tzw. radzie pedagogicznej moją buntowniczość, wskazując na fatalny wpływ, jaki mogę mieć na swoich rówieśników. Porozumiał się z inspektorem — był to jeden z nauczycieli, który był odpowiedzialny za dyscyplinę w szkole i wymierzał kary oraz decydował o stopniach ze sprawowania — któremu powtarzał, czasem złośliwie przekręcając, każde moje powiedzonko w klasie i każdy nieprawomyślny frazes z moich wypracowań. Zaczęły się więc sypać na mnie kary i na skutek tego zmniejszanie stopni ze sprawowania, co groziło usunięciem ze szkoły. Nie było to trudne, bo istotnie język miałem niepowściągliwy, a jednocześnie przechodziłem wówczas okres gorączkowego nacjonalizmu, dochodzącego niemal do histerii. Pamiętam jak kiedyś w czasie lekcji niemieckiego nauczyciel, Łotysz

z Rygi, wymieniając nazwy głównych rzek europejskich, wymienił również Weichsel. Wstałem wówczas i oświadczyłem, że nie ma takiej rzeki. A jakąż rzeką przepływa pod Warszawą, zapytał ze zdumieniem nauczyciel. Powiedziałem mu, że ta rzeka nazywa się Wisła. Może być, że Wisła po polsku, ale Weichsel po niemiecku, powiedział. Kategorycznie odmówiłem zgody na to, zaś na zaproponowany mi kompromis żeby nazywać tę rzekę Wisłą tam gdzie płynie przez ziemie polskie, a Weichsel tam gdzie płynie przez ziemie niemieckie, również odmówiłem zgody, twierdząc, że Wisła płynie od początku do końca przez Polskę, żadnych niemieckich ziem nie dotykając. Pocziwy Łotysz machnął ręką i nie zrobił z tej sprawy żadnego użytku. Ale najwidoczniej opowiedział tę rozmowę jako anegdotę komuś ze swych rosyjskich kolegów, bo i ta sprawa trafiła do wiadomości inspektora.

Wszystko to jednak zwróciło na mnie uwagę kolegów i po niepowodzeniu w łowach na moją duszę ze strony rosyjskiej, rozpoczęły się łowy z innej strony.

Gimnazjum było przepełnione i dlatego młodsze klasy, do czwartej włącznie, były podzielone każda na dwa komplety. W jednym byli uczniowie Rosjanie, synowie urzędników i oficerów, w drugim mieszcącym się w dodatkowym budynku o znacznie gorszych warunkach, byli Polacy i Żydzi. Tych ostatnich było niewielu i w miarę posuwania się w górę, coraz mniej. Obowiązywał bowiem *numerus clausus*, a oprócz tego Żydom stawiano specjalne wymagania; musieli mieć najwyższe stopnie ze wszystkich przedmiotów: jeśli osiągnęli tylko dostateczne, byli usuwani. Tylko ci zaś, którzy osiągnęli maturę za złotym medalem mogli być przyjęci na uniwersytet. Byli też nauczyciele, którzy stawiali Żydom szczególnie wysokie wymagania, traktowali ich w sposób pogardliwy, przyczepiali się do każdego drobiazgu, żądali od nich znajomości przedmiotu, daleko wykraczającej poza program szkoły średniej. Na skutek tego utrzymać się mogli tylko bardzo zdolni i pracowici chłopcy pochodzenia żydowskiego, a i oni musieli obkuwać się do ostateczności, i zapoznawać się z dodatkową lekturą, czego od innych bynajmniej nie wymagano. Górowali więc oni nad nami ogólnym rozwojem umysłowym i szerokim czytaniem. Miałem w klasie trzeciej, oprócz kilku kolegów Żydów o kulturze polskiej, również dwóch Żydów o kulturze rosyjskiej, pochodzących gdzieś z Pińszczyzny, którzy byli rzeczywiście nad wiek rozwinięci, czytani i poważni. Zaimponowało im moje śmiałe zachowanie się, moja wojna z władzami szkolnymi, które mimo wszystko uznawały moje zdolności. Ci dwaj chłopcy zaprosili mnie kiedyś do siebie i we wstępnej rozmowie, wzięli ode

mnie „wasze polskie słowo honoru” na bezwzględną tajemnicę. Po czym oświadczyli mi, że uważają mnie za wyjątkowo inteligentnego chłopca, który powinien zainteresować się czymś więcej niż nauką szkolną, mianowicie sprawami społecznymi i politycznymi; zaproponowali, że zapoznają mnie z socjalizmem. Na moją odpowiedź, że nie mogę być socjalistą bo jestem patriotą, zapewniali, że mi się tylko tak zdaje, bo jestem nieuświadomiony; że na pewno będę socjalistą i pokazali mi kilka broszurek Kautzkiego i Lassala, które mi otworzą oczy na świat. I te jednak łowy na moją biedną duszyczkę nie dały wówczas rezultatu. Może dlatego, że mówili ze mną po rosyjsku, może dlatego, że ich pojęcie socjalizmu istotnie było nie do pogodzenia, z moim ówczesnym stanem ducha i umysłu.

Ale nie tylko dlatego. Socjalizm zaprezentowany mi w pierwszym zetknięciu od strony ściśle marksistowskiej natrafił na odpór w naiwnym, religijnym i dziecięcym moim patriotyzmie wyniesionym z atmosfery domu rodzinnego. Nie pochodziłem wprawdzie ze sfery ziemiańskiej, w której tradycje powstańcze były tak silne i żywe, ale po ojcu i po matce przodkami mymi byli ludzie leśni, którzy — jak wiadomo — obcy z bronią i z lasem, do tegoż lasu z dziedzicami chadzali i Sybirem za to płacili. Choć więc w czasie rozmów politycznych, prowadzonych szczególnie gdy zjeżdżał gość z miasta, słyszało się w domu rozmowy, przez dziecięce uszy skwapliwie chwythane — rozmowy nacechowane realizmem, pozytywizmem i smutną beznadziejnością, to jednak ciche opowieści babki o tym, jak to dziadek do powstania poszedł, jak się z Moskalami bił i jak potem przez lat dziesięć czekano jego powrotu z Sybiru; głuche wspomnienia o pradziadku ojca, żołnierzu tułacz, który pod Napoleonem na wojaczkę chodził i potem całe życie wędrował po kraju, od Warty do Niemna, bądź przez Prusaków, bądź przez Moskali ścigany — to wszystko było silniejsze niż rozumowania polityczne dorosłych i niewątpliwie miało większy czar. Gdy przyszła jeszcze lektura *Trylogii*, rzewnymi łzami płakałem, że to wszystko takie piękne było i wspaniałe i oto już nigdy pono nie ma powrócić. A zanim jeszcze przyszedł Sienkiewicz, odkryłem kiedyś, gdym ledwie czytać się nauczył, ukrytą między bielizną w komodzie matki pięknie oprawną książeczkę, w której starannie i wyraźnie, pożółkłym nieco atramentem, były zanotowane teksty i melodie wszystkich najpopularniejszych pieśni patriotycznych, w druku zakazanych; później zaś w szufladach ojcowego biurka, znajdowałem od czasu do czasu poszczególne numery tajnego *Polaka*, które pochłaniałem od pierwszej do ostatniej litery, *Polaka* z okresu przed 1901, w którym jeszcze trwał duch demokracji, wolności, czci dla pow-

stań narodowych, walki o niepodległość, w którym wszelka ugoda była wyklínana. Toteż w mej dziecinnej głowie odbywała się ta sama walka, która na pewno była udziałem ogromnego zastępu moich rówieśników, walka między romantycznymi i tak strasznie pociągającymi tradycjami i logiką, która już u kilkunastoletniego chłopca ważki głos miała i mówiła, że przeciw trzem największym potęgóm Europy, przeciwko trzem milionowym zbrojnym kolosom, nie poradzi naród podzielony i bezbronny. Serce i rozum toczyły swą odwieczną walkę. Sytuacja nawet w oczach dziecka wydawała się beznadziejna.

Pamiętam do dziś z całą wyrazistością, jak dotkliwie — będąc chłopcem w wieku od lat dziesięciu do trzynastu — przeżywałem tę tragedię oczywistej beznadziejności. Aliści w ciągu lat kilku zaświtała nieoczekiwana zmiana; przyszła wojna rosyjsko-japońska i ku nieopisanej radości całej Polski, Goliat rosyjski zaczął się chwiać, pod ciosami Dawida japońskiego. Jednocześnie przysły sygnały, że kolos ten i od wewnątrz się kruszy. Groźna wizja nienawistnego Moskala zaczęła się w oczach rozdawać: na carat i jego własnych, porywających się nań poddanych. Napływały wiadomości już nie tylko o zamachach na wielkich książąt i dygnitarzy, ale o otwartych walkach, o barykadach w stolicach rosyjskich, o pękającej dyscyplinie wojska, wracającego z Mandżurii. Co więcej — zaczęliśmy widzieć i słyszeć te same rzeczy w kraju. Poszły wieści z ust do ust powtarzane o podjęciu walk przez P.P.S. i jej legendarną wkrótce organizację bojową. Wreszcie — ogłoszenie manifestu konstytucyjnego — niezapomniany, choć niewiele dni trwający okres, gdy władze rosyjskie straciły głowę. Nawet w nieszczęsnych Siedlcach wychodziły na ulicę tłumy, zbierały się wiece, powiały czerwone sztandary, rozległy się mowy i okrzyki, i pieśni rewolucyjne. Pamiętam jak dziś, gdy któregoś dnia o zmroku zebrał się na głównej ulicy miasta i ruszył zwartą masą w stronę więzienia, kilkutysięczny pochód śpiewający „Czerwony Sztandar”, „Na Barykady”. Pamiętam jak krwawiły się na czele pochodu czerwone chorągwie w migotliwym świetle pochodni. Jak chyłkiem, bocznymi ulicami, przemykali się policjanci, którzy nie śmieli pochodowi drogi zastąpić. Wojsko zamknięte było w koszarach. Tłum poszedł pod mury więzienia, ktoś z przywódców podniesiony w górę na ramionach tłumu zaczął głośno wywoływać nazwiska uwięzionych towarzyszy, obiecując im wolność lada godzina, wzywając aby się odezwali; po chwili wśród ciszy, która zapadła, z ciemności odpowiedziało zza murów więziennych kilka dalekich głosów: „Jesteśmy tu, czekamy...”.

Niestety, niedługo to trwało. Władze rosyjskie w Polsce

otrzymały instrukcje, wojsko otrzymało rozkazy asystencji władzom policyjnym, szarża na Placu Teatralnym w Warszawie położyła kres zbyt daleko posuniętym nadziejom. Jednocześnie, przyszedł objawy ciężkiego rozdwojenia w społeczeństwie. Nowa polityka Narodowej Demokracji zabrała głos, potępiając akcję Polskiej Partii Socjalistycznej i wkrótce potem organizując w niektórych środowiskach, jak Łódź, bojówki narodowe przeciw socjalistycznym.



Czytelnik, szczególnie czytelnik młody, pamiętać zechce, że pół wieku płynęło od przeżyć tu opisywanych. Ogromna zmiana nastąpiła od tego czasu w zagadnieniach tego rodzaju jak stosunek socjalizmu do nacjonalizmu, czy religii. Zmieniło się dużo wszędzie na świecie, a szczególnie w Polsce. W czasach dzisiejszych nikomu na myśl nie przyjdzie wykluczać, aby dobry Polak czy Francuz, mógł być jednocześnie socjalistą. Socjaliści od dawna w krajach protestanckich, a w latach ostatnich i katolickich, są częstokroć praktykującymi członkami swoich kościołów. Pięćdziesiąt lat temu w Polsce rzecz miała się zgoła inaczej. Nie tylko dlatego, że zmienił się stosunek kościołów, czy też obozów nacjonalistycznych do socjalizmu, ale i dlatego że w samym socjalizmie dużo się zmieniło. Te ostatnie zmiany zaś były w Polsce, w czasach opisywanych, właśnie *in statu nascendi* i wkrótce potem doprowadziły do rozłamu, z którego wyłoniła się z jednej strony frakcja rewolucyjna P.P.S. z Piłsudskim na czele, z drugiej zaś tzw. lewica P.P.S. Frakcja rewolucyjna uznała cel niepodległości Polski za cel pierwszej kolejności i wybrała drogę walki czynnej o ten cel przez klasy pracujące, zaś w taktyce walki klasowej obrała kierunek socjalizmu rewizjonistycznego. Ta właśnie frakcja rewolucyjna dała podstawę późniejszej Polskiej Partii Socjalistycznej, z całym jej chlubnym udziałem w walce zbrojnej o niepodległość i jej utrzymanie. „Lewica” — po połączeniu się szereg lat później z Socjal-Demokracją Królestwa Polskiego i Litwy — odrzuciła hasło niepodległości polskiej jako szkodliwe, pozostała przy ortodoksyjnym marksizmie i materializmie i przekształciła się w Polską Partię Komunistyczną.

Nadszedł luty 1905 roku — strajk szkolny. Historia strajku szkolnego jest dość dobrze znana i wielokrotnie opisywana, nie potrzebuję się więc nią zajmować. Młodzież szkolna opuściwszy mury gimnazjalne, wpadła w wir ówczesnych wypadków — nazwanych później wielką rewolucją. Mnóstwo czasu, wobec braku zajęć szkolnych i kilkunastu miesięcy dzielących opuszczenie szkoły rządowej od otwarcia prywatnych szkół polskich, przyczyniły

się ogromnie do rozbudzenia politycznego i do przedwczesnego wejścia tej młodzieży do zorganizowanych form akcji politycznej.



Prawie, że nie spotykało się wówczas chłopców w moim wieku, 15-to- czy 16-stoletnich, którzy by nie opowiadali się zdecydowanie za jednym z dwóch dominujących wówczas stronnictw, bądź za narodową demokracją, bądź za socjalizmem — reprezentowanym głównie przez Polską Partię Socjalistyczną. Mimo że w ogromnej większości prowincjonalnych środowisk zaboru rosyjskiego górował ten pierwszy kierunek, dziwnym zbiegiem okoliczności podlaska stolica Siedlce, miasto bez fabryk bez przemysłu, bez klasy robotniczej, było bardzo silną placówką wpływów socjalistycznych, typu bundowsko-socjaldemokratycznego, jeżeli chodzi o ludność żydowską, zaś niepodległościowo-socjalistycznego, jeśli chodzi o Polaków. I w tym to czasie zetknąłem się po raz drugi z zagadnieniem socjalizmu. Tym razem przyszło ono do mnie przez innych ludzi i w innym zabarwieniu. Miałem starszych przyjaciół, o tyle starszych ode mnie, że mogli już być formalnie członkami partii, a nawet organizacji bojowej. Jeden z nich miał już nawet za sobą dokonane zamachy. Zmieniły się też okoliczności: za pierwszym razem częstowano mnie marksizmem i traktowaniem zagadnienia głównie od strony klasowej i ekonomicznej. Doktryna przy tym nie miała za sobą atmosfery walki, atmosfery czynów dokonanych. Tym razem socjalizm przychodził do mnie nie tylko z hasłem walki o niepodległość Polski, ale z dokonanymi już czynami, w atmosferze tajemniczej legendy, otaczającej dokonania organizacji bojowej P.P.S. I wówczas też zetknąłem się po raz pierwszy z imieniem towarzysza Wiktora, a nawet z wymienianym w największej tajemnicy nazwiskiem tegoż towarzysza — Piłsudski.

Mój wybór zasadniczy był już właściwie dokonany. Nie tyle na podstawie studiowania programów narodowej demokracji, czy też obozu socjalistycznego. Byłem na to zbyt młody i zbyt niecierpliwy. Działyły głównie fakty. Mimo że, w owych czasach socjalizm był uważany wciąż jeszcze za antytezę nacjonalizmu i patriotyzmu, że socjalistom odmawiano po prostu miana Polaków, mimo że narodowa demokracja uważana była za wyraz patriotyzmu i nacjonalizmu, codzienne fakty mówiły inaczej. Socjaliści spod znaku P.P.S. bili w potęgę zaborcy, socjaliści ginęli z okrzykiem „Niech żyje Polska”, podczas gdy narodowa demokracja potępiała tę walkę nie tylko jako szaleństwo, ale i dyktat jakichś sił narodowi polskiemu wrogich i nawoływała do rozsądnej ugo-

dy z zaborcą. A więc te same tradycje, które wyniosłem z atmosfery domowej i z lektury *Polaka*, a które mnie odtrąciły przed paru laty od materializmu i nacjonalizmu socjalistycznego, teraz mnie ku niemu pociągnęły. Te same tradycje, w których słowo „ugoda” było czymś haniebnym i do głębi oburzającym, odtrąciły mnie od narodowej demokracji i jej ówczesnych działań. Oczywiście, nie były to jedyne wątpliwości do rozstrzygnięcia. Już wówczas — co zachowałem zresztą przez całe życie — była w moim charakterze dziwna mieszanina pewnego romantyzmu, aktywności i instynktu walki z racjonalizmem, realizmem, potrzebą logiki w określaniu celów i prawdopodobieństwa ich realizacji. I to wywołało cały szereg wahań i niepewności związanych z toczącą się wówczas wewnątrz obozu socjalistycznego w ogóle i w samym P.P.S. w szczególności, walki o takie zagadnienia jak celowość terroru i jego skuteczność, jak stosunek polskiej walki rewolucyjnej do całości ruchu rewolucyjnego w imperium rosyjskim. Socjaldemokraci i lewe skrzydło P.P.S. było za podporządkowaniem działań rewolucyjnych w Polsce rewolucji rosyjskiej. Zagadnienie niepodległości polskiej pozostawiali oni bądź decyzji przyszłej Rosji po zwycięstwie rewolucji, bądź też odsuwali całkowicie, jako sprzeczne z zasadami socjalizmu i bałamutne. Terror stosowany przez organizację bojową P.P.S. uważali za bezcelowy i szkodliwy, chociaż jednocześnie opowiadali się za terrorem masowym, tj. całkowitym wyćpieniem klasy posiadającej. Długie dyskusje toczyły się na ten temat. Pamiętam, że tzw. „krwawa środa” w Warszawie (jednocześnie przeprowadzono kilkadziesiąt zamachów na policjantów i żandarmów) wywołała we mnie najwyższe wątpliwości. To samo było, gdy nastąpił szereg zamachów organizacji bojowej P.P.S. na sklepy rządowego monopolu spirytusowego, na urzędy pocztowe. Nie widziałem celu w tej walce z podrzędnymi, a nawet najniższymi funkcjonariuszami zaborczymi. Wielu moich przyjaciół, wielu starszych P.P.S.-owców podzielało te wątpliwości. Ale kiedyś — był to już 1906 — mój starszy przyjaciel, bojowiec, powrócił z jakiejś konferencji w Warszawie i w najbliższej nocnej rozmowie, zakławszy mnie na najgłębszą tajemnicę, powiedział mi rzeczy, które w całkiem innym świetle postawiły te akcje: w świetle dla mnie całkowicie przekonującym. Powiedział mi mianowicie: największą groźbą, największym niebezpieczeństwem dla skutecznego rozwoju rewolucji i walki z władzą zaborczą jest brak broni. Ale jakże dojść do tych broni? Drużyny bojowców nie są w stanie rozbroić oddziałów wojskowych. Jedyne możliwości polega na tym, aby jak największa ilość żołnierzy rosyjskich została rozproszona pojedynczo, lub na drobne grupki po kilku. Tych można przez

zaskoczenie rozbroić nawet gołymi rękami i w ten sposób zdobyć broń i amunicję. Otóż, celem „krwawej środy” oraz napadów na sklepy monopolu spirytusowego i poczty było, aby rząd musiał dać każdemu policjantowi, każdemu urzędowi pocztowemu, każdemu sklepowi monopolowemu osłonę wojskową. W ten sposób kilkanaście tysięcy żołnierzy na terenie zaboru rosyjskiego będzie rozproszonych pojedynczo, lub na grupki nie większe niż czterech żołnierzy. Tu mi się otworzyły oczy. Byłem bowiem w tydzień po krwawej środzie w Warszawie i widziałem żołnierza z karabinem przy każdym posterunkowym policji. Widziałem pojedynczych żołnierzy przy sklepach i urzędach pocztowych. Było oczywistą rzeczą, że przy akcji, przeprowadzonej na dany sygnał, jednocześnie niemal każdemu z tych żołnierzy można odebrać karabin. Byłem na wsi i widziałem przy sklepach monopolu spirytusowego w małych wioskach po dwóch lub trzech żołnierzy, siedzących sobie bez troski całymi dniami pod ścianami chałupy, w której się sklepik mieścił, z karabinami stojącymi pod ścianą o kilka kroków od nich, lub leżącymi na trawie; i dowiedziałem się, że żołnierze ci śpią sobie spokojnie w nocy w najbliższej stodole, lub chałupie wiejskiej. Mój informator powiedział mi, że według obliczeń partii około dwóch dywizji wojska rosyjskiego zostało rozproszonych w ten sposób i że posiadana przez nich broń może na dany sygnał przejść w ręce rewolucjonistów. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że to co usłyszałem było echem słów Józefa Piłsudskiego i planowych wyjaśnień udzielonych przezeń na konferencji wydziału bojowego partii.

Do tego wszystkiego doszedł czynnik drugi, równie przemawiający do serca, jak i do tego doświadczenia, które już dorastający chłopiec mieć musiał z tego, co własne jego wrażliwe oczy widziały. Czynnikiem tym były hasła sprawiedliwości społecznej, wolności; walki ze straszliwą nędzą i wyzyskiem, widzianym dookoła. Niepospolitą rolę odegrały przy tym nie tylko rzeczy widziane, ale podane tak przejmująco przez pióra Żeromskiego, czy Wiktora Hugo, przez poezję i literaturę. Jestem przekonany, że do szeregów rewolucyjnych i socjalistycznych, tysiącrotnie więcej ludzi pociągnęła lektura poetów, niż lektura Karola Marksa.

Podczas gdy gdzieś w górze, w tajemnicach konspiracji, rozgrywały się walki o przyszły kierunek socjalizmu polskiego, o metody walki o niepodległość i o same jej hasło — te same zagadnienia znajdowały swój wyraz u dołu, wśród młodzieży i w klasie robotniczej, jak Polska długa i szeroka. Znanie są one z historii, nie znajdują jednak miejsca w moich wspomnieniach bezpośrednich, jeśli chodzi o okres roku 1905 po strajku szkolnym i

pierwszą połowę roku 1906, aż do otwarcia prywatnych szkół polskich; czas ten bowiem spędziłem na wsi, korzystając z przymusowych wakacji. Gdy powróciłem z nich do miasta, wiele się zmieniło. Moi starsi przyjaciele z P.P.S. przeważnie siedzieli w więzieniu, niektórzy zaś byli już administracyjnie zesłani nad Białe Morze. Wśród pozostałych napotkałem ogromną rozbieżność zdań i gwałtowne dyskusje. Były to już bowiem ostatnie miesiące przed rozłamem w P.P.S. Zaobserwowałem wówczas ciekawe zjawisko, które potwierdzone zostało przez dziesiątki lat mego późniejszego doświadczenia, a dotyczyło podstawowych różnic w psychicznym nastawieniu, w charakterze ludzi należących do obozu socjalistycznego, rozpadającego się wówczas według nowej linii podziału. Moje ówczesne obserwacje dotyczyły oczywiście młodzieży. Późniejsze, i znaczne późniejsze, potwierdziły to samo wśród dorosłych. Nie tyle argumentacja i logika działały, gdy chodziło o zagadnienie niepodległości Polski i materialistyczne pojmowanie dziejów, ile charakter ludzi. Ludzie o żywym temperamencie i bystrym, intuicyjnym typie inteligencji opowiadali się za hasłem niepodległości, za samodzielnością polskiej walki rewolucyjnej; przemawiały do nich hasła wolności, braterstwa i sprawiedliwości społecznej, daleko silniej niż dialektyczne rozważania i formuły nadwartości. Ludzie o ciasnym umyśle, bez temperamentu, ludzie tego samego mniej więcej typu co tzw. „kowale” i „kujony” w żargonie szkolnym, opowiadali się przeciwko niepodległości, trzymali się ścisłej klasowości, w jej pojmowaniu z okresu kiedy Marks pisał swój „Kapitał”. Prawdy swej szukali nie w obserwacjach życia i nie we własnym rozumowaniu, czy też — uchowaj Boże — we własnych emocjach, lecz w cytatach z Marksa i jego komentatorów. Rosja i jej literatura, nawet obyczaje rosyjskie imponowały im bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Nosili nawet rubaszki rosyjskie, surowo i potępiająco patrząc na tych, którzy godzili z rewolucyjnymi poglądami czysty kołnierzyk i krawat. Należeli oni do socjal-demokracji, przy rozłame w P.P.S. opowiedzieli się za „lewicą”, zaś później niemal bez wyjątku znaleźli się w Partii Komunistycznej.



Strajk szkolny wywarł bardzo głęboki wpływ na układ stosunków politycznych szczególnie wśród młodzieży. Akcja ta bowiem prowadzona i zdecydowana przez młodzież samą — mimo że kierujące nią organizacje młodzieży były afiliowane do stronnictw społeczeństwa starszego — nie tylko nie miały uprzedniej akceptacji tych stronnictw, lecz, co więcej, po wybuchu strajku

i opuszczeniu gimnazjów rządowych, spotkała się z potępieniem nie tylko ze strony Narodowej Demokracji, lecz i obozu postępowego. Publicznie potępił tę akcję Roman Dmowski, co oczywiście było niepospolitym wstrząsem dla narodowych organizacji młodzieży, wiodących prym w organizacji strajku; z potępieniem wystąpili również Bolesław Prus i Aleksander Świętochowski, uwielbiani przez młodzież postępową, która też odczuła to wręcz tragicznie. Tak głęboka jednak była pewność słuszności sprawy, wśród młodzieży, że odpowiedziano w sposób drastyczny. Spoliczkowany został publicznie Roman Dmowski; to samo spotkało Bolesława Prusa.

„Krucjata dziecięca” nie załamała się i nie upadła mimo potępienia przez autorytety. Dalsze dzieje wykazały, że dzieci miały rację, a nie mężowie stanu. Szkoły polskie powstały i utrzymały się, wychowując przez lat dziesiątek po polsku zastępy młodzieży, kierując tysiące młodych ludzi po maturze, bądź na polskie uniwersytety w zaborze austriackim, bądź też na wyższe uczelnie zachodnio-europejskie. Młodzież ta zapoznała się z szerszym światem, nabyła też pewnego doświadczenia i wyrobienia politycznego w bogatym życiu młodzieży polskiej Krakowa i Lwowa oraz przez obserwację politycznych ustrojów i ich działania we Francji, Belgii, Szwajcarii. Ułatwiło to w niemałym stopniu, w kilkanaście lat później, początki wznowionego życia państwowego wskrzeszonej Rzeczypospolitej. Niemało ważną rzeczą było też to, że zastępy młodzieży z zaboru rosyjskiego niezmiernie powiększyły ten rezerwuar ludzki, na którym się oparł i z którego czerpał materiał do swej nowej akcji wojskowo-niepodległościowej Józef Piłsudski, gdy akcję tę zainicjował we Lwowie i Krakowie.

Wspominając te czasy, nie mogę pominąć niezapomnianych wrażeń i przeżyć związanych z pierwszymi laty szkoły polskiej. Dla tych, którzy czasów tych nie pamiętają, niełatwe będzie zrozumienie tego, co przeżywaliśmy wówczas my, chłopcy w wieku od lat szesnastu do dziewiętnastu. Z policyjnej atmosfery gimnazjum rosyjskiego przeszliśmy nagle do stosunków, które — tak normalne gdzie indziej na świecie — wydały nam się czymś wymarzonem. Już sam fakt słuchania wykładów w języku polskim, zupełnej swobody w rozmowach i zachowaniu się między sobą, bez oglądania się czy nie słuchają czujne uszy pedlów i inspektorów, był niepospolitą nowością. Nowością drugą był stosunek do nauczycieli, możliwość otwartego rozmawiania z nimi, pewność przyjaznego i serdecznego stosunku z ich strony. W literaturze historycznej i pamiętnikarskiej, dotyczącej tej sprawy i tego okresu, dużo zostało powiedziane o młodzieży. Za mało jednak, wydaje mi się, oświetlona została rola współtwórców tej akcji —

nauczycieli oraz kierowników i twórców nowopowstającej polskiej szkoły średniej. Młodzież załatwiła bowiem wspaniałym i solidarnym porywem negatywną, że tak powiem część zagadnienia — opuszczenie szkoły rządowej. Część druga jednak — pozytywna — zorganizowanie w niezmiernie krótkim czasie kilkunastu miesięcy nowej szkoły — było osiągnięciem niebywale trudnym, z którym oczywiście młodzież sama dać by sobie rady nie mogła. Trudności były niepospolite. Podręczniki szkolne w języku polskim nie istniały; aby można było w okresie przejściowym korzystać z podręczników rosyjskich, trzeba było odnaleźć, zestawić, wydrukować terminologię polską we wszystkich dziedzinach, matematyki, fizyki, chemii, geografii; po dziesiątkach lat eliminowania przez władze rządowe ze szkół nauczycieli Polaków niewielka tylko ich ilość dała się zebrać i skupić do nowego zadania. Byt ekonomiczny nowych szkół polskich wisiał w powietrzu. Nie mogły one oczywiście liczyć na żadne poparcie finansowe ze strony rządu. Musiały się z drugiej strony liczyć z tym, że napłynie cała masa dzieci rodziców niezamożnych, lub wręcz ubogich, którym szkoła rządowa dawała całkowite lub częściowe zwolnienie od opłat. Zagadnienie to zarysowało się dla nowej szkoły jako sprawa dobroczynności publicznej, filantropii, która jak wiadomo na pstrym koniu jeździ. A jednak znalazł się cały zastęp ludzi, mających kwalifikacje pedagogiczne i naukowe, którzy zaryzykowali swą przyszlą karierę i byt swych rodzin, aby pójść na niepewny los. Ci właśnie ludzie z najwyższym poświęceniem dokonali tego, co impuls młodzieży rozpoczął. Wielu z nich porzuciło dobre posady, wielu młodszych kończących właśnie uniwersytety z najwyższymi odznaczeniami, odrzuciło proponowaną im i obiecującą karierę naukową w wyższych uczelniach Moskwy, Petersburga i Kijowa, by stanąć w zapadłych prowincjonalnych miastach i miasteczkach zaboru rosyjskiego do pracy, której jutro było niepewne i samo podjęcie której — w razie gdyby prywatne szkoły polskie się nie utrzymały — mogło im w zarysowującej się karierze głęboko zaszkodzić. Ludzie ci wnieśli przy tym do nowej szkoły atmosferę nie tylko nowoczesnej pedagogii, ale i ogromnej serdeczności i zainteresowanie się tą młodzieżą, która po wyjątkowych i tragicznych przeżyciach, tak bardzo tego potrzebowała. Pół wieku upłynęło od tych lat, a jednak z gorącą serdecznością i wzruszeniem wspominam ich do tychczas i wszystko to, co nam w tych trudnych i krytycznych latach dał, zarówno ze swego intelektu, jak i ze swych gorących serc. A zadanie ich nie było łatwe. Wykraczało daleko poza zwykłą rutynę nauczyciela szkoły średniej, szczególnie gdy chodziło o uczniów klas starszych. Była to bowiem młodzież, która

— jak starałem się zobrazować już wcześniej — przechodziła swe lata dojrzewania przedwcześnie i w warunkach zgoła niezwykłych. Młodzież, która w przeciągu lat kilku postawiona była w obliczu nad wyraz ciężkich konfliktów, ci kilkunastoletni chłopcy, widzieli już rewolucję, a nawet brali w niej udział. Przechodzili w swych młodych sercach i umysłach przewroty pojęciowe, ideologiczne, uczuciowe. Rewolucja stawiała ich wobec obrazu łamania dyscypliny prawa; niemal z reguły wiązało się to z konfliktami w życiu rodzinnym i łamaniem dyscypliny tego życia; wreszcie strajk szkolny przyniósł łamanie dyscypliny szkolnej i przeciwstawienie się najwyższemu autorytetowi starszego społeczeństwa. A jednak każda szkoła, a więc i nowa upragniona polska, jakiegos minimum dyscypliny wymagała i trzeba było znaleźć i zastosować normy tej dyscypliny, które by o ile możliwości jak najmniej przypominały warunki zniechęcającej szkoły rządowej.

Ogromna większość moich rówieśników i kolegów w nowym polskim gimnazjum byli to chłopcy przedwcześnie rozwinięci i rozbudzeni, o wybujałej indywidualności, częstokroć równie wybujałej zarozumiałości i wrażliwości. Nie znosili rozkazu, upatrywali wszędzie zagrożenie dla swej niezależności i godności osobistej. Nerwowo przeculeni, rozdygotani aż do granic patologicznej neurastenii.

Większość naszych nauczycieli zorientowała się od razu z jak trudnym, chociaż cennym materiałem mają do czynienia. Ci więc wybrali drogę postępowania wyjątkową i może najtrafniejszą wówczas. Traktowali nas nie jak dzieci, nie jak uczniów gimnazjalnych, lecz jak studentów. Mówili do nas *per pan*; lekcje prowadzili raczej w formie wykładów i omówień o charakterze seminaryjnym, zamiast rutynowego zadawania stąd dotąd i „wyrzucania” dla wydania zadanych lekcji. Interesowali się indywidualnością uczniów, nawiązywali z nimi stosunki prywatne, zapraszali do swych domów, zachęcali do zwierzeń, najpoważniej dyskutowali z nami zagadnienia polityczne, literackie, filozoficzne. Dawało to w większości wypadków kapitalne rezultaty, nawiązywał się stosunek zaufania i serdeczności. Ale nie wszyscy nasi wychowawcy poszli tą drogą. Niektórzy obstawali przy konieczności rutynalnej dyscypliny, uważając że jest to niezbędne dla dobra chłopców, którzy i tak już są przez bieg wypadków i niezwykłe przeżycia wytrąceni z ram normalnych i którym może się do reszty w głowie przewrócić, jeśli będą traktowani jak dorośli i jeśli ich indywidualne zdolności czy inteligencja będą się spotykały z przesadnym wyróżnieniem ze strony nauczycieli. Nie ulega kwestii, że było ziarno prawdy i w tej drugiej metodzie. Być może, że nasi entuzjastyczni pedagogowie nieco przesadzali w li-

czeniu się z naszymi prawdziwymi czy też domniemanymi zaletami umysłu; za mało zaś brali pod uwagę niebezpieczeństwa dla charakteru, wynikające z wybujałych indywidualizmów i zgoła impertynenckiej zarozumiałości najzdolniejszych nawet szczeniaków.

Metoda dyscyplinarna prowadziła jednak do konfliktów, tym bardziej że jej zwolennicy zwykle nie posiadali dostatecznego autorytetu wobec młodzieży. Byli to bowiem ludzie o miernych zdolnościach i nieszczególnie wysokim wykształceniu, co zwykle chodziło w parze z pewnym konserwatyzmem i niechęcią do wszelkich nowinek w dziedzinie literatury, sztuki, polityki wreszcie. Traktowali swoich uczniów tak, jakby to byli normalni chłopcy w wieku 16-18 lat. Nie tylko więc na tle dyscypliny wynikały starcia. Gdy chłopiec z VI klasy, pisząc ćwiczenie na temat czym jest szkoła, oparł się na lekturze nieznanej nauczycielowi i wysunął tezy — naprawdę ciekawe i samodzielne — również zaskakujące nauczyciela swą nowością, spotkał się z zarzutem plagiatu. Zareagował na to burzliwie, czując się takim posądzonym głęboko skrzywdzony i dyskusję z nauczycielem wygrał, bardzo zrećtnie żądając, aby nauczyciel wskazał mu źródła rzekomego plagiatu, czego ten ostatni uczynić nie mógł, bo tezy były rzeczywiście samodzielne, chociaż istotnie nad wiek dojrzałe. Gdy zaś dodatkowo z dyskusji wynikało, że nauczyciel nie zna szeregu książek, które zna uczeń, autorytet nauczyciela oczywiście leżał, a ponieważ nie zdobył się na załagodzenie sprawy niesłusznego zarzutu choćby kilku dobrymi słowami, zawzięty uczeń oświadczył, że więcej wypracowań pisać nie będzie, czego też dotrzymał. Nauczyciel opuścił szkołę w końcu roku. Jego następcą, człowiek mniej więcej tego samego pokroju, zadając pierwsze z kolei pisemne ćwiczenie klasowe o „czytaniu książek” i chcąc ułatwić zadanie uczniom VII klasy zapowiedział, że spodziewa się u wszystkich trudności z rozpoczęciem wypracowania; nie będzie więc miał pretensji jeżeli wszyscy zaczną od jednakowego zdania: „Każda rzecz ma swoje dobre i złe strony; tak samo jest z czytaniem książek”. W odpowiedzi na to jeden z uczniów rozpoczął swą pracę od cytaty z Oscara Wilde’a „Nie ma książek dobrych i złych; są tylko książki dobrze lub źle napisane”, po czym dał wyraz rozmyślnie przesadny swoim światoburczym i dekadencckim poglądom. Ale napisał to wszystko znakomitą polszczyzną, udowadniając przy tym niebyłe jaką erudycję w dziedzinie najnowocześniejszej literatury polskiej i obcej. W rezultacie nauczyciel oświadczył oddając chłopcom ćwiczenia, że wprawdzie musi przyznać, że nie potrzebował piórem dotknąć tejże pracy, ale największym niepokojem a nawet przerażeniem napa-

wa go nastawienie moralne autora ćwiczenia i uczęstował klasę całą masą najbanalniejszych w świecie morałów i pouczeń. Wy-
nik był taki, że w ciągu całego roku cała klasa uprawiała sport
umyślnego gorszenia nauczyciela ćwiczeniami, nieraz z burzliwą
ucieczką zbiorowo redagowanymi, a naszpikowanymi wszelkiego
rodzaju herezjami.

Sprawy dyscyplinarne scharakteryzuję jednym przykładem.
W kilka miesięcy po otworzeniu szkoły polskiej, dyrektor gimna-
zjum widząc z balkonu swego gabinetu jednego z uczniów VI-ej
klasy spacerującego sobie swobodnie po dziedzińcu gimnazjalnym
w czasie trwających lekcji, zawołał więc na niego ostro, naka-
zując natychmiastowy powrót do klasy i — horrendum — mó-
wiąc do niego par ty. Obrażony do głębi młodzieniec zareagował
wręcz niegrzecznie wyprasząc sobie podobne traktowanie; dy-
rektor oczywiście nie usłuchał. W pół godziny potem, na następ-
nej lekcji, został przez wychowawcę zawiadomiony, że decyzją
dyrektora usunięty jest z gimnazjum i ma się udać do domu.
Młodzież zawrzała. Zwołany został więc trzech najstarszych klas,
który bez wahania uchwalił, że wszyscy opuszczają gimnazjum
i nie wrócą dopóki „pokrzywdzony” nie wróci również. Zawrzało
również wśród grona nauczycieli, tym bardziej że delikwent cie-
szył się ogromnymi względami z powodu swych rzekomo wybit-
nych zdolności i delikatnych nerwów, będąc beniaminkiem naj-
bardziej postępowej i najwyżej intelektualnie stojącej grupy nau-
czycieli. Po kilku dniach nastąpił kompromis. Dyrektor napisał
list do wydalonego ucznia, wprawdzie jeszcze per ty, ale w bar-
dzo serdecznych słowach, zezwalający na jego powrót. Wobec
tego burza się skończyła, sprawy poszły normalnym biegiem, ale
grono nauczycielskie uchwalilo niepisaną dotychczas regułę, że
wszyscy nauczyciele z dyrektorem włącznie będą uczniów trzech
starszych klas tytułować panami.

Wczesną wiosną 1908 roku przerwałem naukę w szkole pol-
skiej. Stan mego zdrowia był niepokojący. Zagrożenie płuc i
w najwyższym stopniu roztrzęsione nerwy spowodowały poważ-
ny nacisk lekarzy na mych rodziców, zalecający przerwanie na
pewien czas nauki w szkole i o ile możliwości zmianę klimatu
i otoczenia. Zdarzyło się szczęśliwie, że miałem na Krymie wuja,
który miał pewne zobowiązania wobec mojej rodziny. Mimo
przerwanych od lat kilkunastu stosunków zgodził się on natych-
miast i najchętniej przyjąć mnie na rok lub dwa, z tym że będę
się uczył w domu, zdając jako ekstern egzaminy w tamtejszym
gimnazjum i korzystając z dobrodziejstw znakomitego klimatu
krymskiego. Wyjechałem tedy na południe Rosji, gdzie przeby-
łem rok niemal w miejscowościach tak pięknych jak Sewastopol,

Jałta, Liwadia i Ałupka. Pobyt ten, niezależnie od zagadnienia mego zdrowia, dał mi pierwszą możność poznania Rosji, a szczególnie Rosjan. W domu mego wuja, prawnika z wykształcenia, i dość wysokiego urzędnika Izby Kontroli Państwowej, poznałem cały szereg reprezentantów inteligencji rosyjskiej, urzędników, ziemian, działaczy samorządowych. Zapraszany z kolei przez nich, poznałem zamożnych mieszczan, finansistów i inżynierów. Jednocześnie nawiązałem stosunki własne z moimi rówieśnikami, uczniami starszych klas gimnazjalnych oraz ze studentami uniwersytetów, którzy przygotowywali mnie do ewentualnej matury i zapoznali ze sporą garścią swych kolegów. Udało mi się nawiązać stosunki wyjątkowo szerokie ze względu na to, że jako Polak — a tych tam się prawie nie spotykało — zaciekałem ludzi tamtejszych, byłem nieznanym im typem pod wszelkimi względami; ubierałem się inaczej niż młodzież rosyjska, miałem inne wychowanie, inne obyczaje towarzyskie; byłem już wówczas dość wygadany, językiem rosyjskim władałem świetnie. Starszych zaciekałem również swoim dość znacznym odczytaniem i naprawdę dobrą znajomością literatury rosyjskiej. Moje stosunki dzieliły się na dwie całkiem odrębne kategorie. Studenci i młodzież gimnazjalna byli to przeważnie socjaliści, chociaż w kilku wypadkach natrafiałem i na skrajnie reakcyjnych „popowiczów”, lub synów niższych urzędników. Moi znajomi ze starszego społeczeństwa była to sfera w której obracał się mój wuj, który studia ukończył w Petersburgu, sam swoją karierę urzędniczą robił w Rosji, gdyż inaczej nie można było i — mimo że obraziłby się głęboko gdyby ktoś zakwestionował jego polskość i katolicyzm — był w dużym stopniu zrusyfikowany, całkowicie lojalny w stosunku do rządu i głęboko konserwatywny w swych zapatrywaniach społecznych. Jego przyjaciele byli to przeważnie ludzie tego samego pokroju, wykształceni i kulturalni Rosjanie, którzy traktowali mnie, mimo mych lat siedemnastu, z ujmującą grzecznością i sympatią. Toczyli nieraz ze mną długie dyskusje na temat literatury i sztuki i z pobłażliwym uśmiechem, nie mającym w sobie jednak nic co by mnie mogło urazić, wysłuchiwali moich ultrapostępowych i polsko-patriotycznych wynurzeń, nigdy jednak ze swej strony nie odpowiadali ani żadnymi wynurzeniami, ani poważniejszą dyskusją. Inaczej było z młodzieżą. Mimo wspólnych socjalistycznych poglądów, stała między mną a nimi jakaś nieprzenikniona bariera; mimo wspólnej nienawiści do caratu i kapitalistycznej krzywdy społecznej, spotykałem się z wręcz nienawistną reakcją ilekroć zatrącałem o zagadnienie Polski, gdy mówiłem o jej krzywdzie i o prawie do niepodległości. Pańszczyznę chcielibyście zaprowadzić z powrotem —

syczano na mnie z niepohamowaną pasją. Polska była w ich oczach jakimś dziwnym tworem, składającym się wyłącznie ze szlachty, o średniowiecznych fanaberiach i z wojujących agresywnych Jezuitów. Miałem jednak zawsze wrażenie, że główną podstawą nieufności i braku zrozumienia były raczej różnice natury obyczajowej, obserwowanie elementarnych form towarzyskich, noszenie krawata i białego kołnierzyka, uprzejmość w dyskusji i staranie o to, aby niepotrzebnie nie urazić rozmówcy, grzeczny stosunek do kobiet — jednym słowem wszystkie te rzeczy, które w Polsce były rzeczą normalną i codzienną, niezależnie od przekonań społecznych czy politycznych — młodzież rosyjska uważała za przejaw reakcjonizmu, nieszczerości, fałszu. O ile u nas kłuczem do stosunków między ludźmi było staranie o delikatność i dyskrecję, o tyle tam zasadą była jak najbrutalniejsza szczerość, tam nawet gdzie nikt o nią nie prosił i gdzie w podłożu jej leżała zarozumiałość i przekonanie o niezwyklej ważności poglądu i zdania własnego. Zauważyłem też szczególną wspólną cechę między młodzieżą, czy to socjalistyczną, czy „czernoseciną”. Po kilku odwiedzinach i nawiązaniu pewnej zażyłości — nie było prawie wypadku, aby dany młodzieniec nie wyciągnął z jakiegoś schowka, w którym trzymał swe najcenniejsze rekwizyty, drażka od trapezu z twardej gumy i nie pokazywał mi z niezwyklej upodobaniem, jak groźna i użyteczna jest to broń i jak straszne uderzenia można nią zadawać. Ten pociąg do brutalnej siły, przy jednoczesnym wyszydzeniu naszej polskiej skłonności do rycerskości, zaliczam też do różnic wysoce charakterystycznych.

Mój pobyt na Krymie trwał jednak krócej niż był planowany. Już późną jesienią 1908 roku przysłała z jednej strony szalona tęsknota za krajem, z drugiej zaś pewne komplikacje personalne, które spowodowały, że wróciłem do domu zamierzając po kilku miesiącach na Krym powrócić. Po kilkodniowym pobycie na wsi przyjechałem do podlaskiej stolicy, Siedlec i poszedłem odwiedzić moich kolegów w szkole. Spotkało mnie entuzjastyczne przyjęcie nie tylko ze strony kolegów, lecz i starych nauczycieli. Nie bardzo pytając o moje zdanie, uchwalono że muszę w szkole pozostać. Moi zacni protektorzy z grona nauczycielskiego przeforsowali decyzję, przechodząc do porządku dziennego nad tym, że nie miałem regularnej promocji z klasy VII-ej do VIII-ej i po bardzo łagodnym przeegzaminowaniu mnie z głównych przedmiotów, pozwolono mi zasiąść wraz z moimi rówieśnikami na starych ławach. Tak się więc stało, że zdałem maturę prywatną bez praw państwowych w gimnazjum siedleckim. Dość charakterystyczny dla ówczesnych stosunków jest fakt, że 16 maturzystów z mej klasy zdawało maturę w dwóch terminach; bowiem w ter-

minie normalnym, majowym, niemal połowa z nich siedziała w więzieniu po zwykłych dorocznych aresztach przed 1-szym maja. Ci więc, wypuszczeni w kilku tygodni później, zdawali egzaminy dopiero z początkiem nowego roku szkolnego we wrześniu. Wkrótce potem, nie mogąc uzyskać paszportu zagranicznego, przez zieloną granicę w okolicy Ojcowa przedostałem się na wolną ziemię krakowską, z niezwykłym wzruszeniem przeszedłem formalność przesłuchania przez polską policję w Krzeszowicach.

Ale tu zaczyna się już nowy rozdział.

(c.d.n.)

Bogusław MIEDZIŃSKI

MIEDZY HISTORIA A WSPÓŁCZESNOŚCIĄ

Mniej więcej dwadzieścia lat temu rozpoczynałem swą karierę historyka pracą magisterską o *prometeizmie*. Część moich tutorów z Instytutu Nauk Społecznych przy KC PZPR stanowczo się sprzeciwiała tematowi, uważając, że jest on — jak mówiono w kołach partyjnych — śliski i że nic dobrego z podejmowania go nie wyniknie. *Prometeizm* był jednym z istotnych elementów ideologii tzw. obozu belwederskiego, jak wówczas nazywano luźny blok piłsudczyków, PPS i niektórych przywódców „Wyzwolenia”. Koncepcja *prometeizmu* kształtowała się w latach 1921-1925. Jej twórcy wychodzili z założenia, że Europa Środkowo-Wschodnia jest opóźniona pod względem rozwoju narodów i organizmów państwowych w porównaniu z Europą Zachodnią. W szczególności rozwój musi doprowadzić do ukształtowania się państw narodowych na terenie b. Imperium Rosyjskiego a obecnego Związku Sowieckiego. Ten rozwój i kształtowanie się państw narodowych leży przede wszystkim w interesie Polski. Dopiero ukształtowanie się tych państw zlikwiduje stale nawisające nad nią niebezpieczeństwo, konsekwencję wtłoczenia między dwa potężne organizmy, wrogie rozdzielającemu je młodemu państwu.

Punktem wyjścia tej koncepcji były polskie uwarunkowania geopolityczne, ale sprowadzanie jej do wyłącznie polskiej kalkulacji byłoby zawężeniem problemu. Po pierwsze, koncepcja była mocno osadzona w najlepszych polskich tradycjach walk wyzwoléniczych, które zawsze stawiały sobie zadania przekraczające zakres polskiego etnicum. Po drugie, polskie walki wyzwolenicze były w XIX i XX wieku ważnym czynnikiem przyspieszającym kształtowanie się narodów i ich aspiracji w Europie Środkowej i Wschodniej. Należy też dodać, że prometeizm był pochodną

koncepcji federacji polsko-litewsko-białoruskiej, wysuniętej przez lewicę niepodległościową w okresie kształtowania się niepodległości.

Gdy pisałem rozprawkę byłem komunistą rewizjonistycznego pokroju, co znalazło wyraz w moich ówczesnych publikacjach. Czytając je po latach nie mogę oprzeć się częstemu zażenowaniu z powodu własnej naiwności i nieporadności. Z drugiej znów strony rozprawka ta wyprzedziła inne badania nad myślą polityczną Polski Niepodległej i stała się punktem wyjścia kilku prac i rozpraw, o czym na ogół autorzy lojalnie choć ukradkiem wspominają. Oczywiście, efekty bywają czasami niezamierzone i niejednokrotnie jestem zaskoczony gdy, jako moje, cytowane są zdania wypowiedziane w zupełnie innym kontekście. Ale to są sprawy marginalne. Mnie praca nad prometeizmem dała dużo, przede wszystkim ugruntowała we mnie zainteresowanie Europą Środkowo-Wschodnią jako całością oraz sprawami narodowościowymi.

(Piszę o tym nie dlatego by się tłumaczyć — choć niedawno z kilku artykułów zorientowałem się, że moja wczesna praca nadal jest czytana, również na emigracji, więc może wymaga jakiegoś aktualizującego komentarza. Piszę to m.in. po to, by wyjaśnić sprawę tym, którzy będą ewentualnie dociekać rozbieżności w czasie i w przestrzeni).



Konsekwencją prometeizmu było to, że w Polsce szukali poparcia i pomocy przywódcy rozmaitych ugrupowań emigracyjnych. Przeważały grupy lewicowe lub socjalistyczne: gruzińscy mienszewicy na czele z legendarnym Noe Żordanią, ukraińscy petlurowcy, azerbejdżańscy mussawatyści itd. Tworzyli oni razem klub „Le Prometée” z siedzibą w Paryżu. Niestety, treścią emigracyjnej współpracy były w dużej mierze spory, waśnie, animozje. Mnie, badającemu te sprawy po wojnie, spory te wydawały się zupełnie bezprzedmiotowe. Rozumiałem dlaczego nie może dojść do porozumienia Azerbejdżan i Ormian, ale dlaczego ci pierwsi kłócili się z kaukaskimi góralami? Co kryło się za animozją Gruzinów i Ukraińców? Wszyscy klepali mniej więcej podobną emigracyjną biedę, ich wróg — Związek Sowiecki — wcale się nie rozpadł a oni kłócili się o przyszłe granice, konstytucje, federacje lub wręcz o historię...

Prometeizm nie wyszedł w okresie II Rzeczypospolitej poza sferę teorii. Polska pomagała organizacjom emigracyjnym jak mogła, ale z perspektywy czasu widać szczególnie drastycznie, jak wielka była dysproporcja między pragnieniem przebudowy Euro-

py Wschodniej a polskimi możliwościami inicjowania tego procesu. Czy należy stąd wnioskować, że koncepcja była utopią?

Prometeizm nie był utopią, przeciwnie nawet, był ideą prekursorską. Nie bez wpływu polskiej myśli politycznej na początku czerwca 1959 roku obie izby Kongresu Stanów Zjednoczonych przyjęły jednogłośnie rezolucję o narodach zniewolonych przez imperializm rosyjski. Rezolucja stwierdziła, że: „... dążenie do wolności i niepodległości przyniatającej większości tych narodów stanowi potężną przegrodę dla wojny oraz jedną z głównych nadziei na urzeczywistnienie sprawiedliwego i trwałego pokoju”. Doświadczenie uczy, że nie należy przeceniać znaczenia rezolucji, zwłaszcza amerykańskich, zwłaszcza jednomyślnych. Jednakże nawet zapomniana rezolucja pozostaje faktem politycznym i historycznym o dużym znaczeniu.

Prometeizm okresu międzywojennego nie miał żadnych szans urzeczywistnienia. Na Zachodzie prawdopodobnie śmiano się z prometeizmu z większą lub mniejszą dozą pobłażliwości. Nie śmiano się w Moskwie. Tam traktowano polskie projekty serio. Władza sowiecka potrafiła wielu rzeczy dokonać, nie potrafiła jednak przewyżyczyć skutków wielonarodowościowej struktury państwa. W Moskwie zawsze bano się chwili, w której drzemiące poczucie narodowe przekształci się w ruch narodowy. Dlatego w wyobraźni sowieckich polityków inspirowany przez Polskę ruch prometejski przybierał rozmiary, których można było sobie życzyć, ale których nigdy nie miał. Do 1939 roku prometeizm nie schodził ze szpalt sowieckich gazet oraz poufnych publikacji dyrektywnych. Jako polskich agentów wykańczano w latach dwudziestych i trzydziestych zarówno Tatarów jak i Ormian, Baszkirów i Ukraińców, komunistycznych lokalnych wodzów i bezpartyjnych profesorów, tych wszystkich, którzy dążyli do ożywienia życia narodowego, do rozwoju szkolnictwa i literatury, do szerszego stosowania języka ojczystego w administracji, do zwiększania stopnia autonomii swej republiki czy obwodu. Również komunistów polskich wykańczano pod zarzutem że należą do legendarnego P.O.W. lub są zamaskowanymi oficerami polskiego wywiadu, przebywającymi w Związku Sowieckim po po to tylko, by pośredniczyć w kontakcie z „burżuazyjnymi nacjonalistami”, którzy na rozkaz z Warszawy przygotowują się do powstania, mającego rozczłonkować Związek Sowiecki.

Straszny głód na Ukrainie u progu lat trzydziestych nie był wcale gospodarczą nieuchronnością ani też konsekwencją sowieckiego bałaganu. Był celowym wykrwawieniem narodu ukraińskiego — ujawnił to Chruszczow na XX Zjeździe. Jakież rezul-

taty osiągnięto. Przez szereg lat kwestię ukraińską „miano z głowy”, a to dla Kremla znaczyło bardzo dużo.

Tak było za Stalina. Ale przecież kwestia narodowa nie zniknęła wraz ze śmiercią „Wodza Narodów”. Sprawy narodowe w ZSSR stanowią ciągle największe tabu w nauce i publicystyce. Moi tutorzy z INS słusznie przewidywali, że wybrany przeze mnie temat nie wywoła entuzjazmu w Moskwie, niezależnie nawet od tego jak będzie ujęty. O tym, że temat wywołał jakąś irytację mogłem niebawem się przekonać, gdy dane mi było odwiedzić ZSSR i spotkać przedstawicieli oficjalnej nauki historycznej.

Nie ma się czemu dziwić. Przy tej i innych okazjach mogłem stwierdzić, że pamięć o prometeizmie nie wygasła wśród narodów uciskanych przez Związek Sowiecki. Szczególnym zaskoczeniem była dla mnie wiadomość, że moja publikacja, wydrukowana w mało dostępnym piśmie naukowym została zauważona i starannie przeczytana w dalekiej Gruzji. Zresztą, mogłem się przekonać, że w Gruzji stale się pamięta, iż kilkuset Gruzinów znalazło po roku 1921 azyl i drugą ojczyznę w Polsce.



Termin *prometeizm* utrwalił się w nauce, ale rzadko jest używany w wolnej polskiej publicystyce. A przecież wpływ jego na naszą myśl polityczną jest niewątpliwy. Wydaje mi się, że u podłoża milczenia leży zrozumienie błędu, który bez przesady można nazwać fundamentalnym. Tym błędem — wytknął go po II-ej wojnie Juliusz Mieroszewski — było wyłączenie Rosjan z udziału w ruchu mającym wyzwolić narody Związku Sowieckiego. Błąd ten popełniano nie tylko w Polsce — odnajdujemy go przecież i w wyżej cytowanej jednomyślnej rezolucji Kongresu! Błąd ten był wynikiem nie tylko niedojrzałości myślenia, ale i niedojrzałości sytuacji. Idea państw narodowych na gruzach Imperium godziła praktycznie w Związek Sowiecki, ale uczucie również w Rosjan — przeciwników władzy sowieckiej.

Zasadniczym hasłem „białej” Rosji w czasie wojny domowej była *jedyną, niedielimą*, co wykluczało nie tylko niepodległość, ale nawet i jakąś kusą autonomię narodów uciskanych przez Rosję. Nie przypadkowo przecież bolszewikom udawało się przez pewien czas stwarzać pozory, iż bronią interesów uciskanych dotychczas narodów. Bo w porównaniu z Rosją przedrewolucyjną a nawet liberalną, rewolucja sowiecka zdawała się czymś lepszym. Rosyjscy monarchiści, liberałowie, mienszewicy, nie rozumieli, nie

chcieli nawet zrozumieć, jaka siła spoczywa w kwestii narodowej. Bolszewicy — rozumieli.

Nie należy zbyt upraszczać. Piłsudski, wyruszając wiosną 1920 roku na Ukrainę korzystał nie tylko z poparcia ukraińskich eserów i mienszewików, ale także miał w swym obozie szereg wybitnych działaczy rosyjskich, w szczególności współdziałali z nim Borys Sawinkow i jego brat Wiktor, Dymitr Mereżkowski i jego żona Zinaida Gippius, Dymitr Fiłosofow, gen. Głazepap i płk Kutiepow — ich nazwiska przypomniwała niedawno Julia Wiszniewska. Ale Rosjanie ci nie mieli za sobą zastępów. O wiele szerszym posłuchem cieszył się gen. Brusilow, nawołujący rosyjskich oficerów, by zapomniawszy o wszystkim czego doznali, szli do Armii Czerwonej ratować Ruś przed odwiecznymi wrogami — Polakami. Wstępowali ochotniczo, ratowali. Później ich mordowano jako białogwardziejców.

Rosja nie-komunistyczna skostniała po rewolucji. W kraju — jak określił Sołżenicyn — nastąpił letarg myśli trwający ponad pół wieku. Ale i wielka liczebnie, imponująca wspaniałymi nazwiskami przeszłości, bogata dorobkiem filozoficznym i literackim emigracja rosyjska w Europie i Ameryce nie wydała przez dziesięć lat nie tylko żadnej wybitnej postaci politycznej ale i żadnej nowej idei. W 1961 roku wybitny uczony, którego wpływ na myśl rosyjską, krajową i emigracyjną ciągle jest dostrzegalny, I. A. Kurganow, wydał monografię o problemach narodowościowych i państwowych Związku Sowieckiego¹. Kurganow nie kochał komunizmu i potępiał stosowane przezeń metody rozwiązywania kwestii narodowej, lecz jednocześnie aprobował rezultaty osiągnięte przez Związek Sowiecki w tej dziedzinie i stał na stanowisku utrzymania całości istniejącego imperium. Ani Ukraińcy, ani Litwini, ani Węgrzy i Polacy nie znajdowali w jego oczach podstaw do niepodległości. Owszem jego zdaniem należało zniszczyć komunizm, ale niewiele więcej. Kurganow podejmował problem nie dla akademickiej dociekliwości. Jego książka jest szczerą, choć niezbyt udolną polemiką, podjętą przeciwko wyżej cytowanej rezolucji Kongresu USA o prawie narodów uciśnionych do wolności. A więc jedyne, co uczony profesor potrafił zaproponować, to powrót do *status quo ante*. Oczywiście, nie wszyscy podzielali poglądy Kurganowa, ale — niestety — wyrażał on stereotypy myślowe rosyjskiej emigracji.

Od tego czasu dość dużo się zmieniło. Letarg myśli począł powoli ustępować intelektualnemu ożywieniu. Stan odrętwienia,

1. Kurganow I. A., *Nacii SSSR i russkij wopros*. Frankfurt/Main, 1961, str. 263, 7.

mimo usilnych zabiegów władz sowieckich nie dał się utrzymać w nieskończoność. Bezkształtne *masy ludowe* nieśmiało, często nieporadnie poczęły przekształcać się w *społeczeństwa*, w *narody*.



Okazuje się, że sowieckie metody — za czasów Stalina i po Stalinie — co prawda były w stanie opóźnić kształtowanie się świadomości narodowej, ale nie mogły zahamować tego procesu. „Bratnia wspólnota narodów sowieckich” czy wręcz „naród sowiecki” okazały się pojęciami pustymi. Coraz wyraźniejsze kształtowanie się systemu sowieckiego jako władzy rosyjskiej oligarchii partyjno-biurokratycznej i dyskryminacja innych narodów stały się w pewnym momencie czynnikiem nie opóźniającym, lecz przyspieszającym rozwój świadomości narodowej. Kwestia narodowa w bloku sowieckim stała się bardziej skomplikowana ale zarazem bardziej widoczna, coraz bardziej zapalna.

Niezależnie jak wysoko ocenialibyśmy perspektywy rozwoju narodowego w Związku Sowieckim, coraz wyraźniej ujawnia się jednak — jako prawda niemal oczywista — że centralnym punktem wszystkich rozważań na temat przyszłości Związku Sowieckiego jest ewolucja nastrojów ludności rosyjskiej. Rosjanie są w Związku narodem panującym, ale tylko część odnosi z tego faktu korzyści, natomiast cały naród ponosi ciężary. Tezę, iż nie może być wolnym naród ciemiężący inne narody sformułował ponoć Lenin, ale to nie pomniejsza trafności tezy. Rosjanie mają dostatecznie dużo powodów, by nie lubić ustroju, mimo iż pracownicy KC niemal w 100 % są Rosjanami.

Od kilkunastu lat jesteśmy świadkami zadziwiającego zjawiska, mianowicie kształtowania się opozycji w państwie totalitarnym. Nie sposób w tym artykule dowodzić *historycznego* znaczenia tego fenomenu, myślę zresztą, że również nie ma potrzeby.

Kwestia narodowa należy do najtrudniejszych problemów intelektualnych i politycznych, z jakimi opozycja musi się borykać. Świadomość, iż Związek Sowiecki pozostaje jedynym państwem kolonialnym po załamaniu się systemu kolonialnego nie jest obca w tym kraju, podobnie jak i przeświadczenie, że ta sytuacja nie da się przeciągnąć w nieskończoność. Ta „wielonarodowość” — jak się ją oficjalnie nazywa w ZSSR — rodzi mieszane uczucia i reakcje, również wśród opozycjonistów.

Istnieje z jednej strony obawa, że osłabienie władzy sowieckiej i wzrost ruchów narodowych może doprowadzić do wybuchu nawarstwionych przez dziesięciolecia antagonizmów i owocować będzie przelewem krwi winnych i niewinnych, koszmarem

dającym się tylko porównać z latami stalinizmu. Nie bez znaczenia są tu świadome wysiłki sowieckie by zniszczyć wszelką organiczną więź społeczną, która mogłaby ująć ruch narodowy w ramy organizacji i dyscypliny. Wizja tego, co może (choć nie musi!) nastąpić w momencie załamывania się władzy sowieckiej może przerazić nawet najodważniejszych.

To jest jedna strona medalu której nie należy lekceważyć, jeśli się chce zrozumieć problemy, w obliczu których znajduje się powstająca w Związku Sowieckim nieformalna opinia społeczna. Istnieje i druga strona. System kolonialny nie da się utrzymać, nie da się też usprawiedliwić od strony moralnej. Przebudowa Związku Sowieckiego na zasadach sprawiedliwości i poszanowania praw człowieka a więc i wolność narodu rosyjskiego nie są możliwe, jeśli nie ulegnie jednoczesnemu zniszczeniu przemoc, trzymająca gwałtem dziesiątki narodów w ramach imperium.

Niemalą rolę aktywizującą kwestię narodową jest to, że opozycja jest najsilniejsza tam, gdzie negacja ustroju łączy się ze świadomością odrębności narodowej i walką o narodowe prawa. Ostatnie lata uczyniły z kwestii żydowskiej w ZSSR problem międzynarodowy, podobnie się dzieje z problemem litewskim, ale nie należy również zapominać o nastrojach na Kaukazie, ani o pogłębiającym się separatyzmie narodów muzułmańskich, o czym można się przekonać nawet analizując sowieckie, oficjalne statystyki. Szafarewicz stwierdza, że osobiście, i to niejednokrotnie, słyszał w miastach sowieckiej Azji Środkowej okrzyk skierowany pod adresem Rosjan: „Poczekajcie, niech tylko przyjdą Chińczycy, oni wam pokażą!”. Okrzyk ten powtarza się nagminnie, choć muzułmańscy mieszkańcy Taszkientu i Duszanbe nie mają podstaw by specjalnie lubić Chińczyków². Podobne świadectwa, dowodzące ostrości kwestii narodowej przewijają się przez wszystkie niemal publikacje należące do sfery „samizdatu”.

Opozycja sowiecka kształtuje się powoli. Jej rozwój znaczący jest więzieniami, zesłaniami, zamykaniem do szpitali psychiatrycznych jej ofiarnych przywódców i działaczy. Ale nie tylko rozwój ilościowy opozycji sowieckiej napotyka na trudności. Nie mniejsze stoją na drodze określenia zadań i celów opozycji oraz środków działania. Pisałem o tym niedawno (*Zeszyty Historyczne* Nr 31, 1975) i nie chciałbym się zbytnio powtarzać. Przez długi czas program opozycji sowieckiej był dość nieśmiały, a walka nawet o ten program była najeżona niebezpieczeństwem. Programem były rzeczy najoczywistsze: przeciwdziałanie rehabili-

2. *Iz pod głąb*, Paryż, 1974, str. 97.

tacji Stalina, walka o większy margines swobody dla literatury pięknej i naukowej, żądanie *jakichkolwiek* praw w kraju, w którym one nie istniały od lat. Taki program wystarczał przez dziesięć lat, i jak wiadomo, nadal jest aktualny. Ale z biegiem czasu coraz natrętniej daje o sobie znać potrzeba konsekwentnej wizji społecznej, opartej o głębsze przemyślenia, a to jest już sprawa o wiele trudniejsza, zwłaszcza w obliczu skomplikowanych problemów, zwłaszcza wskutek trwającego przez dziesięciolecie przymusowego zastoju myśli i zaledwie teraz następującego „powrotu oddechu i świadomości”.

Trudności tego procesu określił jeden z czołowych myślicieli współczesnej Rosji, Grigorij Pomeranc, jako *koan* — tak nazywa się w terminologii buddyjskiej zagadka, rozwiązanie której nie może nastąpić na drodze logicznego rozumowania: „Grupa ludzi znalazła się w klatce wraz ze stadem małp. Klatka jest zamknięta, małpy mają klucze. Klucze są zaczarowane, kto je dostanie w ręce sam przekształca się w małpę. Jak wydostać się z klatki?”. Autor reasumuje: „Tu nie istnieje ogólne wyjście. Zadanie trzeba rozwiązywać codziennie, co chwilę, przez całe życie”.



W 1974 roku zespół siedmiu rosyjskich intelektualistów, skupionych wokół Sołżenicyna wydał książkę *Iz pod głyb*.

Światowa opinia publiczna i świat intelektualny zrozumiały od razu jej znaczenie. Bynajmniej nie był to zgodny chór podziwu, towarzyszący dotychczas dziełom literackim Sołżenicyna...

Najbardziej może znamienna jest reakcja starszego pokolenia rosyjskiej emigracji. Dla tej generacji, która tyle przeszła, pojawienie się opozycji rosyjskiej i światowy rozgłos dzieła literackiego Sołżenicyna miały kolosalne znaczenie, były dowodem że emigracja działała nie nadaremnie. O ile jednak literackim dziełom Sołżenicyna towarzyszyły analizy, komentarze, przedruki, o tyle *Iz pod głyb* wywołało wyrazy powszechnego podziwu i brak... komentarzy. Systematycznie śledzę doskonały tygodnik *Russkaja Mysl* i chyba nie bezpodstawnie odnoszę wrażenie, iż jego współpracownicy są książką tą raczej zakłopotani, na tyle odbiega ona od stereotypów myślowych rosyjskiej emigracji.

Zakłopotanie daje się odczuć nie tylko wśród emigracji rosyjskiej. Polski „Instytut Literacki” jest od lat wydawcą Sołżenicyna. Na łamach *Kultury* nie tylko pojawiły się prace wielkiego

3. Pomeranc G., *Nieopublikowannoje*. Bez wyd. i miejsca wyd. str. 198..

pisarza, ale i krytyczne analizy tych prac. Jednakże recenzent książki (*Kultura* Nr 1-2, styczeń 1975) ograniczył się do przypomnienia nurtu, do którego nawiązuje zespół autorski oraz do dość specyficznego zreferowania treści, ze specjalnym ominięciem wszystkiego, co dotyczy bezpośrednio spraw polskich.

W czasie dwóch konferencji prasowych, w Sztokholmie w grudniu 1974 i w Paryżu w kwietniu 1975 Sołżenicyn skarżył się, że dziennikarze zachodni opacznie pojęli jego poglądy, wyciągając sprawy pochodne lub drugorzędne, a nie zwracając uwagi na zasadnicze.

Godne zastanowienia są polskie, emigracyjne „londyńskie” reakcje. To że podrzędny paxowski dziennikarz pozwolił się w swoim czasie użyć do nagonki na wielkiego pisarza, nikogo zdziwić nie może, ostatecznie w tym celu istnieje PAX, by spełniać rolę funkcjonalną. Trudniej zrozumieć ataki na Sołżenicyna w *Wiadomościach*. Józef Mackiewicz np. podejrzewa go o najgorsze rzeczy, opierając się wyłącznie na swej... nieznajomości Związku Sowieckiego. Zarzut nadmiernej lewicowości, wysunięty wobec Sołżenicyna stawia polskiego pisarza na wyjątkowej we współczesnym świecie pozycji. Inny piszący w tym samym piśmie ma za złe rosyjskiemu pisarzowi, iż udzielając wywiadu telewizji szwajcarskiej mówił po rosyjsku, a nie po niemiecku, choć przed trzydziestu laty uczył się tego języka w szkole. Piszącego razi język rosyjski z powodu wiadomych doświadczeń, niemiecki — nie razi. Przykro, że redakcja poważnego pisma opublikowała dwa teksty na tak rażąco niskim poziomie.

Jedyna próba analizy wyszła spod pióra Józefa Łobodowskiego w *Tygodniu Polskim* (Nr 17, 26 kwietnia 1975) pod określającym tytułem „Na starą nacjonalistyczną nutę”. Łobodowski przeczytał i wyciągnął wnioski z artykułu Igora Szafarewicza „Izolacja czy zbliżenie”, umieszczonego w omawianej książce. Wniosek brzmi: „Czyli pisze się Szafarewicz a czyta się Iłowajskij. Przykro!”.

Łobodowski bez wątpienia ma rację, choć równie dobrze można dowieść, że jej nie ma. Rację mają zachodni publicyści stawiający Sołżenicynowi irytujące go pytania, a zarazem nie można odmówić słuszności autorowi, gdy odpowiada, że został źle odczytany, niezrozumiany, że jego wypowiedzi zostały przewrotnie skomentowane. Rozumiem rosyjskich publicystów gdy cieszą się z blasku gwiazdy Sołżenicyna, i rozumiem, iż wolą nie dotykać spraw tak drażliwych jak te, które zostały poruszone w *Iz pod głyb*. Rozumiem także, że zespół autorski *Iz pod głyb* zapowiada, że w niedługim czasie zostanie wydrukowane drugie

wydanie książki, wnoszące istotne poprawki do wielu nie tylko sformułowań ale i ujęć.



Gustaw Herling-Grudziński słusznie przy jakiejś okazji podkreślił mimochodem *klimat moralny*, wprowadzony przez autorów w sferę analizy zjawisk społecznych. Wychodząc z nauki św. Augustyna, że państwo bez sprawiedliwości jest tylko bandą rozbójników, Solżenicyn ostro rozprawia się z dominującymi tendencjami nauk społecznych, rugującymi etykę ze sfery swych rozważań: „Jako poważne traktowane naukowo są te badania społeczeństw i państw, w których dominują metody — ekonomiczna, statystyczna, demograficzna, ideologiczna, dwie kategorie niżej — geograficzna, podejrzliwie spogląda się na metodę psychologiczną, a już jako pełną prowincjonalność traktuje się ocenę państwa podług skali etycznej” (*Iz pod głąb*, str. 115). Jest to główne kryterium metodologiczne.

Drugim jest postulat rosyjskiego nacjonalizmu. Nacjonalizm należy do bardziej nieokreślonych pojęć naszego wieku. Nacjonalizm Solżenicyna jest konsekwencją postulatu moralnego. Jest to nacjonalizm zrywający z mocarstwowością, ekspansją, interesami imperialnymi i rozszerzaniem swej władzy na inne narody, ograniczający się do rosyjskiego narodu i rosyjskich wewnętrznych interesów.

Taki program winien udzielić również odpowiedzi na nie dające się uniknąć pytanie, jak ma być rozwiązana sprawa nie-rosyjskich narodów, wchodzących obecnie, czasem przez inercję procesu historycznego, czasem wbrew swej woli, w skład Związku Sowieckiego. Ten problem znalazł już wyraz w ciągle dyskutowanym „Liście do wodzów Związku Sowieckiego”. Solżenicyn pisze w zakończeniu działu czwartego, że rozwój „... wcześniej lub później powinien doprowadzić do zlikwidowania naszego nadzoru nad Europą Wschodnią. Nie może być też mowy o utrzymaniu przemocą w granicach naszego kraju jakiegokolwiek narodu, leżącego na poboczu”⁴.

W artykule *Skrucha i samoograniczenie* Solżenicyn postuluje konieczność krytycznej analizy własnej przeszłości, wyrzeczenie się narodowej pychy rosyjskiej: „jakże wyraźnie widać, jak wysoką cenę zapłaciła ludzkość za to, żeśmy wiekami woleli piętnować, demaskować i nienawidzić *innych*, zamiast piętnowania, demaskowania i nienawidzenia siebie [...]. Skrucha jest pierwszą twardą piędzą ziemi pod nogami; od niej i tylko od niej poczy-

4. W oryginale: *okrainna nacija*, określenie nieprzetłumaczalne.

nając, można ruszyć naprzód nie w stronę nowej nienawiści lecz zgody⁵”.

Przytoczone fragmenty dowodzą, że książka jest dość poważnym wyłomem w systemie stereotypów rosyjskich. W jednym rzędzie z podręcznikiem Iłowajskiego z ub. wieku stawiać jej nie należy.

Postulat likwidacji własnego imperializmu dowodzi, że współczesna wolna myśl rosyjska w swym rozumieniu problemów narodowych zbliżyła się do tych wniosków, do których ileś lat temu doszli polscy teoretycy tych zagadnień: Tadeusz Hołówko, Adam Skwarczyński, Andrzej Strug, Marceli Handelsman. To, że myśl rosyjska doszła do tych wniosków krocząc zupełnie innymi drogami wcale nie zaciemnia obrazu, przeciwnie, dowodzi słuszności otrzymanego rozwiązania, podobnie jak i to, że autorzy mają na względzie nie obcy, lecz swój własny, rosyjski interes.

Iz pod głyb jest jednak publikacją heterogeniczną, nie tylko dlatego że autorzy reprezentują różne pokolenia i różne doświadczenia. Przypuszczam, że analizując jej zawartość trzeba wziąć pod uwagę iż powstawała w szczególnie trudnych warunkach: „W przeciągu dziesięcioleci ani jeden problem, żadne ważne wydarzenie naszego życia nie zostały swobodnie i wszechstronnie przedyskutowane, tak byśmy mogli dać prawdziwą ocenę tego co się stało i szukać dróg wyjścia” — piszą autorzy w słowie wstępnym. A Sołżenicyn uprzedza, że: „... oczekujący nasz kraj powrót oddechu i świadomości, przejście od milczenia do wolnej mowy będzie zarówno trudny jak i długotrwały a także męczący⁶...”.

Krytyka książki zwróciła już uwagę, że istnieje sprzeczność między negatywną oceną inteligencji rosyjskiej przez Sołżenicyna a tym, że to właśnie ta przezeń potępiana warstwa, jest głównym adresatem jego dzieła. Przypuszczam, że jest to sprzeczność pozorna, którą można stosunkowo łatwo zrozumieć, jeśli wziąć pod uwagę aktualny stopień rozwoju społeczeństwa rosyjskiego. Istnieją inne sprzeczności. W polemice z Sacharowem Sołżenicyn sformułował pogląd, że: „... nie wiadomo, czy to co nam pokazują i określają jako socjalizm jest w ogóle socjalizmem. Czy taki istnieje w przyrodzie”⁷. Pogląd ten Sołżenicyn rozwinął w wywiadzie dla telewizji francuskiej 11 kwietnia br., mówiąc o rozbieżnościach w traktowaniu zakresu tego pojęcia. Wydaje się, że m.in. z tego względu Sołżenicyn unika używania określeń *ideologia socjalistyczna, komunistyczna, bolszewizm*, zastępując je iro-

5. *Iz pod głyb*, str. 118, podkreślenie w oryginale.

6. *Op. cit.*, str. 8.

7. *Op. cit.*, str. 17.

niczną *przodującą ideologią*⁸. W studium Igora Szafarewicza „So-cjalizm”, tych wątpliwości dostrzec nie można: socjalizmem jest to, co się jako socjalizm określiło. Różnica nie miała, rzutująca na stosunek do antytotalitarnych ruchów socjalistycznych i w ogóle socjalnych.

Jest to jedna z logicznych antynomii zbioru. Następna, nie mniej istotna, daje się zauważyć w traktowaniu skomplikowanego splotu problemów narodowo-państwowych. Tezą Sołżenicyna jest konieczność uznania odpowiedzialności narodu za czyny w jego imieniu popełnione. Konsekwencją zaś jest postulat skruchy i pokuty za grzechy narodu. „To cesarstwo nieprawdy, przemocy, niemocy sprawiedliwości, niewiary w dobro — ta błotnista ciecz, z *nas* była ukształtowana, z kogóż by innego?”⁹. Żadne reformy i przekształcenia nie dadzą rezultatu jeśli nie będzie im towarzy-szyła świadomość grzechów. Nic dziwnego więc, że w tym kon-tekście autor piętnuje „... ukształtowany w ostatnim czasie nurt” dowodzący że jakoby „naród rosyjski, jeśli idzie o jego walory, jest najszlachetniejszy na świecie; jego historia, ani dawna ani współczesna nie została niczym splamiona...”. Co prawda autor pisze to w kontekście współczesnego nacjonal-bolszewizmu (aso-cjacja wyraźna do nacjonal-socjalizmu), ale ocena daje się zasto-sować w stosunku do każdego stanowiska apoteozującego prze-złość własnego narodu¹⁰.

A obok tych stwierdzeń obszerny artykuł Szafarewicza o spra-wach narodowych „Wyodrębnienie czy zbliżenie”, jak gdyby zupełnie tej potrzeby skruchy narodowej nie przyjmujący do wia-domości: Rosjanie nigdy nikomu niczego złego nie zrobili. „Wszyscy są teraz zgodni, że kolonializm jest hańbą XX wieku...”¹¹ ale termin *kolonializm* ma zastosowanie tylko w stosunku do — bo ja wiem jakich państw — chyba do Anglii i Francji. W sto-sunku do Rosji i narodu rosyjskiego termin ten nie pasuje: „Wydaje mi się, że teoria 'rosyjskiego kolonializmu' jest nie tylko niesprawiedliwa w stosunku do narodu rosyjskiego lecz również faktycznie nieprawdziwa, a przez to i szkodliwa dla innych naro-dów, przeszkadzając im zrozumieć własne życie narodowe. W isto-cie rzeczy podstawowe osobliwości życia narodowego ZSSR są bezpośrednią konsekwencją panowania ideologii socjalistycznej [...] Rosjanie cierpią z jej powodu nie mniej niż inni, oni bo-wiem pierwsi padli ofiarą jej ciosów”¹¹.

Nie chciałbym lekkomyślnie, w zaślepieniu, negować niewąt-

8. *Op. cit.*, str. 29-72.

9. *Op. cit.*, str. 127, podkreślenie w oryginale.

10. *Op. cit.*, str. 129.

11. *Op. cit.*, str. 106, podkreślenie w oryginale.

pliwie słusznej myśli, iż system sowiecki uderza nie tylko w podbite narody, ale również (a czasem i ostrzej) godzi w naród rosyjski. Z autopsji wiem, w jak małym stopniu przeciętny rosyjski poddany Związkowi korzystać może ze swej uprzywilejowanej pozycji. Nie mało znam faktów potwierdzających to co niedawno napisał Wiktor Perelman: że na terenie Kaukazu przeciętny Rosjanin jest nawet upośledzony w prawach, przy zetknięciu się z niezbyt potajemną solidarnością narodową Gruzinów lub Ormian.

Mimo to, niestety, złośliwa ironia Łobodowskiego nie jest bezpodstawna. Bo zdaniem Szafarewicza Rosja przed rewolucją wcale nie była „więzieniem narodów”, to tylko „nasi ojcowie wszyscy zgodnie, razem” ją tak nazwali¹².

Pomijam, jako rzecz oczywistą, że Szafarewicz nie ma racji — myślę bowiem, że dyskutowanie nad faktami jest żenujące dla obu stron. Ale nie wolno mi jako historykowi nie zwrócić uwagi na to, że poglądy historyczne Szafarewicza w tej dziedzinie nie są zbyt odległe od głoszonych oficjalnie w Związku Sowieckim. Przypominam sobie, że gdy sowieccy, jak najbardziej oficjalni historycy na zlecenie swego KC napisali trzypiętomową *Historię Polski* to pierwszy tom, dotyczący okresu do 1795 roku zakończyli wzniosłą sentencją, że dzięki rozbiorom „Naród Polski zyskał przyjaciela w postaci Narodu Rosyjskiego”. Pamiętam, że nawet ówczesny kierownik Zakładu Historii Partii w Warszawie, Tadeusz Daniszewski, wściekł się i na naradzie krzyczał pod adresem swoich moskiewskich przyjaciół, że „to co nam przedstawiliście nie jest ani nauką ani marksizmem, jest rosyjskim wielkomocarstwowym szowinizmem”. A trzeba wiedzieć, że mało kto w PRL cieszył się takim zaufaniem Kremla jak Daniszewski.

W tym kontekście nie mogą nie niepokoić słowa potępienia w stosunku do tych rosyjskich opozycjonistów, którzy żądają wyrzeczenia się przez swój naród „rosyjskiego mesjanizmu¹³”. (Krytykuje ich również Sołżenicyn, uważający że każdy naród ma jakąś misję do spełnienia. Ale w jego ujęciu jest to misja tylko wewnętrzna, nie w stosunku do innych).

Nie pozbawione sprzeczności są niekiedy poglądy jednego i tego samego autora. W czasie swego pierwszego wywiadu telewizyjnego na emigracji Aleksander Sołżenicyn dość kategorycznie potępił opuszczanie Związku Sowieckiego o ile nie jest połączone z wyjazdem do walczącego Izraela. Stanowisko Sołżenicyna było niewątpliwie podyktowane troską o to, by front opozycyjnej

12. *Op. cit.*, str. 107.

13. *Op. cit.*, str. 105.

walki w kraju nie załamał się wskutek wyjazdu szeregu ludzi, którzy dotychczas odgrywali wybitną rolę w tak zwanym „ruchu demokratycznym”. Stanowisko to powtórzył w zaostrej formie Szafarewicz w czasie konferencji prasowej przy wydaniu *Iz pod głyb*. Wypowiedź Szafarewicza spotkała się z ostrą repliką Julija Daniela oraz Mstisława Roztropowicza. Myślę, że nie jeden zaprzysiężony czytelnik Sołżenicyna był zaskoczony, czytając w najnowszej jego książce („Bodałsia tielonok z dubom”) iż myśl opuszczenia Związku Sowieckiego i kontynuowania walki przeciwko sowietyzmowi na zagranicznym gruncie nie była obca i Sołżenicynowi. Że tak się nie stało — pisze autor — należy zawdzięczać jego obecnej żonie, która przekonała go, że głos z zagranicy nie będzie miał tej siły, jaką ma wypowiedziany z kraju.

Jest to przykład w jaki sposób niekiedy mogą powstawać zadrażnienia i irytacje. Z punktu widzenia polskiego czytelnika niewątpliwie na czoło wysuwa się uleganie stereotypom w ocenie historycznych korzeni stosunków istniejących między narodami rosyjskim a polskim. Są one zdecydowanie złe i o tym nie trudno się przekonać. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że dziedzictwo stosunków historycznych ciąży i na strukturze psychicznej współczesnego Polaka i współczesnego Rosjanina, że stosunki te są może pod względem psychicznym trudniejsze do skwitowania niż inne problemy narodowościowe. Poza aktami wzajemnej agresji „materialnej” o której pisze Sołżenicyn, istnieją bowiem również przezeń niewymienione, niewymierne, lecz jakże oczywiste regiony „agresywności moralnej”. Przecież przez sto lat straszono Rosję „polską intrygą”, o której jako o jednej z czołowych rosyjskich dyrektyw myślowych pisał Sałtykow-Szczedrin. Straszono skutecznie. Przecież za puste antypolskie gesty Bismarck kupił rosyjskie poparcie dla pruskiej hegemonii w związku niemieckim. Pogarda dla rosyjskiej ciemnoty wbudowana jest natomiast w polskie stereotypy. Mogę opowiedzieć na przykład, jak moi słuchacze-politruicy (!) reagowali na postulat ks. Imeretyńskiego by „*oduracził Polszu do urownia Rossiji*”. Jednomysłne zdanie członków zespołu *Iz pod głyb*, iż historia Rosji posiada trwałe wartości do zaoferowania innym, nie tak łatwo zostanie zasymilowane przez społeczeństwo polskie, mające na ten temat zdanie zdecydowanie inne, inna rzecz, na ile słusznie, na ile nie.

Myślę, że na ten temat warto by podjąć dyskusję. Owszem, pisał na te tematy wybitny myśliciel rosyjski G. P. Fiedotow a z polskiej strony Wacław Lednicki, ale są to sprawy podobne do *koanu* postawionego przez Pomeranca: sprawy, wymagające codziennego rozwiązywania.

Stosunki rosyjsko-polskie są dla Sołżenicyna przykładem jak

skomplikowane, pogmatwane są wzajemne krzywdy i urazy. Wyliczenie krzywd, jakie Polacy ponieśli od Rosji świadczy, iż Sołżenicyn zdaje sobie sprawę z istniejącego dziedzictwa i jego skutków. Zaskakująca natomiast jest druga strona konta. Sama konstrukcja literacka stwarza wrażenie, iż w przeświadczeniu autora polskie winy wobec Rosji nie tylko równoważą lecz i przewyższają rosyjskie. Polakom przypisuje Sołżenicyn bądź grzechy przesadzone, niekiedy nawet urojone, czasem boleśnie prawdziwe, ale popełnione nie wobec Rosjan lecz w stosunku do Ukraińców i Białorusinów.

Myślę że dążenie do zbilansowania krzywd jest w ogóle sprzeczne z zasadniczym postulatem autora. Krzywda komuś wyrządzona może być naprawiona przez skrucę, ale nie może być zrównoważona krzywdą wyrządzoną przez skrzywdzonego. Doznanie krzywdy nie może być podstawą własnego rozgrzeszenia. Tak to wygląda od strony etycznej. Od strony historycznej też trudno mówić o jakimś wyrównaniu: Nie Polska od dwustu lat (z krótką przerwą) uciska Rosję i nie polscy baskakowie dyrygują w Moskwie, określając co wolno a czego nie.

Iwan Denisowicz mało ma pociechy z tego, że należy do panującego narodu, ale w polskiej świadomości sowiecka pętla nad Polską jest rosyjską pętlą, choćby dlatego, że przez ostatnie 30 lat cały personel sowieckiej ambasady, wszyscy „doradcy” w bezpiece i wojsku byli Rosjanami.

Nie myślę jednak, by warto było rozdierać narodowe szaty. Specyfiką struktury psychicznej społeczeństwa polskiego jest specjalne wyczulenie na historię. Konsekwencją zaś tego wyczulenia jest to, że czasem o wiele łatwiej skłonni jesteśmy wybaczyć krzywdy materialne niż niezgodne z prawdą przedstawianie wydarzeń historycznych. Na odcinku HISTORII jesteśmy bezlitośni. Uważamy że Obraz przeszłości zależy od osobistego, społecznego i narodowego punktu widzenia, ale obawiam się, że podkreślając uleganie opozycji rosyjskiej stereotypom historycznym, gotowiliśmy przeoczyć to, co jest wyłomem w tradycyjnym rosyjskim widzeniu wspólnej przeszłości.

Trudno nam pogodzić się ze stwierdzeniem, że „o naszych winach w stosunku do Polski u nas w Rosji dość gadano”. Nie chciałbym jednak by nasza reakcja na wyżej przytoczone stwierdzenie przysłoniła inne, że „skrucza — zawsze i dla wszystkich jest ciężka. Nie tylko z powodu progu samolubstwa lecz również dlatego, że własne winy są gorzej dostrzegalne¹⁴⁾”.

14. *Op. cit.*, str. 138.

Czy ostatnie zdanie godzi się odnieść tylko do narodu rosyjskiego? Czy my jesteśmy wolni od grzechu zaślepienia? Chciałbym, by pytanie to nosiło tylko retoryczny charakter. Józef Łobodowski, będący w dużym stopniu inspiratorem mojej repliki, niejednokrotnie dał dowód umiejętności krytycznej oceny polskiej przeszłości i grzechów. Niejednokrotnie zabierał głos, dowodząc, że również i z ukraińskimi nacjonalistami winniśmy umieć nawiązać dialog, bynajmniej nie uzależniając go od wyrzeczenia się przez OUN-owców swej ideologii i własnej wizji historii. Dlaczego nie zdobył się na podobne podejście wobec Sołżenicyna i redakcji kwartalnika *Kontynent*? Dlaczego tak trudno dostrzec nam ewolucję poglądów rosyjskich, nawet wówczas, gdy winniśmy się z niej cieszyć?

W *Iz pod głyb* Sołżenicyn zamieścił polemikę z Andriejem Sacharowem. Obu wielkich opozycjonistów dużo łączy ale i wiele dzieli. Różne są ich poglądy na przeszłość i równie odmienne — na przyszłość. To nie jest mało. Takie różnice w *naszej* przeszłości były niekiedy kwitowane bratobójczymi walkami. Roman Dmowski aż do Tokio pojechał w 1905 roku, by tam przeszkadzać Piłsudskiemu w urzeczywistnianiu jego wizji Polski. A można znaleźć w naszej przeszłości przykłady jeszcze bardziej drastyczne!

To, co ujmuje w polemice Sołżenicyna i Sacharowa, to głęboki szacunek dla poglądów oponenta, staranność, z jaką wyłuskuje z nich wszystko to, co słuszne, co zasługuje na aprobatę. Zaleciłbym chętnie przeczytanie tej polemiki wszystkim rodzimym zwolennikom polemik. Przykład tym bardziej cenny, że rosyjska tradycja polemiczna nie jest najlepsza. A nasze tradycje są z nią spokrewnione.

Na początku artykułu pisałem, że w klubie „Prométhée” wszyscy się ze sobą nawzajem kłócili i że ja po latach nie byłem w stanie zrozumieć przedmiotu ich sporów. Wydaje mi się, że często przedmiotu sporów nie było w ogóle. Po prostu w warunkach emigracyjnego pracowitego nieróbstwa, braku odpowiedzialności za rzeczy konkretne, przy jednoczesnym strzeżeniu imponderabiliów, których znaczenia nie chcę lekceważyć — bardzo łatwo o spory w sprawach bezprzedmiotowych. I bardzo trudno o politykę konstruktywną.

Józef LEWANDOWSKI

Kazimierz SMOGORZEWSKI

EUGENIUSZ KWIATKOWSKI

Eugeniusz Kwiatkowski jest jedynym polskim mężem stanu, który walnie się zasłużył sprawie polskiej gospodarki narodowej nie tylko między dwiema wojnami światowymi ale także przez pierwsze dwa powojenne lata. Tytułów do narodowej wdzięczności ma sporo.

Gdy 20 czerwca 1922 roku wojsko polskie objęło przyznaną nam część Górnego Śląska — po trzechletniej z górą walce dyplomatycznej i trzech powstaniach ludu polskiego — czekała nas tam niemiła niespodzianka: zbudowane czasu wojny w Chorzowie (Königshütte za niemieckich czasów) *Oberschlesische Stickstoffwerke* zostały przez niemiecką załogę wygaszone a odwołani przez rząd Republiki Weimarskiej inżynierowie chemicy zabrali z sobą aparaturę nadającą się do zdemontowania oraz wszystkie plany z techniczną dokumentacją. Niemcy sobie wyobrażali że z rozruchem zakładów związków azotowych Polacy się nie uporają. Tymczasem już po kilkunastu dniach Chorzów rozpoczął produkcję tak koniecznych dla polskiego rolnictwa sztucznych nawozów azotowych. Była to zasługa dwóch ludzi: chemika technologa Ignacego Mościckiego oraz jego młodszego kolegi inżyniera chemika Eugeniusza Kwiatkowskiego. A w latach 1927-29 ten ostatni zbudował w Mościcach pod Tarnowem drugą, o wiele większą fabrykę związków azotowych.

Już w roku 1920 niepodległa Polska rozpoczęła budowę portu w Gdyni według planów inżyniera Tadeusza Wajdy. Pierwsza faza budowy była ukończona z początkiem 1923 roku z portem o siedmiu metrach głębokości, z falochronem oraz z molem długości 420 m. Dnia 23 września tegoż roku Sejm uchwalił specjalną ustawę w przedmiocie dalszej rozbudowy Gdyni. Dnia 4 lipca

rząd polski zawarł z Francusko-Polskim Konsorcjum umowę przewidującą budowę pierwszego basenu zewnętrznego, pierwszego basenu wewnętrznego oraz bazy marynarki wojennej.

Ale rozbudowa Gdyni na wielką skalę i w szybkim tempie rozpoczęła się dopiero po majowym przewrocie dokonanym przez Marszałka Piłsudskiego, a raczej po mianowaniu Kwiatkowskiego ministrem przemysłu i handlu. Łącząc entuzjazm pioniera z wiedzą techniczną i wyobraźnią gospodarczą, Kwiatkowski już 2 lipca 1926 roku zawarł z Francusko-Polskim Konsorcjum dodatkową umowę przewidującą budowę drugiego basenu zewnętrznego przy współpracy firm belgijskich i duńskich. Nowy układ z Konsorcjum z lutego 1930 roku dotyczył budowy trzeciego basenu zewnętrznego, drugiego wewnętrznego, pogłębienia całego portu do 12 metrów, oraz wydragowania w głąb łądu dwukilometrowego kanału przemysłowego o głębokości 10 metrów. W 1929 roku została zakończona budowa gdyńskiego portu rybackiego; rozbudowano także małe porty w Pucku, Jastarni i na Helu¹.

Kwiatkowski przestał być członkiem rządu w grudniu 1930 roku, przed ukończeniem trzeciej fazy rozbudowy Gdyni. Ale za okres jego urzędowania przeładunek towarów w porcie gdyńskim wzrósł z 404.561 do 3.625.746 ton. Monopolistyczne stanowisko wrogiego nam niemieckiego Senatu Wolnego Miasta Gdańska się skończyło. Wolny dostęp polskiego handlu zagranicznego do morza stał się rzeczywistością². Był także Kwiatkowski twórcą polskiej marynarki handlowej z jego bowiem inicjatywy powstała w grudniu 1926 roku „Żegluga Polska”. Zdając sobie sprawę z ważności sprawnego połączenia Gdyni z zapleczem, zainicjował Kwiatkowski budowę bezpośredniej linii kolejowej łączącej Śląsk Górny z Gdynią. Zbudowano tę linię w latach 1931-1935.

Był także Kwiatkowski inicjatorem i organizatorem Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu — sławnej „Pewuki” — ilustrującej nasze osiągnięcia gospodarcze w okresie pierwszego

1. W chwili wybuchu drugiej wojny światowej Gdynia liczyła 120.000 mieszkańców. Przeładunek towarów w jej porcie wyniósł w 1938 roku 9.173.000 ton podczas gdy przeładunek w Gdańsku spadł w latach 1928-1938 z 8.615.700 do 7.127.000 ton. Polska marynarka handlowa liczyła w przededniu drugiej wojny światowej 71 statków morskich o łącznej pojemności 102.000BRT.

2. Warto przypomnieć, że w latach 1928-1938 nastąpiła doniosła zmiana „kierunkowa” w polskim handlu zagranicznym: podczas gdy w 1928 roku na drogi lądowe (głównie przez Niemcy) przypadało 73,5 % wartości obrotów to w dziesięć lat później na drogę morską kierowano 62,7 % towarowej wymiany ze światem.

dziesięciolecia niepodległości. A gdy wrócił do władzy w 1935 r. zabrał się zaraz do drugiego wielkiego dzieła jego życia — do budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego. Wreszcie w latach 1945-47 kierował odbudową Gdańska i Gdyni zdewastowanych przez działania wojenne oraz przez systematyczne zniszczenia cofających się wojsk niemieckich.



Eugeniusz Kwiatkowski urodził się w Krakowie 30 grudnia 1888 roku. Studia wyższe odbył na Politechnice Lwowskiej oraz w Monachium uzyskując stopień inżyniera chemika. W 1913 r. otrzymał pierwsze stanowisko odpowiedzialne mianowicie dyrektora gazowni w Lublinie — co w pewnym sensie świadczyło o liberalizmie carskiej administracji bowiem Kwiatkowski był w jej oczach *innostrancem*. W latach 1916-18 służył jako oficer w Legionach Polskich. W niepodległej Polsce został docentem na wydziale chemicznym Politechniki Warszawskiej. Po udanym uruchomieniu Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Chorzowie został jej dyrektorem technicznym. Zdając sobie sprawę z ogromnego zacofania gospodarczego kraju, radował się że na odcinku chemii brał czynny udział w integracji przemysłu górnośląskiego z gospodarką narodową. W 1923 roku ogłosił rozprawę *Zagadnienia przemysłu chemicznego na tle wielkiej wojny*, w której wykazał umiejętność rozpatrywania szczegółowych problemów na tle panujących w Polsce stosunków ekonomiczno-społecznych; rozwój krajowego przemysłu chemicznego uważał za jeden z głównych celów przewidującej polityki gospodarczej.

Walce o władzę w Warszawie przyglądał się z niesmakiem choć uczuciowo sympatyzował raczej z Piłsudskim niż z jego przeciwnikami. Chorzowski egzamin oraz przyjaźń z Mościckim sprawiły, że 8 czerwca 1926 roku Kwiatkowski został ministrem przemysłu i handlu w drugim rządzie Kazimierza Bartla utrzymując ten portfel w dalszych siedmiu rządach. Był także posłem na Sejm z listy BBWR w latach 1928-30. Jak twierdzi Bogusław Miedziński w swych przypisach do drugiego wydania *Najnowszej historii politycznej Polski* W. Pobóg-Malinowskiego (Londyn, 1967, str. 776), Piłsudski „uważał Kwiatkowskiego za świetnego organizatora takich akcji jak Chorzów, Gdynia czy Mościce, odmawiał mu jednak zdolności do działań w państwowej skali i gospodarcze jego tezy nazywał absurdami”. Miedziński wyjawia, że w sierpniu 1930 roku w przededniu Brześcia, Piłsudski „wybuchnął gniewem na Kwiatkowskiego za jego za daleko idące flirty z opozycją”. Nic więc dziwnego, że gdy Pił-

sudski polecił Waleremu Ślawkowi utworzyć jego już drugi z kolei rząd (4 grudnia 1930 r.) na czele Ministerstwa Przemysłu i Handlu stanął Aleksander Prystor, człowiek wielkiej prawości i powagi ale na pewno nie najlepszy kandydat na następcę Kwiatkowskiego. Sam Piłsudski również nie może uchodzić za biegłego w sprawach finansowych i gospodarczych. Jedynym pułkownikiem który się znał na tych sprawach był Ignacy Matuszewski, minister finansów od kwietnia 1929 roku, ale w maju 1931 roku przestał być ministrem bo sobie pozwolił na uwagę, że w wydatkach na obronę za dużo się przejechało a za mało idzie na nowoczesne zbrojenia.

W czasie jego odsunięcia od rządu Kwiatkowski zamieszkał w Tarnowie objął bowiem stanowisko dyrektora Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Mościcach (od roku 1933 był dyrektorem Zjednoczonych Państwowych Fabryk Związków Azotowych). Mościcki pisze w swych nieogłoszonych *Pamiętnikach*, że parokrotnie próbował wprowadzić znowu Kwiatkowskiego do rządu, cofał się jednak gdyż ze strony Piłsudskiego spotykał się w tych wypadkach „tylko z milczeniem przy gniewnym ściągnięciu brwi”.

Pomimo obowiązków jakie na nim ciążyły, Kwiatkowski znalazł czas na napisanie książki *Dysproporcje: Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej* (Kraków, 1931). Był to owoc przemyśleń nad przyczynami upadku Pierwszej Rzeczypospolitej, przemyśleń będących w dużym stopniu echem krakowskiej szkoły historycznej. Kwiatkowski zajął krytyczne stanowisko wobec „idealistycznej legendy o naszej przeszłości”. „Cała historia nasza — pisał (str. 13) — stawała się coraz bardziej jedną wielką wiarą w epopeję bohaterstwa wobec niezawinionego cierpienia. Czerpaliśmy ducha chętniej z Trylogii, ... z bezsprzecznie bohaterskich epizodów przeszłości niż z zapleśniałych diariuszów sejmowych, z aktów konfederackich i sejmikowych, z rachunków kas skarbowych, sprawozdań wojskowych, ... a wreszcie wielu przemilczanych lub przeoczonych dzieł wykazujących jasno błędy nasze i przewidujących ich skutki. W ten sposób pragnienie zastępować musiało rzeczywistość, ... prawda przesycona została legendą”. A tymczasem — ciągnął nasz autor dalej — „w czasach obecnych jedynym postulatem musi być poznanie prawdy” ale ludzi prawdę głoszących „skazuje się na emigrację wewnętrzną”.

Druga Rzeczpospolita upadła bowiem — twierdzi Kwiatkowski — odwróciła się politycznie od zachodu i wybrzeży Bałtyku, „uciekając z drogi wielkiego oporu ale i wielkich korzyści, uciekając od naturalnego posłannictwa i obowiązku, oddalając się od źródła swojej siły, kierując się coraz bardziej, coraz wyraź-

niej i zdecydowaniej na wschód, do źródła swej słabości, gdyż pędził ją tam interes warstwy szlacheckiej” (str. 20). Przecho-
dząc do teraźniejszości Kwiatkowski nie ukrywał, że w Niem-
czech widzi głównego wroga Polski. A Rosja? „Gdy na zachodzie
wszystko jest zdefiniowane i jasne na wschodzie wszystko jest
ciemne i mgliste... Jedno tylko jest pewne: droga do Zachodniej
Europy prowadzi przez Polskę... (str. 179 i nast.).

W konkluzji Kwiatkowski wskazuje na absolutną konieczność
szybkiego wzmocnienia gospodarczego potencjału Polski — z eta-
tyzmem jako naczelną zasadą.

Tak pisał Kwiatkowski na dwa lata przed dojściem Hitlera
do władzy w Niemczech. Dnia 1 lutego 1933 roku, dosłownie
nazajutrz po jego objęciu władzy w Berlinie, Kwiatkowski wygło-
sił na Uniwersytecie Warszawskim odczyt o „polskiej polityce
nad Bałtykiem”, w którym oświadczył, że „wszelka próba odsu-
nięcia Polski od Bałtyku, a więc od żywotnych warunków jej
niepodległego istnienia i gospodarczego rozwoju, spotkałaby się
ze zdecydowanym oporem jednolitego narodu”.



Do władzy wrócił Kwiatkowski w pięć miesięcy po śmierci
Piłsudskiego, a mianowicie 13 października 1935 roku jako mi-
nister finansów w rządzie Mariana Zydrama Kościłkowskiego.
Gdy 15 maja 1936 roku prezydent Mościcki powierzył Felicja-
nowi Sławoj-Składkowskiemu utworzenie nowego — i ostatniego
w Drugiej Rzeczypospolitej — rządu, Kwiatkowski zachował
portfel ministra finansów ale zarazem, jako wicepremier, objął
naczelne kierownictwo nad całokształtem polityki gospodarczej.

Pierwszymi krokami „nowego kursu” Kwiatkowskiego były
zlikwidowanie deficytu budżetowego oraz obrona rezerw złota
i kursu waluty w czasie wiosennej paniki z 1936 roku spowodo-
wanej dewaluacją dolara³. Dnia 26 kwietnia Kwiatkowski wpro-

3. Gdy Władysław Grabski położył 1 lutego 1924 roku kres inflacji i
wprowadził w życie złoto równego frankowi szwajcarskiemu, kurs dolara
wynosił zł. 5,18. W wyniku „wojny celnej” wypowiedzianej Polsce przez
Niemcy oraz spekulacji giełdowej zorganizowanej przez *Deutsche Bank*
przeciw złotemu, jego kurs spadł w maju 1926 roku do 10,55 zł. za dolara.
Po majowym powrocie do władzy Piłsudskiego, a zwłaszcza po uzyskaniu
przez Polskę w październiku 1927 roku pożyczki stabilizacyjnej w wysokości
\$ 72 milionów kurs złoto ustalono na poziomie \$ 1,00 = zł. 8,91.
Ten kurs w stosunku do złota nie uległ zmianie aż do wybuchu wojny.
W stosunku do innych walut kurs złoto ulegał oczywiście zmianom spo-
wodowanym przez dewaluację dolara o 40 % (1934), funta sterlinga o 20 %
(1931), oraz franka francuskiego o 33 % (1936), oraz dalsze 40 % (1938).

wadził kontrolę dewiz dzięki czemu nie tylko zmniejszył się odpływ złota z Banku Polskiego ale w ciągu następnych dwóch lat zapasy tego kruszcu wzrosły z 393 mln. do 445 mln. złotych. Obieg banknotów podniósł się w tym samym czasie z 1.034 mln. do 1.406 mln. Zrównoważony został budżet państwa a wydatki wzrosły w latach 1936-38 z 2.296 mln. do 2.544 mln. złotych. Podniosły się także obroty handlu zagranicznego wzrastając w latach 1935-38 w wywozie z 925 mln. do 1.185 mln. a w przywozie z 861 mln. do 1.300 mln. złotych.

Z niespotykanym w Polsce dynamizmem przystąpił Kwiatkowski do uprzemysłowienia biednego i przeludnionego rejonu Polski „B”. Dnia 10 czerwca 1936 roku Sejm zatwierdził inwestycyjny plan czteroletni przewidujący wydatek 1.800 mln. złotych. Po uzyskaniu we Francji w czasie wizyty gen. Edwarda Rydza-Śmigłego⁴, kredytów na sumę dwóch miliardów franków⁵, dnia 5 lutego 1937 roku Sejm podwyższył fundusz inwestycyjny do 2.400 mln. Jednocześnie weszła w życie dotacja miliarda złotych na sześcioletni plan unowocześnienia polskich sił zbrojnych⁶.

Inwestycje gospodarczo-społeczne a zarazem wojskowe przeznaczono na zagospodarowanie Centralnego Okręgu Przemysłowego w widłach Wisły i Sanu. Powstała huta z fabryką armat w Stalowej Woli, fabryka samolotów w Mielcu, silników lotniczych w Rzeszowie, amunicji w Kraśniku itd. Sto tysięcy ludzi znalazło w C.O.P. zatrudnienie. Ale ani nieukończone inwestycje w „trójkacie bezpieczeństwa”, ani pewna poprawa w uzbro-

4. Rydz-Śmigły został marszałkiem 10 listopada 1936 roku.

5. Według umowy podpisanej 6 września 1936 roku w Rambouillet Polska miała otrzymać od Francji dwa miliardy franków kredytu wojskowego z czego połowę w gotówce. Jan Ciałowicz (*Polsko-francuski sojusz wojskowy*, Warszawa 1970) twierdzi, że Polska otrzymała 20 mln. franków w złocie oraz 162 mln. franków w sprzęcie. Ponieważ 2 października 1936 roku frank został zdewaluowany, Polska uzyskała podwyższenie kredytu o 250 mln. według Ciałowicza (str. 227), a według Wacława Jędrzejewicza o 600 mln. fr. (*Diplomat in Paris: Memoirs of Juliusz Łukasiewicz*, New York, 1970, str. 19). Z sumy 2.600 mln. fr. miliard był przeznaczony na dostawy sprzętu wojskowego, 540 mln. na rozbudowę kolei Śląsk-Gdynia, 250 mln. na „instalacje w Polsce”, oraz 810 mln. miało być wypłacone gotówką (w złocie). W rozmowie ze mną w Krakowie, we wrześniu 1972 roku, Kwiatkowski powiedział, że z kredytu materiałowego aż do sierpnia 1939 roku Polska mogła skorzystać tylko w 16,2 %.

6. W swej obiektywnej i źródłowej książce *Polityka gospodarcza rządu polskiego 1936-1939* (Warszawa, 1963) prof. Marian Marek Drozdowski ocenia Kwiatkowskiego jako „zwolennika umiarkowanego nakręcania koniunktury, przeciwnika prototalistycznych zapędów grupy Rydza-Śmigłego”, a także „działacza cieszącego się pewnym autorytetem społecznym ze względu na położone zasługi”.

jeniu, ani sojusze z Francją i Wielką Brytanią nie uratowały Polski przed klęską militarną.



We wrześniu 1939 roku Kwiatkowski wraz z rządem znalazł się w sprzymierzonej z Polską Rumunii która — pod naciskiem Berlina i współudziale Paryża — internowała prezydenta Rzeczypospolitej i cały rząd polski. Nie poszedł Kwiatkowski w ślady innych członków rządu i nie starał się o wyjazd z Rumunii. Został nauczycielem w polskim gimnazjum, a poza tym zabrał się do pisania książki *Zarys dziejów gospodarczych świata* (część I-sza wyszła w Warszawie w 1947 roku). W końcu 1944 roku odwiedził go w Craiovej, w zachodniej Wołoszczyźnie, gdzie Kwiatkowski wówczas mieszkał, jego przedwojenny znajomy Zygmunt Katuszewski⁷. Kwiatkowski pokazał mu swój paszport, w którym nie było żadnych wiz. „Nie starałem się o to — zauważył z uśmiechem — przecież Polska jest o miedzę”. Członek Brytyjskiej Misji Wojskowej w Bukareszcie oświadczył Katuszewskiemu, że dla ministra Kwiatkowskiego jest miejsce w każdym samolocie wylatującym na zachód. A przedstawiciel władz sowieckich w Bukareszcie powiedział: „Kwiatkowski? Ten od Gdyni? Och, niech go pan namówi do powrotu. Będzie wam bardzo potrzebny”.

W czerwcu 1945 roku odwiedził Kwiatkowskiego „major” Jerzy Borejsza, polski komunista, wówczas redaktor naczelny *Rzeczypospolitej* i prezes spółdzielni wydawniczej „Czytelnik”. W imieniu Bolesława Bieruta, ówczesnego przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej, oraz Edwarda Osóbki-Morawskiego, premiera tymczasowego rządu Jedności Narodowej, zaproponował Kwiatkowskiemu natychmiastowy powrót do kraju w celu stanięcia na czele zespołu odbudowy portów Gdańska, Gdyni i Szczecina. Borejsza nie ukrywał, że nowa władza polska jest niemal bezradna nie ma bowiem w kraju człowieka mogącego sprostać temu zadaniu. Bardzo wymownym dla Kwiatkowskiego argumentem były zdjęcia zrujnowanego Gdańska a przede wszystkim zniszczonej Gdyni.

Kwiatkowski zdecydował się wracać do Polski na bałtyckie wybrzeże dobrze wiedząc, że wielu rodaków w kraju i za granicą

7. W dwóch artykułach poświęconych Kwiatkowskiemu na łamach *Kierunków*, a mianowicie: „Kwiatkowskiemu się nie odmawia...” (10. IX. 1972), oraz „Wspomnienie o Eugeniuszu Kwiatkovskim” (15. IX. 1974), Zygmunt Katuszewski przedstawia się jako członek polskiego przedsiębiorstwa budowy kabli przed wojną, oraz jako członek partyzantki na Bałkanach czasu wojny.

uzna go za „kolaboranta”. W kilka dni po rozmowie z Borejszą Kwiatkowski odleciał z Craiovej przez Bukareszt i Moskwę do Warszawy gdzie oświadczył Bierutowi, Osóbce a także wice-premierowi Jakubowi Bermanowi i ministrowi przemysłu i handlu Hilaremu Mincowi, że jest nadal człowiekiem przywiązanym do katolickiego światopoglądu, że był i zamierza pozostać liberałem, ale jako bezpartyjny gotów jest pracować bez zastrzeżeń w budowie morskiej potęgi odrodzonej Polski. W pierwszej połowie września Rada Ministrów powzięła uchwałę o powołaniu Delegatury Rządu dla Spraw Wybrzeża po czym mianowano Kwiatkowskiego głową tego zespołu.

Na Wybrzeżu ujrzał Kwiatkowski obraz straszliwy. Zniszczenia były dokonane z premedytacją aby na długie lata porty w Gdańsku i w Gdyni były dla Polski nieużyteczne. Nazajutrz po wyzwoleniu kraju spod niemieckiej okupacji odbudowa Wybrzeża została podjęta przez kilkadziesiąt instytucji państwowych, samorządowych i spółdzielczych. Ich niewątpliwie patriotyczna akcja była nieskoordynowana. Zadaniem Delegatury było opracowanie kompleksowego programu nie tylko odbudowy portów ale także rozbudowy systemu komunikacyjnego nowej Polski. Już w pierwszej pracy publicystycznej *O przyszłość Polski nad morzem* (Gdańsk, 1945) wskazywał Kwiatkowski na konieczność regulacji Wisły oraz budowy kanału Odra-Dunaj. W broszurze *Budujemy nową Polskę* (Warszawa, 1945) pisał: „W roku 1918 Rzeczpospolita miała już dostateczną świadomość, by przełamać dawną bierność polityki morskiej i wbrew trudnościom koniunkturalnym i gospodarczym ustalić swą aktywną politykę na Bałtyku. Ale i ona, przede wszystkim ze względów strukturalnych, nie mogła rozwinąć pełnego i gospodarczego uzasadnionego programu morskiego... Obecnie istnieją podstawy do szerokiego uprzemysłowienia kraju, do spotęgowania dochodu społecznego i zupełnego przewartościowania rezultatów pracy ludzkiej” (str. 5-12). W tej samej broszurze Kwiatkowski wypowiedział się nie tylko za rozbudową portu w Gdańsku ale także za zbudowaniem tam, na brzegu morskim, rafinerii ropy naftowej. Od tego czasu minęło lat trzydzieści. Wisła czeka nadal na kompleksową regulację; budowa kanału Odra-Dunaj — a więc realizacja magistrali wodnej Bałtyk-Morze Czarne, jest wykonalna tylko w drodze współpracy polsko-czechosłowackiej — ale budowa Nowego Portu w Gdańsku wraz z rafinerią ropy naftowej dobiega już końca.

W odbudowie Gdańska i Gdyni, w budowie dwutorowej kolei elektrycznej Gdańsk-Sopot-Gdynia, oraz rozbudowie istniejących połączeń drogowych brało udział dziesiątki tysięcy robotników i pracowników umysłowych pod kierownictwem Kwiat-

kowskiego. Jak stwierdził w swym sympatycznym dla Kwiatkowskiego wspomnieniu prof. Marian Marek Drozdowski⁸, „o ile w 1945 roku Gdańsk i Gdynia obsłużyły tylko 917,4 tys. ton przeładunków, to w 1947 roku już 9.693,1 tys. ton”. Prof. Drozdowski przyznaje, że pomimo tych osiągnięć „nie miał łatwego życia Kwiatkowski w tym czasie” ponieważ „niektóre zagadnienia rozpatrywał w kategoriach doświadczeń Drugiej Rzeczypospolitej, co wywoływało zrozumiały niepokój wśród kierownictwa politycznego Gdańska i Szczecina oraz w Ministerstwie Żeglugi”. Mnożyły się także spory kompetencyjne między gdańskim i szczecińskim wojewodami a Kwiatkowskim. „Opinie pozostawione w aktach Ministerstwa Żeglugi — pisze Drozdowski — wskazują na typową dla naszych rodaków bezinteresowną zawiść...”.

Za namową Osóbki-Morawskiego Kwiatkowski wziął w styczniu 1947 roku udział w kampanii wyborczej do Sejmu. Przemawiał m.in. w Gdańsku w dniu 4 stycznia na wiecu gromadzącym robotników i pracowników Wybrzeża. Przemówienie to ogłosił drukiem w broszurze (*Droga do Polski Ludowej*, Warszawa, 1947). Akcentując swą bezpartyjność, liberalizm i przywiązanie do cywilizacji chrześcijańskiej, akceptował program politycznej i gospodarczej przebudowy kraju oraz potępił „działania londyńskiego podziemia”. Wybrano go do Sejmu pierwszej kadencji PRL jako bezpartyjnego działacza gospodarczego, ale już w początkach 1948 roku Delegatura Rządu dla Spraw Wybrzeża uległa likwidacji a Kwiatkowski przeniósł się z Gdyni do Krakowa.



Po wojnie dopiero w 1956 roku dostałem wizę na odwiedzenie kraju. W Krakowie złożyłem wizytę Kwiatkowskiemu ale nie było sposobności na dłuższą rozmowę. Miałem więcej szczęścia w czasie drugiej wizyty, ale prosił aby nic za jego życia nie ogłaszać. Przyjął mnie 16 września 1972 roku w swoim mieszkaniu przy ul. Słowackiego 8. Był w szlafroku bowiem — jak się tłumaczył — właśnie wstał z poobiedniej drzemki zaleconej przez lekarza. W ostatnich szesnastu latach bardzo się postarzał, twarz miał wychudłą i bladą, ale oczy młodzieńczo żywe.

Zapytałem na wstępie czy może mi powiedzieć w jakich okolicznościach odszedł z Wybrzeża?

— Wkrótce po wyborach do Sejmu z 19 stycznia 1947 roku

8. M. M. Drozdowski, „Humanista uprzemysłowienia”, *Polityka*, 7. IX. 1974.

— odpowiedział — zostałem wezwany do Warszawy gdzie wice-premier Berman zaproponował mi abym przystąpił do PPR. Odparłem, że mogę nadal pracować na Wybrzeżu tylko jako człowiek bezpartyjny. Skutkiem tego oświadczenia była likwidacja mego urzędu i moja dymisja połączona z zakazem pozostania na Wybrzeżu, zamieszkania w Warszawie oraz uprawiania wszelkiej działalności publicznej z nauczaniem włącznie. Nie pozwolono wydać drugiej części *Zarysu dziejów gospodarczych świata*, pracy napisanej czasu wojny w Rumunii. Mogłem jednak pisać podręczniki z dziedziny chemii...

To mówiąc Kwiatkowski sięgnął do swej biblioteki i pokazał mi dwie książki ładnie wydane w twardej oprawie: *Nowoczesną chemię przemysłową* (1957) oraz *Dzieje chemii i przemysłu chemicznego* (1962).

— Po raz trzeci w życiu, zauważył smętnie, chemia mnie żywiła.

— Czy Pan Premier — zapytałem — napisał wspomnienia ze swego tak bogatego i ciekawego życia?

— Wspomnień nie piszę, odparł, ale w tej oto szafie (wskazał oczyma na górną półkę biblioteki) leży siedem życiorysów wybitnych rodaków, których w życiu spotkałem i z którymi współpracowałem. O wydaniu ich obecnie nie ma oczywiście mowy.

— A czy można zapytać o nazwiska?

— Piłsudski, Mościcki i inni.

— Czy niemiecka napaść na Polskę, zanim COP był w stanie poważnie zasilić polskie siły zbrojne w czołgi, armaty i samoloty, był dla Pana Premiera zaskoczeniem?

— Gdy wiosną 1939 roku radziliśmy w piątkę na Zamku u prezydenta Mościckiego (w piątkę, bowiem uczestniczyli w tych naradach marszałek Rydz-Śmigły, premier Sławoj-Składkowski i minister Józef Beck), marszałek przewidywał że wojna może wybuchnąć na jesieni 1940 roku, dodając że nasz opór może trwać kilka miesięcy. Wierzył że Wielka Brytania i Francja sojuszów dotrzymają, a Beck te przewidywania potwierdzał. Wiedząc dziś jaki był rzeczywisty bieg wypadków myślę że gdyby Hitler opóźnił napaść na Polskę o rok wynik niemiecko-polskiego pojedynku nie byłby zasadniczo inny od wrześniowego. W ciągu roku nic przecież nie zmieniłoby się w zamiarach i postanowieniach Paryża, Londynu i Moskwy.

— Czy rzeczywiście we wrześniu nie mogło być inaczej?

— Owszem, pod jednym warunkiem: że Polska jeszcze w czasie pokoju zgodzi się na radykalną rewizję granicy ryskiej na rzecz ZSSR. Jasne jest, że żaden polski rząd na to zgodzić się

nie mógł. Hitler pozwolił Stalinowi na okupację naszych kresów wschodnich pod warunkiem, że ZSSR zachowa neutralność w czasie ewentualnej wojny w Europie. Hitler zgodził się także na sowiecką okupację państw bałtyckich oraz rumuńskiej Besarabii wiedział bowiem, że nie tylko te wszystkie ziemie ale znacznie więcej zdobędzie za dwa lata. Strach pomyśleć co by z Polską było, gdyby po 1 września 1939 nie było 22 czerwca 1941 roku. Panie, z jaką radością odetchnąłem w Craiovej gdy się o tej niemieckiej agresji dowiedziałem! Nie dlatego, broń Boże, abym Niemcom życzył zwycięstwa, ale dlatego że w moim przekonaniu w głębi Rosji spotka Niemców klęska. Bez udziału Związku Sowieckiego w drugiej wojnie światowej nie byłoby pełnego nad Niemcami zwycięstwa, a Polska nie odzyskałaby piastowskiej granicy na Odrze i Nysie...

◆

W ciągu ostatnich lat jego życia władze PRL przypomniały sobie Kwiatkowskiego. W 80-tą rocznicę jego urodzin odznaczono go komandorią orderu *Polonia Restituta* (choć Druga Rzeczpospolita dała mu już wielką wstęgę). Latem 1972 roku, w związku z obchodami „Dni Morza”, minister żeglugi Jerzy Szopa przyznał Kwiatkowskiemu złotą odznakę „zasłużonego pracownika morza”. Dnia 17 sierpnia 1974 roku odwiedzili Kwiatkowskiego prof. Janusz Sokołowski, rektor Uniwersytetu Gdańskiego, oraz prof. Bolesław Kasprowicz, jako promotor, wręczając mu dyplom i insygnia doktora *honoris causa* nauk ekonomicznych tej uczelni.

Kwiatkowski zmarł 22 sierpnia 1974 roku. Nazajutrz po zgonie jego trumna została przewieziona na Wawel i umieszczona w kaplicy Wazów w katedrze gdzie przez pięć dni była wystawiona na widok publiczny. Dnia 28 sierpnia Mszę św. żałobną celebrował metropolita krakowski ks. kardynał Karol Wojtyła. Katedrę i rozległy wawelski dziedziniec zewnętrzny wypełniły tłumy a pogrzeb Kwiatkowskiego stał się wielką patriotyczną manifestacją.

Kazimierz SMOGORZEWSKI

DOKUMENTY

UCHWAŁY RADY JEDNOŚCI NARODOWEJ W SPRAWIE JAŁTY

(Opracował do druku Tadeusz Żenczykowski)

Nigdzie dotychczas niepublikowany protokół czterodniowego posiedzenia Komisji Głównej Rady Jedności Narodowej w lutym 1945 jest ważnym dokumentem historycznym.

Przy jego ocenie nie można pominąć niektórych faktów i okoliczności, towarzyszących podejmowaniu lutowych uchwał Rady Jedności.

Przed wszystkim więc, kierownicze czynniki Polski Podziemnej były pozbawione właściwych informacji i naświetleń, pozwalających na możliwie obiektywną ocenę układu międzynarodowych stosunków politycznych, a zwłaszcza wewnątrz Wielkiej Trójki. Polskie władze (polityczne i wojskowe) w Londynie nie przekazywały do kraju — nie tylko z powodu trudności obiektywnych — pełnych wiadomości o niepokojących perspektywach dla przyszłości Polski, co najmniej od konferencji teherańskiej.

Pierwsze gorzkie doświadczenia 1944 roku (Wołyń, Wilno, Lublin, P.K.W.N., Powstanie Warszawskie), świadczące o ustępliwości Anglosasów wobec Rosji, nie wzmocnione ostrzeżeniami i wskazaniem z Londynu, nie rozproszyły w kraju krzewionego w ciągu lat wojny zaufania do Aliantów zachodnich i ich wierności zobowiązaniom w stosunku do Polski.

Uchwały jałtańskie były mocnym wstrząsem, który jednak jeszcze nie rozwiązał wszystkich złudzeń wobec Aliantów. Zwłaszcza co do skuteczności i woli ich wpływania na rzetelne wykonanie nawet tych uchwał, a w pierwszym rzędzie dotyczących składu nowego rządu polskiego i konsultacji poprzedzających jego utworzenie.

Władze Polski Podziemnej działały w poczuciu odpowiedzialności za sytuację w kraju, zalanym przez Armię Czerwoną i opa-

nowanym administracyjnie przez władze „lubelskie” w oparciu o aparat przemocy. Zarysowywał się wyraźny podział zadań między krajem, żyjącym w narzuconej rzeczywistości, a emigracją, mającą możliwości walki politycznej w imieniu kraju na terenie międzynarodowym.

Rada Jedności uważała, że musi jak najszybciej zająć stanowisko wobec Jałty, a społeczeństwo — otrzymać właściwe dyrektywy postępowania. Nie można było pozostawić całkowitej swobody — lub nawet wyłączności — propagandzie komunistycznej w urabianiu opinii publicznej i przedstawianiu uchwał Wielkiej Trójki jako „dobrodroiejstwa” dla Polski i w nakłanianiu do pełnej uległości w stosunku do Związku Sowieckiego.

Deбата Komisji Głównej R.J.N. rozpoczęła się już piątego dnia po ogłoszeniu komunikatu Konferencji Krymskiej i trwała — z przerwami — cztery dni. Trzeba pamiętać, że odbywała się w warunkach bezpieczeństwa znacznie gorszych niż pod okupacją niemiecką. Miejscowości podwarszawskie (gdzie odbywało się posiedzenie Rady), przeludnione po Powstaniu, nie były terenem odpowiadającym wymaganiom działalności konspiracyjnej. Po styczniowej ofensywie były pod intensywną obserwacją NKWD i UB, które poszukiwało i tropiło — nie bez pomocy aktywistów PPR — działaczy Polski Podziemnej.

Sporządzany w takich okolicznościach protokół z 4-ch posiedzeń Komisji Głównej nosi pewne cechy notatek robionych pośpiesznie i operujących skrótami. Przedstawia jednak wiernie przebieg dyskusji i występujące w niej różnice zdań. Wspólne poczucie odpowiedzialności uczestników obrad umożliwiło jednak — w imię spraw nadrzędnych — jednomyślne przyjęcie zasadniczej uchwały w sprawie Jałty.

Protokół podaje w brzmieniu dosłownym. Tylko w kilku miejscach zmieniona została interpunkcja lub — dla lepszej jasności — przedstawiona kolejność słów, co w niczym nie zmieniło tekstu. W paru wypadkach wprowadzono domyślne a opuszczone w protokole słowa, zaznaczając to nawiasami i skrótem wskazującym, że jest to przypisek własny.

Słowami „zapis w protokole” oznaczono te jego fragmenty, które pochodziły od prowadzącego protokół, a nie były wypowiedzią uczestników posiedzenia.

Należy zwrócić uwagę, że wnioski zgłoszone przez Stronnictwo Ludowe i P.P.S.-W.R.N. są w protokole rozmaicie określane: jako punkty, rezolucje, ustępy, uchwały.

Protokół ustala właściwą datę przyjęcia uchwały R.J.N. w sprawie Jałty. Jest nią 21-szy lutego 1945 roku, a nie — 22-gi lutego, jak to dotychczas błędnie choć powszechnie utrzymywano. Omyłkę popełniło również konspiracyjne pismo Delegatury Rządu „Rzeczpospolita Polska” w numerze marcowym 1945 roku, przyznającym tekst tej uchwały.

Podkreślić warto, że wszyscy uczestnicy lutowego posiedzenia Komisji Głównej znaleźli się wśród 16-tu przywódców polskich,

sądzonych w Moskwie w czerwcu 1945 roku. Żaden z nich dziś nie żyje. Dwaj: Jan Stanisław Jankowski i gen. Leopold Okulicki zmarli w więzieniu sowieckim.

Na trzecim posiedzeniu, 21 lutego 1945, generał Okulicki ujawnił, że już od pewnego czasu wojskowe władze sowieckie szukały z nim kontaktu i bezpośredniego spotkania. Fakt ten jest mało na ogół znany i niesłusznie uważa się, że dopiero 6 marca list pułkownika Pimienowa był pierwszą próbą zmierzającą do wciągnięcia generała Okulickiego w pułapkę.

PSEUDONIMY, KRYPTONIMY I SKRÓTY

„Seret” — Kazimierz Pużak (P.P.S.-W.R.N.), używający tego pseudonimu jako Przewodniczący Rady Jedności Narodowej.

„Dąbrowski” — Kazimierz Bagiński (Stronnictwo Ludowe).

„Oleśnicki” — Aleksander Zwierzyński (Stronnictwo Narodowe).

„Rzewuski” — Franciszek Urbański (Stronnictwo Pracy).

„Czernik” — Eugeniusz Czarnowski (Zjednoczenie Demokratyczne).

„Pełnomocnik” — Delegat Rządu i Wicepremier, Jan Stanisław Jankowski.

„Niedźwiadek” — gen. Leopold Okulicki, ostatni Dowódca A.K.

„Koło” — P.P.S.-W.R.N.

„Kwadrat” — Stronnictwo Narodowe.

„Romb” — Stronnictwo Pracy.

„Trójkąt” — Stronnictwo Ludowe.

R.J.N. — Rada Jedności Narodowej.

K.R.M. — Krajowa Rada Ministrów, którą pod przewodnictwem Wicepremiera Jankowskiego tworzyli ministrowie: Adam Bień („Walkowicz” — Stronnictwo Ludowe), Stanisław Jasiukowicz („Opolski” — Stronnictwo Narodowe) i Antoni Pajdak („Traugutt” — P.P.S.-W.R.N.).

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA KOMISJI GŁÓWNEJ RADY JEDNOŚCI NARODOWEJ, ODBYTEGO 17, 19, 21 i 24 LUTEGO 1945 ROKU

Porządek dzienny

- I. Odczytanie protokołu poprzedniego posiedzenia.
- II. Informacje Pełnomocnika Rządu.

III. Sytuacja polityczna.

IV. Sprawy bieżące.

V. Wolne wnioski.

Obecni: Seret, Oleśnicki, Dąbrowski, Rzewuski, Czernik, Pełnomocnik Rządu i Komendant A.K. — Przewodniczy Seret.

Przed porządkiem dziennym *Seret* podnosi sprawę incydentu zwołania posiedzenia Komisji Głównej na 23 stycznia z inicjatywy Wiceprezesów Oleśnickiego i Dąbrowskiego i wyjaśnia, że na ten termin z powodu trudności technicznych nie mógł przybyć, jak również nie mógł być obecny Pełnomocnik Rządu. Z tego powodu zaproponował odbycie posiedzenia w terminie późniejszym, kiedy przeszkody techniczne będą mogły być pokonane, uważając w zasadzie zwołanie posiedzenia Komisji Głównej za pilne.

Posiedzenie w dniu 27 stycznia¹ odbyło się i miało charakter prywatnej konferencji, w wyniku której została wysłana do Londynu depesza podpisana przez przedstawicieli trzech stronnictw: S.L., S.P. i Zjednoczenia Demokratycznego, w której był zwrot „Wobec odmowy przewodniczącego zwołania posiedzenia”.

List, który przesłałem w odpowiedzi na inicjatywę zwołania posiedzenia na 23, nie był odmową zwołania, a w każdym razie mówiąc o odmowie należało podać w depeszy moje motywy. Chciałbym, aby to oświadczenie znalazło się w protokole, a P. Pełnomocnika proszę o zawiadomienie Rządu depeszą, prostując niewłaściwe pojęcie sprawy w depeszy trzech stronnictw.

Ponieważ rozeszły się pogłoski, że uciekłem na Morawy, wyjaśniam, że z Krakowa przybyłem w trudnych warunkach komunikacyjnych, przeważnie piechotą, a po drodze odbyłem konferencje z delegatami okręgów zachodnich i Komendantem A.K. Znany jest mój stosunek do pełnionych obowiązków, a wyjaśnienie składam dlatego, iż uważam, że pogłoski, o których mówiłem były krzywdzące.

Oleśnicki: — W dniu 24 stycznia odbyła się konferencja prywatna, na której przewodniczyłem, natomiast depesza trzech stronnictw była wysłana po konferencji. Treści jej nie znałem i

1. Pomyłka w dacie. Posiedzenie to odbyło się 24-go, względnie 25 stycznia. Depeszę, o której mowa, wysłał z Warszawy 25 stycznia 1945 jeden z zastępców Delegata Rządu „Walkowicz” (Adam Bień — Stronnictwo Ludowe). Depeszę podpisali: „Florek” (Kazimierz Bagiński — Str. Ludowe), „Podmiejski” (Józef Kwasiborski — Str. Pracy) i „Adam” (Eugeniusz Czarnowski — Zjednoczenie Demokratyczne).

stwierdzam, że określenie, iż posiedzenie było zwołane przez dwóch wiceprezesów, nie odpowiada ściśle prawdzie, gdyż zwracaliśmy się do przewodniczącego z propozycją zwołania posiedzenia, natomiast posiedzenia nie zwoływaliśmy. Na posiedzeniu dałem wyraz swemu przekonaniu, że nie było warunków na odbycie posiedzenia Komisji Głównej, które też w rzeczywistości nie odbyło się.

Dąbrowski: — My mamy na tę sprawę inny pogląd. Rząd Tymczasowy w Lublinie powstał dn. 17 stycznia², a do dziś nie znalazła się właściwa instytucja, która by w tej tak ważnej dla społeczeństwa sprawie zabrała głos.

Odmowa zwołania posiedzenia na 23 stycznia była może słuszną, ale należało wyznaczyć inny termin, dalszy o kilka dni, a nie odkładać sprawy na czas nieznany aż do skomunikowania się z Pełnomocnikiem i Komendantem A.K. Tego nie można uznać za słuszne, bo czas i wypadki biegają i wymagają działania.

Dlatego też uznaliśmy za potrzebne wysłanie depeszy przedstawicieli trzech stronnictw. Uważamy, że jest to wielki błąd, że posiedzenie się nie odbyło choćby w obecności zastępców, jeśli wszyscy członkowie Komisji Głównej nie mogli być obecni.

Seret: — Wyjaśniłem już, że w swym liście wyraziłem pogląd, że Komisja Główna powinna być zwołana i że termin podam po porozumieniu się z Pełnomocnikiem i Komendantem A.K., które jest na dobrej drodze. Sprawę uważam za wyczerpaną.

I. Odczytano i przyjęto protokół poprzedniego posiedzenia. (Z 15 i 16 grudnia 1944 roku — przyp. wł.).

II. Pełnomocnik odczytuje otrzymane depesze: 1) depeszę Rządu upoważniającą przedstawicieli w kraju do rozmów z przedstawicielami Sowietów, gdyby się ci o nie zwrócili; 2) memorandum Rządu złożone rządowi Wielkiej Brytanii i USA przed konferencją Trzech; 3) depeszę Komitetu Żydowskiego w Londynie w sprawie wypłat dla takiegoż Komitetu w kraju.

III. *Pełnomocnik Rządu* zaczyna dyskusję nad sytuacją polityczną i na wstępie odczytuje tekst protokołu krymskiego, dotyczący Polski. W odpowiedzi na te uchwały Rząd londyński wydał

2. Błędna data. Krajowa Rada Narodowa w Lublinie uchwalała z dn. 31 grudnia 1944 przemianować P.K.W.N. na Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej. Rząd ten uznała 5 stycznia 1945 Rada Najwyższa ZSSR. 17 stycznia 1945 był dniem zajęcia Warszawy przez Armię Czerwoną i 1-szą Armię Polską (Berlinga).

krótki komunikat o złożeniu protestu przeciw uchwałom krymskim, stwierdzający, że naród polski nie może ich uważać za wiążące.

Z wiadomości radiowych dowiadujemy się o proteście Polonii Amerykańskiej, o apelu Rządu do Armii Polskiej o zachowanie spokoju i dyscypliny, o rozkazach wydanych przez polskich dowódców we Włoszech i Francji, gen. Andersa i Maczka, do podległych im oddziałów i o sprostowaniu umieszczonym w *Daily Herald* przez prez. Mikołajczyka, stwierdzającym, że uchwały krymskie nie pokrywają się z jego projektami załatwienia sprawy polskiej.

Przechodząc od strony informacyjnej do samego zagadnienia trzeba stwierdzić, że istotą postanowień konferencji krymskiej jest wzięcie pod uwagę rządu lubelskiego i zignorowanie Rządu w Londynie — tym samym podważenie naszego stanu prawnego — i to, że siedzibą Komisji Trzech jest Moskwa. Dalej bolesne jest wytknięcie definitywnej granicy wschodniej przy równoczesnym odłożeniu decyzji o granicy zachodniej. Zdajemy sobie sprawę, jakimi grozi to niebezpieczeństwami.

Dalej niebezpieczne jest szybkie odbycie wyborów, gdyż znaczy to pozbawienie prawa głosowania setek tysięcy Polaków będących w Niemczech i przeprowadzenie głosowania w okresie chaosu administracyjnego, przy pozostawianiu na naszych ziemiach obcej armii okupacyjnej.

Co mamy z tym zrobić? Rząd polski wydał lapidarny komunikat, że nie może uznać tych decyzji. Nasza decyzja może być tylko: uznanie lub nieuznanie. Płyną z tego konsekwencje.

Uznanie przez nas byłoby zignorowaniem Rządu londyńskiego, jak to czyni konferencja krymska i wzięcie udziału w realizacji tych postanowień, a najważniejsze decyzje ma powziąć Komisja Trzech, która zdecyduje, kto ma być premierem. Ten, kto będzie miał premiera — będzie miał większość, a Mołotow zrobi wszystko, aby zapewnić wpływ Rosji na nowy rząd. Jeśli weźmiemy udział w tworzeniu rządu, to później trudno go już nie uznać.

Jeśli byśmy mieli zająć stanowisko oporne, to byłoby to możliwe tylko przy zachowaniu wspólnego frontu stronnictw porozumienia. Trzeba wszystko zważyć i przewidzieć, jak się zachowamy w razie zwrócenia się do nas Komisji Trzech. Mogą zwrócić się do Krajowej Rady Ministrów i do poszczególnych prezesów stronnictw czy poszczególnych osób. Czy wtedy nie należy skierować ich do reprezentacji wspólnej, jaką jest R.J.N.

A dalej — jak zachować się wobec samych wyborców? Czy pójść do walki wyborczej luzem, czy też utworzyć wspólny front

całego ruchu podziemnego. Ponieważ zbliżamy się do końca wojny, poszczególne stronnictwa mogą uważać nieobciążanie się bagażem z lewej czy prawej strony. Wszystko to należy zważyć bardzo poważnie.

Powstaje pytanie, czy nie słuszne byłoby odłożyć na bok sprawy pójścia luzem, czy pójście razem całego ruchu podziemnego nie mogłoby zapewnić zwycięstwa. Tylko zdecydowane zwycięstwo przy wyborach mogłoby radykalnie przeciąć sprawę ingerencji sowieckiej w nasze stosunki wewnętrzne i uzdrowić sytuację.

Warto zastanowić się nad obecnym nastrojem mas, który miałem okazję poznać w czasie ostatniej wędrówki. Szerokie masy zachowały opinię bardziej zdrową o okupancie niż tak zwana inteligencja. Masy zetknęły się z tą dziczą wschodnią i ludzie z pogardą przyglądają się tej armii, brudowi, rabunkom, pijaństwu.

Jeśli chodzi o rząd lubelski, to zebrało się już dużo materiału do analizy jego działalności. Powszechne jest przekonanie o jego niedołęstwie, braku wybitniejszych ludzi, ogólnym chaosie, a szczególnie podkreślają całość krzywdzące zarządzenia walutowe i brak żywności. Na całym terenie jest powszechne niezadowolenie, a stosunek do rządów jest krytyczny. Masowo tylko na współpracę idzie inteligencja, urzędnicy — nieliczni związani ideowo, inni dla chleba.

Przedstawiłem całość zagadnienia do rozważenia. Nie wiem, czy ostatnio stosowana metoda przychodzenia poszczególnych członków na posiedzenia Komisji Głównej z gotowymi uchwałami rządów swych stronnictw byłaby słuszną do zastosowania w tej sprawie. Trzeba wspólnie rozważyć całość zagadnienia. Nie znamy motywów rządu nieuznawania uchwał konferencji krymskiej. Konsekwencje naszych postanowień mogą prowadzić nas daleko. Może trzeba byłoby zwołać i plenum, aby zastanowić się nad tym, co jesteśmy w stanie wytrzymać.

Nie powinna być niedoceniana sprawa jednolitego frontu wobec okupacji rosyjskiej. Wymiana zdań na plenum Rady przed decyzjami stronnictw miałyby dobry wpływ. Trzeba by też zbadać, jak się zachowują inne organizacje niepodległościowe, które nie wchodzą w skład Rady.

Dąbrowski: — zgłasza następujące wnioski SL:
„Rada Jedności Narodowej:

1) Wypowiada przekonanie, że powzięte bez udziału i zgody Państwa Polskiego postanowienia konferencji krymskiej narzucają Polsce — która pierwsza w świecie podjęła walkę z hitleryzmem o wolność własną i cudzą — nowe, niezmiernie ciężkie i krzywdzące ofiary. Mimo to R.J.N. zmuszo-

na jest wyrazić zgodę na te postanowienia, widząc w nich, w dzisiejszej rzeczywistości, możliwość uratowania niepodległości Polski, substancji biologicznej narodu i stworzenia podstawy do organizacji własnych sił i do prowadzenia przyszłej samodzielnej polityki polskiej, zmierzającej do ugruntowania pokoju w Europie, odbudowy gospodarczej zniszczonego kraju, oraz przebudowy stosunków społeczno-gospodarczych i politycznych w duchu prawdziwej wolności i demokracji. R.J.N. chce jeszcze przez to swoje bołesne dla narodu polskiego stanowisko zamanifestować wolę ostatecznego porozumienia się ze wschodnim sąsiadem i nawiązania z nim stosunków przyjaznych i wykluczających raz na zawsze wojnę.

2) Będąc zmuszona do wyrażenia zgody na postanowienia konferencji krymskiej czyni to pod warunkiem, że zarówno zachodni sprzymierzeńcy Polski, jak i ZSSR, w imię uznawanych przez nich zasad Karty Atlantycznej i demokracji, uszanują istotną niepodległość państwa polskiego, będą współpracować z rządem polskim nad odzyskaniem dla Polski oderwanych od niej na przestrzeni wieków ziem na północy i zachodzie, a ZSSR powstrzyma się od wszelkiej ingerencji w sprawy wewnętrzne Polski i umożliwi warunki, aby Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej był rządem istotnie niepodległego państwa polskiego i miał pełną możliwość przeprowadzenia wyborów i wykonywania władzy w warunkach prawdziwej wolności i demokracji, z wykluczeniem wszelkiego nacisku obcych sił.

3) Wypowiada opinię, że na stanowisko premiera Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej powinien być powołany Stanisław Mikołajczyk, jako człowiek mający zaufanie najszerzych warstw narodu polskiego i gwarantujący utrzymanie w realnej formie sojuszu Polski z zachodnimi sprzymierzeńcami i możliwość osiągnięcia porozumienia z ZSSR.

4) Z ubolewaniem stwierdza fakt, że rząd polski zdecydował odrzucić postanowienia konferencji krymskiej, nie zasięgnąwszy przedtem opinii kraju.

5) Stoi na stanowisku, że z chwilą powstania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej Delegatura Rządu w kraju winna być rozwiązana, a stronnictwa demokratyczne polskie winny w jak najściślejszym porozumieniu podjąć jawną działalność, zmierzającą do konsolidacji politycznej narodu polskiego i walki o jego wewnętrzną zwartość i istotną niepodległość.

6) Czyni odpowiedzialnymi Prezydenta Raczkiewicza i Premiera Arciszewskiego za politykę bierności i wyczekiwania, za zaniechanie we właściwym czasie mającej widoki powodzenia akcji, zmierzającej do uratowania dla Polski Lwowa i zagłębia naftowego, za pozbawienie konstytucyjnych naczelnych władz polskich zaufania szerokich warstw narodu polskiego i za obniżenie autorytetu tych władz w kraju i w świecie.

7) Czyni odpowiedzialnym swego przewodniczącego za fakt niezajęcia przez R.J.N. negatywnego stanowiska w stosunku do tzw. rządu lubelskiego i pozabawienie w ten sposób rządu polskiego ważnego atutu w grze międzynarodowej.

Pełnomocnik: — Podkreślam swoje uwagi o niechodzeniu luzem i niesłuszności metody zajmowania definitywnego stanowiska opartego o uchwały stronnictw przed przeprowadzeniem dyskusji. Przed wyświetleniem wszechstronnym sprawy trudno jest ferować wyroki.

Nie jest poważne stawianie sprawy tak, że Konferencja Trzech załatwiła sprawę w ten sposób dlatego, że Churchillowi nie podoba się osoba Arciszewskiego. Inne czynniki zaważyły na szali. Na naszych sprawach ciąży Rosja, która jest jeszcze zbyt mocnym partnerem. Dlatego proponuję zastanowić się wspólnie nad

całością zagadnienia i nad konsekwencjami, jakie z teraz powziętych decyzji będą płynęły.

Dąbrowski: — Uważam, że popełniono wiele błędów i tu wśród nas, a zwłaszcza w Londynie, gdzie uniemożliwiono realizację polityki Mikołajczyka. Konsekwencją jest ten tak bolesny cios, jaki nam i naszej ambicji narodowej zadają uchwały konferencji krymskiej i stąd nasze przekonanie, że odpowiedzialność za to spada na Prezydenta, a w ostatnim etapie i na premiera Arciszewskiego.

Całe nastawienie na wojnę z Rosją, które tak się przewijało w naszej polityce w kraju, było błędem i szło po innej linii niż polityka Mikołajczyka. Nasza propozycja oddania premierostwa Mikołajczykowi nie ma nastawienia partyjnego, ale uważamy, że trzeba wypowiedzieć wolę zorganizowanego społeczeństwa podziemnego wobec tych trzech „Regentów”.

Drugą sprawą jest sprawa Delegatury i jej rozwiązania. Uważamy to za uchwałę zewnętrzną, a wewnątrz trzeba stworzyć ciało ściśle zakonspirowane. Dalej chcemy utrzymać porozumienie czterech stronnictw³, co słusznie podkreśla p. Wicepremier i na ten temat proponuję odbycie prywatnego zebrania „Czwórki”, bo uważam za potrzebne scementowanie społeczeństwa wokół tych, co tu zasiadają.

Nie są też bliżej określone postanowienia co do wyborów, w których będziemy musieli wziąć udział. Zgłoszone tu nasze wnioski nie są ultimatywne, przychodzimy tylko z określonymi wnioskami, aby ułatwić szybkie zajęcie w tej sprawie stanowiska.

Seret: — Jest propozycja formalna odbycia prywatnego posiedzenia „Czwórki” niezależnie od prowadzenia tu dalej dyskusji. Byłoby pożądane, abyśmy doszli w Komisji do takiego porozumienia, aby można uniknąć zwoływania plenum dla samej dyskusji, a odbyć je raczej tylko dla ewentualnego powzięcia ostatecznej decyzji. Dzień jutrzejszy można by poświęcić zebraniom frakcyjnym i „Czwórki”, a w poniedziałek — dalszy ciąg Komisji Głównej⁴.

3. Porozumienie czterech stronnictw tworzyły: Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo Pracy i P.P.S.-W.R.N. Określano je również potocznie: „Czwórka” lub „Gruba Czwórka”.

4. Komisja Główna Rady Jedności Narodowej działała w imieniu Rady pomiędzy jej plenarnymi posiedzeniami. W skład jej wchodziłi czterej reprezentanci „Czwórki” i przedstawiciel Zjednoczenia Demokratycznego.

To piąte miejsce przypadało kolejno na zasadzie rotacji trzem mniejszym ugrupowaniom, wchodzącym w skład Rady Jedności: Zjednoczeniu Demokratycznemu, „Racławicom” i „Ojczyźnie”. Jako pierwsze do Komisji Głównej weszło Zjednoczenie Demokratyczne.

Przechodząc do samych wniosków złożonych przez p. Dąbrowskiego, to widzę sprzeczności między tamtymi sformułowaniami a tym, co powiedział w swoim referacie. Zwrócę też uwagę na swoją osobę, która została wyróżniona w 7-ym wniosku; dziękuję za to odznaczenie, ale go nie pragnę.

Trzeba się porozumieć, co w całości rezolucji SL jest istotne, a co tylko incydentalne, bo wypowiedziane tu komentarze pozostaną tajemnicą, a uchwalona rezolucja pójdzie w świat. Co do lansowania osoby p. Mikołajczyka, to traktowałbym tę sprawę oddzielnie, gdyż wydaje mi się, że nie jest to teraz wskazane zarówno ze względów zasadniczych jak i taktycznych. Wysunięcie jego osoby może mieć miejsce w czasie konsultacji.

Przyjęto propozycję przerwania dyskusji, odbycie posiedzeń frakcyjnych i „Czwórki”, a następne posiedzenie w tej sprawie Komisji Głównej odbyć w poniedziałek 19-go bm.

IV. *Przewodniczący* porusza niezłatwioną dotychczas sprawę diet członków R.J.N. Członkowie Rady pełniąc swoje funkcje powinni być honorowani z funduszy państwowych niezależnie od funduszy ich stronnictwa. Dlatego proponuję załatwić tę sprawę formalną uchwałą. Zostało zreferowane zestawienie i propozycje, aby sumy wypłacone członkom R.J.N. w Warszawie we wrześniu 1944 roku uznać za uregulowanie diet do 1 grudnia 1944 roku, a na przyszłość wypłacać diety miesięczne w wysokości 75 dolarów. Ponadto wypłacić dodatkowo każdemu jednorazowo dol. 100 dodatku odzieżowego, czyniąc przez to analogię do takiego dodatku wypłaconego w czerwcu urzędnikom Delegatury. Wniosek ten uchwalono.

Postanowiono pokryć diety grudniowe i dodatek odzieżowy z pozostałości kasowych Rady na dzień 31 grudnia 1944 roku i ustalono budżet na styczeń, luty i marzec na pokrycie diet, wydatków rzeczowych i wydatków biura Rady w wysokości dol. 1.600 miesięcznie.

Na tym posiedzenie odroczono do poniedziałku.



Dnia 19 lutego wznowiono posiedzenie Komisji Głównej. Obecni ci sami, co na poprzednim posiedzeniu.

Seret: — Jako poprawki do wniosków S.L. zgłaszam następujący wniosek „Koła”:

1) R.J.N. stwierdza, że uchwały konferencji krymskiej przesądzające losy Polski na najbliższy okres czasu zostały powzięte bez udziału i zgody

Polski. Państwo polskie, które pierwsze podjęło walkę z hitleryzmem i w ciągu całej wojny ponosiło największe ofiary, licząc na lojalność sprzymierzeńców, dzisiaj jeszcze, przed Niemcami, płacić musi koszty wojny i otrzymuje dyktat nakładający na naród polski nowe ciężkie i krzywdzące ofiary.

2) Polska pod przymusem postanowień konferencji krymskiej zmuszona jest w ich ramach szukać możliwości ratowania Niepodległości, oszczędzenia dalszych ofiar i stworzenia podstawy do organizacji własnych sił i prowadzenia przyszłej samodzielnej polityki, zmierzającej do ugruntowania pokoju w Europie oraz odbudowy i przebudowy gospodarczej kraju.

Wchodząc na tę drogę R.J.N. podkreśla z całym naciskiem wolę narodu polskiego do ostatecznego i całkowitego uregulowania granicznego sporu polsko-rosyjskiego w drodze bezpośrednich rokowań i wzajemnych ustępstw tak, by nigdy kraj nasz i naród nie mógł być używany jako narzędzie i teren polityki antyrosyjskiej, a przeciwnie, by wzajemne współzycie Polski i Rosji oparło się na szczerej i głębokiej przyjaźni wykluczającej raz na zawsze wojnę.

3) R.J.N. wyraża nadzieję, że zarówno zachodni sprzymierzeńcy... itd. jak ad 2) tekstu „Trójkąta” z poprawką w wierszu czwartym zamiast słowa „istotną” użyć słowo „przynajmniej” oraz dodatkiem w wierszu szóstym przed słowami „a ZSRR.” — „i udziału tylekroć obiecaney pomocy dla odbudowy kraju, zaś ZSRR...” itd.

4) R.J.N. wyraża przekonanie, że ogólnikowej formule uchwał konferencji krymskiej o porozumieniu „z drugiej strony z przedstawicielami demokracji w kraju i zagranicą” zostanie nadana konkretna treść w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej z R.J.N. w kraju oraz rządu i Rady Narodowej w Londynie — R.J.N. jako przedstawicielka Polski Podziemnej deklaruje swą gotowość do podjęcia rokowań w tej sprawie.

5) Delegatura Rządu w kraju zostanie zorganizowana pod kątem widzenia nowych potrzeb o mobilizacji sił do pracy z chwilą utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej.

Pełnomocnik: — Nasuwają się uwagi, że w stosunku do uchwał krymskich nie można ani ich odrzucić, ani przyjąć bezapelacyjnie. Wniosek „Koła” idzie po tej linii, czyniąc zastrzeżenia i godząc się na wzięcie udziału w realizacji ich pod pewnymi warunkami. Nie ma natomiast wzmianki o granicy zachodniej, co znajdujemy w sformułowaniach „Trójkąta”.

Słuszne jest zaznaczenie, że R.J.N., rząd i Rada Narodowa w Londynie winny wziąć udział w realizacji i trzeba to zapewnić. Bez względu na to, czy rząd londyński komuś się podoba czy nie, to jest on i powinien zostać symbolem państwowości polskiej na wypadek rozbicia się rokowań. Upomnienie się o jego prawa jest obowiązkiem. Starajmy się manifestować jedność i nie pozwólmy jej rozbijać.

Jeśli chodzi o ustęp ostatni, o reorganizacji Delegatury do nowych potrzeb, to na takie sformułowanie godzę się — na natychmiastowe rozwiązanie nie pójde. Delegatura przedstawia niewątpliwie pewien dorobek, a dla wszystkich ludzi niezorganizowanych politycznie Delegatura była wyrocznią, na którą się ogłą-

dano. Tego rozbijać dziś nie należy i nie można. To wyszłoby nie na korzyść nam a naszym przeciwnikom. W obecnej sytuacji nie obowiązuje nas żadna lojalność wobec rządu lubelskiego, którego nie uznajemy.

Dąbrowski: — Motywem propozycji zwołania prywatnego posiedzenia „Czwórki” była chęć zawiadomienia naszych partnerów o decyzji S.L., zanim to uczynimy, że S.L. wycofuje się z Czwórporozumienia. Wypowiadając naszą umowę Czwórporozumienia, pozostajemy członkami R.J.N. w dalszym ciągu, a z innymi stronnictwami będziemy nadal utrzymywali wewnętrzne stosunki gentelmeńskie.

Jeżeli chodzi o stosunek do uchwał Trzech, to chcemy wyrazić zgodę na wzięcie udziału w ich realizacji pod pewnymi, już sformułowanymi zastrzeżeniami. Ma to dla nas znaczenie zwłaszcza, że rząd powiedział „nie”. Jeśli nasza dobra (wola — przyp. wł.), z jaką chcemy przystąpić do rozmów, nie będzie uznana, to wtedy będzie nowa sytuacja.

Wśród warunków proponowanych przez „Koło” trudne byłoby dla nas do przyjęcia, że rząd ma być reprezentowany w tych rozmowach. Wydaje się nam, że wymienienie osoby premiera przyszłego rządu byłoby słuszne, aby opinia publiczna wiedziała, czego chce. Obawiam się, że przez forsowanie instytucji takich, jak R.J.N. i Rada Narodowa w Londynie wywyżsnimy tylko „Kran” (potoczny skrót komunistycznej „Krajowej Rady Narodowej” — przyp. wł.), którego nie wzmiankuje rezolucja krymska.

Oleśnicki: — Z tego, co powiedział p. Dąbrowski wynika, że różnica jest w tym, czy wyrażamy zgodę, czy też jesteśmy pod przymusem wzięcia udziału w realizacji uchwał krymskich. Ta druga forma mi odpowiada, bo to jest stan faktyczny. Gdyby Polska z własnej woli przystępowała do regulowania swych spraw, to przecież nie wybrałaby tej drogi.

Polska była reprezentowana — i to chlubnie i bohatersko — przez rząd i armię za granicą, więc jak by to przyjęła opinia publiczna, gdybyśmy wyrazili zgodę na zignorowanie tego czynnika reprezentacji. Jakżeby to wyglądało, gdybyśmy wyrazili zgodę na to, co rząd uznał za niemożliwe do przyjęcia dla siebie i kraju. Zupełnie co innego, jeśli wyciągniemy konsekwencje uchwał krymskich pod przymusem.

Dlatego zwracam się do p. Dąbrowskiego, ażeby zrezygnował z formuły, że wyrażamy zgodę, gdyż wyrażając zgodę teraz — wyrażamy ją na to, co później nastąpi. A jeśli zrobimy coś pod przymusem, to możemy później nie przyjąć decyzji. Gotów jestem

uchwalić dziś rezolucję zgodnie z Panami ale w formie takiej, która by mogła być zrozumiana i jako taka przyjęta przez społeczeństwo.

A jeśli chodzi o reprezentację Polski za granicą, to jest tam nie tylko rząd i Prezydent, ale też i wojsko i cała emigracja, która skupiła się koło rządu i Rady Narodowej. Tych nie możemy przekreślić, a tak byśmy zrobili wysuwając do pertraktacji jedną osobę. Tę osobę możemy wskazać w konsultacji a nie w rezolucji R.J.N.

Osobę p. Mikołajczyka uważam nawet za odpowiednią. On pewnie będzie konsultowany, a jeśli będzie kandydatem na premiera, to każdy kierunek polityczny chciałby z nim rozmawiać przedtem i omówić zasady tworzenia przyszłego rządu. Wysuwanie jednej osoby byłoby przekreśleniem dorobku Polski Podziemnej, emigracji i wojska — tego robić nie można. Skoro obradujemy, to nie po to, żeby zrzec się wszystkich prerogatyw i odpowiedzialności na rzecz jednej osoby.

Seret: — Dyskusja idzie w kierunku zgody czy niezgody na uchwały krymskie, co wydaje mi się niepotrzebne, bo uchwały są jednostronne, a ich egzekutorem jest „Trójka”. Oni mają przeprowadzić utworzenie rządu, który ma przygotować wybory, a nie mówi się nawet do jakiego ciała. Atrybuty państwa polskiego znikły, a są tylko jacyś bliżej nieokreśleni przywódcy. I znowu tu jest fakt dokonany. Polacy nie mogą nie przyjąć utworzonego rządu, bo ten rząd będzie według uchwały krymskiej uznawany przez aliantów.

Panowie z „Trójkąta” uważają, że my uznając uchwałę trafimy w sedno sprawy. Tak nie jest. Osia zagadnienia jest wykonanie uchwał. Do konsultacji może być wezwane jedno stronnictwo a inne nie, lub jakieś osoby — czy wtedy Panowie uznają, że konsultacja była pełnowartościowa? Czy mamy się na to zgodzić, czy też wystąpić solidarnie w organizacji wypracowanej w konspiracji, o której niejednokrotnie mówiliśmy, że reprezentuje większość narodu. A do organizacji tej nie należy tylko R.J.N., ale i nasza reprezentacja zagraniczna: rząd i Prezydent.

Naród polski nie może być ani chwili bez rządu. To p. Mikołajczyk *urbi et orbi* głosił, że jest R.J.N. nawet, zanim ona jeszcze powstała. To samo było z wicepremierem w kraju. Pominiecie tych czynników reprezentujących walczącą Polskę nie może być podyktowane takimi względami, że przez to promujemy „Kran”, który i tak już występuje za granicą. Czy po to, żeby utracić „Kran”, mamy zostać bez reprezentacji tym bardziej,

że musimy i tak czekać na zaproszenie. My nawet nie mamy prawa stawiać warunków, gdyż nas o to nie pytają.

W tej sytuacji nie możemy ani zgodzić się z rządem, który wszystko oprotestował, ani przyjąć bez warunków. Jest to sytuacja bez precedensu, bo nawet na rozbiory domagano się zgody sejmu. Dla społeczeństwa nie wszystko jest jasne, ale będzie wskazówką to, co my powiemy. Nie możemy wobec tego powiedzieć, że nie zgadzamy się z rządem, a zgadzamy się na rozmowy i to z jedną czy kilku osobami bliżej nieznanymi.

Ponieważ zdaje się chodzić o to, że wszystkiemu zawinił Arciszewski, to przypomnę przemówienie Churchilla z grudnia o umowie teherańskiej, że z chwilą wejścia wojsk okupacyjnych na oswobodzane od Niemców terytoria będą rozwiązywane tajne organizacje wojskowe. A od tych tajnych armii przedtem domagano się ofiarnej i niebezpiecznej walki na tyłach niemieckich. W tym świetle jasny jest atak Rosji na AK. Naszym obowiązkiem jest nie ułatwiać gry tych panów przeciw nam przez odwrócenie się od rządu i przyjęcie decyzji, w której odrzucili nasze instytucje.

Kończąc myślę, że powinniśmy patrzeć na te rzeczy tak, że ruch podziemny i emigracja winny być w konsultacji wysłuchane przez swych pełnomocników, którzy powinni być zaproszeni. Co do osoby Mikołajczyka, to może być w tym względzie nasza uchwała wewnętrzna, nawet zobowiązanie, wysunięcia jego kandydatury w toku konsultacji.

Rzewuski: — Mamy poprawki do rezolucji S.L., ale dziś przyszła propozycja „Koła”. Ponieważ chciałbym łącznie do obu propozycji zająć stanowisko, dlatego wypowiem się na następnym zebraniu. Pożądana byłaby — naszym zdaniem — uchwała jednomyślna. Mamy też zastrzeżenie i przeciw rządowi, który w chwilach zasadniczych milczy i nie udziela nam w porę informacji.

Czernik: — Nie miałem uprzednio do wglądu proponowanych tekstów, więc wyrażam tylko własne poglądy. W punkcie 1. rezolucji S.L. trzeba zastąpić słowo „zgoda” innym, np. „gotowość”, a w punkcie 2. muszą być wyraźnie postawione warunki gotowości przyjęcia uchwał. Co do punktu 3. uważam, że należy wymienić instytucje. Nie można pomijać rządu, a argument, że w ten sposób wyciągniemy „Kran” wydaje mi się nieistotny. On i tak wystąpi, a my nie możemy gubić swych instytucji.

Jeśli chodzi o Mikołajczyka, to zachodzi potrzeba konsultacji wewnętrznej z nim i nie należy stwarzać jakby instytucji generalnego pełnomocnika. Można natomiast uzgodnić, że Polska Podziemna życzy sobie Mikołajczyka jako premiera, ewentualnie nawet w uchwale jawnej.

Dalej byłbym przeciwny wyciąganiu dzisiaj kwestii odpowiedzialności rządu, bo to rozbrajałoby społeczeństwo. Co do Delegatury, to miałem zawsze zastrzeżenia do niej, a teraz — jeśli by miała pozostać — to musiałaby jednak ulec generalnej reformie. Przyłączam się do głosu „Rombu” przerwy w obradach, aby punkty widzenia uzgodnić i doprowadzić do rezolucji jednogłosnej.

Niedźwiadek: — W tej chwili walka idzie o to, czy Polska ma być narzędziem w ręku sowieckim, czy też uda się tego uniknąć. Jak w tej chwili, Rosja nie zrezygnowała ze swych projektów, ale w Jałcie zmuszona była zgodzić się na wprowadzenie czynnika anglosaskiego do regulowania spraw polskich. Teraz idzie o mobilizację siły polskiej do walki z atakiem NKWD, do odbijania straconych dziś pozycji. Dlatego, zdaje mi się, przeciwnik będzie robił dziś wszystko, żeby zorganizowany element polski, zdolny do przeciwstawienia się zamierzeniu NKWD, rozbić i rozmienić na drobne, aby mówić oddzielnie z różnymi ugrupowaniami. Dlatego należy mobilizować się, toteż nie rozumiem oświadczenia p. Dąbrowskiego o wyjściu „Trójkąta” z porozumienia. Byłaby to najmielsza wiadomość dla kierownictwa NKWD.

Zgadzam się z p. przewodniczącym, że zostaliśmy potraktowani nie jako państwo sprzymierzone ale jako państwo podbite. Trzeba się zastanowić, jakie będzie w praktyce wykonanie postanowień krymskich, bo może to być albo bardzo dużo, albo umyć rąk przez Piłata anglosaskiego. Dopiero zapoznawszy się z wykonaniem można będzie wyrobić sobie zdanie i w ten sposób rozumiem wypowiedzenie zgody Polski Podziemnej na wzięcie udziału w rozmowach.

Ale jeżeli okaże się, że rozmowy będą tylko komedią, która w niczym nie zmieni wpływów działalności NKWD, to nie miałoby sensu rozładowywać oporu Polski Podziemnej. Jak się o tym przekonać? Moim zdaniem, wszystkie siły polskie odporne na wpływy Moskwy — w kraju i za granicą — winny iść solidarnie, mobilizować siłę narodową niezgadzaną się na dotychczasowe załatwiania sprawy polskiej i trzymać ją zmobilizowaną na tę długą walkę, która jest jeszcze do stoczenia.

Probiierzem należenia do tego obozu winna być chęć walki

z wpływami NKWD. Wszystkie inne różnice ustrojowe itd. to sprawa dalsza. W związku z tym, wydaje mi się, że stworzeniu tej siły trzeba postawić człowieka, który będzie tą siłą dysponował i ją reprezentował. Jako tego człowieka widzę Mikołajczyka ze względu na jego powiązanie z Anglosasami i jego popularność w kraju.

Oleśnicki: — Wnoszę o zawieszenie obrad w tej chwili do środy.

Propozycję przyjęto.

Przed zawieszeniem obrad *Przewodniczący* zapytuje p. Dąbrowskiego, czy oświadczenie jego o wyjściu S.L. z „Czwórporozumienia” będzie podane już teraz do wiadomości, czy też ogłoszenie może pozostać w tajemnicy do końca tych obrad. Podanie do szerszej wiadomości tego oświadczenia przed zajęciem zasadniczego stanowiska R.J.N. mogłoby dezorientować opinię publiczną.

Dąbrowski: — Nasza decyzja zapadła i nie było przewidziane odkładanie jej ogłoszenia. Porozumiem się jednak z moimi kolegami, ażeby ogłoszenie odłożyć do zakończenia obecnych obrad R.J.N.

Na tym posiedzenie przerwano do środy 21 bm.



W środę wznowiono obrady przy obecności tych samych pod przewodnictwem S e r e t a.

Na wstępie *Pełnomocnik* odczytał depeszę z Londynu z 19-go lutego⁵, w której rząd zawiadamia, że wysyłanie depesz z Londynu do stacji krajowych będzie wstrzymane, natomiast do Londynu depesze wysyłać można. Depesza nie podaje powodów, możemy jednak wnioskować, że mogą wchodzić w grę przyczyny

5. W depeszę tej nadanej z Londynu 19. II. 1945 i podpisanej: „Arciszewski. Berezowski.” czytamy m.in.: „Mimo dotychczasowej cenzury przez władze brytyjskie depesz, wysyłanych do Polski, rząd brytyjski zwrócił się do nas z żądaniem niewysyłania w najbliższym czasie depesz do stacji krajowych”.

Na skutek noty protestacyjnej Rządu Polskiego zakaz wysyłania depesz do kraju został w dniu 22 lutego cofnięty. Cenzura jednak została nadal utrzymana. Cenzura brytyjska często nie zezwalała na wysłanie całej depeszy, lub skreślała z jej tekstu niektóre fragmenty.

polityczne⁶ lub też — jak to już raz było — względu na tajemnicę wojskową.

Seret: — Wznawiam dyskusję. Są w obradach dwa stanowiska i będziemy dążyli do ich uzgodnienia. Przed dyskusją zapytuję p. Dąbrowskiego, czy będzie wstrzymana publikacja o wymówieniu umowy „Czwórki”.

Dąbrowski: — Nie mogę odpowiedzieć niestety ani tak, ani nie. W każdym razie do 27 lutego nie przewiduję publikacji, choć wiadomość może przenikać z ust do ust.

Pełnomocnik: — Decyzja S.L. ma doniosłe znaczenie. Na swoim stanowisku dążyłem do uzyskania porozumienia grup politycznych, nie tylko organizacyjnego, ale głębszego, opartego o wspólną platformę polityczną. To zostało osiągnięte w deklaracji sierpniowej⁷. Obecna sytuacja wymaga w dalszym ciągu zachowania jednolitego frontu, moim zdaniem również i w czasie wyborów, a zwłaszcza jeśli by doszło do nieuznania Tymczasowego Rządu i w konsekwencji do bojkotu wyborów.

Krok S.L. jest o doniosłych skutkach. Nie wiem, czy decyzja ta mogłaby być poddana rewizji. Nie mam na to wpływu, ale apeluję, bo widzę w niej wielkie szkody i ogólne i dla samego S.L.

Przechodząc do propozycji rezolucji uważam, że niewłaściwe jest wyrażanie zgody na uchwały krymskie. Kraj i ruch podziemny mają prawo i obowiązek wyjścia z protestem, nie może wyrażać zgody na decyzję powziętą bez naszego udziału. Sprawa ta jest lepiej ujęta w poprawkach „Koła”.

Co do poprawek „Koła” to mam uwagi kierownika departa-

6. Przyczyny restrykcji brytyjskich podaje depesza rządowa do Delegata w kraju z dn. 20 marca 1945, w której czytamy m.in.: „Wiele już depesz ze wskazaniami i naświetleniem sytuacji zostało przez cenzurę brytyjską odrzuconych. Nie mogliśmy przeto dać Wam we właściwym czasie odpowiedzi na Wasze zapytania. Ograniczenia stosowane wobec nas w informowaniu kraju pochodzą z różnicy poglądu Rządu Polskiego i rządu brytyjskiego na rozwiązanie sprawy polskiej.

Rząd brytyjski stoi na stanowisku, że uchwały krymskie są wystarczającą podstawą rozwiązania zagadnienia. Rząd Polski uważa, że uchwały te nie dają Polsce aktualnego bezpieczeństwa i podstaw prawdziwej niepodległości. Musicie tę różnicę stanowisk oraz istnienie cenzury mieć na uwadze i należyście oceniać zarówno nasze informacje, jak i nasze milczenie”.

Taki zakres brytyjskiej cenzury nie mógł być znany członkom Komisji Głównej R.J.N. w czasie posiedzenia lutowego w 1945 roku.

7. Porozumienie polityczne czterech stronnictw, stanowiących Krajową Reprezentację Polityczną (K.R.P.), zostało zawarte i podpisane 15 sierpnia 1943 roku przez Polską Partię Socjalistyczną (W.R.N.), Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Pracy.

mentu spraw zagranicznych, zwracając uwagę na niewłaściwości sformułowań drugiej części ustępu drugiego, który mówi o sporze granicznym polsko-rosyjskim, jego całkowitym uregulowaniu, wzajemnych ustępstwach, dwustronnych układach. To wszystko są rzeczy albo niesłuszne, albo niewłaściwie sformułowane. Szczególnie silnie podkreśla niewłaściwość wyrażenia, że kraj nasz nie może być użyty jako narzędzie polityki antyrosyjskiej itd., co bije w podstawę naszego sojuszu z zachodnimi aliantami. Ten ostatni ustęp jest już wycofany przez „Koło”. Komunikuję powyższe uwagi dla wiadomości Panów.

Seret: — Poprawki „Koła” mają swe źródło w jednogłośnym stwierdzeniu aliantów, że Rosja ma rację. My stoimy na stanowisku i będziemy to stale przypominali, że pretensje Rosji są krzywdzące. A skoro jest taka sytuacja, to uważam, że czas jest powiedzieć aliantom, że na ich pomoc nie liczymy i możemy mówić w tym okresie z Rosją i uzyskać z nią bezpośrednie porozumienie.

Przypomnę tu z historii zdanie Wielopolskiego, który stwierdziwszy w okresie Powstania matactwa Anglii i Gladstone’a, powiedział, że skoro Rosja jest sąsiadem, to z nią trzeba się bezpośrednio dogadać. W tym okresie trzeba to wyraźnie powiedzieć, co wcale nie będzie wskazówką na przyszłość dla naszych ministrów spraw zagranicznych. Mówimy, że chcemy porozumienia z Rosją i dlatego wykluczamy wojnę. My to chcemy zrobić tak, jak to wypada demokracjom. To jest po prostu język dyplomatyczny.

Dąbrowski: — W drugiej naszej redakcji staraliśmy się uwzględnić poprawki w ramach dla nas możliwych. Chodzi zasadniczo o „zgode” — może znajdzie się inna formuła w tej sprawie, jak też szczęśliwsze sformułowania w innych. Wtedy poprawki przyjmujemy i nie będziemy upierali się przy swojej redakcji. Ale chcemy, aby rezolucja była jasna, aby ci, co na tej podstawie będą rozmawiać, mieli sytuację pewną, że kraj za nimi stoi.

Sprawy granic nie poruszamy tak definitywnie jak „Koło” i uważamy, że to jest lepiej. Mikołajczyk w swoim liście zgrabnie to wyjaśnił. Co do wykluczenia wojny jesteśmy obojętni dla tej formułki. Co się tyczy wzięcia udziału w konsultacji, to zostajemy przy naszej formule, jako odpowiadającej uchwałom krymskim o konsultacji osób. Chcemy też wysunąć osobę Mikołajczyka nie jako przedstawiciela grupy, lecz chcemy wymienić nazwisko, aby wskazać sposób załatwienia i wskazać „Trzem” po jakiej linii idziemy. Jak dowiadujemy się z wiadomości radio-

wych, Eden po powrocie do Londynu zaprosił zaraz na rozmowę Mikołajczyka i Romera, co ma swoją wymowę. Chcemy tę sprawę postawić szybko i zdecydowanie i dlatego podtrzymujemy swoją propozycję.

Rzewuski: — Rezolucje należy traktować w dwóch częściach. Zasadniczą — do szerszego użytku i wewnętrzną — na użytek tylko rządu. Za podstawę do dyskusji przyjmujemy wnioski „Trójkąta” z poprawkami, w które wejdą części z wniosku „Koła”.

Jeśli chodzi o wniosek „Koła”, to trzeba stwierdzić, że jest on ułożony mętnie, a niektóre propozycje są nie do przyjęcia, zwłaszcza propozycja rokowań bezpośrednich o granice i ustęp o nieużywaniu Polski za narzędzie polityki antyrosyjskiej, który drażni Anglię. Uwagi departamentu spraw zagranicznych są w swej istocie zupełnie słuszne. Przy dyskusji szczegółowej, którą proponuję rozpocząć, będziemy zgłaszać poprawki.

Do ustępu pierwszego proponuję poprawkę: zamiast „wyrazić zgodę” słowa „bierze za podstawę”; skreślić „ostatecznego” przy porozumieniu i skreślić ostatnie słowa „wykluczających raz na zawsze wojnę”.

Oleśnicki: — Przy poprawkach proponowanych przez „Romb” należy utrzymać przymus — „zmuszona jest przyjąć za podstawę” — i nie „uratowania” lecz „ratowania niepodległości”. Poza tym trzeba wziąć pewne myśli propozycji „Koła”, tj., że uchwały krymskie są dyktatem, co podkreśla jeszcze przymus. Dalej należy podkreślić, że dyktat ten otrzymała Polska pierwsza w świecie, nawet przed ukaraniem Niemiec. Z takimi poprawkami — myślę — że wszyscy choć z ciężkim sercem będziemy głosowali za rezolucją.

Pełnomocnik: — Kiedy mowa o dyktacie, czy nie włączyć protestu, bo to będzie miało znaczenie historyczne.

Dąbrowski: — Zgodzimy się na poprawki ale nie na protest.

Pełnomocnik: — Jest nieporozumienie, gdyż mówię o proteście przeciw metodzie, a nie merytorycznym, bo my nie odrzucamy uchwał tak, jak rząd, lecz z zastrzeżeniami przyjmujemy.

Dąbrowski: — I na to sformułowanie pójdziemy, jeśli będzie jasne, co dalej, tj., że przyjmujemy linię Mikołajczyka, a nie wysuwamy do pertraktacji instytucji, co zaciemnia linię.

Seret: — Ja bym się nie mógł zgodzić na wyrzucanie za

drzwi instytucji stanowiących atrybut państwa. Propozycja S.L. mówi o postanowieniach konferencji w sprawie konsultacji. Propozycja „Koła” ujmuje to w ustępie 3).

Abstrahując od osoby Mikołajczyka, zwracam uwagę, że wiem, iż Bierut i inni wyjechali do Moskwy i obawiam się, aby przez wysunięcie Mikołajczyka nie wyglądało tak, że konsultacja z nim załatwia wszystko. To mógłby być niebezpieczny precedens. Czy nie lepiej wziąć propozycję „Koła”, która wskazuje bezpośredni adres — przedstawiciele ruchu podziemnego.

Dąbrowski: — To byłoby skierowaniem sprawy na ślepy tor, bo wskazaniem osób, z którymi dziś nie chcę mówić.

Seret: — Trzeba dbać o to, aby nie zgubić instytucji, które są symbolem państwa, o które musimy dbać.

Dąbrowski: — Możemy idąc na dalekie ustępstwa powiedzieć o istotnych reprezentantach stronnictw. Jeśli nie osiągniemy w tym względzie zgody, to my wycofamy ustęp trzeci naszej rezolucji i niech tu zostanie puste miejsce.

Pełnomocnik: — Istotne jest wskazanie adresata. Stronnictwa w moim rozumieniu są złym wskazaniem adresata, gdyż mogą wyciągnąć fałszywe⁸ stronnictwa. A czy jest rzeczą celową, ażebyśmy zneglizowali instytucje tak, jak to zrobiła konferencja.

Nie chowajmy do grobu symbolu państwa i dlatego należy wymienić adresatów, do których „Trzej” powinni się zgłosić. Co się tyczy Mikołajczyka, to byłoby słuszne, aby ta decyzja zapadła jako poufna, która będzie zakomunikowana rządowi w Londynie. Starajmy się utworzyć tu możliwie jednolity ośrodek.

Rzewuski: — Może da się połączyć te dwa stanowiska i niezależnie od punktu czwartego „Koła” przyjąć i punkt trzeci „Trójkąta” w uchwale poufnej. Te dwie rzeczy się nie wykluczają.

Pełnomocnik: — Uważam, że adresatów właściwych powinniśmy wskazać, a co do Mikołajczyka powziąć uchwałę wewnątrz-

8. „Fałszywe stronnictwa” — to zorganizowane, inspirowane i kierowane przez P.P.R. ugrupowania używające tradycyjnych nazw przedwojennych stronnictw politycznych.

Były to: Stronnictwo Ludowe (wywodzące się z małej grupki tzw. „Woli Ludu”, utworzonej w lutym 1944 roku), Polska Partia Socjalistyczna (część konspiracyjnej, współdziałającej z P.P.R. „Robotniczej Partii Socjalistów Polskich” z Osóbką-Morawskim na czele) oraz Stronnictwo Demokratyczne, odtworzone w Lublinie na jesieni 1944 roku przez przybyłych z Rosji kilku przedwojennych członków tego Stronnictwa.

na. Jako uzupełnienie proponowałbym uchwalić żądanie umożliwienia wysłania delegacji z kraju do Londynu dla porozumienia się.

Oleśnicki: — Ja stoję na stanowisku „Koła”.

Seret: — Dyskusję tę traktujemy jako drugie pytanie i proponuję teraz przejść do omawiania punktu czwartego wniosku S.L.

Pełnomocnik: — Dla ścisłości stwierdzam, że po dzisiejszej depeszy rządu nie mam pewności, czy rząd nie chciał się porozumieć z krajem w sprawie protestu.

Oleśnicki: — Niezależnie od tego, czy rząd się porozumiał z krajem czy nie, — miał on obowiązek wyrażenia swego protestu. Moim zdaniem nie można uchwalić wniosku S.L., należy natomiast zwrócić się do rządu z depeszą, że szkoda, że się nie porozumiał.

Seret: — O co chodzi? Czy piętnuje się rząd za to, że zaprotestował, czy o to, że za grubo zaprotestował, czy za to, że bez porozumienia z krajem? Moim zdaniem powinien być zaprotestować. Można natomiast spierać się o to, czy powinien być odrzucić *a limine* postanowienia konferencji.

Dąbrowski: — Chodzi o to, że rząd w tej tak ważnej chwili nie porozumiał się z krajem i to jest jedna sprawa. Wątpliwość może być tylko, czy miał możliwości porozumienia się, choć biorąc pod uwagę datę dzisiejszej depeszy, zdaje się, nie ma wątpliwości, że możliwości miał.

Druga sprawa — czy słusznie postąpił zakładając swój protest. Ale przecież nie można stać na stanowisku, że każdy Polak musiałby zaprotestować. My też się oburzamy, wyrażamy to tylko w innej formie. A przecież rząd jest ważniejszym od nas organem. Rząd powinien był to zrobić z większym namysłem, a nie jak to uczynił, co może być ze szkodą dla kraju.

Pełnomocnik: — Ja stoję jednak na innym stanowisku. Jak wygląda porozumiewanie się rządu z krajem w praktyce i technicznie, to wszyscy wiemy. Zachodzi pytanie, czy rząd mógł odwlekać z powzięciem decyzji⁹. Nie znamy wszystkich okoliczności.

9. Wieczorem 12 lutego 1945 roku brytyjski Foreign Office przekazał Rządowi Polskiemu tekst uchwał powziętych w Jałcie przez „Wielką Trójkę”.

13 lutego Rząd Polski premiera Tomasza Arciszewskiego ogłosił oświadczenie, w którym odrzucił te uchwały i stwierdził, że „nie mogą obowiązywać narodu polskiego”.

Choćby rozkaz do armii wskazuje, że zachodziła potrzeba szybkiego działania. Czy można było dopuścić do buntów na froncie? Uważam, że protest do rządu w tej materii nie ma uzasadnienia.

Seret: — Sprawę uważam za wyczerpaną, przy trzecim czytaniu będziemy nad nią głosować. — Ustęp piąty wniosku S.L. i ostatni propozycji „Koła”.

Pełnomocnik: — Ta sprawa w redakcji „Trójkąta” (natychmiastowe rozwiązanie Delegatury) moim zdaniem nie nadaje się nawet do dyskusji. To jest bardzo ryzykowne postawienie sprawy, a potem po co to publikować. Drugą redakcję — „Koła” — o reorganizacji Delegatury przyjmuję. Wniosków konkretnych nie stawiam, bo nie mam jeszcze w tym względzie uchwał K.R.M. (Krajowej Rady Ministrów — przyp. wł.).

Dąbrowski: — Główną intencją naszej propozycji było uzyskanie policyjnego bezpieczeństwa. Może to nie jest potrzebne. Jeśli będę przekonany, to nie będę się upierał przy naszym wniosku. Można zresztą sprawę odłożyć do następnego posiedzenia, kiedy będzie przygotowany cały plan reorganizacji.

Seret: — Jeśli chodzi o drugą część wniosku o działalności stronnictw, to jest to ich sprawa i lepiej jej w tej chwili nie poruszać.

(*Zapis w protokole:*) Całą sprawę zdecydowano odłożyć. — Ustęp 6) wniosku S.L.

Oleśnicki: — Proponuję zdjąć ten punkt z porządku dziennego.

Dąbrowski: — Nie zamierzam motywować naszego wniosku. My zbiorowo taki sąd i pogląd wypowiadamy, a i R.J.N. powinny swój sąd wypowiedzieć. Chcielibyśmy, żeby ta uchwała była opublikowana.

Pełnomocnik: — Mnie nie bardzo wypada zabierać głosu w tej sprawie. Zdaje się jednak, że wniosek zbytnio upraszcza całe zagadnienie. Trudno za to wszystko, co się dzieje czynić odpowiedzialne te dwie osoby. Można było oskarżać Mikołajczyka, że nie skorzystał z interwencji Harrimana. Ale, aby postawić zarzuty i oskarżenia, trzeba by mieć murowane argumenty i dowody, a wnioskodawcy ich nie dają.

Zdaje mi się, że jest to szkodliwe stawianie sprawy. Wiemy przecież, że powodem jest Rosja, a nie Arciszewski czy Mikołajczyk. Nie rzucajmy przedwczesnych oskarżeń.

Seret: — Nie chcę stawiać w obronie Arciszewskiego, który nie wyemigrował z innymi, lecz wyjechał niedługo przed powstaniem na nasze polecenie, a swoją pozycję zdobył nie w potyczkach dyplomatycznych lecz w długoletniej walce, często z bronią w ręku.

Wiemy, kto zadrażnił stosunki z Rosją, działo się to za rządów Sikorskiego, ale przecież Katyń był tylko pretekstem. Można każdemu stawiać szereg zarzutów w związku z jego działalnością publiczną. Mikołajczyk cały miesiąc w czasie powstania się nie odezwał — miał widocznie jakieś powody — ale dalecy jesteśmy od tego, ażeby z tego tytułu formułować zarzuty.

Czy mają Panowie dowody na to, że Arciszewski spowodował, że nie dostaliśmy Lwowa i Zagłębia? Takich ciężkich zarzutów jeszcze nikt w Polsce nie stawiał, nawet sanacja. Nie bronię Arciszewskiego i nie porównyuję go z Mikołajczykiem, bo spokojny jestem o osąd tego człowieka i słusznie powiedział p. Oleśnicki — zostawmy to ocenie historii.

A poza tym, czyż można tak jednym tchem i w jednym zdaniu postawić na jednej płaszczyźnie odpowiedzialność p. Prezydenta i Premiera Arciszewskiego, kiedy jeden pełni swój urząd pięć i pół lat, a drugi — zaledwie kilka tygodni. My nie mamy żadnych dowodów i taka instytucja jak R.J.N. tak tych spraw rozstrzygać nie może.

Czernik: — Wniosek S.L. szuka kozła ofiarnego, a połączenie tego wniosku z całą rezolucją osłabia nasz protest i daje w rękę broń Lublinowi. Sądzę, że niesłusznie jest odkładać sprawę do sądu historii, ale też byłbym przeciwny, aby ją teraz tutaj rozstrzygać.

Seret: — Ustęp 7) wniosku S.L. — Tutaj jest zarzut przeciw mnie tak, jak gdybym ja wprowadził do urzędowania rząd lubelski. Może ten wniosek, jako dotyczący mojego urzędowania, postawimy na następnym posiedzeniu. Postawię sprawę votum zaufania do mnie. Chcę jasnej gry.

Dąbrowski: — Wniosek istnieje i wycofać go nie mogę.

(Zapis w protokole:) Na tym zakończono drugie czytanie i przystąpiono do trzeciego czytania. Uwzględniając zgłoszone w czasie drugiego czytania poprawki uzgodniono redakcyjnie tekst rezolucji, obejmującej pierwsze trzy ustępy wniosku S.L. i „Kołą” i uchwalono jednogłośnie rezolucję w brzmieniu następującym:

„1. Rada Jedności Narodowej wypowiada przekonanie,

że powzięte bez udziału i zgody Państwa Polskiego postanowienia konferencji krymskiej narzucają, jeszcze przed ukaraniem Niemiec, Polsce, która pierwsza w świecie podjęła walkę z hitleryzmem o wolność własną i cudzą, — nowe, niezmiernie ciężkie i krzywdzące ofiary.

Rada Jedności Narodowej, stanowczo protestując przeciwko jednostronności postanowień konferencji, zmuszona jest zastosować się do niej, pragnąc widzieć w nich w dzisiejszej rzeczywistości możliwość ratowania niepodległości Polski, uniknięcia dalszego niszczenia narodu oraz do stworzenia podstawy organizacji własnych sił i do prowadzenia przyszłej, samodzielnej polityki polskiej, zmierzającej do ugruntowania pokoju w Europie, odbudowy gospodarczej zniszczonego kraju oraz przebudowy stosunków społeczno-gospodarczych w Polsce w duchu prawdziwej wolności i demokracji.

Rada Jedności Narodowej pragnie jeszcze przez to swoje bolesne dla narodu polskiego stanowisko zamanifestować wolę porozumienia się ze wschodnim sąsiadem i nawiązania z nim trwałych, przyjaznych stosunków pokojowych.

2. Wychodząc z tego stanowiska, Rada Jedności Narodowej czyni to w przeświadczeniu, że zarówno zachodni sprzymierzeńcy Polski, jak i ZSRR, w imię uznanych przez nich Karty Atlantycznej i demokracji uszanują istotną niepodległość Państwa Polskiego, a ZSRR powstrzyma się od wszelkiej ingerencji w sprawy wewnętrzne Polski i umożliwi warunki, aby Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej był rządem istotnie niepodległego Państwa Polskiego i miał pełną możność przeprowadzenia wyborów i wykonywania władzy w warunkach prawdziwej wolności i demokracji z wykluczeniem wszelkiego nacisku obcych sił.

3. Rada Jedności Narodowej wyraża przekonanie, że ostateczne ustalenie granicy między Polską a ZSRR nastąpi w drodze bezpośrednich rokowań między tymi państwami, bądź też na konferencji pokojowej; natomiast zachodnią granicą Polski zostanie przesunięta do Nysy Łużyckiej i Odry, a na północy obejmie Prusy Wschodnie.

4. Rada Jedności Narodowej daje wyraz przeświadczeniu, że ogólnikowej formie uchwał konferencji krymskiej o porozumieniu „z przedstawicielami demokracji w kraju i za granicą” zostanie nadana konkretna treść porozumienia się w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej z Radą Jedności Narodowej w kraju oraz z rządem i Radą Narodową w Londynie. Rada Jedności

Narodowej jako przedstawicielka Polski Podziemnej deklaruje swą gotowość do podjęcia rokowań w tej sprawie.

Rada Jedności Narodowej wypowiada opinię, że na stanowisko premiera Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej winien być powołany Stanisław Mikołajczyk, jako człowiek mający zaufanie najszerzych warstw narodu polskiego i gwarantujący utrzymanie w realnej formie sojuszu Polski z zachodnimi sprzymierzeńcami i możliwość osiągnięcia porozumienia z ZSRR.

W związku z powyższym Rada Jedności Narodowej oczekuje umożliwienia bezpośredniego porozumienia się ruchu podziemnego z czynnikami państwowymi w Londynie oraz jego odpowiednikami na emigracji”.

(*Zapis w protokole:*) Po uchwaleniu tej rezolucji przystąpiono do trzeciego czytania dalszych wniosków „Trójkąta”.

Wniosek 4. upadł większością trzech głosów przeciw dwóm („Trójkąt” i „Romb”).

Wniosek 5. — odłożono do następnego posiedzenia.

Wniosek 6. Rzewuski proponuje odroczyć do czasu otrzymania nowych danych w tej sprawie. *Pełnomocnik* sprzeciwia się odłożeniu, a w głosowaniu wniosek Rzewuskiego odrzucono. W głosowaniu nad wnioskiem 6 za wnioskiem wypowiedział się jeden głos („Trójkąt”), a przeciw cztery. Wniosek upadł.

Dąbrowski: — Wnoszę o zakomunikowanie odrzuconych wniosków 4. i 6. Londynowi jako wniosków mniejszości.

Pełnomocnik oświadcza, że chciałby mieć stanowisko Komisji, że sobie tego życzy, gdyż dotąd do Londynu były komunikowane tylko wnioski uchwalone.

(*Zapis w protokole:*) Nad wnioskiem Dąbrowskiego wywiązała się dłuższa wymiana zdań, w której pozostali członkowie Komisji Głównej byli zdania, że zakomunikowanie do Londynu wniosków odrzuconych wraz z jednogłośnie uchwaloną rezolucją podważa znaczenie tej uchwały, przekreśla osiągnięte porozumienie i osłabi nasz front.

Kiedy p. Dąbrowski — mimo apelów i perswazji — wniosku swojego o zakomunikowanie nie chciał cofnąć — zasłaniając się uchwałą swego stronnictwa — i zapowiedział wyciągnięcie konsekwencji, które groziły rozbiciem frontu, Komisja Główna — na wniosek Przewodniczącego — podjęła reasumpcję swych uchwał w przedmiocie wniosków 4, 5, i 6 i postanowiła wziąć

je ponownie pod obrady na oddzielnym posiedzeniu. Z tym załatwieniem sprawy zgodził się i p. Dąbrowski.

Uchwaloną jednogłośnie rezolucję p. Pełnomocnik miał zaraz przesłać do Londynu dla zakomunikowania przez rząd rządowi Wielkiej Brytanii i USA oraz p. Mikołajczykowi.

Wniosek 7. *Seret* zaproponował rozpatrzenie tego wniosku na następnym posiedzeniu jako votum zaufania i ewentualne zwołanie w tej sprawie plenum Rady. Propozycję przyjęto.

Na tym posiedzeniu „*Niedźwiadek*” złożył swoje sprawozdanie informacyjne. Na wstępie odczytuje wydane przez siebie dwa rozkazy do dowódców A.K. o rozwiązaniu i zwolnieniu z przysięgi, oraz rozkaz pożegnalny Prezydenta do A.K. Rozwiązanie nastąpiło na skutek wyraźnego rozkazu z Londynu, a powodami było ustosunkowanie się władz sowieckich do A.K. płynące częściowo z uchwał teherańskich, które przewidywały rozwiązywanie tajnych armii na terenach odbitych i traktowanie nieujawniających się jako siły wrogiej. Poza tym szeregi A.K. były dość głęboko spenetrowane przez czynniki NKWD, co mogło za sobą przy trwaniu A.K. pociągnąć dalsze ofiary.

Na zajętych na wschód od Wisły terenach zostało aresztowanych przeszło 30 tysięcy żołnierzy i oficerów A.K. (w Lubelskiem — 15 tys., w Białostockim — 12). Mimo tak wielkich ofiar A.K. trwa tam nadal. W Wileńszczyźnie są silne oddziały, a w Lubelszczyźnie i w Białostockim nie ma większych oddziałów, istnieje jednak łączność i organizacja.

Mam zamiar wysłać depeszę do p. Prezydenta w odpowiedzi na jego rozkaz, w której chcę wskazać na zaniedbanie sztabu N.W., co może skłoni go do energiczniejszego działania i dania nam pomocy.

(*Zapis w protokole:*) Dalej *Niedźwiadek* przedstawia sprawę próby nawiązania z nim kontaktu przez marszałka Żukowa. Przy omawianiu tej sprawy jednogłośnie odradzano pójście na takie spotkanie z motywacją, że po rozwiązaniu A.K. nie ma i Komentanta A.K. Dalej stwierdzono, że żadnej dywersji na tyłach wojsk sowieckich oddziały A.K. nie prowadzą, a dywersja, jaka ma miejsce, może być dziełem czynników niemieckich lub prowokacyjnych.

Dla odcięcia się od tej sprawy *Seret* zaproponował wydanie przez Pełnomocnika enuncjacji, że A.K. jest rozwiązana i że za wszelką dywersję, która może pochodzić z różnych stron my nie ponosimy żadnej odpowiedzialności.

Oleśnicki propozycję tę poparł, a *Pełnomocnik* ją przyjął.

Na tym posiedzenie zamknięto. Następne posiedzenie wyznaczono na sobotę 24 bm.



24 lutego wznowiono dalsze obrady Komisji Głównej przy obecności tych samych pod przewodnictwem *S e r e t a*.

(*Zapis w protokole:*) Na wstępie przewodniczący proponuje zakończyć na tym posiedzeniu obecną sesję Komisji Głównej, następnie utrzymać łączność dla możliwości szybkiego zebrania się w każdej chwili, a w każdym razie przygotować się do rozpoczęcia — mniej więcej — za dwa tygodnie dalszych obrad. Z propozycją zasadniczo zgodzono się.

Seret: — Trzeba zastanowić się dziś nad praktycznym wykonaniem powyższych uchwał. Jeśli by ktokolwiek z tu obecnych został zaproszony na rozmowy przez Komisję Trzech, to powinniśmy się zobowiązać wzajemnie, aby tam zwrócić uwagę, że właściwą do podjęcia rozmów jest R.J.N., ewentualnie złożyć protest i zostać w charakterze informacyjnym, a potem wrócić tu i wspólnie się do sprawy ustosunkować. Najlepsze byłoby, aby R.J.N. była tym organem, który reprezentuje cały ruch podziemny. Czy takie wzajemne zobowiązanie jest możliwe i czy gotowi jesteśmy je powziąć?

Pełnomocnik: — Dziś należy omówić taktykę w związku z powyższymi uchwałami. Już na poprzednich posiedzeniach proponowałem, ażeby utrzymać taktykę jednolitą, bo inaczej możemy się skompromitować. Dlatego, zdaje mi się, że dobrze byłoby wybrać już teraz małą komisję do konsultacji i dać jej upoważnienia. Stawiając sprawę zupełnie wyraźnie uważam, że jeśli by ktoś indywidualnie był zaproszony, to nie powinien jechać, lecz odpowiedzieć, że jest upoważnione ciało ruchu podziemnego (R.J.N.) i Delegatury, które ma pełnomocnictwa do podjęcia rozmów.

Seret: — To byłoby nowe ciało, któremu dawałaby pełnomocnictwa R.J.N. i K.R.M. Obawiam się, że to mogłoby prowadzić do nowego nieporozumienia, gdyż byłoby to dublowanie Komisji Głównej.

Pełnomocnik: — Dyskutujemy, co będzie praktyczniejsze, czy węższa delegacja czy też szersza, np. 5 członków Komisji Głównej i 4 członków K.R.M.

Seret: — Są trzy czynniki: R.J.N., K.R.M. i stronnictwa polityczne. Zdaje mi się, że Komisja Główna wszystko to załatwia,

gdyż wśród nas są i stronnictwa i K.R.M. w osobie p. wicepremiera. Poza tym myślę, że jeśli ktoś będzie zaproszony indywidualnie, to powinien jechać, bo nieobecny traci. Tam może wypowiedzieć swoje zdanie — i to zdanie wszystkich stronnictw — że na konferencji nie jest obecny zorganizowany ruch podziemny. Wtedy nikt nie będzie się mógł tłumaczyć, że zaproszenia nie przyjęli zaproszeni. Każdy winien bronić całego zespołu i jego praw.

Dąbrowski: — My nie stoimy ściśle na stanowisku formalno-prawnym dekretów etc. Nie wiemy, kto będzie zaproszony: R.J.N., stronnictwa czy osoba. Uważam, że formalizować nie można i nie można krępować stronnictw. Minimum zobowiązań winno być powiedzenie tam wzajemnie lojalnie, że ciałem odpowiedzialnym jest R.J.N., a też wskazać, które stronnictwa są właściwe, tj. te, które są tu reprezentowane. Propozycję p. Pełnomocnika powołania nowego ciała trzeba jeszcze rozważyć, może to mieć plusy, ale będzie swobodę stronnictw (brak dokończenia — zapewne miało być „ograniczać” — przyp. wł.). K.R.M. nie chcielibyśmy dać mandatu reprezentowania całego ruchu podziemnego.

Seret: — Byłbym zdania, aby dać spokój tej nowej komisji, gdyż faktem jest, że tu zasiadają stronnictwa należące do R.J.N., zasiada też rząd przez swego reprezentanta, więc Komisja Główna w składzie, w jakim się teraz zbieramy, jest właśnie tym ciałem, które reprezentuje działaczy ruchu podziemnego. „Trójka” może zneglizować nas, ale nie może pominąć partii.

Może zachodzić obawa, że Komisja Trzech może być dezorientowana w sprawie partii przez podszepty komunistów. Dlatego też uważamy, że powinniśmy zobowiązać się, że każdy musi zwrócić uwagę „Trzech” na stan faktyczny i pogląd nasz na nowy rząd oraz na klucz ułożenia tego rządu, jak również rozszyfrować osobę Mikołajczyka. Obok osoby Mikołajczyka ważny jest dla nas klucz tak, jak go ujmuje memorandum sierpniowe¹⁰.

10. Tzw. „memorandum sierpniowe” dotyczyło projektu ułożenia stosunków polskich z Rosją, opracowanego przez Premiera Mikołajczyka w sierpniu 1944 po powrocie z Moskwy.

Projekt ten, przesłany w czasie Powstania do Warszawy dla uzyskania opinii Kraju, otrzymał zasadniczo poparcie Rady Jedności Narodowej (zgłoszono tylko kilka poprawek, lecz nie dotyczyły one układu sił politycznych w przyszłym rządzie).

Projekt Mikołajczyka poparty przez R.J.N. przewidywał dopuszczenie P.P.R. jako piątego obok Czwóroporozumienia stronnictwa, stanowiącego podstawę polityczną rządu. Każde z tych pięciu stronnictw miało partycypować w podziale tek ministerialnych na zasadzie równości.

Oleśnicki: — Jestem zdania, że nie należy tworzyć nowej komisji, gdyż tam nie mogliby się znaleźć przedstawiciele wszystkich stronnictw. Lepiej pozostać przy Komisji Głównej i podzielać to, co powiedział na ten temat Seret. Również słuszne stanowisko p. Dąbrowskiego, że ktoś zawezwany na rozmowy musi wyjaśniać wszelką dywersję w postaci fałszywych stronnictw. Poza tym stawiam pytanie, czy osoby konsultowane mają mówić tylko o rządzie, czy też i jego pracach, więc i o wyborach.

Dąbrowski: — W dyskusji poruszono sprawę nową tzw. klucza. Stawianie klucza z memorandum jako jedynej sprawy nie załatwi. Dochodzą słuchy o innych koncepcjach: 4 — Londyn, 4 — kraj, 4 — Lublin, ale czy wśród czterech z Londynu będą nasi ludzie, tego nie wiemy. O kluczu trzeba będzie jeszcze pomówić.

Druga nowa sprawa — to obowiązek demaskowania fałszywych stronnictw. Takie wzajemne zobowiązanie byłoby słuszne. Tworzenie nowej komisji, nawet przy pewnych plusach, nie byłoby pożądane. Trzeba określić, czy w sprawie rządu Komisja stoi na stanowisku memorandum, gdyż my jako stronnictwo — nie stoimy.

Oleśnicki: — Przy konsultacji trzeba stać sztywno na stanowisku memorandum. Co z tego wyniknie, to rzecz inna. Jest jeszcze jedna sprawa, trudna do przeprowadzenia ale nie beznadziejna, tj. porozumienie się kraju z Londynem. Może łatwiejszy do osiągnięcia byłby przyjazd Mikołajczyka w asyście tu celem porozumienia się. Dlatego może dobrze byłoby prosić p. Pełnomocnika o wysłanie depeszy do Londynu, proszącej o przysłanie tu delegacji z Mikołajczykiem.

Rzewuski: — Słyszałem w Warszawie pogłoski na temat tworzenia rządu. Na ogół jest w Lublinie konsternacja po powrocie z Moskwy. Powtarza się wersję, że w rządzie ma być nie dwanaście lecz trzynaście miejsc, z czego cztery dla Lublina, a reszta dla osób, które wybierze Komisja Trzech. Podobno wykluczają rozmowy z sanacją i S.N. Jeśli chodzi o propozycję, to uważam, że nie należy tworzyć nowej komisji — zatrzymać się na Komisji Głównej, w której K.R.M. winna być reprezentowana przez p. Pełnomocnika. Jeśli chodzi o ewentualne rozmowy w Moskwie poszczególnych osób, to powinno być zobowiązanie do wskazywania właściwych adresów do konsultacji.

Niedźwiadek podaje informacje, że podobno Lublin na cztery miejsca żąda tek: spraw wewnętrznych, oświaty i skarbu.

Pełnomocnik: — Stawiając wniosek wyłonienia komisji myślałem, że mogłaby być ciałem bardziej sprawnie działającym. Dalej myślałem, że przez wybór komisji — wobec istniejących wniosków o votum nieufności — mogłyby być obdarzone zaufaniem wchodzące w grę osoby. Ale jeśli są trudności, to zgadzam się, że Komisja Główna może być tym ciałem, które będzie upoważnione do wydawania opinii.

Jeśli chodzi o K.R.M., to nie wiem, do kogo Panowie nie mają zaufania. Formalnie jesteśmy członkami rządu. Chodzi mi o to, aby te dwa ciała K.R.M. i Komisja Główna nie działały odrębnie. Jeśli chodzi o kwestie zasadnicze, to musimy stać na stanowisku memorandum, a jeśli chodzi o rząd, to w Moskwie trzeba postawić wyraźnie sprawę niezależności rządu, tj. sprawę NKWD i o tym trzeba mówić wobec pp. Harrimana i Kerra. Zgadzam się na inne wnioski, zwłaszcza na obowiązek demaskowania fałszywych stronnictw.

Mamy projekt wysłania depeszy od K.R.M. o przysłaniu tutaj delegacji z Londynu. Jest też wniosek zakomunikowania Londynowi nazwisk prezesów stronnictw, ale co do tego mam wątpliwości, bo mogłoby to zachęcać do rozmów ze stronnictwami oddzielnie, a przez to osłabić R.J.N.

Seret: — Podniósłbym jeszcze dwie rzeczy: potrzebę powszechnej amnestii i wyżywienie dla powracających uchodźców oraz potrzebę zbadania, do jakiego ciała mają być przeprowadzone wybory. Kwestia ordynacji i terminów należy do rządu, ale trzeba wyjaśnić, czy wybory mają być do konstytuancy, czy też mają stanowić plebiscyt. Pamiętajmy, że w tej chwili nie mamy suwerena, więc tylko sejm suwerenny jest właściwy. Nie chcę, żebyśmy tę sprawę decydowali, ale musi być ona poruszona w Moskwie.

Czernik: — Są dwa zagadnienia: kto ma mówić i co mówić. Pierwszego nie przesądzimy, bo nie wiemy, kogo zaproszą — najlepiej, żeby to była R.J.N. Dla mnie ważniejsze jest zagadnienie, co mamy mówić. Chciałbym poruszyć sprawę amnestii, a dalej gwarancji bezpieczeństwa stronnictw i wolności prasy. Pożądane byłoby ułożyć kajet rozmów.

Niedźwiadek dorzuca do sprawy amnestii sprawę zaprzestania ścigania członków A.K.

Seret: — Reasumując widzę jednomyslność zatrzymania tych spraw w łonie Komisji Głównej. Dalej — obowiązek informo-

wania przez każdego, kto pojedzie, tak jak to ustaliliśmy, kto reprezentuje ruch podziemny i jakie ma ten ruch stanowisko: w sprawie rządu, tj. klucza i że premierem powinien być Mikołajczyk. Może przyjmujemy też projekt ułożenia kajetu rozmów.

Zostaje sprawa porozumienia z Londynem. Oczywiście najprostsze byłoby, żeby tu przyjechał Mikołajczyk, może w asyście. Ale to od nas nie zależy, więc trzeba o to szturmować w Londynie. I w tej sprawie stanowisko jest jednolite i uważam to za uchwałę.

Dąbrowski proponuje rozszerzenie tematu rozmów w Moskwie, poza tworzeniem rządu, na sprawę prasy, wolności, gwarancji itd., gdyż będzie mowa o tworzeniu rządu nie normalnego.

Pełnomocnik: — Kajety należy przygotować i to w kilku egzemplarzach tak, aby każdy mówił jednolicie.

Oleśnicki: — Kajet może przygotować K.R.M., a za podstawę wziąć memorandum i rozesłać członkom do wglądu i uwag w sprawie rządu, wyborów i celu wyborów.

Seret: — Jestem zdania, że sprawę należy postawić jasno jako konieczność, że to będzie konstytuanta mimo, że to może być skok w ciemność.

Oleśnicki: — Trzeba jednak postawić pewne ramy temu sejmowi mianowicie, że nie może on decydować o niepodległości państwa, bo już samo ograniczenie prawa wzięcia udziału w wyborach do stronnictw demokratycznych odbiera mu prawa nieograniczone, prawa konstytuanty.

Pełnomocnik: — Byłbym przeciwny dawaniu temu sejmowi prawa pełnej konstytuanty, bo wybory będą przeprowadzone przy okupacji i bez udziału repatriantów. Zwężyłbym prawa do uchwalenia tymczasowej konstytucji, bo nie ma stabilizacji stosunków — ani społecznych, ani administracyjnych, ani komunikacyjnych — z obowiązkiem nowych wyborów w określonym terminie. Można to poruszyć w kajecie, który poda się do wiadomości drogą „kurendy” i wyłonić komisję, żeby na podstawie uwag uchwaliła tekst tymczasowy na wszelki wypadek. Ostateczny tekst ustali Komisja Główna na następnym posiedzeniu.

Dąbrowski: — Czy jest w naszym interesie, żeby wybory odbyły się szybko czy później? Sądzę, że nie należy zbytnio przewlekać,

bo obecnie — jeśli chodzi o komunistów — to nastroje są wybitnie przeciwko nim. Druga ważna kwestia — to ordynacja wyborcza, a nad sprawą konstytucji i konstytuanty trzeba się jeszcze zastanowić.

Seret: — Wyczerpaliliśmy dyskusję i pozostaje nam tylko prosić p. Pełnomocnika o wygotowanie kajetu i rozesłanie go celem poczynienia uwag drogą kurendy.

Pełnomocnik obiecuje, że kajet rozesłany będzie w ciągu 2-3 dni.

Czernik wnosi o dodatkowe zawiadomienie Londynu, że uchwalona przez Komisję Główną rezolucja zapadła jednomyślnie.

(*Zapis w protokole:*) Po krótkiej wymianie zdań propozycję przyjęto.

Seret: — Teraz przystępujemy do omówienia dalszych wniosków „Trójkąta”.

Oleśnicki: — Po załatwieniu wszystkich spraw tak jednomyślnie wnoszę, aby p. Dąbrowski zechciał swoje wnioski na pewien czas zawiesić.

Dąbrowski: — Podtrzymujemy wnioski, ale wnoszę poprawki. W punkcie szóstym skreślić na początku słowa „Premiera Arciszewskiego”, a dodać na końcu wniosku: „natomiast prem. Arciszewskiego za przyczynienie się za czas swego urzędowania do tego stanu rzeczy”.

W punkcie siódmym zamiast słowa „negatywnego” (stanowiska) wstawić „własnego”.

Pełnomocnik: — W sprawie reorganizacji Delegatury na wczorajszym posiedzeniu K.R.M. mój pierwszy zastępca zaproponował bardzo radykalne i daleko idące zmiany. To wymaga przepracowania i dlatego nie mogę przyjść z żadnym wnioskiem. Inne wnioski nie były przez K.R.M. rozpatrywane; poinformowałem tylko o nich swoich kolegów. K.R.M. w tej sprawie stanowiska nie zajęła.

Seret: — Mamy do czynienia nie z sprawą zaufania do rządu lecz oskarżenia rządu bez podania dowodów. K.R.M. w tej sprawie nie może uchylić się od zabrania głosu. Tu chodzi o wydanie wyroku bez przewodu. Rząd (K.R.M.) powinien nas poin-

formować o stanie faktycznym. We wnioskach są sugestie, nie ma dowodów. I dlatego potrzebna jest ekspertyza, której oczekujemy od K.R.M.

My nawet nie wiemy, co się stało na konferencji krymskiej. K.R.M., która jest częścią rządu, musi wziąć obowiązek przyjęcia odpowiedzialności za pewien porządek prawny. W tym sensie zwracam się o opinię i dokumentację.

Pełnomocnik: — Wnioski te są polityczne, wpływające ze stanowiska S.L. do rządu. Nikt nas o ekspertyzę nie prosił. Poza tym nic więcej w tej sprawie nie wiem niż Panowie, którzy znacie wszystkie depesze, jakie nadeszły. We wnioskach chodzi o danie wyrazu stosunku politycznego S.L. do rządu.

Seret: — Rząd jest zaatakowany i nie jest o tym poinformowany, nie broni się, a my (mamy — przyp. wł.) tu głosować. Takie stawianie sprawy jest bez precedensu w praktyce parlamentarnej.

Pełnomocnik: — Zastanawiałem się nad poinformowaniem rządu o tym wniosku, ale wiedząc, że istnieje cenzura depesz i nie chcąc, aby ta sprawa wyszła na zewnątrz, zaniechałem tego. Jeśli chodzi o sprawę Lwowa i Zagłębia Naftowego, to wypowiedziałem się już w tej sprawie, że uważam za błąd Mikołajczyka, że nie wykorzystał interwencji Harrimana.

Dąbrowski: — Nie ulega wątpliwości, że wniosek ma akcent polityczny i nie są to rzeczy nowe. Z atakiem przeciw Prezydentowi już występowaliśmy i też daliśmy wyraz temu stosunkowi do rządu w depeszy trzech stronnictw. Godzimy się na poprawkę, aby nie stawiać w jednej płaszczyźnie p. Prezydenta i premiera Arciszewskiego.

Przy katerycznym żądaniu przesłania tych wniosków do Londynu nie będę się upierał ze względu na cenzurę, jak również nie upierałbym się przy uzyskaniu opinii K.R.M.

Oleśnicki: — Mam wątpliwości, czy możemy te wnioski w ogóle głosować i załatwić negatywnie czy pozytywnie. Nie ma konstytucyjnego przepisu o osądzaniu politycznym Prezydenta. Można go postawić w stan oskarżenia¹¹. Ze względów formalnych wniosek co do Prezydenta nie powinien być rozpatrywany.

11. Konstytucja polska z 1935 roku w artykule 15 stwierdzała: „Prezydent Rzeczypospolitej za swe akty urzędowe nie jest odpowiedzialny. Za czyny, niezwiązane ze sprawowaniem urzędu, Prezydent Rzeczypospolitej nie może być pociągnięty do odpowiedzialności w okresie urzędowania”.

Może być rozpatrywany wniosek co do osoby Premiera, ale my jako R.J.M. jesteśmy instytucją doradczą i nie mamy prawa zgłaszać votum nieufności. Możemy zgłaszać dezyderaty, opinie nawet negatywne, ale nie możemy obalać rządu. Dlatego uważam, że wnioski powinny być zdjęte z porządku dziennego. Ale poza tym, czy możemy wydawać sąd bez wysłuchania samego oskarżonego nawet, gdybyśmy mieli ku temu formalne prawo.

Po raz drugi apeluję do p. Dąbrowskiego, aby dziś cofnął te wnioski. Niech one znajdą wyraz w odpowiednim czasie i odpowiedniej instytucji. Może taki wniosek być postawiony przez S.L. w Radzie Narodowej w Londynie, gdzie p. Arciszewski może się wypowiedzieć.

Czernik: — Są postawione wnioski polityczne i będą one miały — jeśli ich nie rozpatrzmy — konsekwencje polityczne: naszego rozejścia się. Wiemy, że p. Dąbrowski jest związany uchwałą swego stronnictwa, ale nie chce, aby sprawa rozeszła się za granicą. Rozszerzmy to na kraj. Stawiam wniosek: „Stronnictwa wchodzące w skład Komisji Głównej zwracają się do „Trójkąta” z prośbą o odroczenie stawiania spraw zawartych we wnioskach od 4 do 6”.

Oleśnicki: — Wnoszę o odroczenie rozpatrzenia wniosków do zwołania pełnej Rady, która się wypowie, czy mamy formalne prawo do ich rozpatrywania.

Seret: — Już p. Czernik mówił o rozejściu się tej sprawy w kraju. Chodzi mi tylko o czas załatwienia tej sprawy. Czy załatwić ją teraz, kiedy stoimy przed koniecznością załatwienia uchwał konferencji krymskiej. Nawiązując do przemówienia p. Czernika, wnoszę o (jej — przyp. wł.) odroczenie do czasu załatwienia spraw związanych z konferencją krymską.

Niedźwiadek: — Sformułowanie wniosków jest już jakby ferowaniem wyroków, a potrzebnych dowodów nie posiadamy. Są tu dwie sprawy, Premiera i Prezydenta. Jeśli można rozpatrywać wniosek w stosunku do Premiera, to Prezydenta można tylko oddać pod sąd. A nawet w 1939 roku nie postawiono w stan oskarżenia Prezydenta Mościckiego mimo większych przewinień. Odłożono to na przyszłość, bo przeważyło zdanie, że w tym momencie nic by to państwu dobrego nie dało, a tylko zło.

Nikt od odpowiedzialności uciec nie może. Oskarżenie zostanie i będzie musiało być załatwione. W tym momencie zrobił to już P.K.W.N. odbierając obywatelstwo Raczkiewiczowi, Arciszewskiemu i Mikołajczykowi. To odnośnie wyjścia sprawy na zewnątrz.

A co da na wewnątrz upieranie się przy wniosku? Osłabienie, podkopanie misji Mikołajczyka. Dlatego podtrzymuję wniosek p. Czernika, aby sprawę odłożyć do czasu, kiedy nie zaszkodzi sprawie polskiej.

Dąbrowski: — A jak p. Prezes stawia ostatni wniosek? (Wniosek 7 S.L. — przyp. wł.).

Seret: — Jestem *in statu dimisionis* i rzekam się wyjaśnień, a na plenum postawię votum zaufania, które będzie traktowane regulaminowo, tj. głosowane bez dyskusji.

Rzewuski: — Na poprzednim zebraniu stawiałem wniosek o odroczenie, ale mój wniosek upadł. Dziś zjawiają się znowu takie wnioski. My odnosimy się krytycznie do osoby p. Raczkiewicza i to podtrzymujemy. W sprawie p. Arciszewskiego wnosiliśmy o wyłączenie z wniosku ustępu o Lwowie i Zagłębiu (naftowym — przyp. wł.), bo sprawy te zaczęły się dawniej i odpowiedzialność za to musi być podzielona.

Co do wniosku 4, to zgłaszaliśmy już protesty pod adresem rządu za nieinformowanie nas o ważnych sprawach, a dziś należy to przypomnieć jeszcze raz. Nie mógłbym głosować za formułą ustępu 6 o odpowiedzialności Arciszewskiego za Lwów i Zagłębie. Zastrzeżenie przeciwko osobie Raczkiewicza podtrzymujemy.

Dąbrowski: — Gotów jestem odłożyć wnioski 5 i 6, a podtrzymuję wniosek 4.

Seret: — Czy Pan nie bierze pod uwagę, że rząd nie mógł inaczej postąpić i że myśmy w naszej decyzji też zaprotestowali?

Oleśnicki: — Uważam, że rząd powinien był zaprotestować, bo wszystkie nasze rządy domagały się załatwiania spraw Polski z udziałem rządu, więc postąpił słusznie.

Pełnomocnik: — Wszystkie sprawy, o których tu mówimy, są sprawami wagi historycznej. W uchwałach krymskich pominięto rząd i Prezydenta, symbole państwa, a znalazło się tylko określenie o przedstawicielach demokracji za granicą. Do tego doszły obawy o morale wojska. Więc rząd musiał zaprotestować i nie można mu z tego robić zarzutu. My przez nasze uchwały dajemy rządowi wyjście z sytuacji, więc nie można robić z tego winy rządowi.

Rzewuski: — Wydaje mi się, że jeśli kiedykolwiek synchro-

nizacja była potrzebna — to w tej sprawie. Już propaganda sowiecka ciągle wyciąga, że rząd sobie a kraj sobie.

Dla mnie ważne jest, że protest powinien być wyjść równocześnie od rządu i z kraju. Rząd musi zrozumieć, że rząd i kraj stanowią jedną całość. Jeśli nie było możliwości porozumienia się z krajem, to byłbym skłonny osłabić wniosek w tym sensie, że tam nie ma winy.

Czernik: — Byłem za odroczeniem i tego wniosku. Ale skoro go rozpatrujemy, to gdyby była poprawka, która nie czyni zarzutu z faktu protestu — ułatwiłoby mi to głosowanie. Proponuję zamiast „zdecydował odrzucić” — „ustosunkował się”.

Seret: — Mnie ułatwiłoby głosowanie, gdyby nie było słów „z ubolewaniem”.

(*Zapis w protokole:*) Przystąpiono do głosowania. Poprawka o skreślenie słów „z ubolewaniem” została odrzucona 3 : 2.

Poprawkę Czernika Dąbrowski przyjął. W głosowaniu nad całym — wniosek z poprawką Czernika przyjęto głosami 3 : 2.

Wniosek o odroczenie ustępu (powinno być „wniosków” — przyp. wł.) 5 i 6 został przyjęty jednomyślnie.

Pełnomocnik podnosi sprawę zajęcia stanowiska w stosunku do sprawy ogłoszenia się Komitetu Lubelskiego za rząd tymczasowy. Chciałbym, żeby Panowie, jeśli nie uważają tego za spóźnione, powzięli w tej sprawie uchwałę, która mogłaby być ogłoszona.

Oleśnicki: — Uważam sprawę za spóźnioną. Natomiast można by w artykule w *Rzeczypospolitej* stwierdzić jednomyślność stronnictw przeciwko temu rządowi.

Seret: — Nie rozumiem potrzeby formalizowania. W sprawie rządu lubelskiego nie było nigdy wątpliwości co do naszego jednolitego stanowiska w stosunku do niego.

(*Zapis w protokole:*) Postanowiono, że sprawa ta zostanie załatwiona przez odpowiedni artykuł w *Rzeczypospolitej*.

V. *Przewodniczący* komunikuje, że wpłynął wniosek przedstawiciela „Ojczyzny” w sprawie wyrażenia rządowi Arciszewskiego votum nieufności za zrzeczenie się Wrocławia i Szczecina. Wniosek jest załączony do protokołu i będzie przedstawiony na plenum.

Na tym posiedzenie zamknięto.

FRAGMENTY PAMIĘTNIKA STANISŁAWA DOWNAROWICZA

W dwu listach Józefa Piłsudskiego do Leona Wasilewskiego cytowanych na str. 142, 143, 144 w numerze dziewiętnastym *Zeszytów Historycznych*, znalazłem odcinki na temat N.K.N. i jego Departamentu Wojskowego. Na pewno wielu się znajdzie co staną w obronie napadniętej tam „osoby” Sikorskiego — ja zajmę się „osobą” Downarowicza.

Wśród ocalałych po Stanisławie Downarowiczu papierów, znalazłem rękopis fragmentu jego pamiętnika właśnie odpowiadającego w czasie wzmiance Józefa Piłsudskiego z owych listów do Leona Wasilewskiego.

W myśl zasady *audiatur et altera pars* proszę o zamieszczenie tych fragmentów.

Zacznę od noty biograficznej. Stanisław Downarowicz urodził się dnia 28 marca 1874 w Łochowie, powiatu węgrowskiego, Ziemi Siedleckiej. Ojciec Medard, syn Stanisława, Downarowicz herbu Przyjaciół. Matka Stefania, córka Józefa, z domu Hornowska herbu Korczak. Po zdaniu matury w Libawie zapisał się Stanisław Downarowicz na Wydział Prawny Uniwersytetu Warszawskiego, aresztowany 2 lutego 1896, przesiedział w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej do 31 grudnia tegoż roku, kiedy to zwolniony za kaucją został wydany z Uniwersytetu Warszawskiego oraz wszystkich zakładów naukowych Państwa Rosyjskiego. Pod koniec roku 1897 wyemigrował z zaboru rosyjskiego i dalsze studia kontynuował we Lwowie. Początkowo Wydział Prawa uniwersytetu, potem Politechnika — Wydział Inżynierii Lądowej i Wodnej ukończył w roku 1907. Zatrudniony w Dyrekcji kolei w Stanisławowie, potem starszy inżynier Magistratu m. Lwowa (dział drogowy). Od wybuchu Wojny Światowej służba w Legionach polskich (Departament Wojskowy) do chwili rozwiązania Legionów. 15 lutego 1917 powołany na stanowisko st. referenta w Departamencie Spraw Wewnętrznych Tymczasowej Rady Stanu w Warszawie — po czym Naczelnik Wydziału i wreszcie Szef Sekcji Administracyjnej w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych do 28 lutego 1919. Od 1 marca 1919 w Zarządzie Cywilnym Ziem Wschodnich, początkowo Naczelnik Wydziału Administracyjnego, potem Szef Sekcji Administracyjnej, jednocześnie przedstawiciel Komisarza Generalnego Ziem Wschodnich przy Dowództwie Frontu Litewsko-Białoruskiego do połowy lipca 1920 tj. do chwili ewakuacji Wilna, po czym likwidacja Sekcji Administracyjnej do 21 stycznia 1921 i wreszcie od 7 marca do 7 sierpnia 1921 —

Szef Biura Komisji Likwidacyjnej. Od 13 sierpnia do 19 września 1921 — wojewoda Wołyński. Od 19 września 1921 do 10 marca 1922 — minister Spraw Wewnętrznych. Od 18 maja 1922 do 31 października 1924 — wojewoda Poleski. Rok 1925 — badania z ramienia ministra Spraw Wojskowych zakładów przemysłu wojennego w charakterze eksperta, po czym w latach 1926 i 1927 przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wojskowych w Radzie Nadzorczej i Komitecie Wykonawczym Zakładów Starachowickich. Od marca 1929 do marca 1930 w Gdańsku, jako kierownik tamtejszego oddziału Zakładów Zaopatrywania m. Warszawy. Od kwietnia 1930 do końca września 1933 — Prezes Zarządu i Dyrektor Krajowego Towarzystwa Melioracyjnego S.A. w Warszawie. Od października 1933 do wybuchu wojny — wice-Dyrektor Miejskich Zakładów Wodociągowych i Kanalizacyjnych m. Warszawy. Na tym stanowisku ściśle współpracował z prez. Stefanem Starzyńskim — odznaczony Krzyżem Walecznych. Pod okupacją kierował Miejskimi Zakładami Wodociągowymi aż do aresztowania przez Gestapo we wrześniu 1940. Przesiedział na Pawiaku do listopada, po czym współpracował z prez. Kulskim w Zarządzie Miejskim do dnia 9 grudnia 1940, kiedy został ponownie aresztowany, osadzony na Pawiaku skąd wywieziony w początku stycznia 1941 do Oświęcimia, gdzie zmarł 11 marca 1941.

Stefan M. J. KOMORNICKI

FRAGMENTY PAMIĘTNIKA STANISŁAWA DOWNAROWICZA

W styczniu 1915 roku przybyłem do Warszawy z Krakowa, jako członek i przedstawiciel tamtejszego Naczelnego Komitetu Narodowego oraz zastępca szefa i przedstawiciel Departamentu Wojskowego N.K.N. Celem mego przyjazdu było nawiązanie kontaktu z warszawskimi kołami politycznymi i przygotowanie odpowiedniego przyjęcia Polskich Legionów, wobec spodziewanego ustąpienia z Warszawy rosyjskich wojsk i władz przed zbliżającymi się wojskami państw centralnych. Drogę z Krakowa do Warszawy odbyłem przez Rumunię, przebywszy granicę rosyjską w Jassach, na podstawie wewnętrznego paszportu rosyjskiego, wydanego rzekomo w Lubartowie, a faktycznie sfabrykowanego w Krakowie na imię Stefana Dembowskiego. Przez Kijów i Wilno przybyłem do Warszawy... Gdy zadanie swe na terenie

Warszawy uważałem za jako tako, w granicach możliwości, wykonane, a za ważne i pilne uważałem zdanie z mej misji Naczelnemu Komitetowi Narodowemu w Krakowie (sprawozdania?), zacząłem pod koniec marca czynić starania o powrót do Krakowa. Starania o przejście przez front zawiodły, natomiast otrzymałem adresy osób w Petrogradzie, które miały mi ułatwić wyjazd przez Finlandię i Szwecję... Wszystkie te starania zajęły kilka tygodni czasu, pobyt mój w Warszawie stawał się coraz trudniejszy, tak że ostatnio mieszkalem u znajomych na wsi — w Jaktorach pow. Radzymin, dojeżdżając tylko do bliskiej Warszawy. Zresztą niewiele już tu miałem do zrobienia, a uważałem za pilne przybyć do Krakowa, zanim nastąpi spodziewane wkroczenie do Warszawy Niemców. Napotykając trudności i brak oczekiwanej pomocy, zarówno w przejściu frontu jak i w uzyskaniu bezpiecznego paszportu, postanowiłem nie czekać dłużej i jechać do Petrogradu z tym co mam... Zaznaczyć mi wypada, że na terenie Warszawy, Naczelny Komitet Narodowy i jego Departament Wojskowy, nie miały żadnych organów, myśl legionową reprezentowała tu Polska Org. Wojsk. (P.O.W.) oraz emisariusze I Brygady L.P. Z pierwszymi i drugimi stale spotykałem się, starając się o zharmonizowaną i lojalną współpracę, zmierzającą do jednego celu: zaszczerpienia i rozszerzenia myśli legionowej i przygotowania odpowiedniego przyjęcia dla mających niebawem wkroczyć wraz z wojskami państw centralnych — pułków Polskich Legionów. We wszystkich też rozmowach z politycznymi kołami w Warszawie, unikałem przeszczepiania tu wewnętrznych sporów jakie istniały w obozie legionowym (I Br., II Br., Dpt. Wojsk., N.K.N.). Mimo takiej zajętej przeze mnie pozycji i najlepszych stosunków ze spotykanymi w Warszawie przedstawicielami P.O.W., emisariuszami I Br. i miejscowej lewicy, nie udało mi się uzyskać innej pomocy dla powrotu do Krakowa, prócz wskazania mi dwu adresów w Petrogradzie. M.in. Aleksander Sulkiewicz (Michał) odmówił mi, bym skorzystał z nim razem z możliwością przejścia przez front, co było przygotowane, a co potem, jak okazało się, nie udało się. Adresami jakie wskazano mi w Petrogradzie były: Franciszka Skąpskiego i Szczerby-Rawicza. Drugie nazwisko zostało mi wskazane na wypadek gdybym nie zastał w Petrogradzie Skąpskiego... Do Petrogradu przybyliśmy o 6-ej rano... bez rzeczy udałem się do miasta, w którym znalazłem się pierwszy raz w życiu. Petrograd budzi się późno, więc czekać musiałem na możliwość udania się według wskazanego mi adresu do Franciszka Skąpskiego (miałem adres biura). Chodziłem więc po ulicach, póki nie zaczęto otwierać cukierni, a gdy otworzono wreszcie, posiedziałem w jakiejś cukierni i wresz-

ce o godz. 10-ej udałem się do biura Skąpskiego. Tam niestety dowiedziałem się, że Skąpskiego nie ma w Petersburgu i że przyjedzie dopiero za parę dni...



Jestem w tej chwili członkiem Naczelnego Komitetu Narodowego i trochę *iure caduco* wice-szefem Departamentu Wojskowego.

„*Iure caduco*”, bo wprawdzie mam za sobą zdecydowaną większość w N.K.N. i jego Komisji Wykonawczej i wprawdzie stanowisko moje jest milcząco akceptowane przez wszystkich, ale formalnie nie było uchwalone na zebraniu N.K.N., ponieważ na ostatnim jakim było zebranie pełnego N.K.N. w maju ubiegłego roku (1915?) odroczono sprawę organizacji Dept. Wojsk. poza wyborem Szefem Sikorskiego, ażeby uniknąć awantur ze strony socjalistów, *ex presidio* polecono na razie sprawować agendy wice-szefa mnie i prowizorium to trwa po dziś dzień.

W akcji legionowej jestem od początku samego, a w akcji strzeleckiej również od początku, byłem sekretarzem Związku Strzeleckiego we Lwowie, potem członkiem Zarządu Głównego Polskiego Skarbu Wojskowego i komisarzem skarbowym na Lwów. Przed powstaniem związków i organizacji strzeleckich, należałem do pierwszej bodaj organizacji wojskowej ostatnich czasów, stworzonej przez organizację (niewyraźnie: „*Odrodzenie*” czy „*Zarzewie*”) we Lwowie. Wkrótce po naszej organizacji powstała druga — „*Nieprzejednanych*”, stworzona przez ludzi przeważnie z P.P.S. Pertraktacje połączenia tych dwu organizacji, nie doprowadziły do celu, weszły później oba do Zw. Walki Czynnej i Związków Strzeleckich. Z zawodu jestem inżynierem komunikacji — ostatnio pracowałem jako inżynier miejski we Lwowie i formalnie dotąd jestem nim. Mam urlop i kasa miejska wypłaca pensję moją na ręce żony mej, Jadwigi. W ub. roku nawet awansowałem na st. inżyniera.

Tu kończy się fragment pisany, bez daty i miejsca, przypuszczalnie na wiosnę 1916 w Piotrkowie. Następuje dalszy fragment: Warszawa dn. 12 lutego 1917 roku.

Od dłuższego czasu z różnych stron domagają się przyjaciele moi, bym pisał pamiętnik, zapisywał choćby ważniejsze wypadki dnia których byłem świadkiem, rozmowy itd. Szczególnie nalega na to moja żona, która od szeregu lat patrzy na naszą pracę, przeżywa ją ze mną, w wielu pracach i przeżyciach wybitny brała udział, a dziś widzi jak tendencyjnie fałszuje się historię, a mgła

zapomnienia pokrywa niezapisaną prawdę. Ze szczególną jaskrawością dla wtajemniczonych występuje fałszowanie historii z okazji tzw. „Legends Piłsudskiego”. Postanawiam sobie wciąż i kiedyś zrobić to muszę, by spisać wspomnienia własne ze stosunków z P.P.S. i Piłsudskim z jednej strony, a tworzenia organizacji militarnych i ruchu strzeleckiego — z drugiej.

Takie fakty jak konferencje moje w latach 1904 i 1905 z Piłsudskim w Krakowie i Zakopanem, gdzie ja występowałem jako przedstawiciel organizacji wojskowej (pierwszej jaka była organizacji „Odrodzenie”?) a Piłsudski przedstawiciel i kierownik P.P.S. i bojówki P.P.S. Piłsudski wtedy dowiedział się ode mnie, że istnieje organizacja wojskowa. Potem w roku 1905 dyskusje z różnymi bojowcami — dzisiejszymi oficerami legionowymi, że tylko wskrzeszenie militarizmu polskiego i przygotowanie się do wojny, a nie rewolucją i bojówką iść nam należy, odbywałem w rozmowach, w kółkach a nawet na walnych zebraniach, jak np. przypominam sobie dyskusyjne zebranie na politechnice we Lwowie, gdzie jako przeciwnik mój występował Marian Kukiel. Potem przyszło organizowanie Związku Walki Czynnej z inicjatywy Bohusiewicza Zygmunta, Leona Nowakowskiego i Wł. Sikorskiego. Sprawy były zaawansowane, gdy — przypominam to sobie dokładnie — Bohusiewicz, spotkawszy mnie na ul. Leona Sapiehy, przy żandarmerii we Lwowie, zakomunikował mi, że Piłsudski z rozbitkami swymi z bojówki warszawskiej, przystępuje do Związku Walki Czynnej. Niebawem po ich przystąpieniu zaczęły się tendencje opanowania Zw. Walki Czynnej przez P.P.S. preforsowania zobowiązania czy przysięgi, że Związek uzna tylko taki rząd i tylko takiego rozkazu usłucha, który uznany będzie przez P.P.S. Bohusiewicz, który z ramienia naszego kółka należał do władz naczelnych Zw. Walki Czynnej, komunikował nam to i potrafił pewne zakusy P.P.S. obalić.

Piotrków, 14. II. 1917 roku. — Przyjście dra Młynarskiego przerwało pisanie przedwczorajsze. Rozpocząłem wspomnienia. Muszę je kiedyś spisać szczegółowo. Jeszcze jednak parę szczegółów. Pamiętam było to w roku 1906 lub 1907: w naszym mieszkaniu na Marka 20 we Lwowie schodzili się na wykłady wojskowe — Sosnkowski, Kukiel, Trojanowski i jeszcze kilku których nie pamiętam, a wykładającym był Władek Sikorski, jako już wtedy mający opinię fachowca — rez. oficer austriacki, studiujący nauki wojskowe. Potem Związek Strzelecki, Pol. Skarb Wojskowy, Komisja Skonf. Str. Niepodl. Wieczne walki z kłiką: Piłsudski, Jodko, Sławek et Co. Walki i tarcia nie wychodziły

poza ramy ścisłej organizacji. Wybuchła wojna Austro-Serbiska — rok 1914 — Kom. Skonf. Str. Niepodl. milczała. Ze Lwowa zażądaliśmy zebrania komisji i przyjechaliśmy na posiedzenie. Przyjechał też Piłsudski ze szkoły letniej. Przewidując wybuch wojny z Rosją lada dzień, domagaliśmy się 1) mobilizacji organizacji strzeleckich, 2) wysłania delegacji do Wiednia w celach informacyjnych w ogóle, a w szczególności co do królewaków w Galicji i co do organizacji strzeleckich. Piłsudski kpił z nas twierdząc, że żadnej wojny nie będzie. Z biedy na odczepne zgodzono się, by delegacja złożona z posłów należących do komisji udała się do Wiednia. Przybywszy na dworzec zastałem tam jedynie Hipolita Śliwińskiego. Wobec tego sam z nim pojechałem. W Wiedniu zastaliśmy wezwanego przez nas telegraficznie z Francji, Daszyńskiego. Również kpił z nas, żadnej wojny nie przewidując. Zmienił zdanie i to dopiero po widzeniu się z ministrem spraw wewnętrznych Hernoldem (?), który mu wręcz zapowiedział wojnę. Ale niech raz zacznę dziennik. Przeszłość muszę spisać osobno.

Wracam z Warszawy, gdzie przesiedziałem od 5 b.m. prowadząc pertraktacje z Łempickim, mianowanym przez Radę Stanu Dyrektorem Spraw Wewnętrznych. Przedwczoraj 12 b.m. wieczorem „dobiłśmy targu”. Mam objąć w Dep. Spraw Wewnętrznych referat główny, mający obejmować organizację Komisarzy Rady Stanu w kraju, tym samym załazek administracji krajowej, załazek policji politycznej, dział informacyjny i przede wszystkim propagandy werbunkowej i w ogóle propagandy na rzecz wojska. „Instrukcję ogólną” dla komisarzy opracowałem w szkicu i dałem Łempickiemu. W sobotę mam widzieć się z nim o godz. 8-ej wieczór i przedłożyć szczegółowe projekty w personaliach, budżecie, organizacji itd. Dziś wieczór rozmawiałem ze starostą Dembowskim, który przed paru dniami zgłosił się u Łempickiego w Warszawie oferując na jego ręce usługi swe do dyspozycji Rady Stanu. Poważny to i dzielny człowiek, fachowiec — dobrze byłoby dostać go, ale będą trudności zapewne ponieważ jest austriackim urzędnikiem.

Piotrków, 15. II. 1917 roku. — Trafiłem na uroczystość otwarcia Rady Miejskiej. Zastałem zaproszenie od ks. Zagrzejewskiego na nabożeństwo w katedrze o godz. 10-ej rano i od prezydenta Dudowskiego na uroczyste otwarcie Rady o godz. 3.30 po południu. Poszedłem na jedno i drugie w towarzystwie ppor. Hudeca (?), chorążych Strojka (?) i Krzemieniewskiego. Był też z nami ze stacji zbornej por. Zabielski. Jedno i drugie wypadło bardzo dobrze. Ogólne wrażenie miałem lepsze niż z otwarcia

Rady Stanu w Warszawie. Na posiedzenie Rady przybyłem przed godz. 3.30 i przed otwarciem posiedzenia w imieniu Dept. Wojsk. oraz instruktorów legionowych jako gości... (lub goszczą mury trybunalskiego grodu??) powitałem prezydenta i Radę, życząc im by praca ich zharmonizowana z wysiłkiem państwowotwórczym całego narodu, dała jak najobfitszy plon dla narodu i kraju. Rudowski odpowiedział doraźnie, po czym na posiedzeniu, z upoważnienia Rady jeszcze raz do nas przemówił i podziękował. Zebranie Rady zrobiło jak najlepsze wrażenie. Wszystko było przygotowane, sprawy załatwione były szybko, zgodnie i sprawnie. O godz. 5.30 miałem zebranie w Dept. Wojsk. z oficerami i referentami. Udzieliłem im informacji, wysłuchałem żalów i uwag, które na ogół zmierzały do usunięcia grożącego Departamentowi niebezpieczeństwa (niewyraźnie „rozhoworu”??). Jadę do Krakowa. Jechać mi się nie chce, bo i niezdrów jestem — zaziębilem się i następną noc znów jechać mi wypadnie do Warszawy. ... chcę skorzystać z obecności Sikorskiego i Kota w Krakowie, by omówić sprawę Dept. Wojsk. i mojej ewentualnej misji w Warszawie.

Kraków, 16. II. 1917 roku. — Niestety muszę dziś jechać z powrotem do Warszawy na noc, bo jutro mam być na wieczór u Łempickiego. Jaworskiego nie widziałem — leży chory — nie chciałem go nachodzić. Byłem u Tad. Starzewskiego. Omówiłem sprawy finansowe Dept. Wojsk. i różnych potrzeb (prasa, propaganda etc.), które musi poufnie subsydiować N.K.N. dopóki stosunki finansowe Rady Stanu i w ogóle stosunki i pojęcia w Królestwie nie dojdą do równowagi koniecznej. „Wiad. Polskie” i „Dziennik Maz.” trzeba utrzymać, poprzeć „Głos Stolicy”. Podałem następnie, że mam propozycje do Dept. Spraw Wewn. na organizatora kraju, że na razie prowizorium, z N.K.N. tymczasem i DW nie ustępuję. Prowadzić będę Piotrków przez korespondencję i dojazdy tygodniowe do Piotrkowa. W mej nieobecności zastąpią Hudec i Krzemieniewski. Starzewski przyjął do wiadomości i wyraził zgodę w imieniu prezydium. Widziałem Władka i Kota. Podałem im zamiar wciągnięcia Młynarskiego do prac Dept. Spraw Wewn. dla organizacji kraju. Zyskamy doskonałą siłę agitacyjną i organizacyjną, a poza tym za jego pośrednictwem potrafimy do organizacji naszej, mającej być podstawą rządu i państwa (...?) ludzi i organizacje, które do C.K.N. należały, a teraz wycofują się stamtąd spod dyktatury pepeesowojdkowej, Piłsudskiego i jego najbliższego otoczenia. Są to zwłaszcza koła N.Z.R. i dawne koła drużyniackie w wojsku. Kot ocenił wartość i wagę tego projektu i uznał za ważniejsze bo

dzisiaj cała praca z Dptem politycznym Rostworowskiego, który niewiele zapewne zdziałać potrafi zwłaszcza, gdy wykręca się od jasnej i uczciwej kooperacji z N.K.N., który ma i jedyne bodaj w Polsce talenty polityczno-dyplomatyczne i całą sieć organizacyjną robót zagranicznych. Zresztą dzisiaj organizacja kraju to rzecz najważniejsza. Najlepsza nawet dyplomacja i polityka w centrum, nie na wiele przyda się nam gdy nie będziemy mieli kraju za sobą, a co gorsza, gdy mieć go będziemy przeciw sobie, natomiast ze wszystkim potrafimy sobie dać rady, gdy silnie zorganizujemy kraj, znajdziemy w nim oparcie, potrafimy stworzyć sprawny aparat do tworzenia i obejmowania administracji kraju i atrybucji państwowych. Przyjechał dzisiaj popołudniu do Krakowa Rudowski. Wieczór dla niego raut u Lea. Jutro proszony do N.K.N. i kolacja.

Warszawa, 17. II. 1917 roku. — Jechałem 20 godzin z Krakowa do Warszawy. Pociąg austriacki spóźnił się do Ząbkowic, niemiecki pośpieszny odszedł już do Warszawy. Musiałem na stacji w Ząbkowicach czekać od 12-ej w nocy do 8-ej rano. Był nadzwyczajny kawał w nocy. Koło 4-ej rano przyszedł do pokoju oficerskiego naczelnik stacji, urzędnik niemiecki i zaczął budzić i wyrzucać znajdujących się tam, prócz nas, żołnierzy. Po kolei zbliżył się też i do stołu, przy którym, oparty głową na rękach, spał podporucznik artylerii Legionów Polskich. On zauważył widać, że to oficer (zresztą podobno był ostrzeżony) złapał śpiącego oficera za kołnierz i postawił go przed sobą. Ten zbudzony ze snu nie wiedział w pierwszej chwili co się dzieje. Natomiast sąsiad jego ppor. saperów, Tadeusz Nowakowski, który widział cały epizod, zerwał się i zawołał do kolegi swego — „lej go w mordę”. To on może zrozumiał i zwróciwszy się do Nowakowskiego, próbował go uspokajać. Ten jednak powtarzał do sąsiada: „bij go w mordę, mówię ci”. Wreszcie rozwiązała się rozmowa między Niemcem a Nowakowskim, w której zresztą Nowakowski zbeształ ostatnimi słowami naczelnika i zakończył wyrazem: „*raus*” — wskazując na drzwi. Podskoczyli też podoficerowie obecni w pokoju, huknął na naczelnika wachmistrz Bandrowski, wreszcie ppor. Nowakowski, po parokrotnym „*raus*”, zwrócił się do żołnierzy — „chłopcy — wyrzucić go”. — Jedna chwila i pan naczelnik został wyrzucony za drzwi. Nie widzieliśmy go więcej. Inni urzędnicy niemieccy, gdy wchodzili pukali do drzwi, zdejmowali czapki i mówili „*Morgen*”. O 8-ej wyjechaliśmy do Warszawy osobowym pociągiem. Zimno było bo wagony zdaje się wcale nieopalone. W Warszawie stanąłem o 4-ej po południu. O 8-ej Łempickiego nie zastałem. Ciekawy

jestem czy nie zaszła zmiana w usposobieniu dla mnie i projektach Łempickiego, bo z Krakowa była relacja, iż po moim już wyjeździe, był Łempicki na obiedzie z Rudowskim, który go zaprosił, szeroko i intymnie z nim, zdaje się, rozmawiał i widać było, że zabiegał koło Ł. — ten zaś „oczy wywracał”. Wracając od Łempickiego spotkałem Kozłowskiego (członka Rady Stanu). Podał mi, że Beseler, który wrócił z Berlina, podał zaproszonym delegatom Rady Stanu, że układy między Niemcami a Austrią w sprawie armii polskiej, dobiegają końca i lada dzień będą sfinalizowane — że sprawa przysięgi też załatwiona będzie. Przestrzegał, by z formalności, jaką jest przysięga, nie robiono kwestii zasadniczej i nie niszczone lub utrudniano spraw istotnych, najdonioślejszych. Wreszcie mówił o organizacjach tajnych. Zrobiwszy konwencjonalny ukłon w stronę Piłsudskiego i pochwaliwszy że P.O.W. ma swoje zasługi, wzywał by teraz już zaprzestać tych rzeczy i robót, które dobre były i potrzebne za czasów rosyjskich ale nie dziś. Dobrze że Łempickiego nie zastałem, bo paskudnie zmęczony jestem po tych 2 nocach i nie przygotowałem nic.

Warszawa 18. II. 1917 roku. — 1) Konferencja z Witkowskim i Młynarskim; 2) Zmieniony projekt co do Komisarzy Rady Stanu (Instrukcja ogólna i szczegółowa); 3) Wieczorem o godz. 8-ej konferencja z Łempickim.

Z Młynarskim doszliśmy do ostatecznego porozumienia na punkcie jego pracy w Dept. Spraw Wewn. przy organizacji kraju oraz koordynowaniu stosunków naszych z secesją z C.K.N. (N.Z.R. i Związek Niepodległości). Łempicki zaaprobował moje propozycje co do Młynarskiego, jutro mam go przyprowadzić. Zdał mi Ł. relację ze swej rozmowy z Piłsudskim. Piłsudski zaprosił go na obiad, był czuły, proponował porozumienie i koordynację pracy przy organizacji kraju. Ł. wyraził zasadniczą zgodę z tym jednakże, że on postanowił organizację kraju oprzeć na istniejącej organizacji werbunkowej, czemu wszak Piłsudski jest przeciwny. Piłsudski oświadczył że gotów pogodzić się z tym.

Ł.: — Ale ja już kogoś do tego zaangażowałem i uprzedzić muszę, że nazwisko nie będzie zapewne Panu miłe. Tu wymienił moje nazwisko i imię.

Piłsudski przyznał że nazwisko, a zwłaszcza imię, miłe mu nie jest istotnie: do zarzucenia osobiście nie ma mi nic, nie odmawia mi też kwalifikacji, obawia się jednak, że jestem zanadto pod austriackimi wpływami i że przeto, siedząc formalnie w Radzie Stanu, będę słuchał instrukcji i dyrektyw od Austriaków i z N.K.N.

Zapytałem Łemp. czy to tylko informacja czy i pytanie zarazem. Ł. oświadczył że jedno i drugie. Za pierwsze podziękowałem, co do drugiego oświadczyłem, że powtarzać raz złożonej deklaracji lojalności nie będę, że natomiast sprawę zaufania stawiam jako pierwszy i najważniejszy warunek naszej współpracy. Intrygi i tarcia przeciw mnie będą ciągle przez długi jeszcze czas. Parować, odpowiadać, lub walczyć tą samą bronią, nie myślę. Co do N.K.N. to wprowadzie N.K.N. mnie na rękach nie wyniosł, jak Piłsudskiego, tak że ja w stosunku do N.K.N. tych zobowiązań moralnych co Piłsudski nie mam, ale na tyle poczuwam się do lojalności w stosunku do N.K.N. i tyle mnie z N.K.N. łączy więzów, że przeciw N.K.N. nie pójdę, a jeżeli godzę się na pracę w Dept. Spraw Wewn. Rady Stanu, to w nadziei, że praca czekająca mnie, nie tylko nie będzie skierowana contra N.K.N. ale będzie zharmonizowana i niejako dalszym ciągiem pracy N.K.N. i mojej tam pracy.

Łemp. oświadczył, że tak i że zaufanie ma do mnie zupełne.

Warszawa, 19. II. 1917 roku. — Byliśmy z Młynarskim u Łempickiego. Stało na tym, że stosunek nasz jest na miesiąc prowizorium. Na razie urządzamy zjazd. Lokalu odpowiedniego nie ma jeszcze Dept. Trzeba szukać. Na razie urzędować będziemy w hotelu.

Warszawa, 24. II. 1917 roku. — Parę dni nie pisałem — bardzo byłem zajęty. Późno wracałem do domu. Dziś też późno — spać mi się chce. Piłsudski rozpoczyna nową kampanię przeciw nam. Zwołał zjazd pow. komitetów wojskowych, przedłożył Radzie Stanu statut komitetów popierania wojskowości polskiej, urządził deputację zjazdu... działa demagogią i terrorem, chce w ten sposób zorganizować sobie znów kraj. Na komisji wojskowej Łemp. odczytał podobno uwagi krytyczne w stosunku do statutu Piłsudskiego, które mu napisałem, inni też krytykowali. Gdy jednak Piłsudski zagroził rezygnacją, wszyscy cofać się i przeproszać zaczęli, poleciwszy tylko porobić w projektach zmiany. To samo miano oświadczyć podobno wczoraj na Wydziale Wojsk. Dziś na plenum sprawa spadła z porządku dziennego. Natomiast uchwalono dziś komisję dla ułożenia instrukcji dla komisarzy. Do komisji weszli — Łempicki, Kozłowski, Dziewulski, Maj i Łuniewski. Łempicki odmówił ostatecznie drowi Pawłowi Jakubowskiemu szefostwa Wydziału Sanitarnego w Dept. Spraw Wewnętrznych, na co forsownie się pchał. Podobno w cekaenowej paczce wściekłość z tego powodu. Wczoraj miałem konferencję z Karolem Popielem, wyjechał do Kielc w sprawie zjazdu. Mły-

narski pojechał do Radomia, Nowakowski Zygmunt do Kalisza, Michalski Karol jedzie jutro do Mławy. Spotkałem Rzewuskiego z Woli Sławińskiej, był u mnie. Przedstawiłem mu plan naszych prac, projektów, zamierzeń. Zapalił się do nich. Obiecał razem z Sobieszczańskim objechać lubelszczyznę i należycie przygotować zjazd 11. III, przygotować kandydatów na komisarzy. Dziś obaj wyjechali. Parę dni temu byłem na zebraniu prezydium LPP u Dziewulskiego. Omawiano sprawę „Głosu Stolicy” i Rady Stanu. Na pierwsze musiałem ofiarować doraźnie 300 rubli *à conto* zdeklarowanych udziałów galicyjskich. Co do Rady Stanu, zarysowały się niezadowolenia różnych osób do innych, a zwłaszcza wszystkich obecnych przeciw Romerowi, za lekceważenie Ligi PP, nie utrzymywanie kontaktu itd. Nazajutrz zdałem relację Władkowi — on muszący zawsze doraźnie i radykalnie brać się do złego — z punktu zaaranżował u siebie wczoraj wieczór herbatę z Romerem i panami z L.P.P. i naszym kółkiem. Dyskusja była dość chaotyczna i bezbarwna — zakończyła się — 1) lekką scysją między Dziewulskim a Romerem. Dziewulski obraził się z lekka i wyszedł. Dziś on przyszedł na proszoną kolację do menaży oficerskiej, a napisał do Sikorskiego list, że jest mu przykro, iż wczoraj w tak nieodpowiedni sposób tyle mu nagadano itd.; 2) decyzją zbierania się co tydzień u Sikorskiego we wtorki. Dziś była kolacja w menaży z zaproszonymi gośćmi. Byli: Gniatowski (prałat), Łempicki, Chmielewski, Kozłowski, Sobotowski, Wieruszewski, Szlubowski, Dr Dechoński, Poniatowski, Dr A. Natanson, Wasserzug, Grudziński, Simon i Ludwik Kulczycki. Atmosfera bardzo sympatyczna. Zaproponowałem dziś Łempickiemu zmiany w programie zjazdu a mianowicie (myśl to Władka Sikorskiego) żeby zaprosić na referaty fachowe Wojciecha Rostworowskiego, Bukowieckiego i Dzierzbickiego. Dyrektorów Departamentów politycznego, sprawiedliwości i skarbu. W pierwszej chwili bronił się, potem przyznał, że to taktycznie wskazane i zasadniczo zgodził się, prosił jednak na razie wydrukować program bez nazwisk prelegentów.

Warszawa, 28. II. 1917 roku. — Wieczorem w L.P.P. zakomunikował mi Łempicki, że szukano mnie z pensją z Dept. Skarbu. Podał mi że jestem szefem Sekcji Organizacyjnej i że mam pobrać 700 marek miesięcznie oraz że wyasygnowano mi za pół lutego.

Warszawa 1. III. 1917 roku. — Dziś dostałem pierwszą „polską” pensję. Wczoraj pisała mi Jadźka, że wścieka się na

Piłsudskiego, martwi się że ja znów jestem w punkcie najbardziej zaognionej walki i że obawia się czy damy rady, czy podołamy. „Żli” ludzie i wyrażni przeciwnicy nic mi złego w życiu nie zrobili, bo zawsze umiałem, a da Bóg i na przyszłość potrafię, obronić się od nich — krzywdy i złego doznałem w życiu dużo, ale tylko ze strony „dobrych” ludzi i przyjaciół. Nie ma gorszego świnstwa jak nadużycie wiary i zaufania. Z drugiej strony wiara i zaufanie usypiają czujność. Co do Piłsudskiego, jeżeli daliśmy sobie z nim radę, nie daliśmy się zgnieść wtedy gdy z uporem przez tyle czasu dążyliśmy ustawicznie do ułożenia jakoś z nim stosunku, do kompromisu, do umożliwienia mu wprost wyjścia choć z sytuacji w jakie brnął, gdy chwilami zdawało się, że to nareszcie umożliwi współzycie i koordynację całego aktywizmu polskiego — to gdy nareszcie, gdy wszelkie pod tym względem złudy padły i dziś zdaje się już bez odwrótu rozwinęła się między nami obustronna zasadnicza walka na myśli, na idee, na czyn, na system, styl, taktykę itd., itd. — to teraz czuję się pewniejszy niż kiedykolwiek i mam nadzieję, że nareszcie oczyścimy ten zachwaszczony grunt i wypłyniemy na jasną drogę państwowo-twórczej pracy. Szwabę tylko coraz bardziej kręcą i szalenie utrudniają robotę. Ale trzeba pracować, z uporem iść wciąż naprzód i wytrwać.

Warszawa, 2. III. 1917 roku. — Do zjazdu już tylko tydzień, a dotąd nawet wykazy nazwisk do zaproszeń nie gotowe. Był dziś Skrewlik (?) — wrócił z Włocławka i Płocka. W Włocławku Medard na nowo klei C.K.N. (*Medard to młodszy brat Stanisława Downarowicza, socjalista i piłsudczyk*). Krzemieniewski przyjechał z Piotrkowa. Rozżaleni tam w DW, zdaje im się że się rozłazimy. Łempicki zaczyna się irytować na Niemców. Wrócił przed paru dniami Szeptycki z Wiednia — wrócił wściekły i stąd różne przypuszczenia i plotki. Opowiada się po Warszawie, że Austria nie chce oddać Legionów itd. Tymczasem Austria i cesarz Karol uznali rotę przysięgi uchwaloną przez Radę Stanu i przy niej trwają a Niemcy domagają się przysięgi na Wilhelma — gdy z tego ustąpią — Legiony w 24 godziny będą oddane Armii Polskiej. Szeptycki wrócił zły, bo okazało się, że cesarz Karol lepiej był poinformowany o różnych sprawach legionowych i wojska polskiego niż on. Robił mu wymówki że 60 % jego żołnierzy nie ma butów i że żołnierz jest głodny. Studnicki ma ponoć występować na Radzie Stanu z wnioskiem, by przejść do porządku dziennego nad legionami i tworzyć Armię Polską bez nich. Piłsudzcy szerzą alarm, że sprawa Legionów stoi fatalnie, że okazuje się znów, że jedynym genialnym człowiekiem,

który wszystko przewiduje i przewidział, jest Piłsudski, że na Legionach Armii się nie zbuduje, że oprzeć się można tylko na P.O.W. itd.... Wieczorem byłem na kolacji u Grabowskich z racji jej imienin. Byli Władek, Berbecki i Młynarski.

Warszawa, 5. III. 1917 roku. — Miałem dziś zły dzień. Pomimo usilnej pracy sprawy tak się przedstawiały, gdy zwłaszcza dziś okazały się trudności przy przepustkach, że zmuszony byłem zaproponować Łempickiemu odroczenie zjazdu na tydzień do 18 i 19. III. Wściekły był, rzucił się, chciał już w ogóle zjazdu zaniechać — zgodził się ale jest rozgoryczony i rozżalony. Boi się też czy zjazd się uda, czy nie rozwinie się przeciw niemu agitacja w kraju. Ale niepodobieństwo nie odroczyć. Za późno byłoby doreczone zaproszenia. Ludzie nie przyjechaliby.

Wrócił Ronikier ze Szwajcarii i Berlina. Przywiózł nadzwyczajnie ciekawe wiadomości: 1) Watykan pozyskany przez Ententę na rzecz rozwiązania sprawy polskiej po linii rosyjskiej; sądzi że w ten sposób, przez Polskę będzie mógł pracować dla katolicyzmu w Rosji. Robota to Ententy, a pomógł im Pilz. 2) W Ameryce ma się tworzyć armia 75.000 Polaków dla walki po stronie Ententy w razie wypowiedzenia wojny przez Amerykę Niemcom. 3) W Niemczech grozi upadek kanclerza i odwołanie Beselera na tle sprawy polskiej, na razie niebezpieczeństwo zażegnane. Zwolennicy kanclerza zaatakowali pierwsi jego przeciwników i tym kampanię wygrali. Ronikier wyjaśnił w Berlinie wiele spraw których tam nie znano. Na przykład nie wiedziano, że sprawa armii rozbija się o sprawę przysięgi, przetrzymywanej przez Niemców. Obiecują szybkie załatwienie sprawy.

W Szwajcarii Ronikier stał się ostro z Agencją lozańską i rozszedł się z tym, że wypowiada się im wojnę — Endecy chcą iść z Anglią i Francją, Pilz z Rosją.

Warszawa, 15. III. 1917 roku. — Dawno nie pisałem. Nie mam siły, wieczorem jeżeli i jest czas, nie chce mi się. Jestem okropnie niewyspany. W niedzielę byłem w Piotrkowie 11. III i wyjechałem stamtąd 12. III w południe. Zwinąłem w Piotrkowie mieszkanie Władka, w którym mieszkąłem od dłuższego czasu. Zrobiłem zebranie z oficerami i referentami DW. Dałem im trochę informacji. Byli, zdaje się, zadowoleni. Na ogół są zrezygnowani, zdaje im się że DW się „rozłazi”. Mówiłem z Rudnickim i omówiłem jego przemówienie na zjeździe. Jest lojalny. Oświadczył że chce przedtem omówić rzecz z Łempickim i usłyszeć co Łempicki chciałby mieć w jego przemówieniu. Zastałem w Piotrkowie duże zainteresowanie zjazdem warszawskim. Są

też partie i grupy za lub przeciw różnym kandydatom na komisarza T. Rady Stanu w Piotrkowie. Miałem parę deputacji, żeby aby nie został komisarzem Januszewski, jednocześnie oświadczają się przeciw Pruszyńskiemu. Z pewnych kół ziemiańskich wysuwają Nowickiego.

Więc jutro już zjazd. Przyjechało zdaje się moc ludzi. Dziś był natłok żądających zaproszeń. Łempicki trochę ich rozdał. Czy w ten sposób on wpuścił paczki cekaenowców czy peowiaków, którzy zechcą robić jutro jakieś historie czy obstrukcje — zobaczymy. Z okazji zjazdu spotkałem się już 2 razy z Medardem. Gadam z nim swoją drogą jak z człowiekiem z innego świata, a przy tym jak z człowiekiem bardzo młodym i niedoświadczonym życiowo i politycznie, choć bardzo pewnym siebie i mającym duże mniemanie o swoim politycznym rozumie. A jednak mam wrażenie, że nie orientuje się on ani w polityce Piłsudskiego ani w wartości tej całej polityki której służą i są organami C.K.N., P.O.W., P.K.N. itd., itd. Zwariował z tym Piłsudskim. Dziwne to dla mnie że ten człowiek może uchodzić za bardzo mądrego, za polityka, za bezinteresownego i lojalnego!! A Medard tak to ujmuje. I za rozum polityczny uważają Jodkę — tego aferzystę o sprycie moskiewskiego kupca, dobrego bardzo do załatwienia małych politycznych interesów, ale pozbawionego nie tylko charakteru ale jakiegokolwiek perspektywy i zdolności syntetycznego myślenia lub syntetyzowania zjawisk. A przecież bez tego polityki nie ma. Jutro zjazd. — Zły jestem na Władka. Prawie że palcem nie kiwnął dla dopomożenia w tym zjeździe. Ale nie o to mi idzie. Niechby pochodziło to wyraźnie albo z braku czasu, czy ze zmęczenia itd. Ale on traktując to jako moją czy „waszą”, jak wyraża się, sprawę, uważa że robi dużo, skoro pomaga „swoim” aparatem werbunkowym, który ja przecież przez przeszło pół roku ostatnio prowadziłem, uporządkowałem i w dużym stopniu zorganizowałem. Gdyby nawet to była moja osobista sprawa, to wymagałbym trochę więcej zainteresowania się z jego strony i zejścia z trójnoga wielkości dla pomoczenia i ułatwienia mi, ale tu, gdzie obok zasadniczych spraw wojskowych załatwianych w tej chwili między Berlinem a Wiedniem, zjazd który Dept. Spraw Wewnętrznych, a właściwie ja urządzam jest najważniejszym wypadkiem politycznym, od którego zależy bardzo wiele na przyszłość i na dni najbliższe, a może w dużym stopniu i wojskowa sprawa — Władzio, któremu jednak naprawdę uderzyło trochę do głowy, nie umie należycie zrozumieć i traktuje jako rzecz „waszą”, której on łaskawie użycza poparcia i pomocy, pozwalając posiłkować się „jego” aparatem. A niech to wszystko lichy weźmie! Dziś i wczoraj parę razy już tak byłem

zniechęcony i wściekły, że miałem chwilami ochotę na wszystkich i wszystko plunąć i pójść sobie gdzie pieprz rośnie. Dopilnować trzeba najmniejszego drobiazgu, własnego aparatu...

Przypisek S.K.

Tu kończy się rękopis — pisane to jest atramentem w zeszyte na kartkach liniowanych. Z większej, widocznie, całości zachowały się tylko dwie wszytki zeszytu — obie po 10 kartek — razem 40 stron.

Dla lepszego zrozumienia goryczy Stanisława Downarowicza wobec „Władka” czy „Władzia” Sikorskiego, widocznej w zapisie z dnia 15 marca 1917, podaję fotokopie Listu Otwartego Wacława Sieroszewskiego do Władysława Sikorskiego z 24 listopada 1916 i Listu Stanisława Downarowicza do Wacława Sieroszewskiego z 7 grudnia 1916 roku.

POUFNE!

ST. DOWNAROWICZ

LIST OTWARTY
WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO

DO

WŁADYSŁAWA SIKORSKIEGO
SZEFA DEPARTAMENTU WOJSKOWEGO NKN

Wielmożny Panie!

Znam Pana z opinii i osobistości już dość dawno. Uchodził Pan za człowieka uczciwego choć chwiejnego i słabego. Z niepokojem więc śledziłem drogę, na którą Pan wstąpił, a na której utrzymać się na wysokości obywatelskiej uważałem, że było bardzo trudno. Niebezpieczeństwo zaczęło się od chwili, gdy dzięki poparciu moich przyjaciół zajął Pan w początkach wojny ważne i odpowiedzialne stanowisko Szefa Departamentu Wojskowego przy NKN. Miał Pan zostać naszym wojskiem, naszym opiekunem, zastępcą i obrońcą. Dla nas, idących w pole, nielicznych, źle odzianych i lichy uzbrojonych, było wielkim pokrzepieniem

mniemanie, że na tyłach naszych pozostają jednak na tak odpowiedzialnych stanowiskach ludzie, związani z nami wspólną pracą w związkach strzeleckich, wspólną przysięgą strzelecką, wspólnym marzeniem o wojsku polskim i Niepodległej Ojczyźnie.

Z początku próbował Pan szczerze walczyć o jedno i drugie. Ale miał Pan przeciw sobie wielkie moce rodzimych i obcych wrogów. I jako wosk pod naciskiem stali kruszyłeś się i ugiнаłeś. Miał Pan urządzać nam szpitale, przytułki, kasy dla inwalidów, składy intendentury, szwalnie, warsztaty dla reparacji broni, szkoły wojskowe oraz inne urządzenia tyłowe, potrzebne każdej armii. Miały to być zaczątki naszej wojskowej niezależności. Wrogie temu siły kazały Panu to zamykać niszczyć, ograniczać...

I poddałeś się Pan rozkazowi.

Początkowo z westchnieniami, że łąą w oku, pisząc stopy memoriałów obrottych, niszczyłeś niechętnie poczynania samodzielne bratnich Ci niegdyś ludzi śmiałej myśli i dobrej woli, na których pracę i wysiłki narzucałeś przymusowo stempel swego Departamentu. Wszystko wiedzło lub pacyło się pod tym doknięciem. Pan to widział, rozumiał i zło jakiego był Pan narzędziem zwolna zatrulo Cię. Już bez westchnień i wyrzutów sumienia, lecz z pogodnym, właściwym Ci uśmiechem marnowałeś lekko-myślnie cudzą ofiarność, pocieszając siebie i innych, że kruszyna pożytku z tego przecie zostanie.

Niezliczone memoriały, pełne planów i reform, w gruncie rzeczy używane jako listki figowe, pisał Pan w dalszym ciągu, choć wiedział już z doświadczenia, że te z nich tylko będą brane pod uwagę, w których znajdują się wskazówki i informacje o prądach nurtujących w wojsku i społeczeństwie polskim, o osobach zbyt niepodległościowych i niezależnych.

W ten sposób przeciwstawiał Pan wszystkim zacnym, rzetelnym patriotom, których nie złały trudności położenia. W walce z tym co było niegdyś i dla Ciebie dobre i święte, wykształcił Pan stopniowo w sobie zaciekość partyjną i nieubłaganą nienawiść osobistą, co stwarzało tak ciężką atmosferę w Pańskim otoczeniu, że porządni ludzie zaczęli unikać służby w Departamencie Wojskowym. I stało się, że na froncie bojowym Departament Wojskowy pozyskał sławę „Katowni Legionów”, a imię Pana należy tam do najbardziej znienawidzonych. Wyzbywszy się reszty obywatelskich skrupułów i otoczywszy się doborę podobnych sobie ludzi, zostawił Pan innym troskę o sprawę, dla których powołany został pierwotnie Departament Wojskowy, a sam stał się narzędziem politycznej intrygi. Różnica między fałszem a prawdą przestała istnieć dla Pana. Nie mru-

gnąwszy okiem przeczyłeś Pan dziś temu, co mówiłeś wczoraj. Przypomnę Panu na razie instrukcje, jakie mi dawałeś kiedyś po wzięciu Warszawy, dążąc tam z Krakowa, zatrzymał się w Piotrkowie: były one zupełnie zgodne z instrukcjami niepodległościowymi. Niedługo potem zwalczałeś te dążenia z niesłychaną zaciekleścią, rozbijałeś wszelkie usiłowania czynione w tym kierunku.

Dlaczego? Dla kogo? Nie wiadomo!

To historia tajnych archiwów dopiero wyjaśni. Domyślać się jedynie można, że interes grupy osób, patrzących na Polaków z największą nieufnością, niekiedy z nienawiścią, stał się dla Pana na długi czas jedynym nakazem moralnym. Gdyby ten posłuch był bezinteresowny, uważałbym, że Pan błądzi, lecz nie śmiałbym pisać tego, co piszę. Lecz skądże Pan ma szlify pułkownikowskie, nie spędziwszy ani jednego dnia w boju, nie powąchawszy dotąd ani przez chwilę prochu. Gdzie te niebezpieczeństwa, na które się Pan narażał, gdzie rany i trudy, które Pan ponosił? Co oznacza order na piersiach Pana? W jaki sposób zasłużył Pan na wielką pensję, jaką Pan pobiera? Jakie prawo Pan ma na honory, po które stale Pan sięga? Czyż krążenie po salonach i przedpokojach osób ustosunkowanych oraz pisanie im memoriałów jest wystarczającym powodem dla komenderowania pułkiem?

Dano Panu wielką władzę, przez ręce Pana przepłynęły strugi złota, za które pozyskiwał Pan sobie liczne grona sług pobocznych oraz pochlebców. Złoto to nie z austriackich tylko płynęło źródeł. Prócz 45.000 koron miesięcznie pobieranych z kasy Państwa na wydatki Departamentu, miał Pan w swoim rozporządzeniu krociowe sumy, pochodzące z ofiarności rodaków. Wydatkował je Pan jak chciał. Zapewne, że nawet dusza o wiele silniejsza od Pańskiej, z trudem ostałaby się takim pokusom. Grzechy pana są liczne i świadkowie ich są liczni, a ja dawno ich jestem świadom. Nie zajmowałbym się jednak nimi i nie podnosił ich tutaj, gdyż małoż-to razy świetlane koło historii tocząc się rozgniata proch ludzki!

Lecz zaszła okoliczność, że ufny w swą zręczność i bezkarność targnąłeś się Pan na rzecz doprawdy niesłychaną. Wiedział Pan dobrze, że po ogłoszeniu Niepodległości Polski utworzyła się Rada Narodowa, która dąży do zorganizowania Rządu Tymczasowego, ten Rząd ma powstać wkrótce. Wiedziałeś Pan, że większość narodu nie zechce i nie uzna wojska innego, jak powołanego przez Rząd własny; wiedziałeś Pan, że tylko takie powołanie wzbudzi entuzjazm i ofiarność, niezbędne dla stworzenia dużej

armii ochotniczej; wiedziałeś Pan to wszystko a mimo to podjąłeś się prowadzić werbunek, rozesłałeś nawet już oficerów werbunkowych nie czekając rozkazu Rządu Polskiego, a inny rozkaz, na którym się Pan opierasz, sprowokowałeś przypuszczalnie sam, gdyż o planach wykonywanych przez siebie teraz mówiłeś publicznie już w sierpniu r.b. na zebraniu prasy u prof. Jaworskiego. Wprowadziłeś znowu w błąd złudnymi obietnicami osoby kierownicze, jak to już raz uczyniłeś z rządem austriackim w sierpniu r.z. Nie udał się Panu wtedy zamach na polityczną wolę narodu, organizacje niepodległościowe odepchnęły Pana, nie uda się Panu zamach na tę wolę i teraz. Lecz to jest dla Pana pewnie obojętne, gdyż chodzi Ci przede wszystkim o przedłużenie swej władzy, o utrzymanie się na szczytach kariery, o rozporządzanie się samowolne krociowymi sumami pieniędzy! Chodzi Panu o przeniesienie całkowicie na teren Królestwa instytucji Departamentu Wojakowego, choć wie Pan o tym, że Królestwo tego sobie nie życzy, że Królestwo chce i ma prawo stworzyć własne odpowiednie instytucje, zależne od naszego polskiego Rządu, podtrzymywane dochodami, płynącymi z naszych ofiar i naszych podatków.

Pański plan powieść się nie może: wyłączenie Majestatu Narodowego z decyzji o ofierze krwi i zastąpienie go czyimkolwiek rozkazem przez Pana wykonywanym, uważać należy za zdradę Ojczyzny: po cóż Pan to czyni? Kto prócz Pana odniesie korzyść z podobnego obrotu rzeczy? Nie Polska, bo ona chce wojska powołanego przez Rząd własny, nie państwa centralne, gdyż te potrzebują wojska życzliwego im, liczne go i bitnego, a takiego Pański werbunek im nie dostarczy. Jedynie więc dla tych ciemnych mocy, które nie pogodziły się z wolnością naszą jako z koniecznością historyczną, robisz Pan ze świętego dzieła tworzenia Armii polskiej bolesną komedię, może mającą stać się podnóżkiem dalszego Pańskiego awansu.

Z tego strasznego położenia, w którym się Pan znalazł, idąc krok za krokiem od małych przekroczeń do wielkich przestępstw, widzę jedno tylko dla Pana wyjście: jeśli Pan uważasz, że dostałeś się w kleszcze rozkazów, których wykonanie jest Pańskim obowiązkiem, jako żołnierza, a niewykonanie jest jedyną usługą, jaką Narodowi Pan okazać może, usuń się Pan, pozostaw wielką sprawę budownictwa Armii polskiej ludziom mocnym, którzy nie ugną się i wolę narodu wyniosą na barkach swoich.

Wacław SIEROSZEWSKI

W Warszawie, dn. 24 listopada 1916 roku

L I S T
ZASTĘPCY SZEFA DEP. WOJSKOWEGO
ST. DOWNAROWICZA
DO
WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO

(w odpowiedzi na „List otwarty” do Płk. Wład. Sikorskiego)

Panie!

Napisał Pan i szeroko rozpowszechnił list do Szefa Departamentu Wojskowego N.K.N., pułkownika Władysława Sikorskiego, list pełen nie oskarżeń lecz oszczerstw i insynuacji. List ten dotyka osobiście nie tylko płk. Sikorskiego, ale cały Departament Wojskowy, zespół paruset jego pracowników, prawie wyłącznie oficerów i żołnierzy polskich, dotyka między innymi mnie osobiście, nie tylko jako osobistego przyjaciela pułkownika, jednego z najbliższych towarzyszy i świadków jego prac od lat kilkunastu, ale w szczególności jako współodpowiedzialnego za rodzaj i kierunek działalności Departamentu Wojskowego, w którym lub z ramienia którego pracuję od chwili powstania instytucji, a od dłuższego czasu jako zastępca szefa.

Przyzwyczajeni od dłuższego czasu do napaści, oszczerstw, a nawet denuncjacji, przestaliśmy być na nie wrażliwi i zwracać uwagę na nie.

Czas, myśli i uczucia nasze pochłonięte są troską i pracą, by Państwo Polskie, by Polskie Wojsko osiągnęły istotną, życiową realizację; na walkę z demagogią, na parowanie zazwyczaj bezimiennych kłamstw, oszczerstw i napaści ani możemy ani wolno nam tracić drogi, czasu i energii.

Zbyt jasne są myśli nasze, czyste sumienia, konkretną pracą, by czym innym jak milczeniem i pogardą odpowiadać na to wszystko.

Pański list różni się od innych napaści tym, że jest podpisany i to ceniowym w literaturze polskiej nazwiskiem. Podpisał go mistrz prozy polskiej, mniej co prawda szczęśliwy w listach otwartych i wystąpieniach publicznych...

Zdawało się, że doświadczenia choćby z wystąpień przeciw Sienkiewiczowi i Machajskiemu powinny były powstrzymać Pańską pochopność do ferowania publicznych oskarżeń. Znów Pan wystąpił jednak z listem otwartym. Tym razem w chwili wielkiego narodowego święta — wymarszu Legionów do Warszawy,

targnął się Pan na cześć jednego z najczystszych i najdzielniejszych ludzi współczesnej Polski, jednego z twórców polskiej wojskowości współczesnej a potem Legionów. Stara się Pan publicznie zohydzić polskiego oficera o znanym w kraju i zagranicą nazwisku, stara się Pan pohańbić podstawową instytucję Legionów Polskich o rozgałęzionej organizacyjnej sieci.

Wdrożone przez pułkownika Sikorskiego postępowanie wykaże niebawem całą nicość i fałsz Pańskich „oskarżeń”, historia stwierdzi ich ohydę. Zabieram głos nie dlatego, by napaść Pańska taka, jaka jest, zdolną była dotknąć płk. Sikorskiego lub kogoś z nas, ale ze względu na te szerokie koła nieznanych ani Panu ani mnie czytelników, których stara się Pan i starają się Pańscy przyjaciele oszalać i dezorientować dla celów, kryjących się w tajniach waszych partyjnych czy koteryjnych pomysłów i ambicji.

Zabieram głos, a czynię to nie tylko w imieniu własnym, ale i tych wielu, którym mundur żołnierski nie pozwala na wystąpienie publiczne.

Pomijam ocenę charakteru płk. Sikorskiego i przeobrażeń, którym według Pańskiej „analizy” miał rzekomo ulec. Obok naiwnych i śmiesznych zawiera rzekomy osąd Pański rzeczy oburzające. Ośmiela się Pan jednym pociągnięciem pióra odmawiać miana „porządnych” ludzi wszystkim, którzy nie unikają pracy w Departamencie Wojskowym. Wiek Pański i czas wojny chronią Pana od następstw tego zachwastwa.

Pomijam dalej z konieczności wzmiankę o *tajnych* archiwach. Spokojni o sąd historii, choć mówić będą za nas tylko suche urzędowe dokumenty, otworzyć je gotowi jesteśmy delegacji obywatelskiego sądu, jak stały zawsze i stoją otworem przed Prezydium Naczelnego Komitetu Narodowego.

Zapytuje Pan, skąd wzięły się szlify pułkownikowskie Sikorskiego. Przypomnę Panu.

Było to we wrześniu 1914 roku. Formowanie II Brygady Legionów Polskich miało się ku końcowi.

Wojskowe władze austro-węgierskie zezwoliły na tworzenie 4-go pułku piechoty. Wyłoniła się kwestia komendanta. Wymieniać zaczęto nazwiska pułkowników austriackich, szukano jednocześnie oficera z polskich organizacji wojskowych. Wyłynęła jako jedyna kandydatura szefa Departamentu Wojskowego, Sikorskiego. Miał już ustaloną opinię oficera o wybitnych talentach wojskowych, o nieprzeciętnym dla oficera strzeleckiego zarówno teoretycznym wykształceniu jak i doświadczeniu praktycznym, zdobytym w c. i k. armii, gdzie go też wyróżniono, choć był tylko oficerem rezerwy.

Już poprzednio przeniesiony wskutek starań przyjaciół politycznych z c.i.k. armii, dokąd go zagarnęła mobilizacja, do oddziałów strzeleckich — zgłosił się w Miechowie u Piłsudskiego do służby frontowej. Otrzymał polecenie powrotu do Krakowa i zajęcia się organizacją dalszych formacji. Gdy 16 sierpnia 1914 roku powstał N.K.N., został jego członkiem, a nazajutrz na plenarnym posiedzeniu N.K.N. ze względu na swe kwalifikacje wojskowe wybrany Szefem Departamentu Wojskowego Sekcji Zachodniej.

Gdy teraz wypłynęła kandydatura Sikorskiego na komendanta 4-go pułku, zarówno ze strony ówczesnego prezesa Sekcji Zachodniej, prof. Jaworskiego, jak i ze strony Komendy Legionów napotkała w pierwszej chwili na opór. Nie chciano pozbawiać Departamentu Wojskowego szefa, który zdążył zyskać opinię człowieka nie do zastąpienia na swym stanowisku. Wreszcie zgodziły się jednak Prezydium NKN i Komenda Legionów, zgodziła się również Naczelna Komenda Armii. Sikorski został mianowany komendantem 4-go pułku piechoty w randze podpułkownika, a zarazem aż do uformowania pułku i wymarszu w pole — komendantem formacji tyłowych Legionów Polskich, które po wyruszeniu Komendy Legionów z II Brygadą w Karpaty zawisły w powietrzu. Do tej pory też miał nadal pozostać na stanowisku szefa Departamentu Wojskowego.

Decyzje powyższe i nominacja zapadły bez wiedzy Sikorskiego, pod jego nieobecność, gdy bawił służbowo w Berlinie. Dowiedział się o nich po powrocie.

Zjechał wtedy do Krakowa ówczesny komendant 1-go pułku Legionów Polskich, Józef Piłsudski. W sposób stanowczy przeciwstawił się powziętym decyzjom; twierdził, że Sikorskiemu nie wolno opuszczać tak ważnego posterunku, jakim jest szefostwo Departamentu Wojskowego. Argumenty, iż żaden inny oficer *legionowy* nie miał w owej chwili szans otrzymania pułku, że należy wykorzystać zdolności wojskowe, jakie uznawano w Sikorskim, nie przykonywały jednak Piłsudskiego: domagał się stanowczo by Sikorski nawet czasowo szefostwa Departamentu Wojskowego nie opuszczał. Sikorski sam trwał przy powziętej decyzji i organizował pułk. Rozdźwięk stąd powstały wpłynął ujemnie na wzajemne stosunki. W końcu przyszło do ugody. Sikorski zobowiązał się poddać wraz ze swym pułkiem pod komendę Piłsudskiego i w tym celu miał w Komendzie Legionów i w Naczelnej Komendzie Armii zabiegać o rozkaz, włączający pułk 4-ty do oddziału Piłsudskiego. Umowa została spisana i podpisana. Gdy ani Komenda Legionów ani Naczelna Komenda

Armii na poddanie 4-go pułku Piłsudskiemu nie zgodziły się, musiał Sikorski w myśl spisanej umowy z komendy pułku cofnąć się. Potem wielokrotnie pragnął przejść do służby frontowej, w coraz bardziej jednak komplikujących się warunkach sytuacja stawała się tak trudną, a pozycja szefa Departamentu Wojskowego tak odpowiedzialną, że *odejście na front i porzucenie placówki, byłoby raczej ucieczką i dowodem słabości, niż bohaterstwem.*

Wreszcie, po 2-ch latach wojny znalazł się na froncie jako czasowy Komendant 3-go pułku piechoty. Był krótko, wkrótce bowiem Legiony zostały wycofane na tyły. Jak zachowywał się w tym krótkim czasie — niech mówią ci, którzy go tam widzieli.

Będą kompetentniejsi ode mnie i od Pana.

Awansował podpułkownik Sikorski na pułkownika po dwuletniej, trudnej i odpowiedzialnej pracy organizacyjno-wojskowej podczas wojny, gdy o wiele wcześniej awansowali na pułkowników inni, którzy opuścili Kraków jako kapitanowie, a nawet jako porucznicy.

Nie bez odrazy przechodzę do omówienia ustępu Pańskiego listu, gdzie mowa o pieniądzach. Gdybym miał jakiegokolwiek złudzenia co do dobrej woli, jako źródła samego listu to musiał by je rozwiać ten ustęp.

Jakież to 45.000 kor. z rządowych funduszy ma płk Sikorski do dyspozycji na wydatki Departamentu?

Oficerowie i żołnierze, przydzieleni do Departamentu Wojskowego dostają swoje pensje, żołd, utrzymanie i reluta, jak wszyscy oficerowie i żołnierze Legionów i z tych samych źródeł. Oto wszystko. Załatwia rachunki i wypłaty oficer likwidujący automatycznie, bez udziału w tym płk. Sikorskiego. W podobny sposób pobiera znacznie większe kwoty każdy pułk legionowy z kasy Państwowej.

A o jakich to „strugach złota” z ofiarności rodaków mówi Pan? Chyba nie o tych tysiącach złotych dolarów amerykańskich, które ubiegłego roku jeden z Pańskich przyjaciół wręczał, jako zebrane na rzecz Legionów Polskich, osobiście do rąk pułkownika Sikorskiego, a których płk. Sikorski nie przyjął, wychodząc z zasadniczego założenia, że wpływy tego rodzaju składane być winny w Kasie Departamentu Skarbowego N.K.N. *Żądał* też, by *tam* wpłacone zostały...

I chyba nie o tych pieniądzach myśli Pan, które nie przez nas, a pod firmą Legionów zbierane, wpływały do kas organizacji, przeciwstawiających się Legionom?

Poza tym Pańscy przyjaciele polityczni robili wszystko, by i tak skąpą ofiarność Królestwa na Legiony osłabić i paraliżować

pod każdym względem. Różne „anti” były i są stałymi ich wytycznymi. *Nie dać* rekruta, *nie dać* pieniędzy — chyba do ich dyspozycji.

Płk Sikorski po Pańskim liście zwrócił się do N.K.N. z żądaniem specjalnej — doraźnej rewizji Departamentu za czas od rewizji ostatniej. Została już rozpoczęta, pozostawiam więc głos Komisji, która niewątpliwie orzeczenia swe opublikować zechce.

Nie wiem, co podyktowało Panu szczególnie ustęp o pieniądzach w liście otwartym? Zresztą nic prócz insynuacji ustęp ten nie zawiera. Czy nie zdaje sobie Pan jednak sprawy z tego, co znaczy w ogóle, co znaczy dziś zwłaszcza rzucać na żer ulicy w jakiejkolwiek formie sprawę pieniężną a choćby wzmiankę o niej pod adresem oficera legionowego i legionowej instytucji? Żal miesza się ze wstrętem, że zaciekłość partyjna tak przygłuszyć jest zdolna obywatelskie sumienie.

Pozostają zarzuty i napaści charakteru politycznego. Nie tu miejsce na traktat polityczny i tłumaczenia jak płk Sikorski, i Departament Wojskowy pojmują swe zadania, spełniają swe obowiązki. Gdzie indziej zdajemy i zdamy z tego sprawę, gdzie indziej odpowiadać będziemy.

O sąd historii i w tym względzie jesteśmy spokojni. Nie tylko historii.

Kiedy po 5 sierpnia 1915 roku przybył Pan do Warszawy, wiele energii rozwinał Pan w tym kierunku, ażeby przekonać szerokie koła publiczności, że tylko niektóre oddziały Legionów są polskie, zasługują na uznanie i pomoc społeczeństwa. Inne nazywał Pan obcym „landszturmem” niegodnym pamięci i troski społeczeństwa polskiego.

Już wtedy jedną ze zbrodni płk. Sikorskiego i Departamentu Wojskowego było, że wszystkie pułki i oddziały Legionów polskich uważali za wojsko polskie, do jednakowych względem wszystkich poczuli się obowiązkiem.

Zbrodnią potem Sikorskiego i Departamentu Wojskowego było, że wbrew opinii Pańskiej i Pańskich przyjaciół oraz kół zasadniczo-przeciwnych zbrojnemu ruchowi polskiemu — z nakazu N.K.N. i własnego przekonania prowadzili werbunek do Legionów Polskich, wychodząc z założenia że przez silne Legiony wiedzie droga do państwa polskiego i polskiej armii.

Wreszcie zbrodnią ostatnią było, że płk Sikorski i Departament Wojskowy silnie przeciwstawili się niedawnej akcji, która zmierzała do rozbiicia Legionów w ogóle.

W dniach 5 i 6 listopada Warszawa adoptowała *całe* Legiony, a w dniu 1 grudnia weszły do stolicy pułki, którym Pan odmawiał charakteru *polskiego* wojska. Warszawa nie uznała Pańskie-

go stanowiska. — Warszawa nie tylko uznała *całe* Legiony, ale chciałaby je w tej chwili widzieć w jak największej sile. Ocena dzisiejszego dnia znajdzie też swój wyraz. I o nią spokojny być może płk Sikorski.

Czy sądzi Pan, że społeczeństwo polskie nic nie pamięta i nic nie rozumie? Że taktyka „robienia wrzawy i hałasu”, szerzenia kłamstw i oszczerstw, wciskania wszędzie ducha rozstroju i rozbicia — może na dłuższą metę przeciwstawić się pozytywnej pracy dla głęboko odczutej i przemyślanej idei? Takie rzeczy jak list Pański i cała taktyka, której jest fragmentem, przyspieszą wyjaśnienie i rozwiązanie wewnętrznej sytuacji.

Komuś wreszcie powie społeczeństwo — *quousque tandem...*?

Ale to pytanie nie pod płk. Sikorskiego padnie adresem.

Stanisław DOWNAROWICZ (m. p.)

Piotrków, 7 grudnia 1916 roku

WSPOMNIENIA

Zygmunt BORKOWSKI

WSPOMNIENIA (dok.)

Najazd Hitlera na Rosję nie był zupełnym zaskoczeniem, ani dla polskich władz w Londynie, ani dla Rządu brytyjskiego. Już od pewnego czasu wiadomości nadchodzące z Polski przez organizację podziemną mówiły o dużej koncentracji wojsk niemieckich na wschodniej granicy, o czym nasz Sztab w Rubensie stale informował Anglików. Przy tym, na krótko przed uderzeniem niemieckim, przybył do Londynu Sir Stafford Cripps, ambasador brytyjski w Moskwie i bliski przyjaciel Retingera. Sir Stafford twierdził stanowczo, że ataku na Sowiety należy spodziewać się lada chwila. Tak więc, zarówno Churchill jak gen. Sikorski byli uprzedzeni o takiej możliwości. A jednak, gdy stała się faktem, wrażenie było wstrząsające i od razu wywołało rozbieżne reakcje ze strony angielskiej i polskiej.

Dwie wypowiedzi, mowa Churchilla bezpośrednio po wieści o napadzie, a nazajutrz przemówienie radiowe gen. Sikorskiego do Kraju, były tego jaskrawym dowodem. Churchill witał nowego sojusznika, a tak niedawnego wroga, z uniesieniem, bez żadnych zastrzeżeń. Wspomniął coś ogólnie o sprzymierzeńcach z podbitych przez Hitlera narodów, ale przemilczał zabory sowieckie, a tym bardziej nie wymienił drażliwego dla Rosji imienia Polski. Gen. Sikorski przeciwnie, mówił do Polski, o Polsce i przedstawiał jej stanowisko wobec nowego układu sił. Określił je jako niezmiennie jeśli chodzi o walkę z Niemcami. Cały wysiłek narodu, czy w Kraju czy za granicą, musi być nadal skierowany przeciwko temu wspólnemu wrogowi. Zarazem jednak wypomni

Moskwie pakt zawarty z Hitlerem w 1939 roku na zgubę Polski. Twierdził, że Rosja przechodząc do obozu aliantów, powinna uznać ten pakt za niebyły i w stosunkach z Polską powrócić na grunt traktatu ryskiego. Upominał się też o naszych jeńców zagarniętych przez Sowiety i o setki tysięcy ludności polskiej wywiezionej przemocą w głąb Rosji, domagając się ich zwolnienia. W ogóle, w nowej sytuacji, która zmuszała Rosję do wojny z Niemcami, gen. Sikorski widział przede wszystkim zapowiedź zmiany w dotychczasowej postawie Sowietów wobec Polski i Polaków.

Przemówienie gen. Sikorskiego zostało w liniach zasadniczych uzgodnione z Edenem, brytyjskim Ministrem Spraw Zagranicznych. Ale ton tej wypowiedzi nie bardzo poszedł w smak Churchillowi i Anglikom. Nic dziwnego. Wciągnięcie Rosji do wojny z Niemcami było dla Anglii wybawieniem. Przybywał jej sojusznik potężny ogromem kraju, potencjałem ludzkim, ilością wojska. Wszystko to musiało związać poważnie siły niemieckie, odciągając je od Zachodu. Ustały nagle dręczące Anglię bombardowania, podjęte dopiero później na nowo przez rakiety V-1 i V-2. Tymczasem jednak Londyn odetchnął, a groźba inwazji zniknęła całkowicie. Trudno się dziwić, że w Anglii zapanował entuzjazm. Sprzymierzeniec rosyjski zajął pierwsze miejsce i w polityce i w sympatiach ludności. Natomiast wśród Polaków trwała wyraźna, głęboko zakorzeniona nieufność do tego sojusznika z przymusu.

W takiej atmosferze gen. Sikorski rozpoczął rokowania z Majskim, ambasadorem sowieckim w Londynie. Churchill przynaglał Generała usilnie do szybkiego zawarcia jakiejś umowy, która by mogła rozwiązać drażliwą sytuację. W Anglii Eden, a w Moskwie Cripps pośredniczyli w pertraktacjach. Z naszej strony występował przy Generale August Zaleski, jako Minister Spraw Zagranicznych, a nieoficjalnie i na swój sposób, był również czynny Retinger.

Rokowania były żmudne i z góry skazane na kompromis z pominięciem zasadniczych interesów Polski. Brytyjczykom chodziło jedynie o zakłajstrowanie stanu rzeczy, nie narażając w niczym tak bardzo dla nich cennej przyjaźni z Sowietami. Nie mogło być mowy o przyjęciu przez Moskwę granic ustalonych traktatem ryskim. Już pewną zdobyczą dla nas było pozostawienie tej kwestii otwartej. Poza tym, Sowiety zgodziły się uznać swój pakt z Hitlerem przeciwko Polsce za niebyły. Lecz prawdziwie pozytywnym osiągnięciem stało się postanowienie utworzenia Armii Polskiej w Rosji z więzionych tam jeńców i zesłańców, na warunkach przez nas wysuniętych. Stalin z początku

proponował powołanie Komitetów narodowych, polskiego między innymi, które by werbowały ochotników do wojska. W rzeczywistości oznaczałoby to zupełne uzależnienie takich Komitetów od władz sowieckich i w rezultacie wcielenie tych „narodowych” oddziałów do Armii Czerwonej. Gen. Sikorski żądał, aby wojsko polskie tworzone na terenie Rosji zostało uznane jako integralna część Polskich Sił Zbrojnych, podlegająca Wodzowi Naczelnemu w Londynie, a więc związana wyłącznie z państwowością polską. Domagał się przy tym natychmiastowego zwolnienia wszystkich obywateli polskich, a opiekę nad nimi i rekrutację zastrzegął kompetencji Rządu polskiego. Żądania te zostały w końcu przez Stalina przyjęte. Na tych podstawach miały być wznowione stosunki dyplomatyczne między Polską a Rosją i oba państwa zobowiązywały się do wspólnej walki z hitlerowskimi Niemcami.

Okres rokowań z Majskim był dla gen. Sikorskiego najcięższą próbą od rozpoczęcia wojny. Miał wszystko przeciwko sobie: chytrą i złą wolę pertraktanta, naciski Churchilla, nieufność do umowy własnego Rządu, negatywną postawę Prezydenta. Byli nawet tacy, co mówili, że Generał sprzedaje Polskę. Jednym ze szkopułów trudnych do przełknięcia dla Polaków było proponowane w umowie słowo „amnestia”. Jakże bowiem, ludzie niewinni, ofiary potwornej krzywdy, mają być zwolnieni na podstawie amnestii, jak przestępcy? Wbrew wszystkiemu, Generał trwał w przekonaniu o konieczności umowy. I to niezwłocznie, póki Stalin był skłonny do ustępstw, na skutek zagrożenia przez posuwające się w głąb kraju wojska niemieckie. Przede wszystkim jednak, Generał uważał pośpiech za niezbędny, aby ratować życia ludzkie skazane w Rosji na zagładę. Dla tego celu gotów był poświęcić wiele.

Układ z Majskim został podpisany dnia 30 lipca 1941 roku, bez ratyfikacji przez Prezydenta Raczkiewicza. Równocześnie trzech członków Rządu polskiego, gen. Sosnkowski, Marian Seyda i August Zaleski, choć ten sam brał udział w rokowaniach, głosowali przeciwko umowie i podali się do dymisji.

Po podpisaniu układu odbyło się przyjęcie w Sowieckiej ambasadzie, na które towarzyszyłem Generałowi. Zaproszeni byli przedstawiciele władz polskich i pośrednicy brytyjscy, z ministrem Edenem na czele. Znałem od dawna bolszewików i ich manery, nie był więc dla mnie niespodzianką charakter tego przyjęcia. W hallu, pod olbrzymim portretem Stalina witał nas ambasador Majski, rozkosznie uśmiechnięty, w towarzystwie żony i jakiejś drugiej jejmości. Obie wyglądały jak kuchty. Dalej, w pokoju jadalnym, stoły ugięły się pod górą kawioru i butlami

wódki. Pomimo sztucznych uśmiechów i uprzejmych wysiłków Anglików, rozmowy się nie kleiły. Gen. Sikorski nie mówił ani po angielsku, ani po rosyjsku, a wódki w ogóle nie pijał. Polaków przyszło niewielu. Nastrój był ciężki i raczej ponury.

Zaraz potem powstała kwestia wymiany ambasadorów. Majski od początku proponował Bogomołowa, byłego ambasadora w Vichy. Z naszej strony gen. Sikorski jeszcze nie miał ustalonej kandydatury, namyślał się, zastanawiał. Wreszcie mianował ambasadorem prof. Kota. Nie mógł dokonać gorszego wyboru. Pominając już jego osobisty charakter, Kot nie mówił ani słowa po rosyjsku, nie znał Rosji i bolszewików, nie orientował się w machinacjach komunistycznej polityki. Toteż cała jego późniejsza działalność w Sowietach okazała się niefortunna, wywołała stek komplikacji i intryg. Wreszcie, jak wiadomo, Kot zakończył swoją karierę jako pierwszy bierutowy ambasador w Rzymie, gdzie starał się szerzyć zamęt w tym właśnie wojsku, które tworzyło się w Rosji jakoby pod jego opieką.

Na wiadomość o nominacji Kota nie mogłem się powstrzymać od rozmowy z Generałem, wyrażając moje zastrzeżenia. Odpowiedział mi, że pośród naszych działaczy i członków Rządu nie widzi człowieka, do którego miałby tyle zaufania jak do prof. Kota. Tak było niewątpliwie. Generał miał zawsze podziw dla inteligencji Kota i wierzył w jego lojalność wobec siebie. Teraz, z powodu trudności jakie powstały między Rządem i Prezydentem a Generałem po umowie z Majskim, zaufanie to jeszcze wzrosło. Nastawienie londyńskich Polaków do układu było przeważnie krytyczne, a wokół gen. Sosnkowskiego, który usuwał się od wszelkich funkcji, poczęła się tworzyć koteria niechętnych. Bardziej niż kiedykolwiek Generał liczył na Kota. Muszę przyznać, że Kot sam nie bardzo kwapił się na stanowisko ambasadora w Moskwie i ociągał z wyjazdem.

Tymczasem problem naszej reprezentacji w Rosji stawał się palący. Tam, przeciwnie do nastrojów londyńskich, układ z Majskim został przyjęty przez rzesze Polaków z nieopisaną radością. Los ich odmienił się z dnia na dzień. Okazało się bowiem, że wbrew przypuszczeniom krytyków, umowa działała. Otworzyły się bramy więzień i łagrów. Tysiące pół-żywych zesłańców rozpoczęło wędrówkę poprzez nieskończone przestrzenie Rosji w poszukiwaniu jakichś polskich władz czy placówek. Gen. Sikorski wprawdzie wysłał natychmiast Misję wojskową z gen. Bohuszem-Szyszko na czele, konieczna jednak była obecność oficjalnego przedstawiciela naszego Rządu w Londynie.

W owym momencie, kiedy Kot wciąż marudził, minister Eden zwrócił się do Retingera z propozycją aby jechał do Moskwy.

Gen. Sikorski był wówczas w Gasku i tam „Recio” popędził zasięgnąć rady. Generał zgodził się na pomysł Edena. Retinger zaraz wyruszył do Moskwy i przyjęcie jakiego tam doznał niemal go oszołomiło. Pomimo, że wizyta jego nie miała oficjalnego charakteru, podejmowano go wszędzie jako reprezentanta gen. Sikorskiego i Rządu polskiego. Widać, że Stalinowi bardzo zależało na jakimś demonstracyjnym geście, który by przekonał Anglików o jego dobrej woli, w chwili gdy potrzebował życzliwości aliantów. Tak więc, trochę ku własnemu zdziwieniu, Retinger poczuł się naszym pierwszym ambasadorem — z przypadku! Jego bliska przyjaźń z Crippsem torowała mu drogę i wkrótce od niego i od gen. Bohusza-Szyszko, zaczęły przychodzić bezpośrednie wiadomości o położeniu Polaków w Sowietach i możliwościach tworzenia tam Armii Polskiej. Obraz sytuacji potwierdzał najgorsze przypuszczenia. Wprawdzie władze sowieckie nie robiły trudności w zaciągu do wojska, ale stan zesłańców spływających ze wszystkich stron był opłakany. Głodni, obdarci, potrzebowali natychmiastowej pomocy. Poza tym, uderzał pośród nich brak jeńców. Wielu wybitnych oficerów nie można było odnaleźć. Na dowódcę tworzącej się Armii, gen. Sikorski przeznaczył gen. Stanisława Hallera, o którym wiadano, że dostał się do niewoli rosyjskiej. Ale wszelki ślad po nim zaginął. Wobec tego, na początku sierpnia 1941 roku, został mianowany na to stanowisko gen. Władysław Anders, wypuszczony z sowieckiego więzienia.

Tymczasem, w Wielkiej Brytanii trwała nieprzerwanie praca nad organizacją naszych jednostek bojowych. Natrafiła na pewne wewnętrzne trudności. Rozchodziły się nawet wieści, że w wojsku wzbiera bunt z powodu układów gen. Sikorskiego z Sowietami. Wobec tego Generał wysłał mnie do Gasku, aby sprawdzić pogłoski. Żadnego buntu nie znalazłem. Były tylko tu i ówdzie niechętnie nastroje, pobudzane przez koterię gen. Sosnkowskiego który, ranny w jednym z ostatnich nalotów na Londyn, leżał w szpitalu w Szkocji.

Pomimo raczej dobrych wiadomości jakie przywiozłem, gen. Sikorski chciał swoją obecnością pobudzić ducha wśród żołnierzy. Przez jakiś czas przebywał dużo w Szkocji i w ogóle przy wojsku. Przeprowadził inspekcję wszystkich broni, był wśród lotników i marynarzy. Odwiedził też kurs spadochroniarzy w Leven, gdzie ćwiczyli się ochotnicy by utworzyć samodzielną Brygadę Spadochronową pod dowództwem pułkownika, późniejszego gen. Sosabowskiego. Polacy przezywali Leven „Małpim Gajem” z powodu niesamowitych wyczynów gimnastycznych jakie tam stosowano, a płk. Sosabowskiego „właścicielem”, bo stosunek jego do Brygady miał w sobie osobisty entuzjazm i dumę posiadacza. Na

przyjazd gen. Sikorskiego urządzono wielki pokaz sprawności Brygady. Potem płk Sosabowski w swoim zapale namawiał widzów do zakosztowania rozkoszy skoku. Ponieważ ja przeszedłem już taki egzamin, zostałem tym razem zwolniony od podobnej próby i jak grzeczny sztubak dostałem w nagrodę broszurkę spadochroniarzy z miłą dedykacją samego „właściciela”.

Na pokazie Brygady w Leven byli także obecni wyżsi oficerowie brytyjscy. Gen. Sikorskiemu bardzo na tym zależało. Wobec rosnącej wagi Rosji, która imponowała swym ogromem, pragnął tym bardziej wykazać Aliantom, że Polska pozostaje sojusznikiem nie do pogardzenia i robi wszystko aby rozbudować swe siły wojskowe. Na początku września 1941 roku odwiedza więc z młodziutkim królem jugosłowiańskim, Piotrem, oddziały polskie w Szkocji. Król Piotr, wywieziony ze swego kraju przez premiera Simowicza, na skutek germanofilskiej polityki Regenta Pawła, znalazł się na wygnaniu. Podczas wizyty w wojsku polskim był naturalnie gościem Prezydenta Raczkiewicza, ale zamieszkał w Gasku. Tak mu się tam podobało, że pozostał dłużej niż wymagała potrzeba. Zaprzyjaźnił się bardzo z p. Zosią i bawili się z entuzjazmem rzucaniem strzałek do celu — grą ogromnie popularną w angielskich *pub*'ach. Później król Piotr sformował oddział Jugosłowian, który dołączył do Polskich Sił Zbrojnych.

Pod koniec września gen. Sikorski udał się w towarzystwie min. Edena, ambasadora Stanów Zjednoczonych Winanta i ambasadora Drexel-Biddle do obozu polskich ochotników z Ameryki Południowej. Ochotnicy z Argentyny i Brazylii mieli raczej propagandowe niż rzeczywiste znaczenie. W obu tych krajach istniało wychodźstwo polskie i podobnie jak w Stanach i Kanadzie, Generał rozpoczął tam akcję zaciągową, kierowaną przez por. Lenartowicza w Argentynie, a przez płk. Malinowskiego w Brazylii. Rezultat był nikły. Złożyły się na to trudności natury technicznej, jak np. brak transportu, i politycznej — niechętnie nastawienie do rekrutacji czynników oficjalnych w tych krajach, dbających o zachowanie swej neutralności. Jednak w roku 1941 znalazło się już na terenie Wielkiej Brytanii 900 ochotników z Ameryki Południowej, zgromadzonych w specjalnym obozie. Tam więc zawiózł Generał min. Edena i ambasadorów, by dać im naoczny dowód, że Rząd nasz stara się zdobyć żołnierzy pośród Polaków całego świata.

Przyjęto nas podwieczorkiem w kantine prowadzonej przez p. Starzeńską, której mąż redagował *Dziennik Żołnierza* w Szkocji. Poznałem oboje tych przemitych ludzi jadąc do Francji po wizycie u Marszałka Rydza-Śmigłego. Znaleźliśmy się w jednym

pociągu i nawiązała się przyjaźń. Bywali potem częstymi gośćmi w Gasku, na polowaniach.

Do Gasku też udał się ambasador Biddle po wizycie u Argentyńczyków. Pozostał tam parę dni z żoną i dwoma sekretarzami. Ponieważ syn ambasadorowej z pierwszego małżeństwa wstąpił do Brygady Maczka, zaproponowałem pojechać tam w odwiedzinie. Przy tej okazji ambasador Biddle sprawił nam niespodziankę. Po przyjeździe zastaliśmy 15 świetnych, nowoczesnych motocykli, uszeregowanych jak na przegląd, które właśnie nadeszły jako prezent od Ambasadora dla Brygady. Generał Maczek był tym darem zachwycony.

Zdaje mi się, że właśnie w tym czasie nastąpiła nominacja płk. Klimeckiego na generała. Miała ona charakter niezwykle uroczysty. Gen. Sikorski, po jednym, początkowym starciu, coraz wyżej cenił charakter i wielkie wartości Klimeckiego. Teraz najwidoczniej chciał dać publiczny wyraz tego uznania. Oprócz płk. Klimeckiego, wezwał do swego gabinetu w Rubensie wszystkich Szefów Oddziałów Sztabu, łącznie ze mną. Gdyśmy się zebrali, oznajmił, że stanowisko Szefa Sztabu wymaga rangi generała. Po czym zwrócił się do płk. Klimeckiego z serdecznym przemówieniem, kończąc je nominacją.

Na krótko przedtem, ja sam zostałem mianowany podpułkownikiem. Jeżeli o tym wspominam to dlatego, że się z tym łączy pewne, poprzednie nieporozumienie. Ponieważ w 1926 roku wyszedłem z wojska w stopniu majora, więc już we Francji znalazłem się na liście awansów. Byłem wówczas nieobecny w Paryżu, bo właśnie odprowadzałem Brygadę Podhalańską odchodzącą do Narwiku. Po powrocie przyjęto mnie wiadomością, że moje nazwisko znajduje się pośród pokrzywdzonych przez wypadki majowe, w spisie sporządzonym przez płk. Modelskiego, delegowanego do załatwiania takich spraw. Udałem się zaraz do gen. Sikorskiego. Oświadczyłem mu, że z wojska wystąpiłem z własnej woli i nigdy, od nikogo, żadnej krzywdy nie doznałem. Nie mogę więc przyjąć awansu opartego na fałszywych podstawach zwłaszcza, że propozycja wyszła od płk. Modelskiego, z którego listy pragnę być natychmiast skreślony. Generał uznał mój punkt widzenia i dopiero po roku, w Anglii, podczas jednego z pobytów w Gasku, otrzymałem wiadomość o mojej nominacji na podpułkownika, w normalnym trybie.

Organizowanie wojska, odwiedziny polskich jednostek, praca ze Sztabem, przeglądy, nominacje, odznaczenia, na pozór życie gen. Sikorskiego toczyło się jak dotychczas, bez wielkich zmian. Dochodziły do tego obowiązki premiera, trudniejsze niż dawniej, z powodu nieporozumień w Rządzie po umowie z Majskim, oraz

chłodnych stosunków Generała z Prezydentem z tej samej przyczyny. Dochodziły częste rozmowy z Churchilllem, gdzie wzajemne uczucia przyjaźni i uznania znajdowały wyraz niezmienny, pomimo politycznych komplikacji. Churchillowi tak chodziło o utrzymanie dobrych osobistych stosunków z Generałem, że gdy była jakaś przykra sprawa do załatwienia, delegował zawsze Edena. Ten, z prawdziwie dyplomatyczną ogładą i wdziękiem, potrafił aplikować najbardziej gorzkie pigułki.

Były także chwile, kiedy Generał mógł odprężyć się w swym domu w Iwer czy w Gasku, pośród rodziny i najbliższych. Miał wówczas zwyczaj, porzucając mundur i wszystkie oznaki swej oficjalnej roli, przebierać się po cywilnemu. Pamiętam go w Gasku, jak w tenisowych spodniach i białym swetrze, zabawiał się z córką grą w krokiet, co ogromnie lubił; miał też pasję do spacerów i chodzić mógł niestrudzenie. Jeden taki spacer w Gasku z Prezydentem Raczkiewiczem okazał się doniosły w skutkach. Co zaszło podczas przechadzki, nie umiem powiedzieć. Wiem tylko, że dwaj panowie wyruszyli razem sztywnie uprzejmi, a po dłuższym czasie wrócili roześmiani, w serdecznym nastroju. Odtąd stosunki między nimi uległy poprawie.

Jednak chwile odprężenia były coraz rzadsze. Okres sielanki na Wyspie gdzie mimo bombardowań, walk powietrznych, oczekiwania inwazji, Polacy czuli się bezpieczni jak w domu, minął bezpowrotnie. Lojalność Wielkiej Brytanii poczęła budzić wątpliwości. Odmienił się cały klimat polityczny, a z tym rosło napięcie w pracy Generała. Ponury cień Rosji padał na wszelkie nasze zagadnienia i poczynania.

W jesieni 1941 roku, wiadomości nadchodzące od gen. Andersa dawały coraz więcej powodów do niepokoju. Władze sowieckie ociągały się z wyposażeniem wojska, z wyżywieniem, powtarzały się najróżniejsze szykany, a wiele tysięcy jeńców, oficerów, po prostu gdzieś znikło bez wieści. Układ najwidoczniej nie był w pełni wykonywany.

Gen. Sikorski postanowił sam jechać do Rosji. Uzgodnił ten projekt z Churchilllem. Poinformował go o trudnościach Armii Polskiej w Sowietach, omówił ewentualne przesunięcie naszych wojsk na południe Rosji dla łatwiejszego zaopatrzenia ich przez Anglików, przedstawił swój zamiar wyciągnięcia uzupełnień dla oddziałów polskich na Zachodzie spośród żołnierzy, którzy w wielkiej ilości gromadzą się w Rosji Sowieckiej.

Dnia 30 października 1941 roku gen. Sikorski wyruszył w podróż. Towarzyszyli mu gen. Klimecki, Retinger i adiutant por. Janusz Tyszkiewicz, a z ramienia Churchilla Victor Cazalet.

Droga prowadziła przez Gibraltar i Malte do Kairu, gdzie spodziewano się sygnału od ambasadora Kota, że przygotowania do wizyty i spotkania ze Stalinem zostały ukończone. Na Malcie Generał zatrzymał się by przeprowadzić inspekcję polskiej łodzi podwodnej „Sokół”, która właśnie zatopiła dwa okręty włoskie. Przy tej sposobności dekorował jej dowódcę komandora Borysa Karnickiego, człowieka o fantastycznym rozmachu i odwadze. Hulał on ze swoim „Sokołem” po Morzu Śródziemnym jak chciał, podchodząc nieprzyjaciela cichcem, a wkrótce po bytności Generała wdarł się poprzez siatki ochronne do portu Navarino, niszcząc jeden kontrtorpedowiec i inny włoski statek.

Po przybyciu gen. Sikorskiego do Kairu, nawiązał się z nim zwykły kontakt, a dzięki gen. Klimeckiego mogłem otrzymywać szczegółowe informacje dla zamieszczania w „Dzienniku Czynności”. W Kairze, Generał przeprowadza rozmowy z gen. Auchinleckiem i brytyjskimi osobistościami politycznymi. Spotyka się też z naszym chargé d'affaires Zazulińskim, o którym później wyrażał się do mnie z wielkim uznaniem dla jego znajomości spraw Środkowego Wschodu. Pierwszą jednak troską Generała było odwiedzenie Brygady Karpackiej. Nie widział jej nigdy, bo sformowała się w Syrii, a była jedyną jednostką wojska polskiego pozostającą w działaniach wojennych. Od czasu Francji nie widział też jej dowódcy, gen. Kopańskiego. W owej chwili Brygada znajdowała się w oblężonym Tobruku. W tych warunkach dojazd tam był niebezpieczny i wszyscy, zarówno Anglicy jak Polacy, gorąco odradzali gen. Sikorskiemu tę wyprawę. Nie przekonali go. W nocy, z 12 na 13 listopada wemknął się na okręcie brytyjskim do twierdzy. Nieoczekiwane pojawienie się Wodza Naczelnego zrobiło w Brygadzie wielkie wrażenie. Generał spędził cały dzień pośród żołnierzy, gawędząc, obchodząc pozycje obronne, nadając odznaczenia i dekorując gen. Kopańskiego Krzyżem Walecznych. Pewną sensację wywołała obecność Retingera. Jeszcze nigdy cywil nie odwiedzał Brygady.

Po jednym dniu komendant brytyjskiego kontrtorpedowca naglił do powrotu. Dłuższy pobyt Generała w Tobruku mógł być ryzykowny. Odjazd odbył się znowu pod osłoną nocy. Gen. Sikorski zwierzał się potem, że jednym z najtrudniejszych wyczynów w jego życiu było wspinanie się po chwiejnej drabince sznurowej na bok okrętu, w zupełnych ciemnościach. Po odpłynięciu spostrzeżono brak jednego pasażera. W zamieszaniu pośpiechu, gdzieś się zawieruszył por. Tyszkiewicz. Jak wydostał się z Tobruku, nie wiem. Nie doszłusował już do Generała i po jakimś czasie zjawił się w Londynie.

Dalsze wyczekiwanie w Kairze Generał znów wyzyskał na

konferencje z Anglikami. Chodziło o omówienie możliwości zaopatrzenia dla Armii Polskiej w Rosji. Wreszcie przychodzi sygnał od ambasadora Kota. Gen. Sikorski ze swym otoczeniem wylatuje przez Bagdad i Teheran do Kujbyszewa. W Teheranie spotyka go gen. Anders, a w Kujbyszewie Sir Stafford Cripps, amb. Kot i komisarz Wyszyński mówiący po polsku, odtąd już stale do Generała przydzielony. W końcu, 2 grudnia 1941 roku, gen. Sikorski ląduje w Moskwie. Los jej właśnie waży się na szali, wojska niemieckie są o kilkanaście kilometrów od miasta.

Opowiadano mi później wrażenia z zagrożonej stolicy. Na pozór panował spokój. Niektórzy dyplomaci wyjechali do Kujbyszewa. Odbływały się inne, dyskretne ewakuacje, lecz ludzie chodzili jak zwykle za swoimi sprawami, szarą, milczącą masą. Tylko co rano zmiatano z ulic, jak śmiecie, podarte na strzępy karty partyjne.

Pobyt gen. Sikorskiego w Rosji trwał blisko dwa tygodnie. Przyjmowany był z wszelkimi honorami przez władze sowieckie, a z nieopisanym entuzjazmem wśród wojska polskiego. Momentem wielkiej wagi były rozmowy ze Stalinem na Kremlu, protokołowane szczegółowo przez gen. Andersa i amb. Kota. Gen. Sikorski domagał się w nich pełnego wykonania umowy, rzetelnej rozbudowy naszej Armii, uznania obywatelstwa polskiego Żydów, Ukraińców i Białorusinów, wywiezionych z terenów Rzeczypospolitej, a na powtarzane z naciskiem pytania o nieobecnych jeńców, otrzymał słynną odpowiedź, że może „uciekli do Mandżurii”. Następne spotkania z sowieckim władcą miały inny charakter. Podczas przedstawienia filmowego Stalin gawędził dobrodusznie. Na bankiecie, uświetnionym przepyszną carską zastawą ze szczerzego srebra, wygłosił wspaniałą mowę o tym, że Polska musi być potężna i wielka. Zaraz potem jednak widząc, że gen. Sikorski je niechętnie i bez apetytu, zakazał podawania dalszych potraw i skorzystał z przerwanej uczty aby odciągnąć Generała na bok i rozpocząć z nim dyskusję na temat przyszłych granic Polski, naturalnie okrojonych od wschodu. Gen. Sikorski stanowczo od takiej rozmowy się uchylił.

Konferencje na Kremlu zakończyło podpisanie wspólnej deklaracji obu państw o walce z Niemcami i odbudowie Europy na zasadach sprawiedliwości wobec narodów. Stalin i Generał przemawiali też przez radio, a mowa Generała została rozgłoszona szeroko w wielu językach.

Z Moskwy gen. Sikorski udał się znów do Kujbyszewa, gdzie zachorował dość poważnie. Wobec tego jego wizyta w kwaterze głównej Armii Polskiej w Buzułuku i przegląd dywizji w Toccoje i Tatiszczewie, opóźniły się o kilka dni. O wszystkim tym

dowadywałem się normalnie z przekazywanych mi wiadomości w trakcie podróży. Jednak były to tylko suche fakty i nigdy może nie wyczekiwałem tak niecierpliwie powrotu Generała, by od niego usłyszeć osobiste wrażenia.

Tymczasem powrót ten odwlekał się. Minęły święta Bożego Narodzenia, podczas których odwiedziłem rodzinę Generała w Iwer. On sam spędził je gdzieś w drodze. Leciał znów rzemieennym dyszlem, zatrzymując się w Teheranie i Kairze dla konferencji o sprawach Armii Polskiej z Brytyjczykami. W końcu z Malty, czy z Gibraltaru otrzymałem od gen. Klimeckiego depe-szę, z prośbą o dostarczenie na lotnisko w Anglii laski dla gen. Sikorskiego, gdyż miał obolałą nogę. Tak więc, dopiero 6 stycznia 1942 roku z laską w ręku czekałem na lądowanie samolotu Generała. Wysiadł z niego zmęczony, widać że scho-rowany, lecz w dobrym nastroju.

O swojej wyprawie do Sowietów mówił z optymizmem. Stalin zrobił na nim duże wrażenie. Widział w nim człowieka pewnego swych celów, o przenikliwym umyśle i olbrzymim poczuciu władzy. Czuł w nim wielkość. Przy Stalinie wszyscy inni sowieccy dygnitarze wydawali się mali. Podziwiał też jego spokój i opanowanie wobec grożącego od Niemców niebezpieczeństwa. Stalin oświadczył, że nigdy z obleżonej Moskwy się nie ruszy. W tak krytycznym dla Rosji momencie, wierzył stanowczo w jej zwycięstwo. To Generałowi zaimponowało. Nie dostrzegł odwrotnej strony medalu tej potężnej indywidualności. Przeszkodą był zapewne brak znajomości rosyjskiego języka. W ustach tłumacza wiele wypowiedzi traci odślaniającą bezpośredniość. Tu gen. Anders miał nad gen. Sikorskim przewagę.

Prawdziwie głębokim przeżyciem był pobyt wśród Armii Polskiej. Widok zwartych szeregów żołnierzy i ochotniczek, całe to wojsko powstałe ze skazańców, w oberwanych kozuchach i futrzanych czapach, lecz z ogniem w oczach wlepionych w Naczelnego Wodza, to była chwila, która — jak mówił — była odpowiedzią na jego myśli przy umowie z Majskim. Formowała się już 5, 6 i 7 dywizja, w warunkach nadzwyczaj ciężkich. Generał opowiadał o namiotach wkopanych w śnieg, do których wchodził, o braku żywności, bo pomoc angielska jeszcze nie doszła, a żołnierze karmili ze swoich racji polską ludność cywilną, szukającą przy wojsku ratunku i opieki. Duchem w Armii Generał był zachwycony. Mówiono, że gen. Boruta-Spiechowicz chodził sam rąbać drzewo na opał do lasu, pracując na równi z żołnierzami. Jedynym zgrzytem, który dotknął Generała był przejazd pociągiem do obozów. Oddano do jego dyspozycji salonkę pochodzącą jeszcze z carskich czasów, a w niej zastawiono suty

posiłek, naturalnie łącznie z kawiozem. Pociąg posuwał się wzdłuż tłumów wynędzniałych i głodujących żołnierzy. Kontrast był zbyt wielki. Gen. Sikorski kazał zasunąć firanki na oknach wagonu.

Ze wszystkich prywatnych i publicznych wypowiedzi Generała widać było, że uważał iż osiągnął pozytywne wyniki ze swej podróży do Rosji. Od Stalina uzyskał zgodę na ewakuację 25 tysięcy żołnierzy jako uzupełnienia dla I Korpusu w Szkocji, Brygady Karpackiej, marynarki i lotnictwa. Otrzymał też przyrzeczenie dalszego formowania dywizji polskich na terenie ZSSR i przesunięcia ich w bardziej południowe rejony. Niepokojącą pozostawała kwestia zaginionych oficerów. Gen. Sikorski czuł, że tu coś nie jest w porządku. W porozumieniu z gen. Andersem, rtm. Józef Czapski, sam więziony w obozach jenieckich, został specjalnie wyznaczony do przeprowadzenia poszukiwań w tej sprawie. Na ogół jednak gen. Sikorski wierzył, że Stalin dotrzyma zobowiązań, a wojenna współpraca z Sowietami jakoś się ułoży.

Rzecz miała się inaczej gdy chodziło o szersze plany polityki rosyjskiej. Już w końcu stycznia Generał w rozmowach z Churchilllem i Edenem przestrzega ich przed imperializmem sowieckim i niebezpieczeństwem skomunizowania Europy. Rozwijając swoje myśli o przyszłych federacjach narodów, w czym widzi jedyny ratunek dla Litwy, państw bałtyckich i krajów bałkańskich. Mówi to z tym większym naciskiem, ponieważ podczas jego pobytu w Rosji sytuacja wojenna uległa znowu zasadniczej przemianie.

Dnia 7 grudnia, kiedy gen. Sikorski leżał chory w Kujbyszewie, nagły atak japoński niszczy Pearl Harbour, amerykańską bazę na Hawajach. Nazajutrz Stany Zjednoczone są w wojnie z Japonią, dołącza do nich Wielka Brytania, a 11 grudnia Niemcy i Włochy wypowiadają wojnę Ameryce. Konflikt rozszerza się na Pacyfik, przybiera rozmiary globalne. Zagrożone są odległe posiadłości Stanów i Anglii, zagrożone Indie, Burma i Australia. W tej sytuacji sprawa Polski zaczyna spadać do rzędu skomplikowanych zagadnień mniejszych państw europejskich, natomiast wzrasta znaczenie Rosji, której granice sięgają Dalekiego Wschodu.

W owej chwili losy wojny wciąż były niepewne. Sowiety zmagali się z naporem niemieckim. Brytyjczycy zaledwie rozpoczęli ofensywę w Afryce, gdzie Rommel miał dotychczas przewagę. Przystąpienie Ameryki do wojny, choć rozciągało walkę na dalsze kontynenty, witane było przez Aliantów z radością. Gen. Sikorski od dawna zdawał sobie sprawę jak zdecydowanie potęga wojskowa i przemysłowa Stanów może wpłynąć na wynik wojny. Wiedział też, że po zwycięstwie ich głos będzie miał naj-

wyższą wagę. Dlatego rozumiał dobrze, iż należy możliwie szybko starać się o zabezpieczenie interesów Polski w posunięciach politycznych Ameryki, zwłaszcza wobec tendencji Wielkiej Brytanii do ugody z Rosją. Tendencji tej dowodziły rozmowy Edena w Moskwie i naleganie Sir Stafford Crippsa na zawarcie bilateralnej, brytyjsko-sowieckiej umowy. Stąd, w ciągu 1942 roku, aż dwie podróże gen. Sikorskiego do Stanów Zjednoczonych.

Zanim jednak do tego doszło, wynikła sprawa o wielkim znaczeniu dla naszego wojska w Szkocji i wkładu polskiego w wysiłek wojenny Sprzymierzonych. W połowie lutego, a więc wkrótce po powrocie Generała z Rosji, odbyła się w Gasku odprawa wywołana planami organizacyjnymi gen. Maczka. Wzięli w niej udział Wódz Naczelny, Dowódca I Korpusu gen. Kukiel, zastępca Dowódcy gen. Kossakowski, wszyscy dowódcy większych jednostek jak gen. Maczek, Głuchowski, Łuczyński, Paszkiewicz, płk Sosabowski, a spoza Korpusu Szef Sztabu Generalnego gen. Klimecki i ja. Chodziło o to, że gen. Maczek proponował, aby z poszczególnych oddziałów I Korpusu stworzyć Dywizję Pancerną, wyposażoną i wyćwiczoną na najwyższym poziomie. Stanowiłaby ona nie tylko poważną siłę bojową, ale później, w oswobodzonej Polsce, znaczenie takiej wzorowej, nowoczesnej jednostki byłoby ogromne. Dotychczas, z powodu braku żołnierza, nie sposób było o tym myśleć. Teraz, wobec zapowiedzi uzupełnień z Rosji, otwierały się realne możliwości. Trzeba tylko decyzji Naczelnego Wodza, no i naturalnie zgody Anglików by dostarczyć czołgi, ekwipunek i możliwość szkolenia.

Podstawowy referat na odprawie wygłosił gen. Kossakowski. Gen. Maczek bardzo na niego liczył jako na wybitnego specjalistę od broni pancernej. Tymczasem spotkał go wielki zawód. Gen. Kossakowski zupełnie odrzucił, a nawet zironizował projekt. Nastąpiła konsternacja. Pomimo poparcia ze strony gen. Klimeckiego i mojej, nikt nie zabrał głosu i odprawa skończyła się na niczym. Gen. Sikorski wrócił do Londynu bez decyzji, a zrozpaczony gen. Maczek do swojej kwatery, by gorączkowo przygotować jeszcze memoriał w tej sprawie. W napięciu czekał na wyrok. Wreszcie, po siedmiu dniach otrzymał od Wodza Naczelnego lakoniczną depezę: „Mianuję Pana Generała dowódcą pierwszej dywizji pancernej”.

Gen. Maczek zwyciężył. Otrzymał swą wymarzoną broń pancerną. Jego zastępcą został płk Glabisz. Anglicy poszli nam całkowicie na rękę i odtąd rozpoczęło się intensywne organizowanie i szkolenie naszej dywizji. Rozrosła się w jednostkę imponującą uzbrojeniem, wyćwiczeniem, postawą i duchem żołnierzy. Kiedy

później, przed wyprawą na Francję, gen. Eisenhower odwiedził Dywizję już gotową do akcji, nie szczędził jej słów pochwały.

Dywizja Pancerna Maczka do Polski nie dotarła. Rozniosła jednak szeroko sławę polskiego żołnierza od Normandii, poprzez Belgię, Holandię i Niemcy, aż do Wilhelmshaven.

Mniej więcej w miesiąc po odprawie w Gasku, gen. Sikorski wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Przedtem już został wysłany do Waszyngtonu Edward Raczyński, minister Spraw Zagranicznych po dymisji Zaleskiego. Wspólnie z amb. Ciechanowskim miał przeprowadzić rozmowy z Prezydentem i wybitnymi amerykańskimi politykami, by zbadać nastrój i przygotować grunt dla wizyty Generała. Odzywały się już w Stanach głosy niepokojące dla Polski. Widziano Sowiety jako wielką potęgę, z której żadaniami należy się liczyć. To jednak nie wpływało na stosunek Roosevelta do wizyty gen. Sikorskiego. Został on przyjęty w Białym Domu z wielką życzliwością. Fotografia tego powitania dostała się do Anglii i wywołała wśród niektórych Polaków nieoczekiwaną reakcję. Widać na niej siedzącego Roosevelta ściskającego z uśmiechem rękę Generała, który przed nim stoi. „Patrzcie — mówiono — amerykański Prezydent nie raczy wstać z krzesła na spotkanie gen. Sikorskiego”. Nie orientowano się, że to krzesło było wózkiem paralityka. Urażone ambicje polskie obwinały nawet Generała, że dał się tak potraktować.

Tym razem pobyt gen. Sikorskiego w Stanach nie trwał długo. Rezultaty zdawały się pomyślne. W dwóch konferencjach z Rooseveltem i Sumner Wellesem Generał omawiał przede wszystkim walkę z Niemcami i od zwycięstwa nad nimi uzależniał pobicie Japonii. Chciał skupić uwagę Ameryki na losach Europy, zapewnić ingerencję Stanów w sprawę jej dotyczące. Uzyskał też zapewnienie rządu amerykańskiego, że nie dopuści do zaciągania żadnych zobowiązań tajnych podczas wojny w kwestii zmian terytorialnych, zarówno Polski, jak innych narodów. Waszyngton miał się w tej sprawie porozumieć z Londynem.

W drodze powrotnej Generał zatrzymał się na krótko w Kanadzie. Dnia 6 kwietnia lądował już w Prestwick, po strasznym przelocie, podczas którego odkryto symulowany zamach z bombą, nigdy nie wyjaśniony. Generał nic o tym wówczas nie wiedział, bo ciężko omdlał na skutek zamarznięcia masek tlenowych.

Nigdy przedtem nie widziałem Generała w stanie takiego wyczerpania. Nie miał nawet siły by pojechać samochodem do swojej szkockiej kwatery i prosił mnie o załatwienie mu noclegu w hotelu w Glasgowie. Nazajutrz rano dopiero wyruszyliśmy do Gasku, gdzie już były żona i córka Generała.

Czasu na wytchnienie zostało niewiele. W Londynie oczeki-

wano przyjazdu generałów Kopańskiego i Andersa, wezwanych przez Naczelnego Wodza. Gen. Kopańskiego otaczała już sława Tobruku i walk na pustyni, gen. Anders budził szczególne zaciekawienie jako dowódca cudownie odrodzonej Armii Polskiej w Rosji. Przybyli do Londynu dnia 23 kwietnia i zostali przyjęci niemal uroczystie. Był obiad wydany na ich cześć, było odznaczenie gen. Andersa Krzyżem Virtuti Militari 4-ej klasy za kampanię wrześniową.

Pomimo tych publicznych honorów wiedziałem, że między gen. Sikorskim a Andersem istnieje napięcie. Znali się dobrze z Polski i wówczas ich stosunki były jak najlepsze, nawet serdeczne. Ale już po powrocie gen. Sikorskiego z Rosji wyczułem zmianę. Wielką rolę odegrały tu intrygi amb. Kota, który w listach swych wynosił Andersa pod niebiosa, a w osobistych rozmowach z gen. Sikorskim w Kujbyszewie i później, oczerniał go jak mógł podsuwając różne insynuacje.

Gen. Anders miał też przy sobie człowieka, do którego czuł słabość i obdarzał niesłusznie zaufaniem. Był to nieodstępny jego towarzysz, rtm. Jerzy Klimkowski. Sama jego obecność przy Andersie budziła niepokój. Figura bardzo podejrzana, Klimkowski był przez jakiś czas pupilem Kota, a wreszcie okazał się agentem sowieckim. Po tym odkryciu z rozkazu gen. Andersa został uwieczony na Środkowym Wschodzie. Nie wiem jak dostał się z więzienia. Ostatecznie wrócił do Polski pod reżym komunistyczny, jako zacięty wróg Andersa.

Nieporozumienia między gen. Sikorskim i gen. Andersem szły jednak głębiej niż intrygi i machinacje osób trzecich. Miały źródło w nich samych, choć wykazywały się dopiero w trudnych okolicznościach współpracy z Sowietami i tworzeniu Armii Polskiej w Rosji. Gen. Sikorski był człowiekiem Zachodu. Pochodził z Małopolski, wzrósł w dobrotliwej atmosferze rządów austriackich. W okresie swej „niełaski” za czasów Sanacji, spędził całe lata we Francji i Szwajcarii. Nawiązał liczne stosunki z wybitnymi ludźmi na Zachodzie. Z Francuzami, Brytyjczykami i Amerykanami czuł się na znanym terenie i był przez nich wysoko ceniony, nie tylko jako żołnierz, ale i mąż stanu. Za to mentalność rosyjska była dla niego zagadką, którą rozszyfrował dopiero na skutek dotkliwych doświadczeń i zawodów. Gen. Anders znał Rosję na wylot. Służył w armii carskiej, był świadkiem rewolucji bolszewickiej, po kampanii wrześniowej przeżył więzienia sowieckie, widział z bliska los człowieka w systemie komunistycznym i cierpienia Polaków na tej „ziemi nieludzkiej”. Stalinowi nie wierzył ani na jotę. Nie wierzył w żadne jego obiet-

nice, traktaty, umowy. Wiedział jaka kryje się za tym rzeczywistość.

Pierwsze wyraźne starcie między gen. Sikorskim i gen. Andersem nastąpiło w Londynie na odprawie dla wyższych dowódców. Protokół obrad spisywaliśmy ja i płk Glabisz, który już wówczas przeszedł do Sztabu Generalnego, jako Szef I-go Oddziału. Omawiana była organizacja Polskich Sił Zbrojnych. Gen. Anders wysunął projekt, aby prócz lotnictwa i marynarki, przenieść całość wojska polskiego na Środkowy Wschód, wraz z Naczelnym Dowództwem. Było to wbrew wszelkim planom gen. Sikorskiego, który wyraził swój sprzeciw. Gen. Anders gwałtownie obstawał przy swoim. Nie chciał też się zgodzić co do ilości uzupełnień jakich gen. Sikorski żądał od Armii Polskiej w Rosji dla I-go Korpusu i Brygady Karpackiej. Odprawa zakończyła się ostrą wymianą zdań i rozeszliśmy się w przykłej atmosferze.

Innym nieprzyjemnym momentem było śniadanie, na które gen. Anders zaprosił mnie i gen. Klimeckiego. Z Anderssem znaliśmy się dobrze z dawnych lat, byliśmy na „ty”, przypuszczałem więc, że będzie to po prostu przyjacielskie spotkanie. Tymczasem w pewnej chwili gen. Anders zaczął mówić o gen. Sikorskim i wyraził zdanie, że może byłoby wskazane aby pozostał on Premierem, rezygnując z funkcji Naczelnego Wodza. Klimecki i ja byliśmy chyba najbliższymi współpracownikami gen. Sikorskiego. Taka rozmowa wydała nam się co najmniej żenująca.

Później, przed samym wyjazdem z Anglii, gen. Anders miał jeszcze długą konferencję z Naczelnym Wodzem. Zostały w niej uzgodnione nie tylko pewne punkty sporu z odprawy, jak ilość uzupełnień, ale gen. Sikorski zamianował Andersa inspektorem wojsk na Środkowym Wschodzie. Na pozór więc rozstali się dobrze. Nie rozwiązało to jednak zasadniczej różnicy w ich podejściu do spraw Armii Polskiej w Rosji. Ze względów politycznych Generał Sikorski chciał aby choć część polskiego wojska pozostała w Sowietach i wzięła udział w akcji przeciw Niemcom na tym froncie. Wobec ciągłych roszczeń Stalina do polskich ziem wschodnich tracił zaufanie do jego dobrej woli. Ale chodziło mu o utrzymanie stosunków z Sowietami by zapewnić tam naszym placówkom dalszą działalność opiekuńczą. Natomiast gen. Anders pragnął wyprowadzić całą Armię Polską z Rosji, wraz z gromadzącą się przy niej ludnością. Wiedział wzrastające zagrożenie jej istnienia i czuł, że wśród żołnierzy i oswobodzonych cywilnych zesłańców, jest tylko jedna myśl — wydostać się jak najprędzej z tego znieawidzonego kraju.

Tragiczna wieść o Katyniu rozstrzygnęła sprawę polsko-so-

wieckich stosunków i wówczas nasze wojska i duża ilość cywilnej ludności były już poza granicami Rosji. Jednak nim to nastąpiła sfera tarć między gen. Sikorskim a gen. Andersem pozostawała otwarta. Nie będę tu wchodził we wszelkie szczegóły ewakuacji, wyjazdu amb. Kota jeszcze przed ostatecznym opuszczeniem Sowietów przez wojsko, mianowania amb. Tadeusza Romera na jego miejsce i wszystkich komplikacji wobec wciąż pogarszającej się sytuacji Polaków w Rosji. Nie byłem tam, a zresztą są to sprawy powszechnie wiadome. Od gen. Sikorskiego wiem, że go zirytował mocno kontakt bezpośredni gen. Andersa z Churchilllem. Zdarzały się też inne fakty, które godziły w jego poczucie wodzostwa. Zresztą, takie poczucie nie było obce także gen. Andersowi. Nie można się dziwić, że ludzie, którzy wyszli z Rosji widzieli w nim swego naturalnego przywódcę. To wszystko dawało powody do zadrażnień i nieporozumień, skwapliwie podsypanych przez intrygantów i mącicieli.

Tymczasem do reprezentacyjnych obowiązków gen. Sikorskiego przybywają kontakty z wojskiem amerykańskim, które nadciąga do Europy na pomoc Aliantom. Pierwsze oddziały wyładowały właśnie w północnej Irlandii, zdaje mi się w sile jednej dywizji. Dowódca tej jednostki, generał, którego nazwiska już dziś nie pamiętam, zwrócił się do Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych z oficjalnym zaproszeniem na inspekcję. Towarzyszyłem gen. Sikorskiemu w tej wyprawie. Przyjęcie, jakiego doznaliśmy, było niezmiernie serdeczne i dalekie od wszelkiej uroczystej sztywności, która ma zwykle miejsce przy takich okazjach. Uderzyła mnie od razu zupełnie specyficzna atmosfera panująca w wojsku amerykańskim. Żołnierze wyglądali wspaniale, lecz poruszali się po obozie w obecności oficerów ze swobodą, a nawet pewną koleżeńską nonszalancją, nieznaną gdzie indziej. Pewną trudność podczas naszej wizyty stanowił brak wspólnego języka. Mój angielski był jeszcze wówczas bardzo słaby. Większość uprzejmości wyrażała się więc w uśmiechach i przyjaznych gestach, gdy nagle odkryliśmy pośród żołnierzy Polaków, którzy nieco kulawo, ale mówili po polsku. Podczas śniadania w ogromnym namiocie, gdzie gen. Sikorski zajmował miejsce honorowe, nastrój był swobodny i wesoły. Podano nam olbrzymiej wielkości befsztyki, a zapijaliśmy je białą kawą. Potem, dowódca dywizji pokazywał nam ekwipunek amerykańskiego żołnierza, doprawdy imponujący. Począwszy od uzbrojenia, a skończywszy na szczoteczce do zębów, wszystko było w najwyższym gatunku i w ogromnej ilości. Mundury na różne okazje, wiatrówki, kożuszki, bielizna, koce, rozmaite typy obuwia, manierki i kubki, talerze, puszki ze specjalną amerykańską żywnością, nie mówiąc już o naj-

bardziej nowoczesnej broni — na każdego szeregowca wypadła chyba tona wyposażenia. Jakiegoż to wymagało transportu! Gen. Sikorski oglądał wszystko z zaciekawieniem, a ja czułem się jak ubogi krewny.

Wkrótce potem nastąpiły nowe kłopoty w Rządzie. Chodziło o Ministerstwo Spraw Wojskowych. Dotychczas ministrem był Sikorski, a wice-ministrem Modelski, awansowany już na generała. On właśnie rozpoczął teraz zakamuflowaną akcję, by skłonić gen. Sikorskiego do ustąpienia z tego stanowiska. Wysuwane były różne argumenty, między innymi przeciążenie Generała zbyt wielu obowiązkami. Przede wszystkim jednak twierdzono, że Naczelne Dowództwo i Ministerstwo Spraw Wojskowych nie powinny spoczywać w jednym ręku. Właściwy cel akcji był jasny: Modelski sam chciał zostać ministrem. Gen. Sikorski zdawał sobie z tego sprawę, lecz po pewnym czasie dał się przekonać, że nie należy kumulować dwóch funkcji związanych z wojskiem. Postanowił więc zrzec się Ministerstwa, ale w żadnym razie nie po to by je przekazać Modelskiemu. Zastanawiał się nad inną odpowiednią kandydaturą. Wówczas podsunąłem Generałowi myśl o Kukielu. Generał przyjął ją bez entuzjazmu, ale zgodził się pod warunkiem, że w jego imieniu ja omówię i uzgodnię proponowaną kandydaturę z Prezydentem. Spełniłem to polecenie i we wrześniu 1942 roku gen. Kukiel objął ministerstwo, które zostało przemianowane na Ministerstwo Obrony Narodowej. Na jego miejsce jako dowódca I-go Korpusu przyszedł gen. Boruta-Spiechowicz przybyły z Rosji.

Zresztą, coraz to więcej ludzi stamtąd zjawiało się w Londynie wnosząc w polskie społeczeństwo nowy element przeżyć i doświadczeń z niewoli w Sowietach. Od jesieni 1941 roku był tu już Stanisław Grabski, potem Wacław Komarnicki i Jan Kwapiński. Dwaj ostatni weszli później do rządu. Droga Kwapińskiego do Anglii miała momenty dramatyczne. Pierwszy okręt, na którym płynął, został zatopiony. Z kolei drugi, ratujący rozbitków, uległ podobnemu losowi i dopiero na trzecim zdołał dotrzeć do Wielkiej Brytanii. Wreszcie, po rozpoczęciu ewakuacji Armii i ludności przez gen. Andersa, przyjeżdżają nie tylko indywidualne osoby, ale grupy żołnierzy by zasilić lotnictwo, marynarkę i I Korpus w Szkocji. Równocześnie, po krótkim pobycie na Środkowym Wschodzie, wraca do Londynu porzuciwszy swe stanowisko prof. Kot, a z nim wzrasta się atmosfera intryg i machinacji. Zdawałoby się, że po fatalnym doświadczeniu jego działalności w Rosji, straci zaufanie gen. Sikorskiego. Tymczasem wpływ Kota na Generała pozostał równie silny i tym razem zwrócił się przeciwko Stanisławowi Strońskiemu. Generał lubił

bardzo Strońskiego, cenił jego inteligencję i dowcip, miał jednak zastrzeżenia co do niego jako ministra propagandy. Uważał, że Stroński przesadza w swej skwapliwości na rzecz Generała, zwłaszcza jeżeli chodzi o inspirowanie prasy, a tym samym wywołuje niezamierzoną, wręcz odwrotną reakcję. Prof. Kot wyzyskał te zastrzeżenia wypierając Strońskiego i sam wchodząc do Rządu. Generał proponował Strońskiemu inne stanowiska, ten jednak, dotknięty, odrzucał wszelkie propozycje i pozbawiony jakiejkolwiek funkcji, zmuszony był zarabiać na życie jako robotnik w angielskiej fabryce.

W tym czasie początkowy optymizm gen. Sikorskiego co do możliwości ustalenia jakichś znośnych polsko-sowieckich stosunków rozwiązał się zupełnie. Widać już było jasno, że uroczyście podpisana umowa na Kremlu nie jest w żadnym punkcie wykonywana. Władze sowieckie nie ukrywały swej złej woli ani wobec opuszczającej Rosję Armii, ani wobec ludności polskiej, która nie zdążyła dotrzeć do wojska. Następca Kota, ambasador Tadeusz Romer, wciąż donosił o nowych trudnościach i szkach. Poza tym, coraz wyraźniej objawiały się roszczenia Rosji, nie tylko do zagarniętych ziem Polski, ale i innych krajów Wschodniej Europy, wbrew wszelkim postanowieniom Karty Atlantycznej, którą Rosja przyjęła oficjalnie.

Dalsze miesiące letnie 1942 roku wypełniały ciągle konferencje gen. Sikorskiego z Churchillem, Edenem, przedstawicielami Labour Party, min. Daltonem i min. Bevinem. Zawsze na pierwszy plan wysuwał się problem rosyjski. Generał informował, ostrzegał, przekonywał, ale nawet gdy spotykał się ze zrozumieniem, to uchylano się od wszelkich kroków mogących zadrażnić Sowiety. W końcu września następuje wyczerpująca rozmowa z ambasadorem amerykańskim Harrimanem i gen. Sikorski zaczyna myśleć o nowej podróży do Stanów Zjednoczonych.

Generał zdawał sobie doskonale sprawę, że Ameryka zaangażowana całkowicie w konflikt, z pełnym użyciem swej materialnej i militarnej potęgi, będzie miała głos decydujący zarówno w sprawie prowadzenia wojny, jak po osiągnięciu zwycięstwa w przyszłej organizacji świata, a Europy przede wszystkim. W obu tych dziedzinach gen. Sikorski miał zdecydowane poglądy skierowane przeciwko zaborczym planom Rosji. Co do akcji wojennej, widział ją w ataku aliantów zachodnich, idącym od południa, przez Bałkany, by uchronić Wschodnią i Środkową Europę od penetracji sowieckiej. Co do myśli politycznej, opierał ją o ideę federacyjną, zwłaszcza Polski, Czechosłowacji, państw Bałtyckich, a dalej Węgier i Rumunii, które zmuszone do kolaboracji z Niemcami, przeszłyby chętnie na stronę Sprzymierzono-

nych przy pierwszym zetknięciu z ich wojskami. Jugosławia już była w obozie Aliantów. W ten sposób powstałby silny blok od Adriatyku po Bałtyk, jakby nowe „przedmurze” związane z Zachodem.

Dla tych swoich koncepcji Generał chciał pozyskać Prezydenta Stanów Zjednoczonych tym bardziej, że od listopada nastąpiło przesilenie w walce z Niemcami. Klęska Rommła pod El-Alamein i opanowanie Afryki francuskiej otwierały realne możliwości dla ofensywy z tych baz na Południową Europę. Równocześnie jednak załamanie się działań niemieckich nad Wołgą i zwycięstwa Czerwonej Armii, wzmacniały stanowisko i wpływy Sowietów. Moment więc był decydujący.

W końcu listopada 1942 roku gen. Sikorski wyruszył w swą trzecią podróż do Ameryki. Wobec problemów jakie miał tam poruszyć, nabierała ona, politycznie i militarnie, znaczenia które przerastało ramy sprawy ściśle polskiej. Tym razem oprócz nieodłącznego Retingera, towarzyszył Generałowi ambasador Józef Lipski. Odlot nastąpił z Gatwick i nazajutrz Generał przybył szczęśliwie do Montrealu, skąd tego samego dnia miał lecieć dalej do Waszyngtonu. Tu nastąpił wypadek, który mógł się zakończyć tragicznie i był jakby zapowiedzią ostatecznej katastrofy. Prawie natychmiast po poderwaniu się, silniki przestały pracować i pilot musiał lądować gdzie się da, wśród pól i rowów, na brzocho samolotu. Wstrząs był potężny. Cudem nikomu nic się nie stało, tylko wyjazd trzeba było odłożyć. Prezydent Roosevelt, ogromnie zaniepokojony powodem opóźnienia, witał Gościa z tym większą serdecznością, wypytując o szczegóły wypadku i wyrażając nawet podejrzenie możliwości sabotażu.

Po tym pierwszym spotkaniu rozpoczęły się zaraz konferencje gen. Sikorskiego z Prezydentem, Sumner Wellesem i najwyższymi czynnikami wojskowymi Ameryki.

Pobyt Generała w Stanach trwał kilka tygodni, z krótkim wypadem do Meksyku. Przez cały ten czas otrzymywaliśmy z gen. Klimeckim niemal codzienne relacje o rozmowach, kontaktach i nawet wrażeniach Generała w tej podróży. Te ostatnie nie były najlepsze. Wprawdzie konferencje toczyły się w przyjaznej atmosferze, wypowiedzi gen. Sikorskiego przyjmowano z uwagą, ale gdy przechodziło się do konkretnych zagadnień następowały trudności. Na każdym kroku dawało się odczuwać zafascynowanie Rosją i obawę by nie narazić się na żaden z nią konflikt. W przeciwieństwie do polityki angielskiej, również liczącej się z potęgą Rosji, ale ze świadomością groźby jaką przedstawia, w Ameryce uderzała pod tym względem zupełna naiwność. Roosevelt, głosząc

ideały demokracji, wolności narodów i szacunku dla praw człowieka, zgodnie z tradycją swego kraju, nie dostrzegał wcale, że największym wrogiem tych ideałów są właśnie Sowiety. Był przekonany, że przy osobistym spotkaniu bez trudu dogada się ze Stalinem. Wiadomo, jak się te złudzenia skończyły.

W innych sprawach, dotyczących nastrojów i problemów na kontynencie europejskim, Roosevelt również wykazywał brak orientacji, typowy dla mentalności amerykańskiej. Na przykład, podczas jednej z rozmów o sytuacji w krajach okupowanych, wyraził się dość uszczypliwie o Wolnych Francuzach i de Gaulle'u. Generał Sikorski nie miał do niego specjalnej sympatii, gdyż de Gaulle był człowiekiem zamkniętym w sobie, o wielkiej rezerwie, trudnym do obcowania z ludźmi. Podziwiał jednak jego upartą wiarę w wielkość Francji i niezłomną wolę walki, w chwili zdawałoby się beznadziejnej, kiedy de Gaulle znalazł się w Anglii sam, bez oparcia we własnym kraju, a nawet z wyrokiem śmierci wydanym przez Pétaina. Aliant brytyjski przyjął go bez entuzjazmu, Churchill czuł do niego antypatię i lekceważył, bo z początku nie przedstawiał żadnej siły militarnej. Natomiast gen. Sikorski był wówczas u szczytu popularności. Stał na czele rządu uznanego przez Wielką Brytanię, miał w swej dyspozycji Siły Zbrojne walczące u boku Anglików i wielkie uznanie u Churchilla. Tym bardziej więc, przy każdej okazji Generał podkreślał wobec de Gaulle'a solidarność sprzymierzeńca, zapraszając go na inspekcje polskich oddziałów i inne między-alianckie spotkania. Teraz, wobec Roosevelta podkreślał wagę Ruchu Oporu we Francji, wzrastającą popularność de Gaulle'a jako symbolu godności narodowej i militarne możliwości otwierające się przed nim po opanowaniu Afryki francuskiej. Była w tym dziwna ironia losu, że głos Sikorskiego przemawiał za de Gaulle'm właśnie w chwili gdy odwracały się karty. Na końcu wojny wojska Wolnych Francuzów miały wkroczyć w tryumfie do Paryża, podczas gdy nasze, pomimo zwycięstw, stanęły wobec ostatecznej klęski sprawy polskiej.

Jednak podczas ostatniej podróży gen. Sikorskiego do Ameryki sprawa ta nie była jeszcze całkowicie przegrana. Nadzieje nasze pozostawały żywe a Polska, mimo politycznych komplikacji z Sowietami, była nadal ceniona i uznawana jako Aliant. Ale osiągnięcia Generała nie pokrywały się z tym co sobie obiecywał. Oprócz przyznania Armii Krajowej statusu regularnych wojsk sprzymierzonych i deklaracji Roosevelta w formie listu do Sikorskiego, gdzie powtarzały się pięknie brzmiące lecz ogólnikowe obietnice, nie udało się wiele uzyskać. Ani wojenne, ani polityczne plany Generała nie zostały nigdy wykonane.

Dla amb. Lipskiego, amb. Ciechanowskiego i płk. Mareckiego, któremu Generał powierzył omawianie spraw wojskowych, był to okres wytężonej pracy. Jaką rolę odegrał Retinger, nie wiem. Pomocny w rozmowach był Stefan Zamoyski, zadomowiony już w Stanach na swym stanowisku przy płk. Mitkiewicz, delegowanym przez Naczelnego Wodza do między-alianckiego Komitetu Szefów Sztabu. Towarzyszył Generałowi jako tłumacz i adiutantował mu przy różnych spotkaniach i rozmowach. Generał miał do niego serdeczny stosunek, choć nie obyło się bez burzliwych momentów, jeszcze w Londynie. Ale u Generała wybuchy irytacji przechodziły bez śladu gdy kogoś lubił i cenił. Zamoyskiego przezywał żartobliwie „Bohunem”. Podczas pobytu w Waszyngtonie był u Zamoyskich na obiedzie z Retingerem i przy tej okazji Retinger zauważył, że nie widzi u nich nigdzie fotografii Generała. Na to Generał zwrócił się do Stefana mówiąc: wybierz sobie jakąś to ci napiszę „paskudnemu Bohunowi”. Zamoyski otrzymał ją później, przesłaną z Londynu z dedykacją: „Kochanemu Bohunowi z pozdrowieniem żołnierskim”.

Po objęciu Amerykańskiej Polonii i krótkiej wizycie w Meksyku, gen. Sikorski zbierał się do powrotu do Wielkiej Brytanii. Na dworcu w Nowym Jorku zegnał go Stefan Zamoyski. Gdy pociąg ruszał, Generał wychylił się z okna i zawołał: „w czerwcu wrócisz do mnie”. Zamoyski już go nigdy więcej nie zobaczył.

Lecąc z Kanady, Generał wylądował w Szkocji 13 stycznia 1943 roku. W trzy dni później odbyła się wielka rewia Polskich Sił Zbrojnych. Przygotowania do niej zaczęły się jeszcze za pobytu Generała w Stanach. Chodziło o to, aby właśnie w związku z tą podróżą, zamanifestować wśród swoich i obcych naszą gotowość i pewność siebie opartą na widomym związku wojska z Naczelnym Wodzem. Parada, zakrojona na ogromną skalę, wymagała skomplikowanej organizacji. Korpus w Szkocji, z Dywizją pancerną gen. Maczka i Brygadą Spadochronową gen. Sosabowskiego, rozrósł się przez wchłonięcie żołnierzy z Rosji, a po dłuższym czasie wytężonej pracy stanowił obecnie świetnie wyszkoloną i sprawną siłę. Oddziały, rozrzucone po całym kraju, trzeba było teraz zgromadzić wszystkie na jednym miejscu. Przy dużych odległościach przewożenie poszczególnych jednostek pociągało za sobą znaczne zużycie paliwa. To drażniło Brytyjczyków. Narzekali na takie, jak mówili, marnowanie cennej benzyny. Dla nas jednak ta rewia miała głębokie znaczenie i symboliczne i propagandowe.

Już na pewien czas przed powrotem Generała, byłem w Szkocji, aby dopilnować ostatecznych przygotowań. Wszystko szło składnie. Po paru dniach odpoczynku po przylocie Generała, wyjechaliśmy z nim z Gasku samochodem na odległy o kilkadzie-

siat mil teren rewii. Było to wielkie, puste pole z wybudowanymi trybunami dla Generalicji, zaproszonych gości i prasy. Widok był imponujący. Pole zaledwie mogło pomieścić zastępy żołnierzy, stojące we wzorowych formacjach, ze sztandarami. Gen. Sikorski zajął miejsce na trybunie, a przy nim dowódca Korpusu gen. Boruta-Spiechowicz. Przemówienie gen. Sikorskiego do wojska, apelujące do sił duchowych i wierności żołnierskiej, było transmitowane przez radio, docierało więc do szerokich mas słuchaczy w całej Wielkiej Brytanii. Po mowie Generała, spokojnej a mocnej, Dowódca Korpusu prosił, by mógł z kolei powiedzieć kilka słów do wojska. Tu nastąpiła katastrofa. Umieszczone przy trybunie głośniki przestały działać. Spostrzegłszy to Boruta-Spiechowicz grzmiącym głosem zakomenderował: „do mnie żołnierze!”. W jednej chwili przysły wzorowe szeregi i wspaniałe wojsko zamieniło się w jakiś bezładny wiecujący tłum. Wrażenie wiecu podkreślała jeszcze demagogiczna pełna sloganów mowa Boruty-Spiechowicza. Ogarnęła mnie wściekłość. Bez porozumienia z Naczelnym Wodzem zebrałem przedstawicieli prasy żądając aby ani jedno słowo z tego przemówienia nie ukazało się w druku. Bezpośrednio po rewii gen. Boruta-Spiechowicz przyjechał do Gasku i w mojej obecności oskarżył mnie przed gen. Sikorskim, powtarzając z pasją: „albo Borkowski albo ja!”. Generał odpowiedział, że nie ma zamiaru mnie usuwać, a co do gen. Boruty-Spiechowicza to zostawia mu wolną rękę. W rezultacie obaj pozostaliśmy na swoich stanowiskach.

Dzień niefortunnej rewii, dzień 16 stycznia 1943 roku stał się jednak pamiętny z innego, ważniejszego, powodu. W tej samej dacie ambasador sowiecki Bogomołow wręczył naszemu rządowi notę, złowrogą zarówno w swej treści jak w skutkach. Oznajmiała ona, że Rosja przestaje uznawać prawo do obywatelstwa polskiego osób pochodzących z naszych Kresów Wschodnich. Odtąd ludzie ci będą uważani za obywateli sowieckich. Było to równoznaczne z potwierdzeniem aneksji tych ziem przez Sowiety w 1939 roku i zapowiadało ostateczną zagładę polskiej ludności, która jeszcze pozostała w Rosji.

Wstrząśnięty groźbą tego uderzenia, gen. Sikorski udał się natychmiast do Londynu by naradzić się z Prezydentem i Rządem. Trzeba było reagować szybko i stanowczo. Z Moskwy został wezwany ambasador Tadeusz Romer. Minister Raczyński przedstawił Bogomołowi odpowiedź polską, odmawiającą uznania jednostronnych decyzji rządu sowieckiego. Ambasador Romer zawiózł do Moskwy list gen. Sikorskiego, w którym z naciskiem powtarzały się postulaty ustalone w umowie na Kremlu. Zwró-

cono się też do Roosevelta i Churchilla nalegając na ich ingerencję w tej sprawie.

O nocy Bogomołowa wiedziało całe polskie społeczeństwo, natomiast kroki i wysiłki naszego rządu by zapobiec niebezpieczeństwu, nie zostały ujawnione. Gen. Sikorski chciał uniknąć publicznych dyskusji na ten temat, obawiając się, że mogłyby utrudnić, a nawet przerwać pertraktacje amb. Romera w Moskwie. Miał jeszcze cień nadziei, że Stalin pójdzie na jakąś ugodę. Sytuacja jednak była beznadziejna. Dobiegała końca bitwa pod Stalingradem. W poczuciu tryumfu, Stalin był jak nigdy pewny siebie i zarówno naszego ambasadora, jak i wypowiedzi rządu polskiego traktował z nie ukrywanym lekceważeniem.

Tymczasem właśnie brak jawności w rokowaniach stał się przyczyną wzburzenia polskiej opinii publicznej. Zdawało się niektórym, że rząd lekceważy sprawę, że nic nie robi, że jest ustępliwy wobec Sowietów. Odżyły krytyki z okresu umowy z Majskim, gdzie sprawę wschodnich granic Polski pozostawiono otwartą do czasu pertraktacji na końcu wojny. Zarzucano Rządowi brak stanowczości i odwagi w stosunku do tego zasadniczego dla Kraju zagadnienia. Pomawiano go o zbytnią uległość naciskom Anglii i Ameryki. Wszystko to doprowadziło do kryzysu nieufności względem gen. Sikorskiego. Gen. Sosnkowski był specjalnie aktywny w tych wystąpieniach, konferował z Prezydentem Raczkiewiczem, proponował zupełną przebudowę Rządu. Z drugiej strony Bielecki wygłaszał mowę, w której niedwuznacznie żądał usunięcia gen. Sikorskiego z premierostwa.

Jako Szefa Gabinetu Naczelnego Wodza, obowiązki moje wiązały mnie wyłącznie z wojskiem. Nie miałem bezpośredniego kontaktu z problemami, które odnosiły się do Generała jako Premiera. Przy tym, własne usposobienie trzymało mnie z dala od rozgrywek politycznych. Jednak mój bliski stosunek z gen. Sikorskim sprawiał, że nieraz byłem świadkiem jego osobistych zwierzeń w tych sprawach i wiem jak głęboko i dotkliwie odczuwał trudności, które zatruwały ostatnie miesiące jego życia.

Zresztą ferment przenosił się także do wojska. Nota Bogomołowa była strasznym ciosem, zwłaszcza dla Armii na Wschodzie, składającej się przeważnie z ludzi pochodzących z naszych Kresów. Wielu z nich, opuszczając Rosję, musiało pozostawić tam rodziny. Obecnie tracili wszelką nadzieję, aby kiedykolwiek mogli się z nimi połączyć.

W tej napiętej atmosferze, spadła jak grom wiadomość o odkryciu w Katyniu pod Smoleńskiem masowego grobu oficerów polskich, jeńców wojennych, wziętych do niewoli przez Sowiety w 1939 roku. Nasze stanowisko w tej sprawie, próby aby przy

pomocy Międzynarodowej Organizacji Czerwonego Krzyża napiętnować tą zbrodnią winowajców, doprowadziły do zerwania stosunków z Rosją. Sytuacja Polski w gronie Sprzymierzonych skomplikowała się niebezpiecznie i wobec tego zagrożenia przyciśniętą wewnętrzną kryzys rządowy.

Natomiast, w Armii Andersa wzburzenie trwało. Przychodziły stamtąd wieści niepokojące o spiskach i koteriach w wojsku. Specjalnie szkodliwą robotę prowadził rtm. Klimkowski, niestety pozostający nadal w otoczeniu Andersa. Gen. Anders sam zwrócił się z listem do gen. Sikorskiego, doradzając ustąpienie Rządu.

Jeszcze przed wiadomością o Katyniu, gen. Sikorski postanowił wysłać na Środkowy Wschód gen. Klimeckiego, dla zbadania nastrojów i gotowości wojska, które przez włączenie Brygady Karpackiej, zamienionej teraz na Dywizję, stanowiło obecnie największą jednostkę Polskich Sił Zbrojnych.

Gen. Klimecki spełnił swe zadanie wzorowo zarówno pod względem politycznym jak militarnym, w nieskończonych rozmowach, konferencjach i inspekcjach. Pierwsze jego wrażenia nie były pocieszające. Oprócz Dywizji Karpackiej, wyczuł, zwłaszcza na wyższych szczeblach Armii, nastawienie anty-rządowe. Ludzie, którzy przeszli Rosję, nosili w sobie tak głęboki uraz, że to wpływało na całą ich psychologię, stąd odruchy nieufności do „Londyńczyków”, do tych, co nie przeżyli z nimi ich strasznych doświadczeń. Po dłuższym pobycie pośród wojska zrozumiał to gen. Klimecki, zwłaszcza gdy odwiedził 3 i 5 Dywizję i stwierdził, jak niezachwiany jest duch bojowy żołnierza. Przesłał wówczas do Londynu depezę, w której donosił, że wojsko jest zdrowe moralnie, a przyjazd Naczelnego Wodza uważa za konieczny.

To zadecydowało o wyjeździe gen. Sikorskiego, który już od pewnego czasu nosił się z zamiarem odwiedzenia Armii na Wschodzie. Namawiał go do tego usilnie minister brytyjski w Kairze, Casey, doradzał także Churchill. Odmawiali niektórzy członkowie Rządu z obawy o jego bezpieczeństwo uważając także, że jego obecność, jako Premiera, konieczna jest w Londynie wobec poważnych trudności wywołanych przez zerwanie stosunków z Rosją. Generał jednak postanowił jechać, ufając przede wszystkim radom Klimeckiego.

Odlot wyznaczony został na dzień 25 maja 1943 roku. Towarzyszyć Generałowi miała jego córka, p. Zosia Leśniowska w oficjalnej roli jako komendantka plutonu Pomocniczej Służby Kobiet, a także płk Marecki, płk Czalet, adiutant por. Ponikiewski i Kułakowski, sekretarz Prezydium Rady Ministrów. Podczas przygotowań do wyjazdu zaszły różne dziwne, jakby wróżebne okoliczności. Najpierw Churchill telefonicznie zwracał się paro-

krotnie do Generała, a nawet do mnie, prosząc aby p. Zosia zrezygnowała z podróży. Nie wyjaśniał powodu. Potem p. Zosia i p. Leśniakowa zjawiły się u mnie w Sztabie na lekcję. Utał się bowiem zwyczaj, że udzielałem tym paniom wyjaśnień co do różnych regulaminów i spraw wojskowych, uzupełniając tym ich kurs oficerski. Tego dnia jednak byłem bardzo zajęty i musiałem lekcję odłożyć. „Jaki pan niedobry” — zawołała p. Zosia — „nie chce nam poświęcić chwili czasu. A będzie panu żal, gdy mnie ryby zjedzą!”.

W dzień odlotu towarzyszyłem odjeżdżającym na lotnisko w Gatwick. Samolot już czekał w pogotowiu, a że było jeszcze trochę czasu zanim miał wyruszyć, wsiałem do niego wraz z pasażerami. Przez jakieś pół godziny gawędziliśmy o różnych sprawach. Pożegnanie było serdeczne, Generał pogodny, cieszył się obecnością córki w tej wyprawie.

Do Londynu wracałem pociągami z Retingerem, który również odprowadzał Generała i pierwszy raz, o dziwo, nie brał udziału w jego podróży.

Droga Generała na Środkowy Wschód prowadziła jak zwykle przez Gibraltari i w czasie kiedy spodziewane było tam lądowanie, paru członków Rządu otrzymało tajemniczy telefon. Jakiś nieznany głos, mówiący po polsku oznajmiał, że samolot Generała uległ rozbiciu i wszyscy zginęli. Straszna wiadomość była kłamliwa, lecz okazała się złowróżbną.

Nazajutrz witali Generała w Kairze gen. Anders, gen. Klimiecki, min. Załuliński, a z Anglików minister Casey i gen. Beaumont-Nesbitt. W parę dni potem przybył z Moskwy amb. Romer. Spotkanie z Andersem było poprawne lecz chłodne. Gen. Sikorski obawiał się, że będą z nim kłopoty. Tymczasem z depesz przesyłanych regularnie do Londynu widać było jak te podejrzenia znikają. Przyczynił się do tego głównie pobyt gen. Sikorskiego wśród wojska. Już 1 czerwca przeprowadzał inspekcję w Iraku.

Żołnierze, których widział w Rosji obdarty i wynędzniałych, stali teraz przed nim jakby nie ci sami ludzie. Opaleni słońcem pustyni, w świetnej fizycznej kondycji i bojowej postawie, wyposażeni w mundury i broń robili wspaniałe wrażenie. Jedno tylko pozostało niezmiennie, zapal w oczach zwróconych na Naczelnego Wodza. Zaraz nazajutrz Generał donosił Prezydentowi, że po pierwszych inspekcjach w wojsku stwierdził wśród żołnierzy „patriotyzm najgorętszy, zdecydowaną wolę walki i oddanie bezwzględne sprawie polskiej”. Po przeglądzie wszystkich dywizji tj. 5-tej i 3-ciej Karpackiej, gdzie przemówił w serdecznych słowach do jej dowódcy gen. Kopańskiego, Generał

odwiedził także, wraz z córką, obóz Pomocniczej Służby Kobiet, a później zawiązki dalszych formacji i służb, zakłady, instytucje opiekuńcze, szkoły kadetów, junaków i młodszych ochotniczek, gdzie kształcili się już podrosłe dzieci wywiezione z Rosji. Armia na Wschodzie nie ograniczała się do szeregów dobrze wyszkolonych żołnierzy. To była wszechstronna organizacja polskość, żywotna społeczność powstała z nędzarzy. Jakiś fenomen zrodzony kosztem olbrzymiego trudu i wysiłku i ciągłych zabiegów u angielskich władz wojskowych, które zresztą nie szczędziły swej pomocy.

Gen. Sikorski umiał to ocenić. Żegnając się z wojskiem w Bagdadzie, wręczył Andersowi egzemplarz swej książki „Nad Wisłą i Wkrą” z dedykacją: „Generałowi, Dowódcy Armii, Wł. Andersowi, któremu powierzyłem z pełnym zaufaniem bezcenny skarb Narodu Polskiego, tj. podwładnych mu żołnierzy na Środkowym Wschodzie”.

Te same uczucia nowego zaufania wyraził później podczas pobytu w Brumanna w Libanie, gdzie odbył szereg konferencji z amb. Romerem i kierownikami polskich placówek dyplomatycznych na Środkowym Wschodzie. Między innymi spotkał się tam z amb. Sokolnickim, który notuje, że chciano Generała znów intrygami uwikłać w personalia i widać było jak bardzo pragnął się od tego uwolnić. „Przecież to naturalne” — mówił — „te wszystkie nastroje są zrozumiałe, ci ludzie są czwarty rok poza Krajem, poza tym tak wielu było w tej strasznej Rosji”. A gdy Sokolnicki wspomniał o pogłoskach dotyczących nieporozumień z gen. Andersem, odrzekł z goryczą: „Tyle o tym mówiono, tak mnie buntowano, ostrzegano, że w końcu musiałem powiedzieć: dość tych gadań, żołnierz zawsze zrozumie się z żołnierzem”.

Po powrocie do Kairu rozpoczęły się narady z gen. Andersem, gen. Klimeckim i wyższymi brytyjskimi władzami wojskowymi w sprawie organizacji Armii. Gen. Sikorski chciał z niej jak najspieszniej wyłonić dobrze wyekwipowaną i zwartą jednostkę bojową, złożoną z dwóch dywizji i Brygady pancerniej, pod osobistym dowództwem gen. Andersa. Tak powstał 2-gi Korpus, który później miał się tak świetnie odznaczyć w kampanii włoskiej. Równocześnie Generał postanowił powołać gen. Kopańskiego na stanowisko Szefa Sztabu Generalnego, powierzając dowództwo Dywizji Karpackiej gen. Klimeckiemu. Po załatwieniu tych spraw, gen. Sikorski bardzo podniesiony na duchu, wracał do Londynu. Wyruszone z Kairu w tym samym składzie osób co z Anglii, do których dołączył się gen. Klimecki, aby zakończyć swe urzędowanie w Rubensie zanim przekaże stanowisko gen. Kopańskiemu. Dnia 3 lipca samolot Generała ląduje w Gibralt

tarze, gdzie go spotyka por. Łubieński i Gubernator gen. Macfarlane. Odlot do Anglii ma nastąpić nazajutrz późnym wieczorem.

Jeszcze z Kairu otrzymałem szyfrowaną depeszę od gen. Kli-meckiego, w której zawiadamiał mnie o powrocie Generała. Nie podawał jednak miejsca lądowania w Wielkiej Brytanii. Mogło to nastąpić zarówno w Szkocji, jako koło Londynu. Zaraz po otrzymaniu wiadomości, udałem się do Gasku, by stamtąd zarządzić przygotowania, po czym zaraz wróciłem pociągiem do Londynu. Na dworcu spotkał mnie dyżurny oficer i wręczył mi plik listów. Schowałem cały pakiet do kieszeni i pojechałem do Sztabu w Rubensie. Tam dopiero, w swoim gabinecie, zacząłem przeglądać pocztę. Uwagę moją zwróciła od razu depesza i ją pierwszą otworzyłem. Gubernator Gibraltaru, gen. Mason Macfarlane donosił o katastrofie samolotu gen. Sikorskiego. Zginęli wszyscy.

Przez chwilę siedziałem bez ruchu, nie wierząc własnym oczom. Potem wyszedłem ze Sztabu i udałem się do Prezydenta Raczkiewicza. Był głęboko wstrząśnięty i kazał mi niezwłocznie zawiadomić osobiście Generałową Sikorską. Nie umiem powiedzieć jak straszna była dla mnie ta droga do Iwer, którą tyle razy odbywałem w towarzystwie Generała. Wkrótce miałem stanąć przed oczekującą na jego powrót żoną, przed kobietą, której musiałem oznajmić, że straciła męża i jedyną córkę. Obawiając się, że szok może wymagać pomocy lekarskiej, wziąłem ze sobą dr. Helda. Dojechawszy do Iwer, zatrzymałem się jeszcze u państwa Kozieli-Poklewskich. Mieszkali tuż obok Generała, w małym domku na terenie rezydencji Księstwa Kentu. Jako sąsiedzi widywali się często z rodziną Generała i łączyły ich przyjacielskie stosunki. Prosiłem więc Poklewskiego, aby mi towarzyszył w mojej ciężkiej misji. Zgodził się i we trzech udaliśmy się do pani Sikorskiej. Zastaliśmy ją jak zwykle pogodną, choć trochę zdziwioną tak późną, niezapowiedzianą wizytą.

Nie wiem jak wykrztusiłem tragiczną wiadomość. Noc była ciepła, drzwi do ogrodu otwarte i Generałową nagłym ruchem, bez słowa, wypadła przez nie na dwór. Jak oszalała zaczęła biegać po ogrodzie. Z wielką trudnością sprowadziliśmy ją z powrotem do salonu. Tu załamała się. Dr Held dał jej jakiś zastrzyk uspokajający. Wielką pomoc okazał Poklewski. Umiał znaleźć odpowiednie słowa pociechy, o ofierze życia w służbie Ojczyzny, o chwale żołnierskiej, do jakich ja nie byłem zdolny.

Przez parę dni Generałową leżała chora i na pół przytomna. Potem, raptem wezwała mnie do siebie, oznajmiając, że pragnie widzieć Prezydenta i członków Rządu. Chce aby przyszli wszyscy razem, bez wyjątku. Byłem obecny, gdy ich przyjęła, bardzo jeszcze słaba, leżąc na kanapie. I wówczas stała się rzecz dziwna.

Ona, która zawsze trzymała się na uboczu i żyła jakby w cieniu męża i córki, teraz nagle wygłosiła długie przemówienie głosem silnym, stanowczym, jakby nie ona, a ktoś mówił przez nią. Ostrzegała przed przyszłością, przed zmarowaniem wszystkiego co gen. Sikorski osiągnął, wypominała waśnie, polityczne swary, intrygi, rozgrywki osobiste. Wzywała do jedności wysiłku, do wspólnej pracy w jednym tylko celu dla dobra Kraju i odbudowy silnej, wolnej Polski.

Wrażenie było niesamowite. Wszyscy słuchali w milczeniu, a gdy skończyła, rozeszli się też w milczeniu i jakby spłoszeni. To była chwila jedyna w jej życiu. Nic jej przedtem nie zapowiadało i nic z niej nie pozostało później.

Prezydent Raczkiewicz polecił mnie i gen. Regulskiemu zająć się organizacją pogrzebu Generała w Londynie. Konieczność myślenia o różnych praktycznych szczegółach była dla mnie w owej chwili zbawienna. W trakcie mojej narady z Regulskim, zjawił się w Sztabie Lord Ismay, Szef Gabinetu Churchilla, który w jego imieniu zakomunikował nam, aby nie pobierać żadnych jednostronnych decyzji w związku z pogrzebem, gdyż Churchill sam chce się tym zająć i prosi o stały z nim kontakt w tej sprawie. Tymczasem z Gibraltaru przysły dalsze depesze i szczegółowy list od por. Łubieńskiego, który był świadkiem katastrofy. Wiadomo już było, że trumna Generała płynie do Anglii na polskim kontrtorpedowcu. Ciało pani Zosi nie znaleziono. Gen. Macfarlane proponował, aby ze względu na panią Sikorską obciążyć drugą trumnę kamieniami i przywieźć równocześnie jako zwłoki córki. Nie zgodziłem się na to, w obawie aby morze później gdzieś ciała nie wyrzuciło. Tak się stało na przykład z czapką Generała, która po jakimś czasie odnalazła się na brzegach Afryki.

Gdy okręt z trumną Generała na pokładzie przybił do portu w Anglii, oczekiwały go oddziały polskich Sił Zbrojnych i przedstawiciele Rządu. Specjalny pociąg, złożony z trzech wagonów, stał w pogotowiu. W jednym umieszczono trumnę, dwa inne zajęły osoby przybyłe na spotkanie okrętu. Kiedy pociąg zajeżdżał na stację Paddington w Londynie, dworzec zalegały tłumy. Odgrozione sznurami przejście, wzmocnione kordonem policji angielskiej, prowadziło do stojącego przed stacją karawanu. Idąc tym przejściem, za trumną, dostrzegłem Stanisława Strońskiego zagonionego w tłoku, za sznurami.

Ciało Generała przewieziono od razu do pałacu Prezydium Rady Ministrów. Tam przeżyłem moment potworny. Trzeba było stwierdzić tożsamość zwłok. Miał to uczynić oficjalnie konsul Poznański, w obecności Romera, Szefa biura Prezydium Rady Ministrów i mojej. Otworzono trumnę. Generał leżał owinięty

w grube koce, ale twarz miał odkrytą. W czaszce sterczał wbity kawał żelazniwa. Po długiej podróży na pokładzie okrętu, w upale, stan zwłok był okropny. Podpisaliśmy protokół, zamknięto trumnę. Zrobiło mi się słabo i musiałem szybko wyjść z pokoju.

Następnego dnia trumnę Generała wystawiono na widok publiczny. W tym celu przygotowałem odpowiednio apartamenty Prezydium. Z dużej sali, gdzie zwykle odbywały się posiedzenia Rady Ministrów, wszystkie meble zostały usunięte i tam stała trumna, na podniesieniu, otoczona kwiatami. Wartę honorową przy niej pełnili na zmianę żołnierze wszystkich broni. W przyległym salonie ustawiono wzdłuż ścian gablotki z pamiątkami po Generale. Większość ich pochodziła z Gasku, skąd rtm. de Virion przywiózł je na moje żądanie. On też pilnował zmiany warty, która czekała swojej kolei w gabinecie Generała. Rozpoczęła się defilada ludzi przed trumną. Pierwszy przyszedł Prezydent Raczkiewicz i dekorował trumnę Generała Wielką Wstęgą Orła Białego. Potem, przez parę dni przechodziły tłumy Polaków, Anglików, dygnitarzy wszelkich narodowości. W zupełnej ciszy wchodził do żałobnej sali, a wychodzili przez pokój z gablotkami. Porządek utrzymywali żandarmi z przybocznego oddziału straży Generała, którzy również przybyli z Gasku.

Po paru dniach odbyło się uroczyste nabożeństwo w katolickiej Katedrze Westminsterskiej. Trasa konduktu pogrzebowego prowadziła poprzez słynne parki londyńskie. Do połowy drogi trzymały szpaler uzbrojone polskie oddziały, dalej, aż do kościoła wojsko angielskie bez broni. Trumna przejeżdżała przed Rubensem, aby cały Sztab mógł pożegnać swego Wodza.

Katedra była nabita. Przedstawiciel króla, Lord Lasalle, zajął miejsce po lewej stronie nawy, przed katafalkiem, Churchill trochę cofnięty z prawej, a przy nim Generałowa. Obawiałem się trochę jej reakcji i chciałem być gdzieś przy niej blisko, aby w razie potrzeby służyć jej pomocą. Usiadłem więc na przystawionym krześle z boku, ukryty za kolumną, skąd mogłem widzieć wszystko, sam będąc niewidoczny. W pewnej chwili zauważyłem, że Churchill płacze. Generałowa przez cały czas była godna i spokojna.

Bezpośrednio po nabożeństwie samochód-karawan odjechał z trumną do Newark, gdzie na cmentarzu polskich lotników przygotowany był grób Generała. Nazajutrz udaliśmy się tam wszyscy. Trumna złożona była na noc w małym lokalnym kościele. Był uroczy, przypominał polskie kościołki wiejskie, ale tak skromny, że nie posiadał nawet katafalku. Trumna Generała stała na ziemi. Po egzekwacjach pojechaliśmy na cmentarz dość

oddalony. Tam trumnę nieśli do grobu Generałowie, a ja widząc jak wielki ciężar dźwigają, drżałem aby go nie upuścili.

Gdy trumna Generała zniknęła w grobie pod stosem wieńców i kwiatów, poczułem się strasznie sam. Przygotowania do pogrzebu, różne problemy organizacyjne skupiały całą uwagę, nie było czasu na inne myśli. Teraz zrobiła się koło mnie pustka. Zginął Generał, zginął najbliższy mój przyjaciel gen. Klimecki, zginął przeżyły adiutant Ponikiewski i płk Marecki, zginęła pani Zosia, której młodość, werwa i wesołość czarowały wszystkich co ją znali. Z jej śmiercią wiąże się w mojej pamięci dziwne wydarzenie. Kiedyś z okazji jej imienin, gen. Klimecki i ja postanowiliśmy dać jej wspólnie prezent. Była to bransoletka z kości słoniowej ze złotą skuwką, na której został wyryty odpowiedni napis. Aby móc wsunąć ją na rękę, bransoletka musiała być wy-moczona w gorącej wodzie, a raz włożona już się nie dała zdjąć. Pani Zosia nosiła ją stale. W jakiś czas po Gibraltarskiej katastrofie amb. Tadeusz Romer przyjechał z Egiptu do Londynu i podczas dłuższej rozmowy ze mną, wręczył mi nagle tę bransoletkę. Twierdził, że po wyjeździe p. Zosi z Kairu znaleziono ją w hotelu gdzie mieszkała, w jej pokoju pod dywanem. Widok jej zrobił na mnie niesamowite wrażenie. Nie mogłem pojąć jak mogła ją zgubić, jak w ogóle zdjąć z ręki. Tajemnica bransoletki pozostała na zawsze niewyjaśniona.

Ze śmiercią gen. Sikorskiego zamknęła się jedna z najważniejszych kart mego życia. Wiedziałem, że z gen. Sosnkowskim, obecnie Wodzem Naczelnym, nie będę mógł pracować i prosiłem o zwolnienie z zajmowanego dotychczas stanowiska. Miałem już w myśli inne zamiary, które w złożonym raporcie podałem jako powód mego odejścia. Jednak prośba moja nie wywołała żadnej reakcji pomimo, że codziennie wraz z innymi bieżącymi papierami kładałem ten raport na biurku gen. Sosnkowskiego.

Minęło uporne lato 1943 roku, minęła jesień, nadeszła zima i rok nowy, a ja wciąż byłem Szefem Gabinetu Naczelnego Wodza, z którym nie łączyło mnie nic prócz żołnierskiego obowiązku, zatrutego żalem i osobistą niechęcią.

Wreszcie dnia 22 lutego 1944 roku ukazał się zwalniający mnie rozkaz następującej treści:

„Ppłk dypl. Zygmunt Borkowski pełnił obowiązki Szefa Gabinetu Naczelnego Wodza bez mała przez cztery lata, w czasach tworzenia Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie.

„Dziś na własną prośbę opuszcza on zajmowane stanowisko, na którym wykazał wzorową sprawność techniczną, systematyczność w pracy i zamiłowanie do porządku. Zalety powyższe potrafi

ocenić każdy przełożony administrujący wielkimi zespołami ludzi i obarczony nawałem spraw różnorodnych, przeważnie dużej wagi i znaczenia.

„W imieniu służby dziękuję ppłk. dypl. Borkowskiemu i życzę mu pomyślnych wyników w pracy, którą podejmuje powodowany zasługującym na szacunek sentymentem żołnierskim i przywiązaniem do pamięci mego zmarłego poprzednika.

Naczelny Wódz
Sosnkowski, Gen. Broni”.

Plany moje były konkretne. Chodziło mi o utworzenie jakiegoś ośrodka, który by nie tylko dawał świadectwo działalności i osiągnięć gen. Sikorskiego, ale mógł służyć nadal sprawie polskiej. Najpierw jednak musiałem zająć się sytuacją p. Sikorskiej. Generał jako premier i Naczelny Wódz miał prawo do podwójnego wyposażenia, ale osobiście zdecydował, że będzie pobierał tylko jedno. W chwili śmierci cały jego prywatny majątek wynosił 9 funtów na koncie bankowym. Generałowa więc była w trudnym położeniu. Udało mi się otrzymać dla niej pewną sumę od naszego Rządu i drugą pensję od Anglików. Poza tym władze brytyjskie oddały do jej dyspozycji miły dom z ogrodem, w którym zamieszkała po opuszczeniu Iver.

Uspokojony co do jej przyszłości, z ulgą wyjechałem do Szkocji. Tam trzeba było likwidować Gask House. Szkocka kwatery Naczelnego Wodza stawała się zbędna. Nasze Siły Zbrojne były już w pogotowiu bojowym, nadchodził moment uderzenia na kontynent i wojsko miało wkrótce opuścić Szkocję, by wziąć udział w akcji. Likwidacja Gasku trwała dość długo. Był problem co zrobić ze zbiorem sztandarów, przedmiotów muzealnych i wielką ilością materiału archiwalnego. Z początku próbowałem sprawę rozwiązać przenosząc wszystko do domu, który nabyłem w pobliskim mieście, gdzie prof. Koczy, historyk, miał powierzoną opiekę nad zbiorami, a kapitan Kątski zajął się stroną muzealną. Później doszedłem do wniosku, że tylko Londyn jako centrum naszych władz i organizacji, powinien być miejscem dla zamierzonego ośrodka.

Rozpocząłem poszukiwania odpowiedniego budynku. Możliwości były duże, gdyż podczas bombardowania wielu ludzi wyjeżdżało z Londynu na stałe, wystawiając swe domy na sprzedaż. Ja miałem szczególne szczęście. Nastąpiła okazja kupienia dużego domu, o kilku piętrach, bardzo reprezentacyjnego, położonego w jednej z najlepszych dzielnic Londynu, naprzeciw Hyde

Parku. Właścicielem był starszy pan, do którego należała znana firma papierosów „Woodbine”. Przy pierwszym spotkaniu od razu zapytał mnie do jakiego celu dom ma być przeznaczony. „Jestem sam” — powiedział — „i nie potrzebuję tak rozległych apartamentów, dlatego zdecydowałem się na sprzedaż, ale nie chcę aby mój dom rodzinny przeszedł w niepowołane ręce”. Objaśniłem go o co chodzi i przyjął moją propozycję jak najbardziej pozytywnie. Zapytany o cenę odrzekł, że to sprawa jego adwokata, któremu wyda dyspozycję aby przeprowadził transakcję za sumę taką, jaką sam zapłacił kupując dom grubo przed wojną. „Nie chcę nic na nim zarabiać” — mówił — „tym bardziej, że ma służyć tak godnej sprawie”.

Powoli zacząłem przenosić ze Szkocji najcenniejsze zbiory. Budynek nie wymagał prawie żadnych zmian. Na parterze, w jednym sporym pokoju zgromadzone zostały pamiątki po gen. Sikorskim, w drugim jeszcze większym, który służył także jako sala konferencyjna, mieściła się biblioteka. Na pierwszym piętrze dwa duże salony zamieniły się w muzeum wojskowe. Jeszcze wyżej były biura, pokoje mieszkalne dla pracowników, a co najważniejsze archiwum. „Dziennik Czynności” Generała stanowił jego podstawę, ale przybywały wciąż nowe dokumenty w miarę biegu wypadków. Oppman, a po jego śmierci żona, p. Renia Oppmanowa nadal pracowali w tym dziale, który z czasem stał się bogatą kopalnią dla historyków 2-giej wojny światowej. W Szkocji pozostali tylko prof. Koczy i kapitan Kątski z resztą jeszcze nie uporządkowanych materiałów, lecz i te z wolna przechodziły do Londynu.

Tak powstał Instytut Historyczny im. Generała Sikorskiego. Zostałem jego pierwszym dyrektorem i największą moją troską było ustalenie tego ośrodka jako instytucji trwałej, niezależnej od zmian w polskim środowisku i w ogólnej sytuacji politycznej. Instytucji, która mogłaby służyć nawet dalszym pokoleniom, na wzór Biblioteki Polskiej w Paryżu. Natychmiast opracowany został statut Instytutu i wyłoniony Zarząd. Potem przyszły Jałta, cofnięcie uznania dla naszego Rządu w Londynie, a z tym nowe komplikacje. Polska ambasada, skarb, okręty naszej marynarki, różne obiekty państwowe przechodziły w ręce *régime’u* warszawskiego. Groźba zawisła również nad losami Instytutu. Aby go ratować została utworzona Rada Nadzorcza, do której prócz Polaków weszli również wybitni przedstawiciele społeczeństwa brytyjskiego. W ten sposób Instytut uzyskał specjalny status, nie związany wyłącznie z władzami polskimi na uchodźstwie i chroniony przez prawa angielskie.

Gdy Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie miały być rozwiązane i większość ich odmówiła powrotu do Kraju pod jarzmo komunistyczne, zaczęli ściągać do Anglii żołnierze na demobilizację. Kolejne wojny prowadziły ich przez wiele krajów, przez łagry sowieckie i pustynie Afryki, a drogę znaczyły bitwy — kampania francuska, Narwik, Tobruk, Arnheim, Falaise, Monte Cassino. Wierzyli, że będzie to droga do Polski. Skończyła się na londyńskim bruku.

I wówczas, kiedy zamienialiśmy się na wygnańczą emigrację, odbyła się jeszcze jedna polska manifestacja wojskowa. Przed gmachem Instytutu Historycznego im. Generała Sikorskiego stanęły w pełnym szyku poczty sztandarowe różnych broni i formacji. Po raz ostatni zabrzmiały słowa polskiej komendy. Pochyliły się sztandary przechodząc przez próg budynku i zawisły na ścianach Instytutu.

Emil Jerzy CZERNIAWSKI

Z MOJEJ SŁUŻBY W BELWEDERZE

WSTĘP

W liście z dn. 12 września 1970 ojciec mój pisał do redaktora *Zeszytów Historycznych*:

„W tym właśnie miesiącu upływa rok (dwa lata — A. Cz.) od wysłania... pierwszej części moich wspomnień: 'Z mojej służby w Belwederze', po czym zapadłem w zupełne milczenie, za co — jeżeli sprawiło jakikolwiek kłopot redakcji Instytutu — najmocniej przepraszam, i proszę o przebaczenie. Obok nękających mnie bowiem dolegliwości sercowych musiałem przyjąć udział w Komitecie redakcyjnym pisma rządu RP *in exile* „*Rzeczypospolita Polska*”, oraz obowiązek redagowania „*Biuletynu*” Związku Organizacji Polskich Sił Zbrojnych. Oba te obowiązki przyjąłem ze względów patriotycznych i obywatelskich i moje 'osobiste pisanie' musiałem odłożyć. Obecnie jestem zwolniony z tych obowiązków i pragnę kończyć moje wspomnienia... Mam nadzieję, i do tego będę dążył, by w ciągu półrocza rzecz skończyć”. (Część pierwsza ukazuje się w formie skróconej).

Mjr Czerniawski zmarł w Londynie 14 maja 1971. Obiecanej drugiej części wspomnień z okresu 1920-1926 nie napisał. Bowiem wbrew informacji w cytowanym liście, od „obowiązków obywatelskich” nie został nigdy „zwolniony”.

Autor urodził się 16 listopada 1894 roku, w Krakowie. Służył w Legionach jako oficer I-ej Brygady, a następnie w latach 1919-1926 w Belwederze, gdzie pełnił obowiązki oficera administracyjnego kwatery wojskowej oddziałów przybocznych Naczelnika Państwa i był też skarbnikiem osobistym prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego.

Ukończył studia w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie. Pracował w Ministerstwie Rolnictwa (1926-1927) i w Banku Gospodarstwa Krajowego (1927-1933). W latach 1934-1939 był wicedyrektorem Polskiego Monopolu Tytoniowego i wiceprezesem Komisji Normalizacji przy Prezesie Rady Ministrów. W Kampanii Wrześniowej służył jako ochotnik na froncie wschodnim aż do rozkazu opuszczenia Kraju, 18 września 1939.

A. Cz.

Belweder...

To słowo ma wyższą miarę i znaczy więcej niż tylko nazwa pałacu w Warszawie.

Ma Belweder swoją własną historię w dziejach Polski, znaną z próby porwania Wielkiego Księcia Konstantego, namiestnika rosyjskiego cara w Królestwie Polskim, przez podchorążych w 1831 roku: był to jeden z aktów Powstania Listopadowego. Potem w Belwederze mieszkali rosyjscy gubernatorzy, z ostatnim Skąłłonem, a w czasie wojny światowej 1914 roku rezydował w nim gubernator niemieckiej okupacji, generał Beseler. Gdy w listopadzie 1918 roku P.O.W. wyгнаło Beselera z Warszawy, Piłsudski — po powrocie z więzienia w Magdeburgu — obrał Belweder na swoją siedzibę.

W okresie rządów Józefa Piłsudskiego, Belweder był powszechnie uznanym synonimem jego władzy, bo każdy, kto do niego szedł, nie mówił wówczas że idzie do Piłsudskiego, ale — „Idę do Belwederu...”. Także wezwani do niego nie mówili, że idą do Komendanta, Naczelnika Państwa, czy Naczelnego Wodza, ale — „Jestem wezwany do Belwederu...” — „To zależy, co powie Belweder” — gdy mowa była o polityce, czy innych sprawach publicznych; a gdy Piłsudski milczał, mówiono — „Belweder milczy...!”.

1. Topografia Belwederu

Pałac belwederski stoi u wylotu Alej Ujazdowskich do Wilanowa, w obramowaniu parków Łazienkowskiego i belwederskiego. Przed frontonem pałacu obszerny dziedziniec z małymi rabatami kwiatów, odgradzony od ulicy żelaznymi sztachetami o wysokości i zakończeniu włóczy, z szeroką pośrodku bramą wjazdową. Po obu jej bokach budki szyldwachowe dla posterunków warty belwederskiej, której miejscem postoju jest dawna kordegarda położona naprzeciwko — na rogu Bagateli i Alej Ujazdowskich.

Pod względem architektonicznym pałac belwederski podobny jest do wielu polskich dworów i pałaców — fronton o czterech kolumnach nakryty tympanonem. Składa się on z trzech części: środkowej, wysokiej na jedno piętro i dwóch bocznych skrzydeł, parterowych, załamanych ku frontowi, dzięki czemu dziedziniec pałacu ujęty jest jakby w otwarte ramy. Dziedziniec pałacu dostatecznie obszerny na zajazd przed front pałacu karet w czwórkę koni, ustawienie kompanii piechoty lub szwadronu kawalerii, albo dwóch plutonów eskortujących posłów zagranicznych, składających Naczelnikowi Państwa listy uwierzytelniające. Odbýwały się też na tym dziedzińcu dekoracje żołnierzy odznaczonych przez Naczelnego Wodza.

Na piętrze mieszkał i pracował Komendant; w prawym skrzydle mieściła się Adiutantura Generalna, w lewym Kancelaria Wojskowa i Kancelaria Cywilna. Oba skrzydła łączył hall z szeroką klatką schodową. Wchodząc na piętro z lewej strony była poczekalnia następnie sala przyjęć i obrad, w której Naczelnik Państwa przyjmował przysięgę od członków rządu, odbywał narady z rządem i ministrami i tu obradowała w 1920 r. Rada Obrony Państwa. Następnie mały salonik, ozdobiony obrazami Jana Rosena przedstawiającymi żołnierzy Księstwa Warszawskiego, z balkonem na park belwederski i Łazienki, a za nim pokój sypialny Komendanta. W korytarzyku za sypialnią schody ukryte w ścianie, którymi Wielki Książę Konstanty uciekał z tego samego apartamentu. Nazywały się też one „schodami Ks. Konstantego”.

Z hallu wejściowego prowadzi mały korytarzyk do prawego skrzydła pałacu i przez niewielką poczekalnię — w ścianie której było wyjście z ukrytych schodów — wchodziło się do gabinetu adiutantów przybocznych Naczelnego Wodza; w gabinecie tym dekoracyjny kominek z wielkim nad nim lustrem, a przez okna widok na park belwederski i Łazienki. Z tego pokoju było przejście do sali jadalnej z wyjściem na taras parkowy, z prawej

wejście do salonu audiencjonalnego, w którym Naczelnik Państwa przyjmował akredytowanych posłów zagranicznych i liczniejsze grono swoich gości. Za tym salonem z kolei mały salonik narożny, zwany rzymskim lub żółtym. Następnie gabinet zielony — dawna sypialnia Księżnej Łowickiej — za rezydencji Komendanta gabinet Adiutanta Generalnego. W dalszym ciągu pokoje Biura Prasowego, biuro Oficera do Spraw Operacyjnych Sztabu Generalnego, Biuro Kapituły Krzyża „Virtuti Militari” i innych odznaczeń m.in. odznaki I-szej Brygady „Za wierną służbę”, a na końcu tego skrzydła — centrala telefoniczna i stacja telegraficzna Hugh’a, szczególnie ważna w czasie wojny dla bezpośrednich rozmów z dowódcami na froncie. Do obu stacji wejście osobne z dziedzińca pałacu. Pod całym pałacem były piwnice używane na śpiżarnie, magazyny i archiwa.

W lewym skrzydle pierwsze dwa pokoje zajmowała Kancelaria Wojskowa, a następne — od strony parku — Kancelaria Cywilna. Za jej pokojami był „kąt gospodarczy” z kuchnią na dole i magazynami w suterynie, na parterze biuro intendenta i pokój „Sekcji Pałacowej” Kompanii Przybocznej. W pokojach narożnych z wejściem z dziedzińca — mieszkanie szefa Kancelarii Wojskowej. Jak z tego przeglądu łatwo zauważyć, wszystkie pokoje pałacu były zajęte „służbowo” i nie było już miejsca dla rodziny Komendanta.

Ponieważ za pałacem był park i to na dość stromym wzgórzu, oficyny Belwederu urządzono przed jego frontem po przeciwnej stronie ulicy z wjazdem od ulicy Klonowej. Mieściła się tam kolumna samochodowa Adiutantury Generalnej, stajnie dla koni i remiza na powozy oraz mieszkania dla szoferów i stangretów. Stajnia była bogatsza od garażu i nieraz trzeba było szukać pomocy w kolumnie MSWojsk. W pierwszych latach 6 par koni wystarczało na potrzeby reprezentacji. Z tych sześciu par 3 były maści siwej, a 3 kasztanowej. Wśród siwej trójki wywoływała pewną sensację w Warszawie para pięknych mleczno-białych arabów z rasy „Lipitzanerów”, hodowanej w Jugosławii, zakupionych na licytacji stajni cesarskiej w Wiedniu, gdyż były tresowane do paradnego stępa i tym krokiem szły przez miasto, co zwracało powszechną uwagę. Dwie inne pary siwków zostawił niemiecki generał Beseler, gdyż uciekając w listopadzie 1918 r. z Warszawy statkiem wiślanym do Torunia, nie mógł ich ze sobą zabrać. Ale gadka belwederskiej służby głosiła, że jedna z tych par siwków pochodziła z królewskiej stajni w Belgii, skąd miał ją Beseler sprowadzić. Więc jedna para siwków była belgijska, a druga po prostu „beselery”. Kasztany, tak samo okazałe jak beselerskie siwki, każda para o minimalnej różnicy maści. Koro-

wód powozów zaprzężonych w te belwederskie konie, w otoczeniu ułańskiej eskorty Naczelnika Państwa, czy ambasadorów obcych państw, sprawiał bogate wrażenie. A już niezapomniane wrażenie sprawiał obraz jadących razem Piłsudskiego i Paderewskiego na otwarcie Sejmu.

Bywała też w stajni belwederskiej „Kasztanka” Komendanta, która nosiła go w czasie wojny, przez całą kampanię legionową I-szej Brygady. Bywała jako gość, kiedy Komendant miał przyjąć defiladę wojska na uroczystościach państwowych lub wojskowych, bo jej stałą kwaterą była stajnia w 7 pułku Ułanów w Mińsku Mazowieckim, skąd dowożono ją do Warszawy koleją. Niestety, taki transport nie był dla niej — delikatnej i strachliwej odpowiedni i gdy po defiladzie 11 listopada (w 1927 r.) wracała do Mińska, niedbalstwo konwojenta spowodowało jej upadek w wagonie i takie obrażenia, że mimo usilnych zabiegów nie przeżyła trzech dni. Komendant był tak zgryziony tą stratą, że odmówił przyjęcia dowódcy pułku z raportem o zgonie swojej ulubionej „Kasztanki”. Jej imię wykute jest na kamieniu, pod którym ją pogrzebano w ogródku przed komendą 7 pułku ułanów w Mińsku Mazowieckim.

Samochodów było niewiele, przeważnie niemieckiej marki „Benz”. Nie zawsze można było z nich korzystać na wyjazdy do miasta w sprawach służbowych więc, gdy i konie były zajęte, jeździliśmy dojeżdżającym pod Belweder tramwajem nr 9, który dla zabawy nazwaliśmy Benz 9. Samochody amerykańskie — Chandlery i Cadillaci — przysły dopiero po wojnie. Komendant uznawał jazdy szybsze i w otwartych wozach. Hamowali czasem tę szybkość policjanci na skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich i Nowego Świata, gdy nie byli uprzedzeni o przejeździe Naczelnika Państwa, ale gdy adiutanci burczeli ich za to, Komendant łagodził i raz jednego poznaniaka pochwalił za dobre pełnienie służby, gdy jego samochód zatrzymał. Zresztą nie było w tym czasie jeszcze znaków, czy chorągiewek oznajmiających kto jedzie — więc o przeoczenie było łatwo.

Drugą niejako oficynę pałacu belwederskiego stanowiła tzw. Podchorążówka w parku Łazienkowskim. Jest to budynek oficynowy pałacu królewskiego w Łazienkach, w którym do czasu Powstania Listopadowego mieściła się szkoła podchorążych, skąd pozostała później i nazwa tej oficyny.

Przy organizowaniu Oddziałów Przybocznych i Kwatery Głównej Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza budynek ten oddano na biura i mieszkania oficerów służbowych.

Podchorążówka pomieściła wszystkich oficerów Kwatery i Oddziałów Przybocznych, także żonatych, i stała się naszą ro-

dzinną siedzibą w czasie tej służby. Na parterze ulokowały się biura Kwatery Głównej, a w dużych salach (pewnie dawniej szkolnych) na skrzydle urządzono magazyny mundurowe i żywnościowe Oddziałów. Obok Podchorążówki jest w Łazienkach pałacyk Myślewicki (zwany mylnie Myśliwskim), w którym były mieszkania służbowe Adiutantów Generalnych i księdza Kapelana Belwederu. Mieszkał tam niegdyś Książę Józef Poniatowski, a obecnie od szeregu lat znany jest w świecie jako miejsce neutralne spotkań politycznych ambasadorów Ameryki i Chin.

Pałac Królewski w Łazienkach był również do dyspozycji Naczelnika Państwa dla gości rangi królewskiej, bo w zniszczonym przez Niemców Zamku Królewskim nie było jeszcze gotowych na ich przyjęcie pokoi. Komendant pozwalał nam kilka razy na małe zebrania towarzyskie w karnawale w górnych salach pałacu: było też kilka zabaw na parterze, dochód z nich szedł na cele społeczne. Oddziały Przyboczne korzystały stale z Kaplicy pałacowej: była ona ich „kościółkiem garnizonowym”, w którym każdej niedzieli i w święta odprawiane były nabożeństwa przez Ks. Kapelana. Kaplica ta jest wielką pamiątką w moich wspomnieniach, bo nieraz śpiewałem na jej chórze, a przede wszystkim tym dla mnie ważną, że przed jej ołtarzem i w obecności Komendanta odbył się mój ślub. Podobną pamiątkę mają też ci koledzy, których dzieci trzymał w tej kaplicy Komendant do chrztu. Do czasu odrestaurowania Sali Rycerskiej i Assemblowej na Zamku — Naczelnik Państwa przyjmował noworoczne życzenia Korpusu Dyplomatycznego w pałacu łazienkowskim.

Z opisanego powiązania Belwederu i Łazienek wynika, że obie te enklawy stanowiły pewną całość reprezentacyjną, którą terytorialnie wiązały i wiążą parki obu pałaców swoją zielonością, kryjącą żelazne sztachety ogrodzenia między obu terenami. Różna jest zresztą pozycja terenowa obu enklaw, bo Belweder stoi na dość wysokim wzgórzu i panuje nad pałacem królewskim na nizinie Łazienek. Ogrodzenie zewnętrzne obu parków z żelaznych sztachet od strony parku belwederskiego, Alej Ujazdowskich i ulic Agrykoli i Huzarskiej, a poczynając od tej ostatniej ku Sielcom, murowane z cegły. Te ogrodzenia nie stanowiły dostatecznego zabezpieczenia także ze względu na stosunkowo duże zdrzewienie parku i dlatego konieczna była dodatkowa ochrona — pełniona przez posterunki i patrole warty belwederskiej. Zakłócało to jednak wypoczynek Komendanta, ograniczając go do spacerów na terenie pałacu belwederskiego. Mogę tu dodać, że podobne ograniczenie swobody miał Komendant w Magdeburgu; przypominał nam to później przywieziony stamtąd i postawiony

w parku belwederskim domek z czerwonej cegły, w którym Komendant był więziony przez Niemców i, jak sam powiedział — odcięty zupełnie od świata. Czy ta więzienna pamiątka Komendanta stoi obecnie tam, gdzie była — nie zdołałem ustalić.

Reprezentacyjne koło terenowe Belwederu zamyka pałac poza Warszawą, tj. Spała. Jest to duży ośrodek w lasach koło Tomaszowa Mazowieckiego nad rzeką Pilicą, z pałacem myśliwskim zbudowanym na polowania, na które zjeżdżali carowie. Komendant wypoczywał tam dość często — być może Pilica przypominała mu Niemen, gdyż lubił siadywać „Pod grzybkiem”, tj. w małej altance nad jej brzegiem. Obok pałacu stoi obszerny dom dla otoczenia i gości nazywany „Bristol”. Gdy Komendant wyjeżdżał do Druskiennik czy swoich Pikiliszek, wolno i nam było na kilka dni wyprawiać się do spalskiego „Bristolu” nawet z rodzinami.

Cała topografia Belwederu, jaką tu opisałem, należała organizacyjnie do Zarządu Gmachów Reprezentacyjnych Rzeczypospolitej, urzędującego w Zamku Królewskim w Warszawie, którego odbudowę równocześnie prowadzono pod kierownictwem prof. inż. Kazimierza Skórewicza.

W miarę wzrastających po wojnie międzynarodowych stosunków dyplomatycznych Polski, rosły potrzeby reprezentacyjne i z każdym rokiem i miesiącem Zamek stawał się coraz bardziej potrzebny. Szczęście w naszym nieszczęściu było to, że Niemcy nie wysadzili Zamku w powietrze — jak to się stało w czasie wojny 39 roku — co pozwoliło jego odbudowę względnie rychło wykonać w tych partiach, które były dla reprezentacji państwowej najpotrzebniejsze. Wykończono więc najwcześniej Salę Rycerską i Salę Asamblową i w nich Naczelnik Państwa — nie pamiętam czy było to w 1921 czy 1922 roku — mógł przyjąć po raz pierwszy noworoczne życzenia od Korpusu Dyplomatycznego w Warszawie. A my, z Belwederu, mogliśmy w poprzedzający te życzenia wieczór sylwestrowy wypić zdrowie Komendanta w gościnie u prof. Skórewicza, który zwyczaj tego wieczoru utrzymywał przez wszystkie lata „panowania Komendanta” — w Belwederze nie było miejsca na powitanie Nowego Roku.

2. Organizacja służby w Belwederze

Skupienie władzy Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza w rękach Piłsudskiego wymagało dwóch odrębnych organów jej wykonywania — cywilnego i wojskowego — co z natury rzeczy pociągnęło za sobą konieczność utworzenia przy nim Kancelarii

Cywilnej i Kancelarii Wojskowej. Obie rezydowały w Belwederze. Ale trwająca jeszcze wojna i wynikające z niej obowiązki Naczelnego Wodza, wymagały większego udziału wojska w tej służbie i dlatego stworzona została równocześnie i Adiutantura Generalna, do której należeli jego adiutanci przyboczni z Adiutantem Generalnym na czele; był on zarazem szefem Kancelarii Wojskowej.

W pierwszych miesiącach po objęciu władzy przez Komendanta, w listopadzie 1918 roku, obie służby były organizowane doraźnie, niejako w poszukiwaniu właściwej i odpowiedniej formy dla dualistycznego działania najwyższych urzędów w państwie. Stąd przeciągała się ostateczna organizacja służby wojskowej, stały jej na przeszkodzie potrzeby wojenne. Dopiero po z górą pół roku zorganizowano w 1919 roku Kwaterę Główną i Oddziały Przyboczne Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, tj. Kompanię piechoty i Szwadron kawalerii, dla pełnienia przy nim służby bezpieczeństwa i wystąpień reprezentacyjnych na uroczystościach państwowych i wojskowych. Do czasu utworzenia Kwatery i Oddziałów Przybocznych służbę bezpieczeństwa w Belwederze pełniła Szkoła Podchorążych Piechoty w Warszawie, a eskorty reprezentacyjne wystawiał 1 Pułk Szwoleżerów. Dodać tu wypada, że tej Szkole Podchorążych nadał potem Komendant przywilej pełnienia warty belwederskiej w rocznicę Powstania Listopadowego, w dniu 29 listopada, i zmiana tej warty z Kompanią Przyboczną była wielką uroczystością wojskową. Szczególnie gdy podchorążowie otrzymali z czasem mundury historyczne piechoty z czasów powstania i zaciągali w nich wartę w kordegardzie belwederskiej, oraz przed „Podchorążówką” w Łazienkach, dokąd maszerowali z płonącymi pochodniami przy wtórze orkiestry grającej „Warszawiankę”.

Tak więc gros obowiązków przy Naczelniku Państwa przypadło wykonywać wojsku. Z tego faktu i z biegu spraw politycznych i wojskowych, ciężar służby spoczywał na barkach Adiutantury Generalnej przy pomocy biurowej Kancelarii Wojskowej.

Przechodząc do bliższych szczegółów organizacyjnych trzeba zaznaczyć, że chociaż z tytułu hierarchii formalnie przy Naczelniku Państwa pierwsze miejsce w Belwederze przypadało Szefowi Kancelarii Cywilnej, to jednak miejsce to zajmowali Adiutanci Generalni oraz Kancelaria Wojskowa i Biuro Prasowe, stanowiące razem niejako sekretariat osobisty Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza. Nie byli sekretarzami — jak to się zdarza — adiutanci przyboczni i ich rola — poza bardzo szczególnymi wypadkami osobistych zleceń — ograniczała się do pełnienia dyżurów i reprezentacyjnych wystąpień przy Komendancie. Audien-

cje u Komendanta były zapisywane w „Dzienniku Adiutantury”, który — pragnę się pochwalić — był przeze mnie opracowany w miejsce pierwotnych zapisów w pospolitych brulionach. Niestety, po oddaniu władzy Prezydentowi Narutowiczowi, niektóre „Dzienniki” zaginęły. Wielka to szkoda, jeśli się chce dokładnie zobrazować pracę Komendanta.

Służbę Adiutantów Generalnych w czasie od mojego przydziału w październiku 1919 roku pełnili: major Tadeusz Kasprzycki, komendant kompanii, który po odejściu do Sztabu Generalnego oddał tę służbę majorowi Tadeuszowi Piskorowi, a gdy ten z kolei został przed wyprawą ukraińską mianowany szefem sztabu wyznaczonej do akcji dywizji kawalerii — Adiutantem Generalnym został major Wieniawa-Długoszowski, do tychczasowy ich zastępca. Pełnił on te obowiązki do jesieni 1921 roku kiedy odszedł do Wyższej Szkoły Sztabu Generalnego. Na jego miejsce mianował Komendant generała Jana Jacynę, który przetrwał na tym stanowisku do dnia oddania władzy Naczelnika Państwa Prezydentowi Narutowiczowi. Zastępcą generała Jacyny został mianowany płk Bogusław Miedziński, zapewne jako doświadczony w terenie politycznym, którego przybyły z Rosji generał nie mógł znać dostatecznie.

Z dość licznej listy adiutantów przybocznych Komendanta, w okresie mojej służby, pamiętam następujących: pierwszym (przed nominacją Adiutanta Generalnego) był rtm. Bolesław Wieniawa-Długoszowski, następnie rtm. Kazimierz Stamirowski, rtm. Stanisław Radziwiłł (z Dawidgródka), rtm. Jerzy Potocki (z Antonina), rtm. Leon Kniaziółucki, por. Tadeusz Kobylański, por. Czesław Świrski, kpt. Stanisław Łepkowski, por. Czesław Kadenacy i Bolesław Kadenacy — siostrzeńcy Komendanta, por. Mateusz Izyski, por. Tadeusz Głębocki, por. Janusz Olszamowski, por. Janusz Horodecki, por. Ignacy Sołtan, por. Tomasz Łaskiewicz, por. Maurycy Potocki (z Jabłonny), por. mar. Jan Rychłowski, por. Michał Mościcki (syn późniejszego Prezydenta R.P.), por. Henryk Nakoniecznikow.

Z tego grona rtm. Stanisław Radziwiłł zginął w czasie wyprawy ukraińskiej pod Malinem, a por. Janusz Olszamowski zmarł na tyfus w Żytomierzu. Wyjątkową pozycję i przeszłość miał por. Świrski, który jako uczestnik wyprawy bezdańskiej, skazany przez sąd rosyjski na katorgę sybirską, wrócił stamtąd dzięki rewolucji bolszewickiej po przeszło 10 latach. W okresie premierostwa Ignacego Paderewskiego pełnił przy nim służbę łącznika do Naczelnika Państwa. Por. Mościcki był łącznikiem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Ważną i ciekawą służbę miał przy Komendancie kapitan Kazimierz Glabisz, jako łącznik do Biura Operacyjnego Sztabu Generalnego, a później i Biura Ścisłej Rady Wojennej. Miał on w Belwederze osobny gabinet, jako stały referent Komendanta w sprawach operacyjnych w kampanii 1920 roku i planowania Sztabu generalnego.

Przez pewien czas działał w Belwederze jako oficer do specjalnych poruczeń major Adam Dobrodzicki z przydomkiem „Gad” — tytułarny, choć ślubny, mąż Wandy Krahelskiej, którą ślub z nim uratował od wydania prokuraturze rosyjskiej za wykonany przez nią zamach bombowy na gubernatora Skałona w Warszawie. Stało się to dzięki temu, że przez zaślubienie Dobrodzickiego, obywatela austriackiego, nabyła *ipso facto* obywatelstwo austriackie i władze austriackie nie mogły jej wydać. Wyszła potem za mąż za Tytusa Filipowicza, towarzysza Piłsudskiego z PPS i z jego pracy niepodległościowej, zmarła w Warszawie w 1968 roku.

Kierownikiem Kancelarii Wojskowej był przez cały okres kapitan Aleksander Rutkowski. Prócz normalnych obowiązków związanych ze sprawami wojskowymi był on też skarbnikiem Naczelnego Wodza i prowadził księgę jego funduszów i darów, składanych przez Polaków z całego świata. Urzędowe kredyty budżetowe Naczelnika Państwa prowadzone były w Kancelarii Cywilnej. Jak mi to często koledzy z Kancelarii Wojskowej mówili — korespondencji ze wszystkich stron Polski i od polskiej emigracji, w przeróżnych sprawach, głównie osobistych, było bez liku i w wielu listach proszono o interwencję w poszczególnych urzędach, czy też na niektóre z nich narzekano i żalono się. W takich wypadkach, szczególnie gdy sprawy dotyczyły żołnierzy, inwalidów, ich rodzin itd., Komendant nakazywał wyjaśniać je bezpośrednio z danym urzędem i to jak najrychlej, a odpowiedzi petentom musiały być zdecydowane, a nie zapowiadające ich załatwienie w tej czy innej formie, np. informacją, że sprawa została posłana do załatwienia jakiemuś urzędowi. Obowiązującą zasadą było odpowiadać na każdy list. Ale najtrudniejsze do załatwienia rzeczowo i uczuciowo były te wypadki, kiedy nie prośby, ale groźby i najohydniejsze kalumnie i wymysłania na Komendanta przysyłane były w listach a nawet w otwartych kartach, jak np. raz z naklejoną jego głową, podwiązaną sznurkiem w formie stryczka. Oczywiście były to przeważnie anonimy i z treści i formy wielu z nich można było odczytać pewną uplanowaną metodę, wykonywaną przez różne ręce i maszyny do pisania. Zdarzało się oczywiście, że były i podpisy z adresami, czy inne szczegóły pozwalające ustalić na-

dawców takiej korespondencji, ale Komendant zabronił jakiegokolwiek akcji w podobnych wypadkach, więc z miejsca takie listy palono.

Podniecie do tej ohydy dawały w swoich artykułach „patriotyczne” pisma narodowe w całej Polsce, a prym w tej robocie przeciw Piłsudskiemu dzierżył poseł Stanisław Stroński, redaktor dziennika *Rzeczpospolita*, później *Warszawianka* oraz *Gazeta Warszawska* i *Gazeta Poranna* w Warszawie.

Bardzo nas ta sytuacja gnębiła, bo sami spotykaliśmy się z wypadkami powtarzania kłamstw i plotek na Komendanta; ja osobiście miałem wielką przykrość, gdy musiałem z tego właśnie powodu zerwać stosunki z miłymi znajomymi. Doznała też przykrości i Pani Piłsudska, gdy puszczono w obieg plotkę, że żona towarzysza z pracy niepodległościowej, Feliksa Perla, jest kochanką Komendanta. Ja sam słyszałem, że jest nią córka Perla. Czy Feliks Perl miał córkę — nie wiem, ale plotka mówiła, że jest nią stenotypistka z Kancelarii Wojskowej w Belwederze, pani Mija Pęczkowska. Ponieważ miała ona piękne tycjanowskie włosy a swój stolik z maszyną przy oknie, blisko wejścia do pałacu, więc byli i tacy — nawet nie tacy głupi — którzy jej widokiem chcieli się z powtarzania tej plotki usprawiedliwić.

Zastępcą kierownika Kancelarii Wojskowej był por. Kazimierz Wyszyński, a po jego przeniesieniu do Ministerstwa Spraw Zagranicznych — rotmistrz Marian Skrzynecki; referendarzami byli: por. Henryk Kawecki i por. Jan Pudełek. Drugą stenotypistką była pani Zofia Maresiówna, później żona kapitana Adama Nebelskiego, dowódcy Kompanii Przybocznej.

Na etacie Adiutantury Generalnej były jeszcze dwa stanowiska — kapelan Naczelnego Wodza, którym był początkowo X. Plewko-Lewczyński, a po Wyprawie Kijowskiej — X. Prałat Marian Tokarzewski, proboszcz z Baru na Ukrainie, oraz lekarz przyboczny Komendanta płk Dr Eugeniusz Piestrzyński. Poza tym na etacie Kancelarii Cywilnej był organista Kaplicy Oddziałów Przybocznych, Szpinalski (imienia nie pamiętam), ojciec pianisty. Grał na nabożeństwach Oddziałów Przybocznych w Kaplicy i akompaniował mi gdy czasem na nich śpiewałem.

Biuro Prasowe dzięki jego kierownikowi, którym był major Dr Kazimierz Świtalski było wysokiej klasy biurem politycznym Naczelnika Państwa. Major Świtalski był już referentem politycznym i sekretarzem Piłsudskiego na wojnie, w I-szej Brygadzie Legionów i cieszył się jego wielkim zaufaniem. Sprawozdania prasowe i polityczne były referowane przez niego Komendantowi codziennie przed obiadem a czasem wcześniej, gdy zaś tego wymagała jakaś szczególna sytuacja np. w czasie wojny

Komendant listy swoje do dowódców dyktował nawet w nocy. Towarzyszył mu on w każdej dalszej podróży z Warszawy. W wypadkach ostrzejszych napięcie politycznych z Sejmem lub z rządem major Świtalski odbywał z nami odprawy informacyjne.

W Biurze Prasowym pracowały Panie: Dr Hanna Hubicka, Irena Khunke, Zofia Świerczewska i Janina Tynicka. Ich zadaniem było wybieranie z prasy artykułów politycznych i robienie wycinków z prasy krajowej i zagranicznej, które były składane do archiwum Biura Prasowego. Dyktanda, kopie listów i rozkazów Piłsudskiego zbierał sam major Świtalski, jako osobiste archiwum Komendanta. Było to właściwie jedyne archiwum Piłsudskiego z pierwszej ręki, troskliwie zbierane przez Świtalskiego także i po oddaniu władzy Naczelnika Państwa przez Piłsudskiego, bo i w okresie „Sulejówka” i po powrocie do władzy w 1926 roku korzystał z pomocy Świtalskiego.

Ponieważ ważność tego archiwum dla polskiej historii jest niezwykła i nadzwyczajne są jego losy z powodu ostatniej wojny, dzięki bliskim stosunkom moim z Kazimierzem Świtalskim i po ostatniej wojnie, dokładnie je poznałem.

Sprawa ta pozostaje w stałej łączności z moją relacją o Belwederze, dlatego też włączam ją tutaj, chociaż nie mieści się już w opisywanym przeze mnie okresie.

Zacznę od stwierdzenia, że Świtalski rozpoczął przed wojną przygotowywanie materiałów tego archiwum do pisania historii okresu Piłsudskiego, nie zdołał go jednak — jak zamierzał — wywieźć z kraju i zostawił je pod opieką żony, p. Janiny (z domu Tynickiej), w ich własnym domu przy ul. Balonowej na Forcie Mokotowskim w Warszawie. W drodze do wojska mjr Świtalski jechał w mundurze i to spowodowało, że w drodze powrotnej, w Brześciu Litewskim, rezydujący już tam Niemcy wzięli go do niewoli i osadzili w obozie jeńców w Woldenbergu w którym pozostał do końca wojny, czyli blisko 6 lat. Gdy p. Świtalska wróciła do Warszawy, ich dom był już zajęty przez uchodźców, więc obawiając się w tych warunkach zostawić archiwum Świtalskiego w domu, rozniosła je partiami do przyjaciół i znajomych i w takiej dyslokacji przetrwało ono do powrotu jej męża z niewoli w 1945 roku. Przed przybyciem męża do Warszawy, p. Świtalska zmuszona była opuścić ich dom zagęszczony przez dalszych uchodźców i przeprowadziła się do Zalesia Dolnego koło Piaseczna pod Warszawą i tam też osiadł i jej mąż. Rozpoczęli zbieranie rozproszonego archiwum, ale wielu dokumentów nie znaleźli, a wśród znalezionych wiele było uszkodzonych wilgocią, suszeniem itp. Świtalski przystąpił do nowego porządko-

wania i rozpoczął pisanie lecz, rozpoznany przypadkowo przez agenta UB, został 15 listopada 1948 roku aresztowany i osadzony w więzieniu mokotowskim w Warszawie. Archiwum, wysłędzone przez agentów UB, zostało zabrane do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Świtalski przetrwał w więzieniu bez sądu pełnych siedem lat. Dopiero w roku 1955 postawiono go przed sąd i po rozprawie, na której został oskarżony o morderstwo jakiejś Żydówki w Białymstoku, został zwolniony od winy i kary. Opierając się na tym wyroku, domagał się zwrócenia mu archiwum, lecz stale mu odmawiano, ustępując tyle tylko, że tolerowano jego pracę historyczną i pozwolono robić wyciągi z dokumentów w Ministerstwie, ale pod kontrolą i na jego koszt. Dzięki temu zdołał opracować i przysłać do mnie serię listów Piłsudskiego z okresu 1914 do 1920, które oddałem Pani Piłsudskiej i za jej zgodą zostały one ogłoszone w roku 1962 w 7-ym tomie wydawnictwa Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie pt. *Niepodległość*. Jest tych listów w sumie 37, z obszernymi przypisami Świtalskiego. Jak wynika z jego listu do mnie, który poniżej podaję, listów Komendanta lub kopii było około 100 z okresu 1914 do 1917 roku. Można przypuszczać, że wypróbowaną już metodą pracy w skonfiskowanym mu archiwum, zdołałby Świtalski i resztę listów Komendanta opracować, niestety przeszkodziła temu niespodziewana śmierć, którą poniósł w wypadku, jakiemu uległ 23 grudnia 1962 roku uderzony przez tramwaj, gdy przechodził ulicę Puławską w Warszawie. Ciężko poraniony, nie odzyskawszy przytomności, zmarł dnia 28 grudnia tegoż 1962 r.

W cztery lata po jego śmierci, w grudniu 1966 r., warszawska *Kultura* zaczęła ogłaszać wyjątki z jego notatek belwederskich, tytułując je „Zapiski Kazimierza Świtalskiego” ze swoimi komentarzami, z których wyboru i treści wynikała pewna tendencja. Poruszona tym opinia polityczna w Kraju posunęła się do oskarżenia wdowy, p. Janiny Świtalskiej o to, że mając archiwum w ręku jako spadkobierczyni, sprzedała je władzom reżimowym. W obronie przeciw tak ciężkiemu zniesławieniu, prosiła mnie o ogłoszenie listu Kazimierza Świtalskiego z dnia 22 grudnia 1962 roku (adresowanego do mnie i do mojej żony), w którym pisał:

„Kochani, Bardzo serdecznie dziękuję za świąteczne i Noworoczne życzenia. Moje życzenia, wobec napływu listów w tym okresie we wszystkich chrześcijańskich krainach, pewnie dojdą Was już po niewczasie.

Przy tej sposobności mam do Was następującą prośbę. Tutejsi — pozał się Boże — historycy, wydają swoje, tendencyjne oczywiście, opracowania historyczne, które mogą dojść do Was, jako że poruszają tematy, którymi

interesuje się Wasz historyczny Instytut. W spisie źródeł, na które ci autorowie powołują się, możecie znaleźć odnośniki: „PKS w Arch. Min. Spraw Wew.”. Ten skrót oznacza moje papiery, które znajdują się w wyżej wymienionym archiwum. Takie sygnatury są np. w świeżo wydanej książce prof. Leona Grossfelda pt. „Polityka Państw Centralnych w sprawie polskiej w okresie I-szej wojny światowej”.

Chciałbym, byście się dowiedzieli, że to nie ja ofiarowałem te papiery w/w archiwum. Zostały one wzięte przy aresztowaniu mnie w listopadzie 1948 i choć mój wyrok nie orzeka przepadku mego mienia, obecne władze nie chcą mi tych moich papierów zwrócić, mimo moich rozlicznych, bezskutecznych starań.

Wśród tych papierów znajdują się moje notatki z rozmów z Komendantem i kopie (około 100) jego listów z okresu 1914-1917. Brak listów z okresu 1914-16 uniemożliwia mi moją pracę z powodu tej luki. A czas ucieka i lata lecą i gotów jestem nie zdążyć z ukończeniem tej pisaniny.

Nie nauczyłem się, psiakrew, pisać na maszynie, a chciałbym mieć na wszelki wypadek kopie w maszynopisach tego, co wypoczę z mej głowy, która za szybko się męczy, zwłaszcza że moje opłakane warunki mieszkaniowe są dalekie od tego, bym mógł jako tako spokojnie i normalnie pracować. A maszynopisy kosztują.

Lekarstwa nie są praktyczne. Nigdy nie wiadomo, które można upłynnić. Pozostają więc możliwości przez jadących tu, albo załączniki niewielkie, ale za to częstsze w listach, w porządku dochodzą. Prostujcie więc podejrzenia, że to ja dobrowolnie moje materiały przekazałem tutejszym instytucjom. Napiszcie o tym do Wacł. J. (Wacława Jędrzejewicza — przyp. mój) i pozdrowicie go bardzo serdecznie. Piszcie. Zbytńia ostrożność nie wydaje mi się konieczna. Gdy zechcą mi dokuczyć jeszcze raz, to wobec mych 67 lat, nie będzie to długó. Serdeczny uścisk dłoni. K.”.

Potwierdzając jako adresat ten list Kazimierza Świtalskiego, informuję dalej, że na moją prośbę Zarząd Instytutu Józefa Piłsudskiego zwrócił się na podstawie tego listu (którego kopię oddałem do jego archiwum) do dyrekcji radia Wolna Europa w Monachium, które informację Instytutu ogłosiło przez radio (dn. 28 stycznia 1967 r.).

Ważniejsze jeszcze szczegóły losów archiwum ujawniły się z akcji p. Świtalskiej w Kraju. Stwierdziła mianowicie, że w testamentie jej męża znajduje się zastrzeżenie, że jego archiwum może być otwarte dopiero w dwadzieścia lat od jego śmierci, tj. w 1982 roku, oraz że znajduje się ono obecnie w Państwowym Archiwum Akt Nowych. Opierając się na tym postanowieniu testamentu Świtalskiego, zaprotestowała przeciwko dalszemu drukowaniu przez warszawską *Kulturę* ogłaszanych bezprawnie „Zapisków...” zaś redakcja warszawskiej *Kultury* uznając to, dalsze ich drukowanie lojalnie wstrzymała. Jaką zaś wagę do tego archiwum przykładał Piłsudski, Świtalski tak powiedział:

„Piłsudski — podobnie jak w okresie legionowym — dbał również skrupulatnie i w czasie sprawowania urzędu Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, by w jego archiwum były zachowane kopie listów przez niego

pisanych. Jako motyw takich swych zarządzeń podawał zawsze swoją obawę i podejrzenia, że jego wypowiedzi mogą być w przyszłości albo przemilczane, albo wypaczone". (vide *Niepodległość*, tom 7).

Poważne znaczenie dla wojska miało Biuro Odznaczeń Wojskowych tj. Krzyża *Virtuti Militari* i Krzyża Walecznych, a po wojnie i Krzyża *Niepodległości*. Prowadził je major Dr Adolf Maciesza, a po jego śmierci rtm. Adam Skokowski. Przez dłuższy czas istniała także w tym biurze sekcja Odznaki I-szej Brygady Legionów z tytułem „Za wierną służbę” (proj. Wojciecha Jastrzębowskiego), ustanowiona przez Piłsudskiego w czasie wojny. Prowadził ją kpt. Andrzej Korzeniowski. Referentami w tym biurze byli: por. Paweł Dziurzyński i por. Franciszek Sakowski. Było ono zarazem biurem Kapituły Orderu „*Virtuti Militari*”, którą Komendant powołał 22 stycznia 1919 roku tj. w rocznicę Powstania Styczniowego dla jego upamiętnienia i uczczenia. Pierwszym Kanclerzem Kapituły był sam Komendant, a sekretarzem — kierownik Biura Odznaczeń.

Przy takim układzie służby w Adiutanturze Generalnej, która załatwiała również wszelkie przyjęcia członków rządu, Sejmu, posłów, polityków etc. oraz przedstawicieli zagranicznych poselstw zgłaszających się do Naczelnika Państwa — Kancelaria Cywilna pozostawała w pewnym sensie w cieniu Belwederu, ale miała swoją wagę dzięki jej szefowi o dużej indywidualności i zaufaniu Komendanta — mecenasowi Stanisławowi Carowi. Zastępcą jego był adwokat Antoni Chmurski, a z osób pracujących w Kancelarii Cywilnej bliżej nam byli znani: Stefan Głuchowski, Józef Rogoziński, oraz panie: Karolina Bielańska, Maria Albrechtowa i Vera Kleńska.

Kancelarii Cywilnej podlegał Zarząd Gmachów Reprezentacyjnych Rzeczypospolitej, jak wspomniałem wyżej będący wówczas pod kierownictwem prof. inż. Ludwika Skórewicza, który prowadził też odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Podlegały mu również inne zamki, więc Wawel w Krakowie i cesarski w Poznaniu, pałac w Wilanowie, Łazienki, Belweder i pałac w Spale. W konsekwencji temu Zarządowi podlegała służba cywilna w Belwederze, tj. lokaje, woźni i stangreci. Kuchnię i piwnice mieli w opiece intendenci, początkowo z wojska (por. Szolkowski i urz. wojsk. Podwysocki), a po ich zwolnieniu prowadził te agendy sierżant Antoni Leśniewski, a następnie cywilny intendencja Karol Rościszewski, ziemianin z Ukrainy. Intendentom pomagały w gospodarce kuchni i stołu gospodynie — Maria Zakrzewska, potem Wanda Rudnicka, obie z P.O.W. Posiłki dla Komendanta przygotowywała osobno w kuchni p-na

Stefania ze Święcian. Gdy z czasem założyliśmy Kasyno Oficerskie, z tej kuchni brane były posiłki dla mieszkających w Łazienkach. Stało się to w kilka miesięcy po ryskim pokoju, gdy Komendant zmienił swój dotychczasowy zwyczaj wspólnego siadania z nami do stołu — prawdopodobnie z powodu naturalnego po wojnie wzmożenia się spraw politycznych i innych w dziedzinie służby Naczelnika Państwa, a zmniejszenia ich dla Naczelnego Wodza. Wyrazem tego była m.in. zmiana na stanowisku Adiutanta Generalnego.

Wracając do kasyna — nie miało ono ani formy, ani charakteru tego, co się normalnie nazywa kasynem, bo po prostu nie było dla niego lokalu ani w Belwederze, ani w „Podchorążówce” w Łazienkach. Gotowane więc posiłki w kuchni belwederskiej przynosili nam do „Podchorążówki” ordynansi w menażkach. Była to forma bardzo dla nas i naszych pań kłopotliwa, ale za wielki był koszt zorganizowania kasyna w Łazienkach i z moich starań o nie musiałem zrezygnować. Zmienił się też i smak naszych obiadów, szczególnie gdy kucharzył sierżant Franciszek Pieluch, krakowski kucharz i bardziej znakomity cukiernik, którego „neapolitanki z kremem” Komendant smakował. Za to zupy, póki jako kierownik kasyna nie odkryłem jego na nie przepisu, to była gotowana trucizna. Okazało się mianowicie, że te zupy gotował dla oszczędności stale na kościach wołowych i to kilka razy pod rząd, co było prostym wyciąganiem z nich kleju kostnego, który kleił nam żołądki, nie mówiąc o smaku.

Osobistą obsługę Komendanta spełniał przez pewien czas ordynans z Legionów płk. Śmigłego-Rydza, a potem lokaj Józefkowicz, jeden z trzech na tej służbie w pałacu. Pierwszy z nich — Rozalski, klasyczny typ lokaja, dawny kamerdyner Skąłłona, ostatniego gubernatora rosyjskiego w Warszawie i niemieckiego Beselera, siwy już, układny, z bokobrodami przydawał patyny pałacowej Belwederowi, witając przybywających w hall’u w którym miał stałe miejsce odźwiernego. Trzeci, Maleszak, na równi z Józefkowiczem, obaj zwykli woźni, ze wszystkimi ich zaletami i wadami, dobrze sprzątający pokoje pałacu, ale bez „pałacowej dystynkcji”, z manierami nie zawsze na miejscu. Dopiero po wyprawie ukraińskiej przybył czwarty — z prawdziwego zdarzenia i wychowania — Kacper Michalski od Potockich w Antoninach, który ich podciągnął. Gdy Prezydent Rzpltej, Mościcki, przeniósł rezydencję z Belwederu na Zamek — Michalski pełnił rolę „majordomusa”.

W oficynach Belwederu administrował chorąży Wacław Rydzewski. Nadzorował stajnie, stangetów, oraz ich mieszkania. Po przeniesieniu garażu i stajni do Zamku, zburzono oba budyn-

ki i na ich miejscu postawiono dom mieszkalny, w którym zamieszkali gen. Rydz-Śmigły, a potem i gen. Władysław Sikorski, ale mieścili się w nim i inni lokatorzy.

3. Kwatera Główna i Oddziały Przyboczne Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza

Służba wartownicza Szkoły Podchorążych w Belwederze i doraźne eskorty reprezentacyjne 1-go pułku szwoleżerów były w rzeczy samej ich dodatkową służbą, która mąciła im normalne programy i porządek wewnętrznego życia. Powodowało to nieraz pewne trudności i dla Adiutantury Belwederu w dysponowaniu tej służby, ale najważniejszą dla niej trudnością było utrzymanie postawy i nastroju żołnierzy doraźnie dobieranych, a nie dla tej służby wychowanych i wymusztrowanych. Wynikały też z tej, chociaż zaszczytnej, służby przy Naczelniku Państwa, szkody dla podchorążych w ich nauce. Nie były to więc odpowiednie warunki dla tych służb przy nim i na wiosnę 1919 roku zdecydowano stworzenie oddziałów osobnych, do jego tylko osoby przydzielonych. W rezultacie powstały Oddziały Przyboczne Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, tj. Kompania Przyboczna Piechoty i Szwadron Przyboczny Kawalerii, a dla jednolitego dowodzenia nimi i gospodarki utworzono Kwaterę Główną z dowódcą i odnośnymi służbami.

Sam fakt powstania Oddziałów Przybocznych wiąże się z ważnym wypadkiem historycznym, mianowicie z wyprawą wileńską w kwietniu 1919 roku. Dowodził tą wyprawą sam Piłsudski i dla jego bezpieczeństwa zorganizowany został specjalny pluton jazdy z podoficerów, szwoleżerów i ułanów pułków biorących w tej wyprawie udział, pod dowództwem jego adiutanta, porucznika Tadeusza Kobylańskiego. Walki o Wilno i jego zdobycie dało wiele okazji do poruszania obecności tam owego „plutonu przybocznego” Naczelnego Wodza i stąd przyszła idea stworzenia podobnego oddziału na stałe, jako jednostki odrębnej i z zadaniem wyłącznej służby dla Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza. Dowódca plutonu z wyprawy wileńskiej — por. Kobylański i por. Adam Michalewski, również adiutant Nacz. Wodza — otrzymali rozkaz podjęcia akcji zorganizowania pełnego, o czterech plutonach, Szwadronu Przybocznego, który we wrześniu był gotów, tj. miał pełny stan ludzi (jak to się mówiło), jednolicie umundurowanych i na pamiątkę „Kasztanki” Komen-danta na koniach jednakowej maści — kasztanach. Dowódcą Szwadronu mianowany został rotmistrz Ułanów Krechowieckich,

Edward Dunin-Markiewicz, a dowództwo plutonów objęli: por. Adam Michalewski z 1-go Pułku Szwoleżerów, b. adiutant Naczelnego Wodza, por. Adam Radomyski i por. Kazimierz Rojowski, obaj z 7-go pułku Ułanów oraz por. Witold Stankiewicz z 13-go p. Ułanów. W porównaniu z Kompanią Przyboczną w obsadzie oficerskiej Szwadronu były częstsze zmiany i wśród przybyłych po okresie organizacyjnym byli: por. Stanisław Kosowski, por. Aleksander Kwiatkowski, rotmistrz Józef Szostak-Radziwiłłowicz, por. Kazimierz Sołtan, por. Mieczysław Poniatowski, por. Józef Makowiecki i por. Józef Wilczyński. Opiekę weteryneryjną nad stadniną Szwadronu sprawował w pierwszym okresie por. lek. wet. Józef Chełmoński, a potem lekarze wet. 1-go p. Szwoleżerów.

Równocześnie podjęta była organizacja Kompanii Przybocznej piechoty i wykonali ją kapitan Włodzimierz Mozołowski i kapitan Adam Nebelski. Plutony prowadzili: por. Zygmunt Grabowski, kapitan Józef Matecki, por. Czesław Tański i por. Jan Janiszewski.

Oba oddziały podlegały dowódcy Kwatery Głównej. Był nim mjr Kazimierz Polkowski i u niego zameldowałem się 19 października 1919 roku na służbę oficera administracyjnego Kwatery i Oddziałów Przybocznych. Adiutantem jego był por. Ludomir Damiński, a po jego przeniesieniu — por. Kazimierz Danielkiewicz. Moim zastępcą w służbie był por. Tadeusz Wirth, oficerem gospodarczym por. Rudolf Małochleb. Pomagała nam w pisaniu p-na Jadzia Borkowska, świetna stenotypistka i tak miła, że więcej znana była jako „Jadzia” niż pod swym nazwiskiem.

Do Kwatery Głównej należała administracyjnie, tj. odnośnie żołdu, umundurowania i wyżywienia, Kolumna Samochodowa Adiutantury Generalnej. Dowódcą jej był kapitan Andrzej Meyer, zastępcą por. Leon Szulhanowicz.

Biura Kwatery mieściły się w budynku „Podchorążówki” 31-go w Łazienkach; Kompania i Szwadron stały w koszarach przy ul. Huzarskiej tuż za ogrodzeniem Łazienek i bramą wjazdową przy pałacu Myślewickim.

Za koszarami z tyłu był plac ćwiczeń i zbiórek, oddzielony od koszar 1-go pułku Szwoleżerów stajnią Szwadronu Przybocznego i domem mieszkalnym podoficerów obu jednostek. Plac był obszerny i na nim odbywały się zawody sportowe obu Oddziałów i pokazy w sztuce jazdy konnej Szwadronu. Były one łączone z różnymi uroczystościami narodowymi i Komendanta oraz własnymi rocznicami i świętami. Bywał na tych zawodach czasem i Komendant, szczególnie gdy występował Szwadron, bo chociaż zawsze cenił i chwalił piechotę, to jednak wiadomo było, że lubił

kawalerię, a szczególnie Szwadron Przyboczny. Zawody te rozgrywane były także o nagrody, co podnosiło ich atrakcyjność dla żołnierzy i zainteresowanie dowódców przygotowaniem ich do konkurencji między ułanami i „szarą” (choć w zielonych mundurach) piechotą. Chętnie brał Komendant udział w przemarzaniach na ten temat — były to nieraz chwile jego wytchnienia.

Wyszkolenie Oddziałów Przybocznych stało na wysokim poziomie. Rzadkie bywały przekroczenia dyscyplinarne; porządek ogólny był wzorowy. Pomagały temu nastrojowi wykłady oświatowe. Dla normalnych codziennych rozrywek koszarowego życia służyły świetlice z biblioteką i wspólna kantyna przy „Sklepiku żołnierskim”, prowadzoną samodzielnie przez wybrany zarząd. Podkreślić muszę bardzo dobrą postawę podoficerów w Oddziałach, a szczególnie ich szefów, którzy umieli trzymać posłuch i dyscyplinę żołnierzy. Byli to: w Kompanii Przybocznej sierżant Józef Boryczko i po nim sierżant Jan Ujczak, w Szwadronie st. wachmistrz Narcyz Witczak-Witaczyński, odznaczony za dzielność w wyprawie ukraińskiej Krzyżem *Virtuti Militari*.

Stan liczbowy każdego oddziału był ustalony na 125 szeregowych i 5 oficerów tj. dowódca oddziału i czterech dowódców plutonów. Żołnierze początkowo byli dobierani z oddziałów piechoty i kawalerii po ich rekruckim przeszkoleniu, ale potem brano ich wprost z P.K.U. szczególnie do Kompanii, ażeby ze względów reprezentacyjnych wybierać mężczyzn z dobrą postawą i wzrostem około 170 cm. Umundurowanie Oddziałów Przybocznych było w kolorze khaki, tak jak w całej armii, i tego samego kroju jak w piechocie i w kawalerii, z różnicami charakteru dekoracyjnego; w Kompanii wysokie buty z cholewami i ciemnoniebieskie otoki na rogatywkach, a w Szwadronie amarantowe wyłogi na kurtkach ułańskich i tej samej barwy otok na okrągłej czapce szwoleżerskiej oraz białe akselbanty wokół szyi na występy służbowe i paradne eskorty. Te minimalne dekoracje żołnierzy na służbie przy osobie Naczelnika Państwa uzupełniały białe rękawiczki.

Zaopatrzenie w mundury należało do moich obowiązków; w czasie wojny było to po prostu niewykonalne i długo po wojnie musiałem o to zabiegać w Departamencie Intendentury. Szczególnie trudno było o lepsze sukno na mundury i skórę na buty; szef Departamentu, płk Litwinowicz, pozwolił mi nawet (na moją sugestję) wbrew przepisom szukać jej wprost w garbarniach warszawskich. Duże też były trudności w dostawach siana dla koni Szwadronu i musiałem zmienić kilku dostawców, by dostać dobre i tanie siano raz aż spod Brześcia. Ta sytuacja

poprawiła się w lecie, gdy Szwadron wyprowadzał konie z Warszawy „na łąki”, tj. na świeżą trawę do majątku Dłużewo pod Mińskiem Mazowieckim. Lecz i w tym czasie potrzebne było siano dla plutonów pozostałych w Warszawie i na zimowe zapasy. Długo także przyszło czekać na wykonanie w fabryce „J. Matuszewski” w Warszawie białych rękawiczek. Ale tak jak i innym, tak i mnie to się udało i w połowie drugiego roku po wojnie Oddziały Przyboczne były ubrane w nowe mundury i białe rękawiczki. Mimo całej skromności w ich prezencji podobały się te mundury.

Oba Oddziały pełniły służbę wartowniczą w Belwederze, ale ze względu na zajęcia ułanów w ćwiczeniach i obsłudze koni, była pewna różnica w porządku tej służby — pełną służbę tj. całą dobę i na wszystkich posterunkach wartowniczych z rezerwą na wartowni, wykonywał Szwadron tylko raz na miesiąc, czyli Kompania pełniła ją stale. Dyslokacja warty w ciągu dnia obejmowała 2-ch żołnierzy normalnie uzbrojonych w hall’u pałacu przy schodach wiodących do apartamentu Naczelnika Państwa, 2-ch w bramie wjazdowej, jeden w parku belwederskim przy tarasie, jeden przed kordegardą wartowni. W nocy od 9-ej godziny brama była zamknięta, na tarasie w parku drugi posterunek i patrole przy zmianach wart na terenie parku; w tej samej porze stawiano dodatkowy posterunek nocny przy bocznej (ku-chennej) bramie, tuż koło bramy wjazdowej do parku w Łazienkach. Na tej służbie ułani nosili karabinki na pasach przez plecy a szable w rękę, oparte na ramieniu, ażeby bez wyciągania ich z pochwy byli gotowi prezentować je przed Naczelnikiem Państwa. Żołnierze Kompanii salutowali go karabinami „prezentuj broń”. Wchodzących do hall’u oficerów salutowała warta postawą na baczność. Tak w hall’u jak i w bramie pałacu wartownicy stali na miejscu w postawie „spocznij”, tzn. bez chodzenia przed frontem od budki do budki wartowniczej.

Gdy zdarzył się raz wypadek wejścia do pałacu na piętro, zresztą w czasie nieobecności Komendanta w Belwederze, osobnika o podejrzanym zachowaniu wzmocniono warunki bezpieczeństwa w samym pałacu przez osadzenie w jednej z izb lewego skrzydła stałej „Sekcji Pałacowej” złożonej z 5-ciu żołnierzy Kompanii Przybocznej, pod kierownictwem plutonowego Stanisława Zduńczyka. Towarzyszył on później stale, z dwoma żołnierzami, w podróży Komendanta pociągami i samochodami.

Kolumna Samochodowa należała organizacyjnie do Kwatery Głównej i była faktycznie trzecim z rzędu Oddziałem Przybocznym Naczelnego Wodza, bo Naczelnikowi Państwa służyły raczej pojazdy konne.

Oceniając to dzisiaj mogę powiedzieć, że wspólna służba Adiutantury i Kwatery była pod każdym względem doskonale zgrana.

Gdy wojna się skończyła odeszli na własną prośbę dla ukończenia studiów — dowódca Kwatery mjr Polkowski i kpt. Mozołowski — dowódca Kompanii, obaj na medycynę, potem rotmistrz Michalewski na studia prawa, a por. Wirth zmienił służbę w administracji na artylerię. Majora Polkowskiego zastąpił dowódca Szwadronu rotmistrz Markiewicz, oddawszy Szwadron rotmistrzowi Szostakowi, a Kompanię objął kapitan Nebelski; na miejsce por. Wirtha przydzielony został por. Edward Federowicz. W tym czasie podjąłem i ja swoje studia na Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie (obecnie Wyższa Szkoła Planowania i Statystyki).

4. Komendant w Belwederze

Gdy kiedyś widziałem, a teraz rozważam warunki życia i pobytu Komendanta w Belwederze — to myślę, że były one bliskie uwięzieniu go w jego pokoju sypialnym. Wszystkie bowiem inne pokoje i salony były zajęte dla jego pracy urzędowej i służby otoczenia oraz reprezentacji, bo mały wolny pokój obok sypialni z balkonem był raczej przechodnim do niej dostępem. Komendant nie mógł wyjść niepostrzeżenie do belwederskiego parku na spacer, ani schodami frontowymi — bo w hall'u przy schodach stali na warcie żołnierze, w dzień kręcili się goście i lokaje — nie mógł również zejść „schodami Księcia Konstantego”, bo obok ich drzwi był gabinet adiutantów na służbie, słyszających każdy krok za otwartymi zawsze drzwiami. Innych dróg wyjścia nie było, gdy wyjeżdżał z pałacu czekali na niego adiutanci w hall'u, gdy zaś schodził do salonu jadalnego na obiad, czy kolację musiał przechodzić przez ich gabinet służbowy.

Sypialnia Komendanta była dostatecznie obszerna, z trzema oknami, z których dwa wychodziły na wschód na oba parki, a trzecie w bocznej ścianie na południe z dalekim horyzontem na Wilanów. Dzięki temu układowi okien pokój był jasny i słoneczny i z obu okien było widać jakby leśny dukt wśród gestwiny belwederskiego parku, z taflą małego jeziora, łączącego się ze stawem przed pałacem królewskim w Łazienkach. Z mostku na grobli łączącej obie wody, spacerujący w parku łazienkowskim mogli obserwować taras parkowy Belwederu; na horyzoncie poza drzewami Łazienek widać było przedmieście Czerniaków na pobrzeżu Wisły.

Umeblowanie pokoju bardzo skromne, meble mahoniowe, antyczne: łóżko, obok stolik z radiem, z drugiej strony łóżka szafka nocna z lampą, duża szafa przy drzwiach z saloniku z balkonem, przy oknie na park stół, dwa fotele, kilka krzeseł, w prawym kącie pokoju kominek, na podłodze wielki dywan perski, naprzeciw okien na park — drugie drzwi na korytarzyk frontowy do łazienki i ukryte w prawej ścianie „schody Księcia Konstantego”. Nad wezłowiem łóżka czaprak turecki, na nim dwie skrzyżowane szable, jedna z nich — dar oficerów I-szej Brygady w czasie wojny, z odznaką Brygady „Za wierną służbę” na rękojeści. Między szablami w górze, średniej wielkości obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, po obu stronach szabel dagerotypy rodziców w strojach z okresu Powstania Styczniowego, po lewej — Matka Komendanta, z prawej — Ojciec. Na nocnej szafce fotografia córki Wandy.

W tej samotni Komendant, wędrując swoim zwyczajem po pokoju, myślał w długie noce nad swoimi planami. Zwyczaj tych rozmyślań nocnych i „nocne rodaków rozmowy” z Komendantem, niemal codzienne, nie pozwoliły mu na regularny tryb życia, ale — jak dziwili się nieraz adiutanci i dyżurni oficerowie — nawet nieprzespana noc nie przeszkadzała mu działać, gdy tego wymagały potrzeby wojny lub ciągle kryzysy polityczne. Bywało, że po takich „najcięższych nocach” widzieliśmy Komendanta ponad miarę zmęczonego, gdy zasiadał razem z nami do stołu na wspólny obiad, czy na kolację. Jak już wspomniałem Komendant wprowadził zwyczaj, że te posiłki jadalśmy z nim razem w salonie jadalnym pałacu i dopiero po zakończeniu wojny z Rosją podawano mu te posiłki do jego apartamentu na górze a za jadalnię służył mu mały pokoik balkonowy.

Na obiad zbieraliśmy się prawie wszyscy, z wyjątkiem wolnych od służby adiutantów i kolegów żonatych, powiedziałbym dostatniej w domu urządzonych. Tylko miejsce pośrodku stołu od strony parku — było stałe dla Komendanta, inne — a stół na 24 osoby — były zajmowane dowolnie przed wejściem Komendanta na salę. Czekaliśmy jego przybycia, stojąc przy wybranym krześle, a gdy wchodził, stawaliśmy „na baczność” na co Komendant odpowiadał: „Dzień dobry panom!” lub „Dzień dobry wam!”. Ale były dni, gdy był smutny i zamyślony, że siadał i bez tego pozdrowienia, wówczas był milczący w czasie obiadu, co nas często niepokoiło w dniach kryzysów i politycznych niepokojów. W takie dni i sam Wieniawa, chociaż tylko czasem siadający do stołu, nie miał odwagi przerywać milczenia Komendanta jakąś wesołą uwagą.

Ja jednak miałem szczęście, że dzień w którym rotmistrz

Wieniawa zameldował mnie Komendantowi był pogodny w czasie mojego pierwszego obiadu w Belwederze. Zwyczajem przyjętym przez Komendanta było, że nowoprzybyli młodzi oficerowie byli mu przedstawiani w formie bez mała rodzinnej, bo w salonie jadalnym, przed zajęciem miejsca przy stole. Tak samo i ja byłem zameldowany. Czekałem na ten akt z biciem serca i z pewną tremą, z czapką w prawej ręce, lewą podtrzymując szablę, która co chwila wysuwała mi się z dłoni i stukała o podłogę. Mój niepokój podnosiła obecność kolegów wokół stołu, obserwujących nowego przybysza. Gdy Komendant, po zameldowaniu że idzie, przekroczył próg drzwi gabinetu adiutantów, przystąpił do niego rtm. Wieniawa i wskazując na mnie zameldował mój przydział do służby w Kwaterze Głównej, po czym ja, przystępując bliżej, wygłosiłem, drżącym zdaje się głosem, normalną formułę zameldowania się przełożonemu w wojsku. Popatrzywszy na mnie bystrym spojrzeniem, Komendant podał mi rękę, mówiąc: „Witam was! Siadajcie...”. Wyszedłem do hall’u by zostawić szablę i czapkę, po czym wróciłem i siadłem przy stole na wskazanym mi miejscu.

Przed tym wielkim aktem w mojej służbie wojskowej a zarazem w moim życiu, byłem zameldowany przez dowódcę Kwatery Głównej, mjr Polkowskiego Adiutantowi Generalnemu, mjr. Tadeuszowi Kasprzyckiemu, a następnie rotmistrzowi Wieniawie i poznałem obecnych na służbie adiutantów Komendanta. Przyjęcie mojego zameldowania się przez mjr. Kasprzyckiego było też dla mnie pewnym przeżyciem; jako dla legionisty z I-szej Brygady, gdyż widziałem w nim jednocześnie i dowódcę Kompanii Kadrowej, o której my, z następnych kompanii, myśleliśmy z wielką estymą i zazdrością. Powitał mnie, mogę powiedzieć, bardzo przyjaźnie, życząc mi powodzenia w służbie i takim tonem, że mój pierwszy niepokój mocno zelżał.

Jedynie Wieniawa czuł się zwykle swobodny i odważniejszy, ale i on przycichał w tej swobodzie słowa o niezawodnym humorze i radosnym śmiechu ze swoich żartów i dowcipów, gdy nie widział aprobaty Komendanta albo usłyszał niechętną uwagę. Pewne, choć słabsze przywileje tej swobody miał i Nałęcz-Korzeniowski, nie dorównywał jednak Wieniawie. Jestem przekonany, że zwyczaj siadania z nami do stołu, jak i dozwoleń swobodniejszej rozmowy — Komendant traktował jako *sui generis* od-poczynek, tym bardziej że wyłączone były zupełnie sprawy urzędowe. Jednak gdy zdarzył się odruch żywej wesołości na skutek „żartu, który nie miał brody”, tj. nie był jeszcze znany, to i Komendant ulegał jej i nieraz serdecznie śmiał się z nami. Ale w żartach dwuznacznych były granice i w wypadku ich prze-

kroczenia winny płać karę — 2 marki, wówczas polskie, na „fundusz Morsa” (nie pamiętam przyczyny tej nazwy), które oddawane były do funduszków Kancelarii Wojskowej. Kilka takich marek zapłacił raz zaproszony przez Komendanta na obiad gen. Iwaszkiewicz, za polski i rosyjski opis ładnego stroju damskiego, który żołnierze jego dywizji nosili na bagnietach swoich karabinów z radości po zdobyciu Rygi i magazynów z tymi strojami. Uśmieł się wtenczas serdecznie Komendant, bo generał broniąc się, powtarzał ciągle niecenzuralne słowa, które kapitan Nałęcz podstępnie wyciągał, doliczając oczywiście po dwie marki kary, póki sam Komendant nie wziął generała w obronę. Częściej jednak obiady były ciche i poważne, a może i smutne, kiedy Komendant milczał i bez słowa opuszczał nas po obiedzie, gdy trudniejsza sytuacja na froncie wojennym albo kryzysy i walki polityczne budziły w nim zatroskanie.

Obiady były skromne jeśli idzie o menu, z różnicą potraw dla Komendanta, jeśli niektórych nie lubił lub nie były dla niego zdrowe. Zdarzyło się jednak, że zapomniano o tym w kuchni i podano do mięsa szpinak, którego Komendant nie uznawał, o czym usługujący lokaj Rozalski nie wiedział i podał go Komendantowi. Komendant odsunął jarzynę mówiąc: „Dziękuję, szpinaku nie jem!”. Na to Rozalski, kłaniając się, odpowiedział: „Pan gubernator Skałkon też nie jadł...”. Mocno to Komendanta i nas ubawiło, a staruszek Rozalski był uszczęśliwiony, że nareszcie doczekał się czegoś z dawnych czasów swej służby i nie patrzył już na nas zdziwionym okiem lokaja Skałkona.

Przypominała mu jednak te czasy zastawa stołowa Belweduru z inicjałami cara Mikołaja II-go pod carską koroną, wyrytymi na każdym sztućcu i malowanymi na każdym talerzu i filiżance. Dopiero w kilka lat po wojnie zmieniono ją na polską z orłem państwowym w złoto-czerwonym obramieniu talerzy.

Zaznaczyć muszę, że nie podawano żadnych trunków z wyjątkiem świąt i imienin Komendanta, obchodzonych kieliszkiem wina. Palić papierosy wolno było przy kawie gdy zapalił Komendant, a palił zawsze, bo jak miał kiedyś powiedzieć: „Moje namiętności to Wilno, dzieci i papierosy”. Palił papierosy przygotowywane specjalnie dla niego przez Polski Monopol Tytoniowy z nazwą „Marszałkowskie”, których na rynku nie sprzedawano, w pudełkach po 100 sztuk. Palił więc dużo i popijał bardzo mocną herbatą, którą zaparzano w osobnym czajniku. Było to zapewne przyzwyczajenie z sybirskich lat Komendanta. Pił ze szklanki, którą ujmował w obie dłonie, czasem nie odstawiając jej od ust, jakby chciał zagrześć swoje ręce.

Wspomniawszy o imieninach Komendanta, każdy z będących wówczas na służbie pamięta imieniny 19 marca 1920 roku, bo tego dnia, można powiedzieć — Belweder szalał. Ścisłej mówiąc, szalały i wiwatowały delegacje żołnierskie z oddziałów frontowych, które Komendant zaprosił na ten dzień i kazał urządzić przyjęcie co się zowie. Zaproszone były też delegacje z Ministerstwa Spraw Wojskowych i Sztabu generalnego oraz szef francuskiej misji wojskowej, gen. Henrys z oficerami misji i attachés wojskowi innych państw, razem ponad 100 osób. Cały parter Belwederu zamienił się w jeden wielki bufet i bar, po staropolsku obfity we wszystkie przysmaki i niektóre trunki, wszystko do wyboru „na widelec”. Feta była mocna i dosyć głośna, bo „Niech żyje Komendant!” i „Sto lat” i „My Pierwsza Brygada...” i „Wojenko, wojenko...” szło chórem z każdego salonu i pokoju, a wielu gości już pod dobrą datą szukało Komendanta, by z nim wypić toast, ale godzili się wypić i z każdym z nas po kolei. Trwała ta zabawa kilka dobrych godzin i wielu delegatów tak się zmęczyło, że próbowali spać, gdy tylko znaleźli cichy kąt i musieliśmy pomagać im w wyjeździe z Belwederu. Gdy się goście rozjechali był nasz obiad z Komendantem i gen. Sosnkowskim. Komendant był niezwykle radosny i przy czarnej kawie pozwolił zaśpiewać; zwrócił się do mnie: „Śpiewaj, Czerniawski!”.

Te wyjątkowo uroczyste imieniny zaczęły się rano nabożeństwem w garnizonowym kościele, którym był wówczas jeszcze sobór rosyjski na placu Saskim, po czym była defilada wojskowa i życzenia rządu, a w Belwederze po powrocie — hołd dzieci, co było dla Komendanta dużą radością. Oczywiście, przed wyjazdem na nabożeństwo — oficerowie Adiutantury i Kwatery z delegacją żołnierzy Oddziałów Przybocznych złożyli życzenia wraz z szefem Kancelarii Cywilnej i jej urzędnikami, którzy też byli między zaproszonymi na wypicie zdrowia Komendanta. Inne imieniny obchodzone były po domowemu, a urozmaicały je życzenia dzieci z kwiatami i laurkami. Pięknie i prawdziwie przedstawił scenę życzeń dzieciennych artysta Zdzisław Czernański na jednym ze swoich rysunków w albumie „Józef Piłsudski”.

Mówiąc o obiadach z Komendantem, wypada wspomnieć i o kolacjach, lecz tu niewiele jest do opowiadania, ponieważ Komendant pozostawił nam zupełną swobodę. Wieczory po służbie ciągnęły nas, młodych, do miasta, do rodziny, czy znajomych, nieraz do miłości naszej, więc połykaliśmy ją na boku lub rezygnowali, co powodowało że Komendant pozostawał sam przy stole. Rozumiał to i zgodził się, że na kolacjach będą dyżurni, więc bywaliśmy po kilku, dwóch, trzech, a nieraz nawet i jeden.

Bywałem i ja takim dyżurem zaszczycony i to czasem w pojedynkę. Szczerze mówiąc myślałem, że w razie takiego sam na sam z Komendantem będę mógł podjąć z nim rozmowę i prosić o wyjaśnienia intrygujących mnie politycznych wypadków, ale odbierało mi odwagę jego milczenie, które w porównaniu z obiadami było jakby przyjętym przez Komendanta zwyczajem przy kolacjach, bo i koledzy na dyżurach zauważyli to samo. Raz jednak zapytał mnie, czy brałem udział w marszu z Uliny Małej do Krakowa w 1914 roku i gdy potwierdziłem, zadał mi kilka pytań o moje i kolegów wrażenia. Zachęcony tym, na jednym z następnych moich dyżurów odważyłem się opowiedzieć moją przygodę z kampanii Brygady naszej na Polesiu, przygodę polityczną z generałem niemieckim, którą tu powtórzę:

Byłem st. żołnierzem 1-szej kompanii 1-go Batalionu, 1-go pułku piechoty, gdy w marszu z Kowla do Styru we wrześniu 1915 roku był przewidziany postój w Maniewiczach. Wychodziłszy po noclegu z Gorodka i marsz do Maniewicz otwierała moja 1-sza kompania pod dowództwem kapitana Dęba-Biernackiego. Do Maniewicz szła równocześnie z naszego lewego skrzydła niemiecka dywizja kawalerii, z którą nasz oddział w Maniewiczach dzielił kwatery. Kpt. Dąb wyznaczył mnie jako mówiącego po niemiecku, na łącznika, celem uzgodnienia tego z niemiecką komendą placu. Wyszedłem z Gorodka ze strażą przednią kompanii w stronę Maniewicz i na skrzyżowaniu dróg, na wzniesieniu, przy stojącej na nim cerkiewce, spotkałem sztab niemiecki z generałem, którego łatwo poznałem, gdyż generałowie niemieckiej armii nosili płaszcze podbite czerwoną podszewką. Przechodząc mimo niego salutowałem mu „w lewo patrz!” z równoczesnym według regulaminu austriackiego przesunięciem prawej ręki po pasie karabinu i maszerowałem dalej przed siebie. Gdy już odszedłem kilka kroków posłyszałem za sobą biegnące kroki i wołanie: *Sie Legionär!* Zatrzymałem się i po chwili stanął przede mną lekko zadyszany oficer niemiecki, który wskazując mi generała powiedział: „*Exzellenz will mit ihnen sprechen...*” (Ekscelencja chce z tobą mówić...). Kiedy stanąłem przed generałem, ten zadał mi takie pytanie: „Jakiego chcecie mieć króla?”. Po sekundzie namysłu odpowiedziałem: „My chcemy polskiego króla”. On na to: „Zupełnie zrozumiałe, ale kto ma nim być? Habsburg, czy Hohenzollern?” Odpowiedziałem już pewniejszy siebie: „Jestem prostym żołnierzem. Te sprawy należą do posłów polskich w Wiedniu i w Berlinie, ja nie mam o tym żadnego pojęcia”. — „No, a ty, jako legionista, co myślisz?” — rzucił jeszcze generał, na co odpowiedziałem, że polityką się nie interesuję. Lekko zagniewany generał zawołał: *Du bist sehr listig!*

— co znaczy — „Jesteś bardzo chytry!”. Stałem na baczność i po słowach *Befehl Exzellenz!* odmaszerowałem do Maniewicz. Nazajutrz doszły do nas gazety wiedeńskie, czy węgierskie, w których był artykuł jednego z ministrów, czy polityków węgierskich — (Andraszego, lub Tiszy) — rozważający sprawę trój-królestwa Austrii, Węgier i Polski. Indagujący mnie generał niemiecki dostał je pewnie wcześniej i to go skłoniło do rozmowy ze mną.

Zachęcony wysłuchaniem i pytaniami Komendanta na temat tej przygody, a jeszcze więcej jego uwagą, że podać ją trzeba do wspomnień legionowych, które w tym czasie zbierano do druku, na jednej z następnych kolacji skorzystałem z pozwolenia Komendanta by opowiedzieć inną, w innym sensie bardzo szczególną przygodę. Mianowicie w tym samym marszu mojej kompanii, czy batalionu, z Kowla do Styru szedłem w straży przedniej do Trojanówki przez las, z którego przepędzaliśmy uchodzących przed nami Kozaków; doszliśmy w tym lesie do niewielkiej chaty, zza której Kozacy mocno nam się odstrzeliwali. Gdy wypłoszyliśmy ich z tego schronu, dowódca straży, kapral Nebelski, kazał nam przystanąć za tą chatą, ale ja, niedostłyszawszy rozkazu, zatrzymałem się za drzewem, co widząc Nebelski krzyknął: „Czerniawski, schowaj się!”. Na ten okrzyk, ku naszemu zdumieniu, wyskoczył z chaty młody chłopak i zawołał: „Gdzie tu pan Czerniawski?”. Koledzy wskazali na mnie, a on na to: „O, to nie mój pan!”. Okazało się, że ten las należał do majątku Czerniawka, a właściciel, pan Czerniawski, uszedł z domu za Rosjanami. Niezwykłość tej przygody leży jeszcze w fakcie, że gdy ją opowiadałem w Belwederze kapral Nebelski, dowódca przedniej straży pod Trojanówką, był tam ze mną na służbie, jako dowódca Kompanii Przybocznej. Tych moich wspomnień nie przyjęto do druku, bo były za krótkie, ale w zamian wydrukowano moje wspomnienie z walk nad Nidą, o wyprawie 3-ej kompanii I-go Batalionu Złoma-Langnera „po języka” tj. po jeńców z okopów rosyjskich po drugiej stronie Nidy (w I-ym tomie pt. „3-ci Maj nad Nidą”). Co do wyprawy za Nidę muszę dodać, że była wielkim sukcesem, bo gromadkę jeńców Złom przyprowadził, co było niezmiernie wówczas dla sztabu niemieckiego cenne wobec przygotowania, znanej w historii I-szej wojny światowej, ofensywy Mackensena pod Gorlicami. Po przełamaniu frontu rosyjskiego na Dunajcu ruszyliśmy znad Nidy i zatrzymaliśmy się aż na Polesiu.

Towarzyskość Komendanta nie ograniczała się tylko do wspólnego siadania z nami do stołu na obiady i kolacje. Od czasu do czasu, gdy spokojniej było w polityce i na świecie, Komendant polecał urządzać wieczorne zebrania towarzyskie w

ograniczonym gronie naszych rodzin tj. oficerów z żonami, na których bywała też Pani Piłsudska oraz szef Kancelarii Cywilnej, mec. Car z żoną, i pp. gen. Rouppertowie — osobiści przyjaciele Komendanta. Na te wieczory w paniami wystrojonymi wizytowo, nie było siadania do stołu, który zastępował zimny bufet — lampka wina, ciasta, kawa, herbata i owoce. Nie było też muzyki, ani tańców, ale nastrój był zawsze wesoły, a Komendant uśmiechnięty i rozmowny jak nigdy... ale tylko z paniami. Zdarzyło mi się raz widzieć niezwykle ciekawą scenę, jak Komendant w gronie pań: Rouppertowej, Świtalskiej i Piestrzyńskiej pokazywał im obie swoje dłonie i przystawiając jedną do drugiej wyjaśniał, że prawa jest większa od lewej i z żartobliwym uśmiechem mówił, że słusznie jego ręka prawa jest większa od lewej, bo musi nieraz kogoś przygiąć, czy przygnieść do ziemi. Na liczniejsze i częstsze zebrania gości spoza rodziny i Belwederu — pałac Belwederski był przyciasny i tylko wyjątkowe okazje i ze szczególnych powodów — jak np. lampka wina dla rektora i profesorów Uniwersytetu Warszawskiego, po uroczystości wręczenia magnificencji insygniów — stwarzały pewną na takie przyjęcia konieczność.

Przy pewnej surowości naturalnego dystansu serdeczność Komendanta wobec nas, pełniących przy nim służbę, mogę nazwać niezwykłą. Najwięcej doznawali jej oczywiście najbliżsi w służbie, tj. Adiutanci, ale i pełniący ją na dalszych stopniach doświadczała jej w różnych formach, a wszyscy dlatego że jako Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz, dał nam prawo meldować się i mówić po legionowemu — Komendancie! I chyba każdy, jak ja, dostał od niego pamiątkę w postaci fotografii z dedykacją i podpisem. Mój „dyplom” spalił ogień w oblężonej Warszawie, a był mi tym cenniejszy, że dany mi przez Komendanta, gdy zameldowałem się razem z narzeczoną z prośbą o zaszczytowanie nas obecnością na naszym ślubie. Wyraziwszy zgodę — Komendant wręczył mi równocześnie swoją fotografię, na której była już napisana dedykacja mojego belwederskiego „dyplomu” — „Kapitanowi E. J. Czerniawskiemu na pamiątkę — J. Piłsudski. Belweder 21. 4. 1921”. A żegnając nas tak nam Komendant życzył: „No, bierzcie państwo tę loteryjkę i grajcie dobrze!”. Nie zapomnieliśmy tych słów i przestrogi do dziś dnia. Ten wyjątkowy gest serdeczności, jaką nam Komendant okazał, wyniknął pewnie stąd że moja narzeczona witała go w Żytomierzu w 1920 roku, jako drużynowa harcerka na czele delegacji Polaków. Oczywiście Komendant był na naszym ślubie. Podobnej natury serdeczność okazał też Komendant kilku moim kolegom jako chrzestny ojciec ich dzieci i stąd — pani Maria Polkowska,

Wanda Piestrzyńska, Jadwiga Korzeniowska, Jadwiga Mozołowska i Zofia Sokołowska — to jego kumy.

Wyjątkowo przyjacielskiego traktowania doznawali jego adiutanci przenoszeni z Belwederu na wyższe studia wojskowe, do oddziałów liniowych etc., byli żegnani wspólnymi obiadami z obecnością Komendanta i w drodze oczywistego wyjątku z winem i innym szlachetnym trunkiem pitym za zdrowie Komendanta i odchodzących na inne służby kolegów. Tak żegnaliśmy przede wszystkim Adiutanta Generalnego mjr. Wieniawę, idącego na studia w Wyższej Szkole Wojennej Sztabu Generalnego, którego Komendant zaszczycił swoim toastem za jego wierną przy nim służbę, poczynając od służby w I-szej Brygadzie Legionów w 1914 roku, i por. Tadeusza Kobylańskiego, także odkomenderowanego na studia do Francji, następnie kapitana dr. Stanisława Łepkowskiego, odjeżdżającego do naszej ambasady w Waszyngtonie jak również porucznika Henryka Nakoniecznikowa, jedynego który potem zamienił służbę kawaleryjską na leśne biznesy kresowe. Z pożegnania por. Kobylańskiego pozostała nam pamiątka wspólnej z Komendantem fotografii całej obsady oficerów na belwederskiej służbie wraz z mecenasem Stanisławem Carem, szefem Kancelarii Cywilnej.

Jeżeli po tych przykładach powiem, że nasza służba w Belwederze miała nastrój bez mała familijny dzięki osobistemu stosunkowi Komendanta — to tak było. W serdeczności jego do nas było też i zrozumienie naszej młodości, gdy opuszczaliśmy go przy kolacjach żeby się wyszumieć.

Nie wszyscy mogliśmy szumieć, bo żadnych na to dodatków nie było. Szumieli pewnie spośród nas bogaci z domu i chodzili gadki po Warszawie o Wieniawie, ale uważano to za jego dobre prawo i mówiono o tym z wyrozumiałym uśmiechem. Kwitło za to w „Podchorążówce” miłe koleżeństwo i życie rodzinne na ogół młodych i zgodnych małżeństw. Ale mieliśmy jeden bardzo atrakcyjny przywilej — mogliśmy korzystać z teatrów, szczególnie z opery, w której była stale zarezerwowana łoża Naczelnika Państwa (na pierwszym piętrze tuż przy scenie z prawej strony). Było to potrzebne ze względów reprezentacyjnych, bo jednym ze stałych punktów programu ceremonialnych przyjęć posłów i gości zagranicznych, uroczystości państwowych i narodowych, były przedstawienia operowe. Komendant słuchał muzyki i śpiewu z przyjemnością, i lubił patrzeć na dyrygenta orkiestry. Podziwiał mianowicie — jak mówił — władzę jego czarnej pałeczki, której ruchami i gestami prowadzi w absolutnym posłuchu orkiestrę złożoną z tak wielu różnych instrumentów, przy równoczesnym dyrygowaniu śpiewakami i chórem. Bardzo

mu ta sztuka imponowała i nieraz wspominał dyrygenta opery Emila Młynarskiego, jako mistrza w tej sztuce.

Staralem się być możliwie często w operze, bo po służbie uczyłem się śpiewu u Zygmunta Mossoczego, basa opery, a potem i w Konserwatorium Warszawskim u prof. Heintze, a na koniec u włoskiego śpiewaka Umberto Macnezza, który miał w Warszawie swoją szkołę śpiewu. W rezultacie jednak nie zdecydowałem się na ostateczne przygotowanie się na scenę, do czego przyczyniły się moje operowe wizyty, obserwacje śpiewaków w czasie występów, a potem i za kulisami i poznanie bliżej i głębiej atmosfery stosunków między artystami, która mnie odstraszała.

W teatrach dramatycznych, tj. w Teatrze Polskim i w Teatrze Narodowym, bywał Komendant tylko z okazji wyjątkowych uroczystości państwowych i narodowych rocznic, a czasem godził się na pokazanie mu w Belwederze warszawskich „Szopek kukielkowych” np. „Cyrulika Warszawskiego”, sławnych wówczas z wysokiej klasy dowcipu politycznego i znakomitych kukiełek, wśród których i siebie nieraz oglądał. Chwalił te widowiska i śmiał się serdecznie z udanych rewii aktualnej polityki i polityków i siebie samego. Spośród prezentujących mu te widowiska pamiętam sławniejsze nazwiska — Karpińskiego i Zaruby. Zapraszał ich do Belwederu naturalnie Adiutant Generalny, ich „cygański kompan”, a i nieraz autor piosenek — Wieniawa.

Lecz stałą i niezastąpioną formą oderwania się Komendanta od ciężkiej pracy codziennej były szachy i pasjans. Partnerem do szachów był chyba jedynie gen. Sosnkowski, bo o innych nie słyszałem. Znam szachy, nieraz szukałem w sobie odwagi by i mnie Komendant przyjął na partnera, ale na tym się skończyło, bo nie miałem możliwości poznać w jakiej klasie jestem wobec Komendanta, obawiałem się prosić o próbne zawody. Za to gen. Sosnkowski uprawiał z Komendantem „nocne Polaków rozmowy” i to do niejednego ranka. Te rozmowy nocne prowadził także Komendant z innymi; znaliśmy ich z imienia i z widzenia — Walery Sławek, Michał Sokolnicki, Leon Wasilewski, Aleksander Prystor, Feliks Perl, Rajmund Jaworowski i inni, a często z otoczenia i Kazimierz Świtalski, jako szef Biura Prasowego. Często też w pewnym okresie bywał poseł Artur Śliwiński, historyk, któremu Komendant dawał relacje ze swego życia i dokonań do życiorysu, który jednak nie został napisany. Wymieniając te nazwiska uderza mnie dzisiaj, że poza osobą gen. Sosnkowskiego, który był ministrem Spraw Wojskowych, nie słyszałem innych nazwisk, względnie o innych urzędujących ministrach, którzy by na te rozmowy przychodzili.

Częstym gościem wieczornym, a nieraz i nocnym, był gen. Jakób Krzemiński, podówczas prezes Najwyższego Sądu Wojskowego, nieraz, niestety, z wyrokami śmierci i prośbą o ułaskawienie skazanych. Jak mówił mi generał, Komendant był wyrozumiały i litościwy w wielu wypadkach, ale nigdy za sprzeniewierzenie majątku państwowego, szczególnie w wojsku. Taki właśnie wypadek przypadło referować por. Pudełkowi w czasie jego nocnego dyżuru (w 1920 roku), o którym nam opowiadał (a potem i opisał w swoich wspomnieniach), wypadek tym ważny i znamienity, że wyrok sądu opierał się na tzw. „Ustawie sierpniowej”. Było to między godziną 2-gą i 3-cią po północy, kiedy kardynał ks. Dalbor, prezydent Poznania i minister b. dyplomacji Pruskiej, zwrócili się telegraficznie do Naczelnika Państwa o ułaskawienie ppor. N.N. skazanego na śmierć za sprzedanie z podległego mu magazynu podków końskich za sumę przeszło 2 tysiące marek. Wyrok miał być wykonany rano po tej nocy, więc decyzja Naczelnika Państwa musiała być niezwłoczna. Por. Pudełek obudził Komendanta i zameldował ich prośbę. Wyrok był zgodny z ustawą — Komendant odmówił ułaskawienia, mimo tak wysokiej interwencji. Ale ważniejszy może w tej sprawie był jej finał nazajutrz: kapitan Nałęcz-Korzeniowski, który — jak już pisałem — miał u Komendanta przywilej zabrania czasem głosu przy stole, podjął sprawę odmowy Komendanta z pewną wątpliwością, zaznaczając że ułaskawienie poznaniaka i uwzględnienie interwencji sprawiłoby w Poznaniu dobre wrażenie, o które tak trudno. Komendant przerwał mu dalsze wywody i mocno zagniewany powiedział: „Nałęcz, wiesz że was lubię, ale gdyby o was proszono, to również bym odmówił. Nie może być litości dla złodziei dobra publicznego w Polsce...”. Nie widzieliśmy nigdy jeszcze tak zagniewanego Komendanta.

Na wieczorne raporty przychodzili też oficerowie Sztabu generalnego i MSWojsk., m.in. gen. Julian Stachiewicz, płk Ignacy Matuszewski; często, w trudniejszych okresach w czasie wojny, Komendant sam udawał się do Sztabu.

Za duże obciążenie urzędu Naczelnika Państwa uważał Komendant reprezentację. Osobiście łatwo ją znosił, bo jego wrodzona pełna godności postawa i niezwykle oblicze, stwarzały wokół niego ten szczególny nastrój, który nawet wówczas gdy był w swojej szarej legionowej kurtce, sprawiał wrażenie na widzach i słuchaczach. Do reprezentacji Komendant zaliczał też audiencje, na które przychodzili w ciągu dnia premierzy, a z ministrów najczęściej minister Spraw Zagranicznych. Zjawiali się też po instrukcje desygnowani na placówki zagraniczne do znac-

niejszych państw posłowie i ambasadorowie, delegaci do Ligi Narodów itp.

W pierwszym okresie Belwederu dla wielu spośród ministrów i innych nieznanych Komendantowi osób kłopotliwe było formalne tytułowanie go, bo używano kilku tytułów: Komendant, Obywatel Komendant, Naczelnik Państwa, Pan Komendant, Pan Naczelnik Państwa, a także Obywatel Naczelnik, a w końcu i Pan Marszałek. Niektórzy „audiencjonałści” pytali o formę tytułu adiutantów; m.in. zapytał o to por. Pudełka z Kancelarii Wojskowej premier Władysław Grabski, gdy przyszedł na pierwszą audiencję. Por. Pudełek poradził mu tytuł „Panie Komendancie”, co się z czasem upowszechniło, a zastąpił go potem tytuł „Panie Marszałku”. Ale dla nas został zawsze Komendantem i meldując się mówiliśmy „Obywatelu Komendancie”, a w czasie rozmowy opuszczało się „Obywatela”. Tylko Wieniawa, Świtalski, dr Piestrzyński, dr Maciesza i bliżsi Komendantowi adiutanci — tak z jego Brygady, jak i z innych formacji, referenci ważniejszych spraw, np. kpt. Głabisz, uzyskali prawem zwyczaju mówienie po prostu — Komendant. Niejako wzajemnie Komendant nie tytułował nas szarżami, ale zwracał się stylem legionowym per „Wy” z wymienieniem nazwiska, bez stopnia. Często też dało się słyszeć przyjazne: „Słuchajcie, moje dziecko!” a nawet „Moje chłopiętko” do por. Rychłowskiego, najmłodszego w naszym gronie adiutanta o chłopięcym wyglądzie. Przy wielkim uroku Komendanta te miłe gesty stwarzały atmosferę serdeczności i legionowy ton w Belwederze.

5. Wyprawa Kijowska

Na Wyprawę Kijowską Komendant wziął ze sobą prawie cały wojskowy Belweder, tj. adiutantów i w nieco zmniejszonym składzie Oddziały Przyboczne (część pozostała dla trzymania wart i porządków), oraz Kolumnę Samochodową. Wyjechaliśmy z Warszawy 24 kwietnia specjalnym pociągami Naczelnego Wodza, w którym prócz oficerów z Adiutantem Generalnym, mjr. Wieniawą i zaproszonym przez Komendanta Szefem Misji Francuskiej, gen. Henrys'em, jechali jako ścisły jego sztab: gen. Stanisław Haller, Szef Sztabu Generalnego, jego zastępca — szef Oddziału Operacyjnego ppłk Sztabu Generalnego Julian Stachiewicz, ppłk Sztabu Generalnego Ignacy Matuszewski Szef Oddziału Wywiadowczego Sztabu Generalnego oraz mjr Walery Sławek — delegat Naczelnego Wodza do Atamana Petlury i kpt. Szt. Gen. Tadeusz Schaetzel z Oddziału II-go, Wydział IV

Wywiadu na Wschód — oficer ordynansowy w bezpośredniej dyspozycji N.W. Gdy ppłk Stachiewicz w kilka dni po przybyciu na teren uległ wypadkowi przy lądowaniu samolotu zwiadowczego, zastąpił go odwołany z frontu — Adiutant Generalny ppłk Szt. Gen. Tadeusz Piskor. Z bezpośredniego otoczenia oficerów przy Komendancie byli: jego lekarz mjr dr Piestrzyński i czterej adiutanci — por. Świrski, por. Olszamowski, por. Kobylański i por. Horodecki oraz dowódca Kolumny Samochodowej kapitan Meyer. Wyjechał też z Warszawy z nami dowódca Kwatery Głównej mjr Polkowski, ale zachorował w drodze i wrócił.

Oddziały Przyboczne miały osobny pociąg, bo Szwadron jechał ze swoimi kasztanami, obrokiem dla nich oraz małym zapasem amunicji. Po przybyciu do Zwiahła Szwadron został wyładowany i dalszą drogę do Żytomierza odbył konno w składzie jednego z oddziałów bojowych. Przed wymarszem Szwadronu oba oddziały dostały ostrą amunicję, bo jednak przyszły tam na prawdziwą wojnę, czego potem Szwadron doświadczył, gdy spotkał się z kawalerią Budiennego. Kompania dojechała do Żytomierza pociągiem, po zdobyciu Żytomierza przez 3-cią Armię gen. Rydza-Śmigłego, już 26 kwietnia. Przybył też później pociąg Sztabu Generalnego, w którym było Biuro Sztabu z grupą oficerów odnośnych oddziałów Sztabu i podoficerów, stacja radiowa i telegraficzna Hughe'a, drukarnia polowa i litografia, kancelaria, potrzebne magazyny i kwatery w wagonach. Osobną stację telegraficzną Hughe'a miał Naczelny Wódz w swoim pociągu. Pociąg ten składał się z wagonów sypialnych i restauracyjnego. Komendant utrzymywał w nim belwederski zwyczaj wspólnego siadania do posiłków.

Po zdobyciu Żytomierza, już następnego dnia o 6-ej rano, przybył tam Komendant dla poznania sytuacji na froncie, ale wrócił zaraz do Zwiahła, żeby być bliżej Równego — m.p. głównej kwatery operacyjnej Sztabu Generalnego. Stamtąd robił wypadki samochodem do głównych punktów naszego marszu na Ukrainę: do Korostenia, Malina i innych dla — jak potem słyszałem od adiutantów — osobistego zorientowania się w położeniu bojowym wojska, gdyż w pierwszych dniach pochodu armii zawodziła łączność, opóźniając raporty sytuacyjne, co oczywiście mocno utrudniało rozkazy Naczelnego Wodza i Sztabu. Równocześnie z wypadem Komendanta do Żytomierza, Adiutant Generalny wysłał tam kapitana Nebelskiego i mnie, jako kwatermistrzów, dając nam do dyspozycji samochód. Niedługo po przybyciu Komendanta dostaliśmy się do Komendy Placu. Nie była ona jednak jeszcze przygotowana do wskazania nam kwatery; dostaliśmy jednak dobrą radę udania się do Proboszcza Katedry

Żytomierskiej, X. Józefa Fedukowicza, rezydującego przy tej Katedrze, w „Watykanie”. Istotnie bez mała w mgnieniu oka misja nasza była spełniona. X. Fedukowicz udał się do rezydującego w Żytomierzu X. Biskupa diecezji łucko-żytomierskiej, Dubowskiego, który zaprosił Komendanta wraz z adiutantami w gościnę do swego pałacu, a my i koledzy dostaliśmy pokoje w „Watykanie”. „Watykanem” nazywano Seminarium Duchowne diecezji, które z wiadomych przyczyn i wojny było zamknięte. Kwatery dla Kompanii znaleźliśmy w opuszczonych koszarach rosyjskich, a Szwadron ze względu na konie, został zakwaterowany w pobliskiej wsi. Potem, zaproszeni przez X. proboszcza Fedukowicza, piliśmy u niego jakąś znakomitą wschodnią herbatę z konfiturami, bo cukier na plebanii był tylko „na przyladku”.

Za to sporo cukru, kasz, mąki oraz innych produktów, także i kawy, herbaty i czekolady widzieliśmy w pozostawionych przez bolszewików magazynach wojskowych, których nie zdążyli spalić. W Żytomierzu, tak zresztą jak i w innych miastach niczego nie można było dostać i ludność głodowała, bo dostawy ze wsi, wobec ciągłych niepokojów, walk Ukraińców z bolszewikami i mającymi miejsce od czasu do czasu pogromami Żydów, ograniczały się do szmuglu, który każda władza zawzięcie ścigała. Wielką więc ulgą było otwarcie tych magazynów dla zaopatrzenia ludności. Dla licznej gromady Polaków w Żytomierzu, Berdyczowie i innych osiedlach, a potem w zdobytym Kijowie większa była radość z przybycia naszego wojska ze względu na zniknięcie strachu przed więzieniem i grozy śmierci nie tylko w lochach Czerezwyczajek. W takim lochu w Żytomierzu widziałem na ścianach świeże jeszcze plamy krwi ofiar pomordowanych w ostatnie dni, jak mi mówiono już przy szumie zapuszczanych motorów samochodowych. Te straszne plamy i niedomyte ślady krwi na cementowych podłogach kaźni wstrząsały wyobraźnią, gdyż ci męczennicy byli może w większości Polakami, zamęczonymi za robotę niepodległościową i „burżujstwo”.

Po przeniesieniu głównej kwatery operacyjnej Sztabu generalnego do Żytomierza 30 kwietnia zjechał tam i Komendant w asyście gen. Rydza-Śmigłego i przyjął w tym dniu przed pałacem b. gubernatora rosyjskiego witającą go delegację Polaków żytomierskich. Prowadziła tę delegację panna Maria Tynicka, drużynowa hufca polskich harcerek w Żytomierzu. Wręczyła Komendantowi wspaniały bukiet róż ze słowami radości i wdzięczności. Nazajutrz Komendant przyjął defiladę ostatnich oddziałów 3-ciej Armii Gen. Rydza-Śmigłego idących na front już bliski Kijowa.

Rocznica Konstytucji 3-go Maja obchodzona była uroczystie w Katedrze. W uroczystościach wziął udział Komendant. X. Biskup Dubowski powitał go na progu świątyni i prowadził przed wielki ołtarz przez kościół pełen Polaków. Przed wejściem do Katedry, i po wyjściu, Komendant przyjął raport dowódców Oddziałów Przybocznych, ustawionych w szyku na Placu Katedralnym. Uroczystość ta wywarła na patriotyczne i pobożne żytomierzanki wrażenie niesamowite, a i żytomierscy Polacy ze łzami w oczach patrzyli na Komendanta, gdy przechodził wśród szeregów składających mu raport Oddziałów Przybocznych. Po małej defiladzie zostaliśmy zaproszeni przez biskupa do pałacu na wspólne śniadanie z Komendantem. Podano świetne kurczęta po polsku, tj. z mizerią i dobre wino. Nastrój tego przyjęcia trudno opisać — wszyscy byli pełni radości i nadziei. Rad był i Komendant, a my z nim. Uderzyła mnie tylko smutna powaga X. proboszcza Fedukowicza, który był moim sąsiadem przy stole.

Sukcesy wojenne były wielkie. Na 1 maja, czyli siódmego dnia od rozpoczęcia akcji wojennej, wojska polskie i ukraińskie stanęły nad Dniestrem i miały w rękach całą linię kolejową od Korostenia do Mohylowa. Broniąca dostępu do Kijowa 12 Armia rosyjska była zupełnie rozbita, straciła dwadzieścia kilka tysięcy jeńców, ponad 100 dział oraz mnóstwo różnego sprzętu wojkowego i wojennego. To wszystko kosztem 100 zabitych i 300 rannych żołnierzy po naszej stronie. Taką relację wysłał z Żytomierza Komendant do premiera rządu Skulskiego do Warszawy dodając, że spotyka się już uzbrojone oddziały ukraińskie walczące na tyłach oddziałów rosyjskich.

Ale końcem, który miał uwieńczyć dzieło wyprawy, jej celem — było zajęcie Kijowa. Jak wynika z listu do premiera Skulskiego Komendant długo i wszechstronnie rozważał ten problem i zdecydowała ówczesna sytuacja militarna i polityczna, którą Komendant tak określił: „... Nie mogę zostawić w rękach nieprzyjaciela jego moralnej fortecy o kilkadziesiąt do 50-ciu kilometrów przed moim frontem; po prostu wpływać to będzie depresyjnie na całe wojsko, a sądzę i na świat cały... (zajęcie Kijowa) ... zabezpiecza prawy brzeg Dniestru na dużą przestrzeń na południu, no i zadaje ogromną klęskę moralną nieprzyjacielowi... Dlatego też dałem rozkaz marszu...”. W nocy z 7 na 8 maja oddziały 3-ej Armii gen. Rydza-Śmigłego zajęły Kijów, ale Komendant nie był zadowolony z tego sukcesu, ponieważ miasto zbyt łatwo wpadło w nasze ręce i pisał do gen. Sosnkowskiego, ministra Spraw Wojskowych: „... Te bestie zamiast bronić Kijowa, uciekają stamtąd; również uciekają i cofają się z południa, ścigając ku Czerkasom i Kremieńczugowi. Powstania przeciw

nim są wszędzie, na całej Ukrainie. Zajęcie Kijowa to nawet nie potrzeba militarna, ale hasło i symbol polityczny... Zatrzymuje więc po wzięciu Kijowa front i chce dopełnić politycznego symbolu przez Odessę. Zrobić to chce przez samych Ukraińców, dodając im jaką-taką pomoc naszą...”.

Sam Kijów nie był w tym czasie złotym jabłkiem. Zdevastowany wojną i bolszewicką gospodarką, z milionem głodnych mieszkańców, bez wody i elektryczności, stanowił przedmiot wielkich kłopotów gospodarczych i administracyjnych.

W przededniu zdobycia Kijowa przybył do Żytomierza premier Skulski w towarzystwie mjr. Świtalskiego. Komendant konferował z nimi dwa dni, po czym wyjechał na inspekcję frontu północnego i 11 maja był na linii gen. Szeptyckiego. Po powrocie, w dwa dni później, Komendant udał się do Kijowa samochodem, ubezpieczony oddziałkiem żołnierzy z Kompanii Przybocznej pod dowództwem kapitana Nebelskiego i wziętym ze Szwadronu por. Michalewskim jako adiutantem. W Kijowie znajdował się już Ataman Petlura i następnego dnia odbyła się przed obu wodzami Wyprawy Kijowskiej defilada oddziałów polskich i ukraińskich, co naocznie udowodniło przymierze polsko-ukraińskie w tej wyprawie. Potwierdziło je następnie spotkanie Komendanta i Atamana Petlury w Winnicy 16 maja.

Z Winnicy, nie wracając już do Żytomierza, Komendant wyjechał do Warszawy wraz z adiutantami i przydzielonymi ze Sztabu generalnego oficerami. Oddziały Przyboczne i ja z nimi, zostaliśmy w Żytomierzu.

Wcześniej wyjechał z Żytomierza szef francuskiej Misji Wojskowej, gen. Henrys, podobno na polecenie swojego rządu, by nie patronować — jak mówiono — nowej historii polsko-ukraińskiej na terenie Rosji, ciągle budzącej jakieś nadzieje francuskie i angielskie.

Nie mógł niestety odjechać do Warszawy Olszamowski — drugi, po poległym w kawalerskim zagonie pod Malinem, adiutancie ks. Radziwille, najmilszy Komendantowi z adiutanckiej ekipy. Wysłany w różne strony terenu operacyjnego po raporty dowódców, gdy zawodziła łączność, nabawił się tyfusu płamistego i mimo bardzo starannej opieki miejscowego lekarza, Gruzina, zmarł w Żytomierzu. Opiekowałem się nim i jeździłem do Kijowa po lekarstwa, których nie było na miejscu, lecz stadium choroby było już śmiertelne. Na ostatnie dwa dni przed jego śmiercią zdążyła przybyć do Żytomierza jego matka i byłem bezradnym świadkiem jej rozpacz i wysiłków ratowania ostatnich iskier życia syna. Komendant bardzo odczuł śmierć obu swoich adiutantów była to dla niego dotkliwa strata oddanych

mu żołnierzy. Nagrodził ich krzyżami „Virtuti Militari” i zwłoki ich obu przewiezione zostały do Polski.

Po wyjeździe Komendanta do Warszawy działania wojenne zatrzymały się na Dniestrze i Kijowie bez ważniejszych epizodów. Pewnym wydarzeniem w Żytomierzu było założenie tam kwatery operacyjnej dowódcy 2-ej Armii, gen. Antoniego Listowskiego. Front wojny był daleko od miasta, więc nastrój w Żytomierzu panował sielski i pogodny, życie mieszkańców odzyskało spokój i pewną radość. Wnosiła ją liczna, niezwykle patriotyczna młodzież polska. Samo miasta i tamtejsi Polacy sprawiali na nas wrażenie czegoś i kogoś bardzo bliskiego i od dawna znanego.

Spory odsetek Polaków na Ukrainie żył w majątkach i dworach, w cukrowniach, miejscowych przemysłach, handlu itp. Polskość ta wzmogła się w czasie wojny, po przybyciu na Ukrainę uchodźców z Królestwa, i np. po rewolucji bolszewickiej głównie dzięki temu że zostało założone w Żytomierzu przez Polską Macierz Szkolną polskie gimnazjum. Za caratu były tylko polskie szkoły prywatne. Nastrój patriotyczny dał w rezultacie poważny zastęp ochotników do P.O.W. na Ukrainie i utworzenie terytorium P.O.W.-Wschód z komendą w Kijowie. Silne oparcie i pomoc w akcji P.O.W. dał i dawał Żytomierz, tak przez czynny udział w jej szeregach młodzieży, jak i przez swoje bliższe Polski położenie konspiracyjnego szlaku. Szczególnie zaś odznaczyły się w Żytomierzu i na Ukrainie kobiety, biorące udział w każdej formie konspiracyjnej roboty, za co były aresztowane, bite i męczone — nawet w Moskwie — i rozstrzeliwane.

Dnia 15 maja odbyło się w żytomierskiej Katedrze niezwykle nabożeństwo żałobne — egzekwie nad kilku trumnami zamordowanych przez Czerezwyczajkę żołnierzy P.O.W., których śmiertelne szczątki ekshumowano ze wspólnego grobu na cmentarzu prawosławnym, by je złożyć do grobu na polskim cmentarzu katolickim. W tym wspólnym grobie odnaleziono zwłoki matki — Marii Kraśnickiej i jej dwóch córek — Aliny i Stanisławy, równocześnie z nią rozstrzelanych; dwóch braci Wróblewskich z P.O.W., jej komendantów żytomierskich — d’Erceville i Rodziewiczza i żołnierza P.O.W. — Dąbrowskiego.

Odwiedziłem potem X. proboszcza Fedukowicza — był przygnębiony. Nie była to moja pierwsza u niego wizyta. Był on w moich oczach niezwykle wzorem księdza-Polaka i duchownego, z którym łatwo było mi dyskutować. Pytał mnie, czy jesteśmy dość silni, by utrzymać w rękach Ukrainę. W tej ostatniej sprawie miał wiele wątpliwości. Mianując mnie żartobliwie pułkownikiem, na moje zapewnienia i argumenty odpowiadał: „Pułkowniku drogi, obawiam się, że nie doceniacie siły bolszewików.

Od rewolucji mocno się podciągnęli w organizacji i są pewniejsi siebie, a to ma swoje znaczenie. I między nami mówiąc — nie wierzę w patriotyzm i siły Ukraińców”. Odpierałem jego pesymistyczne argumenty, sam wierząc w nasze zwycięstwo, ale w tej popogrzebowej rozmowie X. Fedukowicz dodał nowy argument: „Dochodzą mnie z różnych stron informacje, że Żydzi mówią o rychłym powrocie bolszewików. To jest w dużej mierze niepokojące, bo oni prawie co dnia zapowiedzieli wasze przyjsię”. Odpowiadałem na to jak umiałem i uspakajałem czcigodnego księdza proboszcza, lecz smutny pogrzeb męczenników z jego parafii przypominał mu pewnie złe bolszewickie czasy, bo nie był skłonny wierzyć moim zapewnieniom, że jesteśmy dość silni, by do takiej ewentualności nie dopuścić.

Wreszcie pewnego dnia zaprosił mnie X. Fedukowicz do siebie na kolację z myślą, jak powiedział, o pożegnaniu, bo ma już takie informacje, którym musi wierzyć. Ubrany był w uroczystą sutannę i złoty krzyż na długim złotym łańcuchu. Trudna była ta nasza rozmowa wobec jego pesymizmu. Niestety miał rację. W dwa dni potem dowiedzieliśmy się z dowództwa 2-giej Armii, że kawaleria Budiennego przedarła się przez nasze linie w okolice Kijowa i Szwadron Przyboczny dostał rozkaz wymarszu do jednego z oddziałów frontowych. Już w połowie drogi do Kijowa, pod Pawołoczą, spotkali jedną z przednich straży Budiennego i stoczyli z nią krwawą bitwę, w której ze Szwadronu poległo trzech podoficerów i sześciu szeregowców, a 11-tu było rannych. Wczesnym rankiem 7 czerwca por. wet. Chełmoński przytransportował rannych do Żytomierza, lokując ich w stojącym na stacji kolejowej pociągu sanitarnym. Wobec tego oczywistego dowodu niespodziewanej sytuacji, kapitan Nebelski i ja udaliśmy się do dowództwa 2-giej Armii gen. Listowskiego po rozkazy. Otrzymaliśmy rozkaz alarmu i przygotowania się do ewakuacji z Żytomierza. Działo się to na oczach całego miasta. Żytomierz, dotąd ufny i spokojny, zdrętwiał z przerażenia. A my? Trudne jest opisywanie naszych uczuć i wrażeń po gromie z jasnego nieba.

Po ściągnięciu żołnierzy z różnych posterunków w mieście, Kompania została załadowana do pociągu, z kierunkiem na Zwiahł. Szwadron szedł konno w składzie oddziału, z którym stoczył bitwę pod Powołoczą i cofał się na Żytomierz. Wczesnym popołudniem tego dnia opuściliśmy Żytomierz, żegnani łzami rozpaczki kobiet, które tam się urodziły, żyły i pracowały dla polskiej sprawy w P.O.W., harcerstwie i innych polskich organizacjach, a teraz wyjeżdżały na nieznany los. Ich wyjazd pod naszą opieką nakazał dowódca armii, bo wiadome było, że pozo-

stawione czeka je zemsta bolszewików. Poprzedniego dnia przejechała przez Żytomierz p. Zaleska-Thomas, przyszła żona gen. Rydza-Śmigłego.

W ostatniej chwili przed odjazdem udałem się jeszcze do X. Fedukowicza, z zamiarem skłonienia go do wyjazdu z nami, ale kategorycznie odmówił, bo nie może opuścić swego probostwa i parafian. Pobłogosławił mnie i uściśnął, a ja do głębi wzruszony ucałowałem jego ręce z niespokojną myślą o jego jutrzejszym losie.

Kapitan Nebelski, por. Danielkiewicz, ja oraz trzy działaczki P.O.W. i harcerstwa, zabrane przez nas z Żytomierza, przejechaliśmy do Zwiąhła samochodem i stamtąd do Równego, gdzie były już pociągi ewakuacyjne. Nie mieliśmy dostatecznego transportu, by zabrać jeszcze i innych działaczy polskich, ale szczęśliwie pomógł im w tej ewakuacji dowódca 2-giej Armii, gen. Listowski, i znalazła się jeszcze następnego dnia okazja w kolumnach samochodowych 3-ciej Armii, cofającej się z Kijowa. Z informacji uzyskanych już w Warszawie można było wnioskować, że wszyscy Polacy zagrożeni niebezpieczeństwem zdołali w porę opuścić Żytomierz. Trzy uratowane przez nas panie to: Irena Kańska z P.O.W. w Żytomierzu (więziona w Moskwie), Janina Tynicka z P.O.W. w Kijowie i Maria Tynicka harcerka, drużynowa z Żytomierza.

Ten żytomierski exodus muszę zakończyć historią strasznego losu, jaki spotkał X. Fedukowicza. Już w 1922 roku przyszła z Żytomierza wiadomość, że zrozpaczony popełnił samobójstwo, ale nieznane były bliższe szczegóły tej tragedii. Późniejsze informacje o X. Fedukowiczu mówiły, że był dwukrotnie więziony przez Czerezwyczajkę i po torturach uległ takiemu załamaniu, że na żądanie swoich katów podpisał ułożony przez nich list do papieża. W liście tym wzywał do zainteresowania się akcją polskich księży na Ukrainie, którzy są na usługach polskiej dyplomacji i konsulów, szkodząc kościołowi katolickiemu. Wypuszczony dzięki temu z więzienia wpadł w taką depresję i rozpacz, że zaniechał pełnienia obowiązków kapłańskich i 4 marca 1922 roku udawszy się na brzeg Teterewa oblał się przyniesioną ze sobą naftą, czy benzyną i w płonącej na nim sutannie biegł w postaci żywej pochodni do miasta. Na skutek odniesionych oparzeń całego ciała po ciężkich cierpieniach zakończył swoje męczeńskie życie.

6. *Bitwa pod Warszawą (przed i po bitwie)*

Nie poznałem Warszawy po powrocie z Żytomierza i Belwe-

der wydał mi się też inny, mimo gorącego lata zdawał się być wewnątrz zimny i nie ten sam. Kiedy zwróciłem na to uwagę jednego z moich kolegów, odczuł to samo i doszliśmy do wniosku, że powoduje to stała niemal nieobecność Komendanta, który często na dwa, trzy dni wyjeżdżał na front północny i inne z nim związane, tam gdzie bolszewicy podjęli działania po naszym odwrócie z Ukrainy. Wiele nieznanych nam wypadków i zmian politycznych miało miejsce w czasie naszej nieobecności; nie mogliśmy ich poznać z nieregularnie i rzadko dochodzącej nas prasy z kraju. Opuszczenie Kijowa i odwrót z Ukrainy pogłębiły te zmiany, a przede wszystkim zmieniły entuzjastyczny nastrój społeczeństwa do Komendanta w rozgorycznie i rosnące — w miarę postępu armii rosyjskiej — strach i przygnębienie. Najsilniej przeżywała to Warszawa.

Szwadron Przyboczny po odpoczynku, wyrównaniu strat i oporządzeniu braków, oddał znowu dwa plutony na front pod Ciechanów i Przasnysz, a drugie dwa zostały później włączone do jednego z oddziałów grupy uderzeniowej znad Wieprza, którą dowodził sam Komendant. Żołnierze Kompanii Przybocznej również brali udział w wojennej potrzebie jako straż przyboczna Naczelnego Wodza w czasie jego samochodowych wypraw wzdłuż linii frontu, który montował do uderzenia i odparcia spod Warszawy.

Ponure po wojnie słowo ewakuacja zawisło zmorą nad Warszawą i wszystkie urzędy, w większym lub mniejszym stopniu, przygotowywały się na tę ewentualność. W naszym i cywilnym Belwederze oraz w Kwaterze Głównej i Oddziałach Przybocznych zostały również wydane pewne zarządzenia na wypadek ostatecznej konieczności, lecz — chwała Bogu — alarmu nie było.

Emil Jerzy CZERNIAWSKI

Wojciech ROSTAFIŃSKI

WSPOMNIENIE Z NIEWOLI W NIEMCZECH

Trzech przyjaciół: dwóch podporuczników — *Piwnicki*¹ i *Wojciechowski*² i jeden podchorąży — *Marek*³ walczyło razem

1. Franciszek de Pourbaix; 2. Wojciech Rostafiński; 3. Włodzimierz Markowski.

w Powstaniu Warszawskim. Razem przeszli przez niewolę w Niemczech i czasy bezpośrednio po uwolnieniu w Zachodniej Europie. Żyli się w konspiracji biorąc udział w walce z okupantem od początku 1942 roku. W AK służyli w plutonie dywersji bojowej. W powstaniu pluton był — z racji wyszkolenia i dobrego uzbrojenia — wydzielony do dyspozycji d-cy Warszawa Śródmieście, płk. *Radwana* i używany był do szturmów i wsparcia. Historia tego plutonu ma już obszerną bibliografię. Swoje wspomnienie z Powstania autor ogłosił w *Ogniwie* — dodatku literackim do dziennika *Nowy Świat*, wydawanego w Nowym Jorku, z dnia 1 sierpnia 1959, pt. „Pluton por. Rygla”. Niniejsze wspomnienie z niewoli jest tematycznym przedłużeniem poprzedniego artykułu. Historia tej niewoli jest niecodzienna: jako jeńcy, przeszli północne Niemcy, to jest zachodnie Pomorze i Brandenburgię, na przełaj — 578 km na piechotę, w pełną zimę.

Karabiny, rusznice przeciwpancerne i pistolety spadały jeden na drugi. Nadłamane kolby, popsute zamki i zgięte lufy świadczyły że nawet kapitulacja była formą oporu. W ten sposób kończył się 63-dniowy bój o Warszawę podjęty dnia 1 sierpnia 1944 roku. Niemcy zdławili Powstanie wprowadzając do walki najcięższą artylerię, rakiety, lotnictwo i około 2 dywizji różnych jednostek wspartych, na wszystkich odcinkach, bronią pancerną. Warszawa została zniszczona w znacznym procencie a ludność wyewakuowana co do jednej osoby. Do niewoli poszło około 13 tysięcy mężczyzn i 2 tysiące kobiet. Nadto przewieziono do obozów około 5 tysięcy rannych. Kapitulacja Warszawy, a właściwie kapitulacja Armii Krajowej, została uzgodniona z Niemcami na szeregu posiedzeń. Generał von dem Bach podpisał warunki, które były uznaniem waleczności AK. Nie było mowy o bezwarunkowej kapitulacji i Niemcy przyjęli cały szereg warunków, które były im nie na rękę, choćby prestiżowo. Armia Krajowa szła do niewoli na prawach jeńców wojennych, których chroni umowa genewska. W stosunku do olbrzymiej większości rozbrojonych oddziałów Niemcy dotrzyмали warunków kapitulacji; jednak po kapitulacji Mokotowa grupa dziewcząt została wywieziona do obozu koncentracyjnego w Stuthoffie a inni wzięci do niewoli w poprzednich tygodniach też trafili do obozów koncentracyjnych i w nich zostali aż do dnia uwolnienia — jeżeli przeżyli. Kompanie AK, które pozostały w Warszawie, celem przekazania „miasta-fortecy” Niemcom, były przy broni i na wicie niemieckim, w połowie października zostały, bez szylan, załadowane na transporty kolejowe i skierowane do obozów jenieckich.

Przed wymarszem, na dwa dni przed opuszczeniem pozycji,

poleciłem w oddziale zaopatrzyć się w możliwszą odzież, naszyć odznaki i szarże; każdy też miał wziąć ze sobą o ile możliwe żywność na parę dni. Osobiście niewiele na te rzeczy miałem czasu, bo trzeba się było zająć plutonem. Zrobiliśmy wymianę legitymacji: adnotacja plutonu dywersji bojowej została zastąpiona należnością ewidencyjną do zwyczajnego plutonu liniowego. Z polecenia dowództwa wcieliłem w stan plutonu około czterdziestu żołnierzy jakiegoś innego oddziału. Następnie przeprowadziliśmy konserwację i ukrycie części broni i całej kancelarii plutonu. Z własnej inicjatywy żołnierze niszczyli hełmy zdobyte na Niemcach robiąc z nich sita pepeszami, co z powodu zawieszenia broni odbywało się po piwnicach. Przeprowadzaliśmy, we dwóch z Piwnickim, rozmowy z żołnierzami, którzy zgłaszali się o radę co robić. Czy iść do niewoli, czy szukać rodziny? Co do mnie sprawa była jasna: idę do niewoli. Rodzice i siostra byli w obozach koncentracyjnych, moje kontakty poza Warszawą były spalone a gestapo deptało mi po piętach. Miałem wprowadzić fałszywe papiery, ale stosunkowo łatwo można było mnie poznać a będąc ranny miałem ograniczone możliwości poruszania się.

5 października, w dzień wymarszu, pogoda była słoneczna ale było chłodno. Na ostatnim przeglądzie plutonu, na podwórzu kamienicy przy ul. Widok 6, sprawdziłem czy nie ma naboju w karabinach i w pistoletach maszynowych. Mogły wypalić w momencie składania broni. Wielu ludzi wzięło ciężkie granaty amerykańskie do kieszeni by w razie jakiegokolwiek akcji SS czy żandarmerii przeciwko rozbrojonym oddziałom mieć czym próbować zdobyć broń ku nam skierowaną. Na szczęście do tego nie doszło. Zostaliśmy załadowani na pociągi pod eskortą Wehrmachtu.



Stalag XI B, obóz jeniecki w Fallingbostel, mniej więcej na północ od Hannoveru, był skupiskiem bardzo wielu narodowości. Dla naszego transportu były przygotowane tymczasowe pomieszczenia, baraki bez jakichkolwiek urządzeń. Było się skazanym na koczowanie przez dwie doby. Pierwsze krótkie spięcie z Niemcami nastąpiło zaraz po wejściu do obozu gdy odbierali nam pasy, bo zawsze jeńcom pasy odbierano. Protesty spotkały się nie tyle z ostrą reakcją władz obozowych ile ze zdumieniem. Najwidoczniej, tu w głębi Niemiec, nie wiedziano co to jest ruch oporu, co to są partyzanci, jednym słowem tego rodzaju wojska jak my, jeszcze tu nie widziano. Było dla nich rzeczą zaskakującą że dziewięćdziesiąt procent jeńców władało niemieckim, że jeńcy nie są zrezygnowanym elementem — są nadal agresywni, ruszają

się energicznie, po prostu są inni niż ci, których przyjmowali do niewoli z całej Europy. Nadto ubiór nasz był nad wyraz barwną mozaiką mundurów niemiecko-polskich i ubrań cywilnych. W ciągu godziny pasy nam oddano, a także „białą” broń należną oficerom. Dostałem z powrotem... bagnet który wziąłem przed wyjściem z Warszawy. Przydał się do rąbania drewna.

Nazajutrz oddzielono żołnierzy od kadry oficerskiej. Oficerowie i kilku podchorążych opuszczali obóz. Nasza trójka była w tej grupie. Marsz był długi i żmudny. Z obozu w Fallingbommel pomaszzerowaliśmy 20 kilometrów w kierunku wschodnim do Bergen, a potem trzy kilometry na południe do obozu przeznaczenia — słynnego Bergen-Belzen. Nasz obóz był niejako folwarkiem, przybudówką obozu koncentracyjnego. Był w jego bezpośrednim sąsiedztwie, za kilkoma rzędami drutów kolczastych i poprzecz pas „ziemi niczyjej” — i następny rząd zasieków. Nasze baraki były nowiusieńkie. Było ich chyba z osiem. W barakach były piętrowe prycze, jeden piec i jeden stół w każdej izbie. Każdy barak miał jedną umywalnię, latrynę i korytarz wzdłuż budynku. Na końcu korytarza była mała izba komendanta baraku. W zasadzie pomieszczenia były nie najgorsze.

W obozie tym spędziliśmy około trzech miesięcy. Właściwie na głodno i zimno. Ale ze względnie możliwym nastrojem. Ławice samolotów nadchodzące bombardować Hannover upewniały nas, że koniec niewoli, po naszej myśli, nie może być bardzo odległy. Oczywiście śledziły samoloty z nostalgią: że też o te parę kilometrów w górę od nas znajdują się wolni ludzie, alianckie wojsko, a my tu za drutami musimy znosić przeglądy, liczenie stanu, oczekiwać na wasser-zupkę i myśleć co dalej. Pogodę mieliśmy idealną: jesień była długa i słoneczna choć niebo nie miało tej czystości błękitu co w Polsce. Zima była nie za ostra, beśśnieźna. W niektóre dni, gdy wiatr wiał ze wschodu, dochodziły do nas jakieś odgłosy z obozu koncentracyjnego, jakieś śpiewania, jakieś dźwięki bliżej nie określone, raczej jak wycie. Niemcy byli nadzwyczaj sprawni w utrzymaniu tajemnic kacetu. Kontakt z obozem śmierci nie mieliśmy w ogóle, raz czy dwa tylko widziałem pasiaki przy obozowej łaźni — tragedia odbywała się gdzieś poza zasięgiem naszych oczu i uszu.

Zajęcie kwater i rozdział baraków Niemcy pozostawili polskiemu dowództwu. Dlatego też, i całkiem słusznie, baraki zostały przydzielone według naszych powstańczych grupowań. Jeden z baraków był pod komendą mjr. *Roga*, sąsiedni, mjr. *Bartkiewicz*, następny kpt. *Żmudzina*, itd. Pierwszy barak, koło komendy niemieckiej i wrót obozu zajęła szarża, tj. płk *Wachnowski*, płk *Radwan*, kapelan ojciec ppłk *Biblia* i oficerowie sztabu.

W wyniku tego, zgrupowania zostały zgrupowaniami i nadal mieliśmy swoje odcinki, tym razem baraki. Zasadniczo czas w obozie mijał szybko. Prawdę mówiąc jak komu. Tym co nie potrafili czymś się zająć dni się dłużyły. W ciągu kilku dni nawiązaliśmy łączność z naszymi żołnierzami. Pomogli nam w tym sami Niemcy gdy zażądali wyznaczenia oficera łącznikowego między Bergen-Belzen a Falligbostel. Chodziło im o pomoc w sprawnym rozprowadzeniu żołnierzy po centrach pracy. Jeden z grypsów korespondencji szmuglowanej przez łącznikowego zachował się do dziś: „Mp. 25 X 44. Kochani Porucznicy! List Nr 2 otrzymałem. Melduję że w pierwszym transporcie odjechało 8 do stalagu VI G. Reszta nas, pełna dwunastka, wywalczyła sobie wyjazd w grupie. Jedziemy podobno w góry Harcu. Jak nas tu poinformowano, jest to jedno z lepszych miejsc podlegających stalagowi XI B. U nas wszyscy zdrowi, humory dobre i w ogóle zadowolenie że nareszcie znajdziemy się w stałym miejscu. Korespondencja tą drogą urywa się. Czołem — kapral Jerzy⁴ + 11”. W Bergen-Belzen lekarze i medycy mieli ręce pełne roboty. Ja sam wylizywałem się z ran i nie tyle lekarstwa ile leżenie i wypoczynek, choć na drastycznej diecie, sprawiły że po miesiącu ropiejące rany się zagoiły. W baraku *Roga*, grupa inżynierów z zapalem urządziła seminaria techniczne. W całym obozie, próbowano „robić wojsko” i organizować kursy dla podporuczników, zapominając że szczególnie ci najmłodsi doświadczili już prochu i dowodzenia w akcji. Próby te zostały zignorowane jako kompletny anachronizm. Większość ludzi spędzała czas na rozmowach lub grze w karty. Niestety nie było dnia, by nie było jakichś kłótni, personalnych wycieczek i nonsensów tego typu. Te historie chronicznie zdarzały się oficerom niższej rangi i po czterdziestce. Najżywotniejszy element jeniecki wziął się do handlu, ale giełda należała do trzech którzy mieli wyjątkowe zdolności w tym kierunku. I tupet też. Jednym z nich był dr med. S. Woydat. Otóż ci trzej codziennie się spotykali, by ustalić ceny na papierosy, chleb, cukier i na zegarki. Nie bez talentu zarabiali na dostatnie życie a równocześnie pośredniczyli między strażnikami a bracią jeniecką. Za ich pośrednictwem my trzej od Rygla sprzedaliśmy nasze zegarki po 7 chlebów każdy. Mając spółkę mogliśmy racjonalnie gospodarować tym majątkiem... i mieć go na oku. Pilnować trzeba było, bo rzeczy znikwały. Element w obozie był najrozmaitszy.

Ważną częścią dnia były posiłki a dzielenie chleba w szczególności. Przeważnie staraliśmy się dostać nasze trzy porcje w jed-

nym kawałku. Dzieliłiśmy go między siebie we własnym zakresie. Żeby było sprawiedliwie, zasadą było że: jeden dzieli, inni wybierają. Przydzielony chleb lub wykombinowaną rzepe, piekło się czasem na piecu: paliło się w nim drewnem po które, na ochotnika, poszliśmy raz do lasu. Chcieliśmy wybadać okolicę obozu, czujność straży no i mieć trochę gimnastyki. Była nas grupa z piętnastu. Dostaliśmy ręczny wózek, jednego strażnika i... dzień ten pamiętam do dziś. Bo było się przecież poza obrębem drutów, w prawdziwym lesie, zbierało się suche gałęzie i szukało grzybów, zresztą bez skutku. Wszędzie w lesie widzieliśmy moc długich, cienkich srebrzystych pasków — nie wiedzieliśmy że wyrzucane z samolotów alianckich służyły do głuszenia radarów niemieckich. Późniejsze studiowanie map wyjaśniło nam dlaczego można było z łatwością oderwać się od grupy straży w tym lesie. Otóż obóz Bergen-Belzen leżał w sercu wojskowego poligonu. Na przestrzeni kilometrów było pustkowie, żadnych zabudowań, tylko kanały, nieużytki — rzadkie lasy. Niemcy mogli wyłowić każdego zbiega z łatwością; także tajemnice obozów były ukryte całkiem skutecznie przed miejscową ludnością.

Niedługo po naszym zagospodarowaniu się w obozie, zjawiła się szwajcarska komisja Czerwonego Krzyża. Pytali się czy mamy zażalenia. Naturalnie wyraziło się opinię o gatunku pożywienia, o za długich apelach, o przetrzymywanej poczcie i innych szkalanach. Komisja wyjechała i skutek wizyty był natychmiastowy. Dostaliśmy ścisłą kwarantannę, mieliśmy ponowną rewizję naszych rzeczy i baraków, paczki zostały wstrzymane, apele były jeszcze dłuższe. W połowie listopada Niemcy zrobili nam niechcący miłą niespodziankę. Pewnego dnia cała grupa baraków, które stały dotychczas puste, została odgrodzona rzędami drutu kolczastego i następnie zajęta przez AK-czki, a wśród nich łączniczki z naszego plutonu. Rozmowy przez druty były dozwolone a nawet raz na tydzień wizyty. Dla wielu była to opatrnościowa okazja spotkania żony, siostry czy narzeczonej. Ta idylla skończyła się jednak dość prędko, gdy zabrano niewiasty bądź do centrów pracy czy do obozu kobiecego w Niederlangen.

12 stycznia 1945 roku wróciliśmy, znów na piechotę, do Fallingbostel a 21-go załadowano nas do wagonów towarowych i transport ruszył na wschód. W każdym wagonie było nas ze dwudziestu i czterech strażników niemieckich a z wyposażenia jeden piec i jedna ławka. Początkowo byliśmy oddzieleni od naszych konwojentów ale wkrótce papierosy amerykańskie z paczek Czerwonego Krzyża otworzyły nam dostęp do pieca i mieliśmy swobodę poruszania się po całym wagonie a nawet ucinano się dłuższe pogawędki z Niemcami. Niemcy byli początkowo nie-

ufni, ale wkrótce przekonali się że nie mamy żadnych zaczepnych zamiarów. Bo i rzeczywiście nie mieliśmy. Wielu z nas myślało o ucieczce w ciągu 2 pierwszych miesięcy niewoli. Nawet mapę mieliśmy już przygotowaną. Mam ją do dziś. Tymczasem, w styczniu 1945, po wiadomości o ostatecznym załamaniu się ofensywy niemieckiej w Ardenach, dochodziło się do wniosku że w obozie jenieckim było stosunkowo najbezpieczniej. Po prostu bezpieczniej niż w czasie czterech lat wojny w Polsce a niewola i tak skończy się niedługo. I właściwie dokąd było się przedzierać? Dostać się między dwa ognie czy to na wschodnim czy to na zachodnim froncie?

23 stycznia wyładowanie. Okazuje się że znajdujemy się w oficerskim obozie, Offlag II D w Grossborn, koło Piły, tuż nad granicą polską. Konwojem pomaszerowaliśmy na nowiuteńkie kwatery położone na wzgórku dominującym nad terenem obozu jeńców z 1939 roku. Najwyraźniej nasza przeprowadzka była planowana od pewnego czasu, bo baraki i urządzenia obozowe były przygotowane. Ale odczuwało się bałagan organizacyjny w funkcjonowaniu precyzyjnej niemieckiej maszyny wojennej. Posiłki były nieregularne, sprawdzanie stanu sporadyczne. W barakach było zimno jak psiarni, a drewna do palenia nie było. Trzeba było zacząć kombinować. Przeprowadziliśmy zwiad terenów gospodarczych naszego obozu, w zasadzie poza granicami „deptaków” i części użytkowych nam dostępnych. Od razu pierwszego dnia odkryliśmy spore zapasy węgla. Wzięliśmy ile tylko się dało unieść. Nikt nam w tym nie przeszkadzał. Na podpałkę poszły mniej ważne części pryczy. W cztery dni po usadowieniu się w Grossborn dowiadujemy się że znów będziemy ewakuowani, z powrotem na zachód! Omawiając sytuację, dowództwo polskie wobec zbliżania się frontu dało nam wybór: albo pójść z kolumnami ewakuacyjnymi albo zostać w opuszczonym obozie w charakterze chorego. Niemcy gwarantowali minimum zaopatrzenia i oficjalną zgodę na tę drugą możliwość. Stosunkowo niewielki procent skorzystał z tej sposobności prędkiego choć — co tu mówić — ryzykownego sposobu powrotu do Polski. Niezależnie od tego, nikt nie przypuszczał że ewakuacja na zachód odbędzie się na piechotę, dwa miesiące marszu w pełną zimę. Niewątpliwie wielu pozostałoby w obozie, bo dla większości ten marsz okazał się bardzo ciężkim przejściem. W krótkim czasie po naszym wyjściu z obozu, Grossborn został zajęty przez wojska sowieckie i tym którzy zostali było już łatwo wrócić do swoich. Warszawy wprawdzie nie było, ale Polska jest długa i szeroka i dom by się znalazł skoro się doń tak tęskniło, że po raz wtóry ryzykowało się życie. Nasza trójka nie marnowała czasu. W prze-

dedniu wymarszu wylamaliśmy (już nie pamiętam czym) kilka desek z prycz i zrobiliśmy saneczki na bagaż. Żadnych innych przygotowań nie było, bo niby jakie?!

Pierwszy dzień marszu, 28 stycznia, był bardzo przykry. Kolumny jenieckie wymaszerowywały bez końca. Myśmy należeli do jednej z ostatnich i czekaliśmy w trójkach, stojąc w głębokim śniegu, przez parę godzin. Nadto, poza rekordowym marszem 30 km. dnia 13 lutego i 29 km. dnia 28 lutego, 25 km. zrobione pierwszego dnia ewakuacji dały się wszystkim we znaki. Nawet nam, z Armii Krajowej, stosunkowo zaprawionym do wysiłku fizycznego. Natomiast dla wielu oficerów z kampanii 1939 roku było to próba ponad siły. Paru padło na zawał serca, dziesiątki uszkodziło sobie nogi do tego stopnia, że Niemcy zdecydowali się dostarczyć podwozy dla niezdolnych do dalszego marszu, „Wolę tego okresu nie wspominać, siedłem przez te dwa miesiące jak na szczudłach”, mówił mi por. Napoleon Kosiński z kampanii 1939 roku. Grzęzło się w śniegu, wiatr bił w twarz a w oczach robiło się czarno choć dzień był słoneczny. Wreszcie, późnym wieczorem, zakwaterowano nas w olbrzymiej, murowanej stodole stojącej na skraju Tempelburga. Fakt że się było w uśpionym miasteczku, poza drutami i praktycznie bez straży, nie miał najmniejszego znaczenia. Zapadliśmy w słomę, zasnęliśmy pomimo zimna w jednej chwili. Następnego dnia nie mogłem się ruszyć. Pierwsze kilka kroków było rzeczywiście jak na szczudłach.

W ciągu dziesięciu dni doszliśmy do przedmieść Szczecina. Dotychczas, dzień w dzień, brnęliśmy w śniegu, prowadzono nas jakimiś bocznymi drogami i nasza kolumna AK szła niemal sama. Gros ewakuacji, około 5.000 oficerów z kampanii wrześniowej, prowadzono najwidoczniej innymi szosami. Nawet na nocnych postojach nie spotykaliśmy innych oddziałów. 7 lutego było zimno i marsz się przeciągał. Popołudniu szliśmy już jakąś szerszą szosą i widać było zabudowania. Przyglądanie się domom bardzo urozmaicało długie godziny gdy zmęczone, jeżeli nie spuchnięte stopy i kolana, dopiekają nieustannie. Najwyraźniej zbliżaliśmy się do Szczecina. Zanim jednak zabudowania miejskie zaczęły się zagęszczać, skręcamy na południe i wreszcie kolumna wmaszerowuje na teren jakiejś fabryki. Zamknęły się za nami wysokie, stalowe, ciężkie wrota wytwórni sztucznego jedwabiu w Sydowsane. Od razu rozchodzi się plotka że właściwie jest to fabryka materiałów wybuchowych i że możemy być celem nalotów alianckich nie mówiąc o tym że możemy wylecieć w powietrze jeżeli jakieś materiały są nadal zamagazynowane w obrębie wytwórni. Wytwarza to pewną atmosferę podniecenia, pewien nastrój który

pozwała zapomnieć o kłopotach fizycznych, kulinarnych i higienicznych. Zaczynamy inspekcję, zwiad; okazuje się że budynki są puste, sterczą tylko betonowe fundamenty po zdemontowanych maszynach, jakieś dźwigi parę zbiorników. Stwierdzamy że są nas tu tysiące. Ile kolumn jenieckich skierowano tu w ciągu 24-ech godzin jest trudno nawet ocenić. Po salach i korytarzach widać pełno zielonych mundurów: właściwie sami wrześniowcy którzy, na postojach, natychmiast się zagospodarowywali i jakby wrastali w miejsce kwatery. Towarzystwo z Armii Krajowej jest za to barwne i ruchliwe. Mimo że jest tu nas tylko garstka — coś około trzystu ludzi — wszędzie nas pełno. Naszej trójki nie brak wśród łożików. W ciągu godziny natykam się na kuchynia, wrześniowca. Jest jakby cięższy, powolniejszy, niż ten którego pamiętałem; jego długi płaszcz oficerski z 1939 roku wydaje się dziwny. Witamy się serdecznie, wymieniamy wiadomości i ustalamy że spotykać się będziemy na przyszłych postojach. Pomyśleć aż dziwnie, że tu, w Szczecinie, spotykam Bolka (inż. Bolesław Janiszewski) do którego wysyłałiśmy paczki do niewoli a z którym teraz dzielę los jeniecki po przegranej bitwie. Zanotowujemy w pamięci że Bolek pali fajkę czyli, że ma tytoń. Przypominam sobie że jego brat Tadeusz mieszka od lat w Stanach Zjednoczonych i wyciągamy wniosek że tytoń jest niewątpliwie z braterskich paczek z Ameryki. Tym lepiej. *Nota-bene* ten tytoń i fajka Bolka spowodowały że zostaliśmy adeptami nauk polityczno-społecznych. Okazało się bowiem, jeszcze w Szczecinie, że Bolek nie jest sam, że należy do grupy trzech oficerów, którzy dwa lata wcześniej założyli związek DZWON to jest Doradźny Związek Odrodzenia Narodowego. Celem związku było propagowanie konceptu opinii publicznej i, przede wszystkim, tworzenie tej opinii. Kluby związku miały spełnić to zadanie, nie sięgać po władzę, i wreszcie przestać istnieć w odrodzonym społeczeństwie. Symboliczna nazwa Dzwon była jakby wytyczną działania i środkiem do obudzenia myśli społecznej w szerokich masach obywateli Rzeczypospolitej. Pojęcie opinii publicznej jako poważnego elementu polityki, było dla nas kompletnie nowe. Nawet w Zachodniej Europie ten koncept stał się modny dopiero po 1945 roku gdy społeczeństwa zaczęły się na nowo organizować po rozbiu wojennym. Byliśmy z wielkim podziwem dla tej grupy „starych” zapaleńców którzy, odcięci od świata, potrafili opracować tak nowoczesną i tak zachodnią koncepcję. Przez ostatnie cztery lata, my, z dywersji Armii Krajowej, żyliśmy zwalczaniem koncepcji, nie tworzeniem nowych norm — stanowczo nie myśl polityczna była nam w głowie. Abstrakcja nie pasowała do okoliczności — za dużo wciąż się działo w około, szła dalsza walka

o byt. Może nie tak radykalna jak w czasach okupacji, ale wymagająca równie czujnej postawy. Poza tym, i to może jest najważniejsze, było się ciągle głodnawym. Fajka była dla nas dużo bardziej istotna w tych dniach niż polityka. I dostęp do fajki musiał się znaleźć. Znalazł się... przez politykę.

Indoktrynacja polityczna wyglądała mniej więcej w ten sposób: na postoju szliśmy tam gdzie obozował kapitan — prezes Dzwonu — i dwaj jego asystenci: Bolek i jakiś inny porucznik. Bolek nabijał fajkę, zapalał ją i na modłę indiańską, we czterech, po kolei, ciągnęliśmy. Tymczasem kapitan tłumaczył znaczenie i podstawy polityczne opinii publicznej, potrzebę zakładania klubów do propagowania tego konceptu i możliwości tej pracy po skończonej niewoli. Co jakiś czas kończył swój wywód retorycznym pytaniem „nieprawda panie Bolesławie?” by otrzymać niezmiennie brzmiącą odpowiedź „tak jest, panie kapitanie!”. Tymczasem od fajki kręciło nam się w głowach, zapominaliśmy o jedzeniu i nawet moc argumentów kapitana zaczynała do nas przemawiać. Następnego dnia rytuał się powtarzał. Czasem udawało nam się przesunąć do grupy kapitana w czasie marszu i popalić, gdy nawet nasi konwojenci mieli dość wszystkiego i nie zwracali na nas uwagi.

Wreszcie wszyscy z ulgą opuszczaliśmy Szczecin, bo pobyt w fabryce był bardzo kiepski. Nic do jedzenia, nie sposób wykraść się na miasto, legowiska na betonie. Wreszcie kolumny ruszyły i niedługo potem, nie bez wzruszenia przemaszerowaliśmy przez most na Odrze. Zaczął się długi marsz do Łaby. Wkrótce po wymarszu, spostrzegliśmy na końcu naszej kolumny Armii Krajowej, ośmiu starszych panów w szarych mundurach, z mnóstwem złotych odznak. Początkowo nie mogliśmy zgadnąć kto oni. Przesunąłem się w kolumnie do tyłu i zagadałem po niemiecku. Nie udało się, znali tylko kilka słów. Spróbowałem po francusku. To chwyciło. Okazało się że była to grupa włoskich generałów, którzy odmówili posłuszeństwa Mussoliniemu i zostali wywiezieni do Niemiec. Traktowano ich jako jeńców wojennych. Kilka razy mieliśmy okazję pomóc im w potrzebach obozowania i wymienić u Niemców kawę czy mydło na chleb. Z racji wieku i pozycji sami tego nie mogli zrobić zresztą po prostu nie umieli. Po tygodniu zniknęli z naszej kolumny. Zostali odesłani do szpitala wojskowego, bo zimowy marsz w północnych Niemczech okazał się za ciężki dla włoskich generałów — byli kompletnie wyczerpani.

Ten pierwszy dzień marszu po drugiej stronie Odry był znów bardzo przykry. Szliśmy bardzo długo, bo Niemcy chcieli jed-

nym rzutem jak najdalej odejść od miasta. Późnym wieczorem doszliśmy do jakiegoś majątku który z miejsca zrobił na nas nieprzyjemne wrażenie. Czekamy w trójszeregu bez końca podczas gdy nasz niemiecki komendant nie może przestać gadać z jakimś cywilem w bryczesach, chyba właścicielem majątku. Psy kręcą się po podwórzu i blask paru tylko latarni oświetla obejście i wrota potężnej stodoły. Czekanie się przedłuża. Wreszcie wpuszczają nas do tej właśnie stodoły — bez najmniejszej intencji wydzielenia choćby jakichś kartofli czy gorącej namiastki kawy, nic. Za to dostajemy, jak zawsze, surowy zakaz opuszczania budynku no i zakaz palenia. Z wszystkich dobrych „rad” niemieckich (które znaleźliśmy wkrótce na pamięć) tylko ta jedna, o niepaleniu na słomie, trafiła nam do przekonania. Ale koło wrót, można było dostrzec w ciemnościach ogniki bo przemęczeni ludzie, za tego papierosa po wysiłku marszu, szczególnie że na głodno, daliby nie wiadomo co.

Nasz niemiecki komendant, Herr Hauptmann von Leszczynski był oryginałem swego rodzaju. Jako że był komendantem oficerskiej grupy jeńców, podlegali mu oficerowie wszystkich stopni, nawet pułkownicy. Bardzo mu to imponowało. Czasem wdawał się z nami w „poufną” rozmowę, mówił o swoich kłopotach. Najwyraźniej byliśmy „jego” ludźmi a jego polskie nazwisko, choć czuł się Prusakiem, stanowiło punkt styczny w naszych stosunkach. Nieraz wspominał że pochodził z polskiej rodziny królewskiej. Istotnie Stanisław Rex mógł mieć zniemczonych krewniaków. Leszczynski był w ciągłym ruchu, widzieliśmy go rzadko. Jeździł po majątkach i załatwiał sprawy naszych postojów i naszej aprowizacji.

Wracając do owej pamiętnej nocy w stodole za Szczecinem, należy nadmienić że Niemcy i tym razem, jak zresztą z reguły, do stodoł nie zaglądali i raz wpuszczeni mieliśmy całkowitą swobodę ruchu. Nasza trójka przeważnie od razu zapadała w słomę. Tym razem gdzieś na szczycie stogu. Następnego dnia rano zaobserwowaliśmy że coś się dzieje w jednym z kątów klepiska. Zleźliśmy na dół. Okazało się że nasi dokopali się całej masy worków ziarna pszenicy i każdy brał ją garściami. Napełniliśmy i my nasze chlebaki i przez następne tygodnie żyliśmy tym ziarnem. Niewątpliwie junkier zapomniał, że miał worki w stodole, a co powiedział gdy wreszcie odkrył spustoszenie, wolę nie wiedzieć. Jedzenie surowej pszenicy wymagało pewnej techniki. Otóż jadło się ją jak następuje: wyjąć garść z chlebaka i potrzymać w dłoni aż ziarno się nieco ogrzeje. Potem, nie za dużo na raz, wsadzić do ust i czekać aż zmięknie. Pogryźć i połknąć. Zaletą jedzenia surowej pszenicy było to, że jadło się powoli. W ten

sposób czas mijał szybciej a żołądek napełniał się surową i łuszczyłą wprawdzie, ale pożywną papą. Na następnych postojach, jeszcze tylko raz udało nam się odświeżyć zapasy. W ten sposób mieliśmy ziarno aż do końca niewoli, nawet w niemieckim obozie docelowym. W barakach jednak mieliśmy luksus w postaci młynka do kawy i z kaszy w ten sposób otrzymywanej robiło się zupę. Historia się powtarzała: tę samą technikę stosowali powstańcy i ludność Warszawy w ostatnich tygodniach oblężenia. Dzięki ziarnu z browarów mogli się obyć przez szereg tygodni bez innego zaopatrzenia.

Zucie ziarna odwróciło naszą uwagę od kartofli. Zazwyczaj mieliśmy po dwa czy trzy kartofle dziennie od Niemców. Ale były zawsze ledwie ciepłe. Po posiłku z kartofli było się ociężałym, raczej napchanym niż najedzonym. Dwa czy trzy razy udało nam się dojść do chlewu, gdy świny miały gorące kartofle z parnika. Gorące, mięciutkie ziemniaki! Niestety nie tak łatwo było trafić na świnki i ukraść im obiad. Ponadto nie warto było brać kartofli „na potem”. Zimne gotowane kartofle, noszone przez kilka dni, smakują fatalnie. Ale, ziarno podkradane Niemcom czy kartofle wydzielane przez konwojentów nie mogły zastąpić chleba. Ciągłe i wszędzie czatowaliśmy na sposobność zaopatrzenia się w chleb i inne produkty żywnościowe. W parę dni po opuszczeniu owej stodoły z ziarnem, postój wypadł w opuszczonej cegielni pod samym Neubrandenburgiem. Zanim zapadł zmrok, zdjąłem płaszcz wojskowy, wzięłem z plecaka cywilną czapkę i z otrzymaną (już nie pamiętam skąd) naszywką z literą P (oficjalna odznaka Polaków na robotach w Niemczech) wysunąłem się przez parterowe okno na szosę. Z zabudowań fabrycznych było zaledwie kilkaset metrów do pierwszych domów miasteczka. Chodziło teraz o to, by trafić do sklepów żywnościowych, żeby kupić chleba, wędlin i co się innego tylko da do jedzenia. Miałem pieniądze, ale wiedziałem że same pieniądze nie wystarczą. Nie miałem niezbędnych wówczas kartek żywnościowych i sztykowałem się na konieczność przekrzyknięcia sklepiarzy, by jednak nie wrócić z pustymi rękami do cegielni. Tymczasem, neubranderburscy Polacy czuwali. Od razu mną się zajęli rozpoznawszy na ulicy „nietutejszego”, dali mnóstwo kartek i wskazówki. Znalazłem wskazaną piekarnię i bez trudu dostałem dwa duże bochenki chleba. Niestety na wędliny i inne przysmaki było za późno. Wracąłem powoli. Z ciekawością rozglądałem się po czystym, schludnym mieście, niedotkniętym jeszcze zniszczeniami wojennymi, o prowincjonalnej, spokojnej atmosferze. Bez kłopotu wróciłem do cegielni, nie kryjąc się specjalnie ani przemykając. Co mogli mi zrobić? Ukarać że wracam?

Najłatwiejsze i najbardziej owocne były wyprawy żywnościowe przeprowadzane w dzień, w czasie krótkich postojów. Czasami kolumna jeniecka zatrzymywała się niedaleko wsi, w obrębie folwarku czy też koło jakiegoś miasteczka. Najłatwiej było wyskoczyć z kolumny by zahandlować z Niemcami: gdy najbliższy wartownik był zajęty łapaniem kogoś innego należało zniknąć za jakimś domem. Mieliliśmy w ręku towar bardzo pożądany przez lokalną ludność. Kawę, mydło i papierosy. Za puszczkę kawy w proszku dostawało się bochenek chleba i słoik melasy. Za mydło dawali słoik melasy albo kilka jajek. Kiełbasy nie można było dostać za żadną cenę: po prostu jej nie było. Cztery lata wojny dały się we znaki nawet spokojnej rolniczej prowincji. Papierosami z Niemcami się nie handlowało bo miały wysoką wartość na rynku jenieckim, a także nasza eskorta służyła wszelką usługą za papierosy. Kandydat na wyprawy żywnościowe musiał znać niemiecki z dwóch względów: żeby dostać właściwy towar i móc się potargować a poza tym by móc przekrzyczeć wartownika (wreszcie głośniej i więcej), jeżeli wpadło mu do głowy być służbistą. W zasadzie ryzyko wypraw nie było wysokie, bo nasza eskorta nie miała właściwie żadnych możliwości wzmocnienia dyscypliny wśród jeńców. Jednak zawsze istniała możliwość, że przez nieuwagę, lub handlowe zapamiętanie, natrafi się gdzieś w większej miejscowości na jakiegoś zakutego hitlerowca który, jeszcze nie zrozumiał że cały ich system właściwie leżał już w gruzach, i który mógłby podnieść alarm, że zbiegł jeniec. Miejscowe Gestapo od razu wmieszałoby się i w tym wypadku Wehrmacht palcem by nie kiwnął, by kogoś z nas dostać z powrotem. Wyprawy żywnościowe były potrzebne i miały dla nas podwójne znaczenie. Nie tylko zdobywaliśmy żywność by nie dać się wykończyć fizycznie. Musieliśmy też, instynktownie, utrzymać w sobie inicjatywę, nie dać się przygnieść. Dla nas z Armii Krajowej, mierzenie się z Niemcami było sensem życia i staraliśmy się też żyć szumnie w czasie tych dwóch miesięcy marszu. Jednak, w końcowej fazie ogólne wyczerpanie zaczęło się dawać we znaki. Było coraz trudniej o fantazję. Nadchodziło zubożenie.

Z początkiem marca, gdzieś na wysokości Berlina, przechodziliśmy przez lasy i odludzia i kwestia wyżywienia stała się bardziej piekącą. Pewnego ranka Herr Leszczyński dał do zrozumienia że będą wydzielone paczki Czerwonego Krzyża. Przyjęliśmy tę wiadomość jako dowód ostatecznego wyczerpania pomysłów naszego komendanta i jako próbę szantażu byle nas utrzymać w jakimś rygorze. Tymczasem jednak nadal funkcjonująca biurokracja niemiecka sprawiła, że dostaliśmy należne nam

paczki. Przydziały jenieckie ze Szwajcarii były sumiennie magazynowane i nasz obóz, choć w ruchu, został jakoś skontaktowany i samochodem ciężarowym doręczono nam paczki. Wydano je na jakieś polanie. Było coś około pół paczki na jeńca. Poza tym szczególnie i paru innymi oderwanymi fragmentami, właściwie nie pamiętam jak minął marzec. Nawet naszego załadowania na pociąg nad Łabą nie pamiętam. A przecież to było wtedy tak ważne, bo znaczyło, że ten marsz kiedyś się jednak skończy. Byliśmy w tym okresie w marnej skórze... Najgorsze były noce, słoma była bardzo kiepskim przykryciem, wszy gryzły, a wiatr wdzierał się między deski szop. Było zimno, ustawicznie zimno. W którąś z niedziel marca ruszyliśmy w drogę dopiero koło południa. To była pożądana zmiana w rutynie ewakuacji. Rano obudziłem się jak normalnie — zmarznięty i apatyczny. Nie sposób się było ruszyć. Jeszcze z początkiem marszu zadbało się o siebie mydłem i brzytwą przy studni. Zimno, ale dziarsko. Nie teraz, w marcu. Otóż w tę niedzielę nie ruszaliśmy się z dołków wygrzebanych w słomie i drzemaliśmy. Wreszcie otworzyłem oczy przytomniej i otrzeźwiałem od razu. Przy rozwalonym wozie drabiniastym nasz kapelan, ojciec Biblia, w ornacie, odprawiał mszę. Bez patosu, bez ceremoniału — wśród współjeńców, ofiarowywał Bogu — Jego a nam swój przykład.

29 marca nastąpiło załadowanie na pociąg i następnego dnia wyładowano nas w Bremenvorde, niedaleko od Bremen. Wyładujemy z pociągu w lepszej kondycji. Rozglądamy się po okolicy: teren płaski, podmokły, wydaje się bezkresny. Śniegu nie ma ale zieleni też nie, krajobraz jest szary i bez wyrazu. Kolumny mijają wkrótce nieliczne domy przedmieścia i maszerujemy dłuższy czas boczną szosą wśród rzadkiego lasu z dość gęstym, dzikim podszyciem i wreszcie wychodzimy na otwartą przestrzeń jakichś nieużytków. Przypomina się poligon Bergen-Belzen. Marsz się nieznacznie przedłuża i z ulgą widzimy wreszcie wieże strażnicze dalekiego obozu, do którego mamy jednak jeszcze parę kilometrów. Wreszcie wkraczamy w obręb drutów, bez entuzjazmu mimo wszystko. Tym razem nasze kwatery nie były nowe. Wręcz przeciwnie. Obóz Sandbostel miał wyłącznie stare baraki, z których część, nad wyraz zapuszczoną, nam przydzielono. W obozie była istna wieża Babel. Można było spotkać jeńców wszystkich narodowości. W kilka dni odnaleźliśmy sporą grupę AK, która narzydowała tu od początku niewoli. *Piwnicki* odnalazł trzech braci którzy bardzo nam trzem ułatwili ponowną aklimatyzację w obozie jenieckim. Dostosowanie się do podłych warunków obozu Sandbostel było trudne a nie wiedząc jak bardzo blisko byliśmy zakończenia wojny, niezbyt filozoficznie podcho-

dziliśmy do kłopotów związanymi z higieną i zaopatrzeniem. Jedzenia było mało i było fatalne, spało się na gołych deskach, wszy i pchły dosłownie tańczyły po nas wszystkich i jedyną pociechą były zapasy zboża z którego robiliśmy beczenną pluj-zupkę. Przyszłość nie zapowiadała się nadzwyczajnie: bałagan w obozie był niesamowity, o tym by jakieś paczki dostać nawet nie marzyliśmy. Powinniśmy się byli spostrzec, że Niemcy już nie panowali nad sytuacją. Nie wiedzieliśmy że stosunkowo niedaleko, o mniej niż sto kilometrów, teren był zajęty przez aliantów! Tymczasem jednak, w dziesięć dni po naszym przybyciu, Niemcy ogłosili ewakuację 500 ludzi z AK do Lubeki. Nasza trójka postanawia nie iść i nie szukać dalszych przygód, szczególnie że każdy z nas miał w obozie kogoś z rodziny. Ci co zdecydowali się pójść mieli widać w pamięci ten szerszy oddech północnych nizin, który był naszym udziałem w marszu znad granicy Polski aż do Łaby — 578 km. przez płaski i szeroki kraj. Z drugiej strony atmosfera Sandbostel nie była pociągająca. Ten ich marsz to osobna historia. Uczestnik tego transportu, por. Stefan Mączyński wspomina: „Eskortowało nas SS. Na lewym brzegu szerokiej w swym dolnym biegu Łaby załadowali nas na płytke barki. Mieliliśmy przepłynąć rzekę bez eskorty. Sprawa była wysoce podejrzana i napięcie szalone. Odcumowano nas. W ostatniej chwili nadjeżdża amerykańska sanitarka z międzynarodowej komisji Czerwonego Krzyża z Lubeki. Następuje gwałtowna rozmowa. SS-manni ładują się na nasze barki. Rzecz jasna że chcieli nas potopić”.

Wymarsz 500 ludzi do Lubeki zwolnił cały rząd baraków. Pośpiesznie opróżniono z jeńców jeszcze jeden blok budynków i w ten sposób w jeden dzień Niemcy stworzyli rodzaj podobozu który otoczono drutem kolczastym gęsto rozpiętym między trzymetrowymi słupami, co kilka metrów wkopanymi w ziemię. Następnego dnia SS spędziło tam olbrzymią grupę chodzących szkieletów w pasiakach. Był to jakiś oddział, któregoś z obozów koncentracyjnych, normalnie zatrudniony w Hamburgu a wobec zbliżającej się kapitulacji odesłany, by nie mieć w wielkim mieście elementu ryzyka i kompromitacji.

Widok tych nędzarzy był straszny. Czasami mogliśmy rzucić im przez druty kawałek chleba czy brukwi. Niestety za każdym razem chyba tuzin ludzi rzucał się na ten kawałek nieprzytomnie i dziko. To było straszne, bo tratowali się nawzajem. Wprost nie wiedzieliśmy czy dalej pomagać czy przestać, bo tylko im się tym szkodziło. Jednej nocy przemycano przez druty dwóch czy trzech żołnierzy AK, których Niemcy wsadzili do obozu koncentracyjnego zanim zmuszeni warunkami kapitulacji Warszawy przyznali nam prawa kombatantów i traktowanie jako jeńców wojen-

nych. Wtedy dowiedzieliśmy się, że komenderówka pochodziła z obozu Stuthoff pod Gdańskiem. Byli ewakuowani drogą morską aż do Hamburga, następnie w nieludzkim tempie przyniesieni do Sandbostel. Jakże straszną mogłaby być ironia losu. Mój ojciec mógł być wśród nich, czego nie mogłem się nawet domyślać. Został wywieziony z Pawiaka w maju 1944, jako pierwszy transport z Warszawy, do tego właśnie obozu. Nazwa Stuthoff była nam zupełnie obca. Następnego dnia po uwolnieniu, podobóz więźniów został odosobniony przez Anglików, oświetlony dzień i noc, i stworzono specjalne ekipy sanitarne by uratować tych, którzy jeszcze mogli być uratowani.

Wreszcie przyszedł dzień wolności. Już 27 kwietnia było słychać dalekie strzały, nawet parę pocisków artyleryjskich spadło na obóz. Ostrzał nie nowina: byliśmy na dachach baraków wypatrując ruch w okolicach obozu. 28 kwietnia Niemcy opuścili wieże wartownicze. Przez druty widać wreszcie było posuwającą się tyralierę piechoty angielskiej.

Skończyła się niewola. Zaczął się nieprzytomny okres powrotu do świata ludzi stanowiących o sobie. Do pewnego stopnia przynajmniej. Anglików i Francuzów zabrano samolotami w ciągu paru dni. My, Polacy, musieliśmy sami znaleźć dla siebie miejsce w powojennym chaosie.

Wojciech ROSTAFIŃSKI

Michał BORWICZ

TRZYDZIEŚCI LAT TEMU: ZE WSPOMNIEN „LEKKIEGO KALIBRU”

Koniec okupacji hitlerowskiej w Polsce — w styczniu 1945 — zastał mnie w Miechowskim, gdzie od jesieni 1943 pełniłem funkcję powiatowego komendanta Oddziałów Wojskowych i Oddziałów Bojowych P.P.S. Do rodzinnego Krakowa wróciłem wskutek tego z nalepką W.R.N.-owca, wpłatanego zarówno w losy naszych byłych żołnierzy, jak i w perypetie bieżących rozłamów w P.P.S. W tej nowej sytuacji miałem więc do wyboru między dwoma możliwościami: albo „nawrócić się”, przyjmując takie lub inne proponowane mi zrazu wyższe stanowisko polityczne z ramienia tzw. „koncesjonowanej” P.P.S., albo zainteresować Bezpiekę moją

skromną osobą w tempie gwałtownie przyspieszonym i na dobre. Wybrałem trzecią możliwość: kierownictwo Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej. Sam ją stworzyłem w charakterze powstałej dużo wcześniej — gdyż już w Lublinie — filii Centrali, której teraz zostałem wicedyrektorem. Ci z moich bardzo bliskich i bardzo serdecznych przyjaciół z P.P.S., którzy z miejsca poszli na pełną współpracę z nowym ustrojem i szybko stali się dygnitarzami, będą później, z pobłażliwym i porozumiewawczym uśmiechem, zarzucać mi z tej przyczyny rodzaj prywatnego bez mała machiavelizmu: „Komisja historyczna — dobrze. Dlaczego jednak akurat żydowska”. To „publiczne afiszowanie” mojej żydowskości nie dopuszczało bowiem odtąd nawet myśli o zaproponowaniu mnie na jakiekolwiek wyższe stanowisko polityczne. Z drugiej strony, ponieważ kierowana przeze mnie komisja rozwinęła z miejsca gorączkową i bardzo rozgałęzioną działalność, broniła mnie ona namacalnie od częstej wówczas (w podobnych do mojej konstelacjach) etykiety „wewnętrznego emigranta”.

W rzeczywistości żadnego wyrachowania z mojej strony nie było. Wyboru dokonałem spontanicznie, z głębokiego przekonania i poczucia takiego właśnie obowiązku. Na domiar z trzeźwo i wyraźnie określonym dla siebie programem; robić na tym polu możliwie najwięcej i najlepiej, ale również możliwie najszybciej, tzn. zanim okrzepnięcie odgórných nacisków i ucisków uniemożliwi uczciwą pracę w tej dziedzinie. Urzędu Bezpieczeństwa moja działalność wcale zresztą nie zmyliła. Wskazywały na to wezwania do wyjaśnień w tym Urzędzie i powtarzające się z nim incydenty: naprzód pozornie małe i raczej ogłędne, lecz z przestrokami, później coraz grubsze. Po upływie dwóch lat będę zmuszony opuścić Polskę *in extremis* i na stałe, w sytuacji spiętrzonego i bardzo doraźnego już zagrożenia. To już jednak inny rozdział, związany głównie z kolegami z W.R.N-u, nie z komisją. Do *ubłagonaždienija* tej ostatniej zabiorą się z rozmachem i impetem bezpośrednio po moim wyjeździe.

Prawdą jest wszelako, że moja posada, ważna i odpowiedzialna, lecz na całkowicie „bocznym” — jak się wydawało — torze, dała mi możliwość rozległej pracy i to w jak najbardziej odpowiadającej mi dziedzinie. Co więcej: już późnym latem 1945, czyli tuż po kapitulacji Niemiec, wyłoniła się nagle sposobność mego wyjazdu z delegacją na międzynarodowy zjazd żydowski, i to do samego Londynu. Obecnie wygląda to na drobniaczek. Ale wtedy? Po długich latach, w czasie których Londyn był legendarnym pępkiem wolnego świata a równocześnie w miesiącach gdy stanął on jeszcze najżywszy z politycznych symboli?

W dniu wyznaczonego odlotu z Warszawy nagłe uderzenie obuchem w głowę. W chwili gdy kierownik delegacji rozdawał uczestnikom otrzymane dla nich paszporty, akurat mojego brakowało. Celowa dyskryminacja z racji moich koneksji, czy tylko ślepy wynik biurokratycznej pomyłki, niedopatrzienia, bałaganu? Rozpętane przeze mnie interwencje przecież poskutkowały. Odle-

ciałem z Okęcia z dwu- czy trzydniowym opóźnieniem i osobno, ale odleciałem.

Do Londynu przybyłem późnym wieczorem. Rano, jeszcze przed udaniem się na czekające mnie posiedzenie, zadzwoniłem przede wszystkim do Adama Ciołkosza.

— Niemożliwe! — wykrzyknął, usłyszawszy mój głos w słuchawce.

Tego samego dnia, do hotelu gdzie zamieszkałem, pięciu przedwojennych przyjaciół nadciągnęło w zwartym szyku: Lidia i Adam Ciołkoszowie, dwie Krysie — Markówna i Munkówna oraz śp. Jerzy Cyrankiewicz. Od tego euforycznego, gdyż pierwszego z nimi, spotkania po całych pięciu — i to takich! — latach, zaczął się paralelny — by tak rzec — rozdział ówczesnych moich zajęć w angielskiej stolicy. Ten właśnie, któremu poświęcam niniejsze wspomnienie lekkiego kalibru.

Rozmowy rozmowami. Były takie, jakie w tych okolicznościach być musiały. Każdy poruszony temat wywoływał zatrzęsienie innych, z nieuchronnymi nawrotami. Ja bowiem jako „krajowiec” — przeskakiwałem mimo woli powiązania, które dla nich były mniej oczywiste, niż dla mnie. Każdy z nich zresztą robił to samo, ale od strony Londynu.

Gdy wyraziłem chęć zakupu kilku emigracyjnych pozycji literackich, Adam Ciołkosz zaprowadził mnie do polskiej księgarni. Moje wstępne odezwania się musiały być chyba mętne zdradzając głębię mojej ignorancji. By ułatwić mi wybór, sprzedawczyni zapytała usłużnie i rzeczowo: — Chodzi o książki bardzo popularne (czyli — powiedzmy — dla kompletnego niedouka), czy też... itd. — Ciołkosz, z własnej i nieprzymuszonej woli zaświadczył, że odnośny czytelnik jest umysłowo raczej rozwinięty. Przejornie zakupiłem głównie tomiki emigracyjnych poetów. Później niepoprawna intelektualistka Krzysia Marek orzekła, że muszę koniecznie nabyć kilka, jeśli nie książek, to bodaj książeczek o angielskiej demokracji, nie mówiąc już o podstawowych publikacjach dotyczących polskiej polityki. Poszła ze mną i z kompetencją wymieniła tytuły. Wybrałem znowu możliwie nie za grube. Ze względu na bagaż. Dalsze utwory dorzucały się w miarę spotkań z innymi przedwojennymi przyjaciółmi. Bardzo ucieszyłem się np. spotkaniem z Marianem Czuchnowskim. Ciężkie przeżycia lat wojny nie zmieniły ani jego wyglądu, ani jego wrodzonej werwy. Zachował dawny wdzięk i zapalczywość namiętnego monologu. Tyle, że z tą samą żarliwością z jaką przed wojną wyrzucał nam socjał — powiedzmy — „ugodowość”, teraz mnożył diatriby przeciw wszystkiemu co uważał choćby z bardzo daleka za sowieckie. Nie przestawał przy tym zalecać mi chronicznej i czujnej ostrożności tu, w Londynie. Powtarzał i wciąż podkreślał, że narażam się już samymi z nim spotkaniami. Ja, odwołując się delikatnie do różnicy naszych przedwojennych poglądów, starałem się łagodnie go przekonać, że nawraca nawró-

conego. Prosiłem go również, by nie martwił się rzekomym niebezpieczeństwem na jakie jakoby mnie naraża swoim towarzysztwem. Marian jednak z przyjacielską lojalnością obstawał przy swoim. Gdy zaprosiłem go na obiad uznał, że należy wybrać restaurację na jakimś dalekim krańcu Londynu, gdzie „łapsy” nie bywają. Ponieważ ja Londynu nie znałem, szliśmy razem przez miasto. Gdyby owe „łapsy” naprawdę mnie czy jego śledziły, zwiększało to ich szanse obserwacji. Nie muszę dodawać, że Marian ofiarował mi swoją nową książkę z płomienną dedykacją dla mnie osobiście i dla dawnych przyjaciół.

Od samego początku było rzeczą jasną, że Ciołkosz dostarczy mi najważniejsze — w moim mniemaniu — broszury emigracyjnego P.P.S. U Ciołkosza słowo jest słowem. Zaczął więc dostarczać mi je rychło i systematycznie. Z tą różnicą, że wśród tych rzekomo wyłącznie broszur, były również spore książki i — na dobitkę — aż dwa pełne i pakowne komplety emigracyjnego *Robotnika*. Z przyjaznym komentarzem, bym jeden komplet zachował dla siebie, drugi ofiarował towarzyszom. Wkrótce sterta emigracyjnych (i wyklętych w Polsce) wydawnictw dosięgła w moim pokoiku takich rozmiarów, że czekający mnie przemysł wydawał się przekraczający nawet nie całkiem zdrowy rozsądek.

Do książek i kompletów pism dołączył się inny kram: podarunki dla krewnych w Polsce: Gdybyż tylko od najbliższych przyjaciół! Do hotelu nadciągały jednak rzesze ludzi, niekiedy w ogóle mi nieznanych, lecz z nieodpartym argumentem, że oni również pochodzą z Krakowa. Albo, że właśnie w Krakowie znajduje się ich rodzina, której to rodzinie prosili przekazać... takie i inne wiadomości o sobie, jak również dary w postaci koszul, swetrów, obrusów czy bucików. Lub damskie pantofle z dokładną instrukcją, że po oderwaniu prawego (czy lewego) obcasa, adresatka znajdzie tam banknot studolarowy. Tłumaczyłem jak mogłem i umiałem, że ci ich krewniacy w Polsce na pewno nie są w nędzy. Albo, w związku z tym banknotem, ponieważ znałem tę, raczej zamożną, rodzinę w Krakowie, przysięgałem że pieniądze na pewno przydadzą się więcej zostającej na emigracji ofiarodawczyni niż jej bliskim w Krakowie. Na próżno jednak, w ten sposób chciano zamanifestować swoją miłość i tęsknotę!

Tymczasem członkowie delegacji, do której należałem, uzyskali prawo powrotu do Polski via Paryż, z możliwością zatrzymania się w tym mieście. Gdy przyszło mi się pakować, stanąłem przed kwadraturą koła: takich nadmiarów żadne moje walizy nie pomieszczą. Adam Ciołkosz i Krystyna Marek, którym zwierzyłem się bezradny, przyjrzeni się z powagą i rozważą. Po głębokim namyśle orzekli jednak, że sposób istnieje i że nawet sami go dostarczą. Dostarczyli też w istocie: w postaci bardzo solidnego i ogromnego worka.

Na lotnisku w Londynie wojskowi (pełniący tam jeszcze funkcje personelu) spojrzeli na mój bagaż z mieszaniną zdumienia i zgorszenia. Walizki walizkami, ale ten wór!

— Z tym do samolotu?!

Odpowiedziałem smętnym pokiwaniem głową i — przez przydzielonego nam tłumacza — urywanymi półzdaniami:

— Tak, rozumiem. Nie mam jednak innej możliwości.

Tłumacz dorzucił ze swej strony kilka słów, wyrażających — jak się zdawało — politowanie na mój temat.

Machnęli w końcu ręką i przepuścili. (Lotnictwo cywilne nie było jeszcze całkiem cywilne. Sprawa dopuszczalnej wagi bagażu zależała więc prawdopodobnie jeszcze od osądu kontrolerów, mogących brać pod uwagę również „okoliczności łagodzące”).

Z końcem mego pobytu w Paryżu, bliźniczo podobna scena powtórzyła się — tym razem bez tłumacza — na lotnisku francuskim. Tyle, że tutaj z racji po-okupacyjnego przetaczania się różnego typu do i re-patriantów, personel przywykł już prawdopodobnie do bagażowych fantazji i ekscesów. Przepuścili.

Prawdziwe przerażenie napadło mnie w samolocie: na samą myśl, że za kilka już godzin mam z tym wszystkim wylądować w Warszawie. „Oczyrna duszy” widziałem U.B.-owca wyciągającego z rosnącym zachwytem jeden eksponat po drugim oraz łatwe do przewidzenia wyniki jego satysfakcji. (W tamtym, wstępnym okresie nowej władzy jej strażnicy prześcigali się w zacieklej stachanowszczyźnie, niebezpieczniejszej od nabytej później rutyny).

Moim sąsiadem w samolocie okazał się — nazwiska nie pamiętam — „minister pełnomocny”. Wracał do Warszawy z misji zagranicznej czy placówki. Związana między nami rozmowa była zrazu grzeczna i nijaka. Zainteresował się jednak moim udziałem w pracach historycznych; bardziej jeszcze szczegółem, że w Londynie zeznawałem — w danym wypadku jako świadek — przed amerykańską komisją, przygotowującą materiały do procesów przeciwko hitlerowskim zbrodniarzom wojennym. Dosyć, że w trakcie rozmowy wymieniliśmy, raczej z grzeczności, nasze adresy w Polsce. W momencie lądowania na Okęciu byliśmy już na stopie efemerycznie okolicznościowej serdeczności.

Po wyjściu z samolotu moment krzyżowy: wylądowanie hurtem walizek z luku. Każdy z pasażerów odszukał i oddzielił swoje do mającej nastąpić odprawy celnej. Opętany myślą o tym worze, umieściłem swój bagaż tuż obok licznych walizek „pełnomocnego ministra” i to w taki sposób, że właśnie ten złowroźny wór znajdował się na pograniczu, raczej bliżej jego niż mego bagażu. Ponieważ pan minister rozglądał się za mającym go oczekiwać autem, wziąłem pana ministra familiarnie pod ramię, kontynuując z biciem serca możliwie żywą rozmowę. Oczekiwane przez niego auto przybyło. W chwili gdy pan minister pokazywał swój dyplomatyczny paszport, zwalniający jego bagaż od kontroli, wskazałem nadbiegłemu usłużnie szoferowi walizki pełnomocnego ministra, pomagając nawet trochę w załadunku ich do bagażnika samochodu. A przede wszystkim również i mego worka.

Później obserwowałem z uwagą jak jego samochód z nim, jego walizkami i moim worem opuszczał lotnisko. Uf!

Podczas kontroli bagażu celnicy w wojskowych mundurach (czyli ubowcy w roli celników) pytali przede i nade wszystko o książki i zagraniczną prasę. Byłem chyba jedynym pasażerem, który nie posiadał nawet zwykłej gazety.

Później, w mieście, odszukanie pełnomocnego ministra, wytłumaczenie „nieporozumienia” i odzyskanie „zabłąkanego” worka było już tylko zwykłą formalnością.

W Warszawie inny wysoki dygnitarz, a mój osobisty serdeczny przyjaciel, zerknąwszy z udaną nieuwagą na mój bagaż, rzucił, niby mimochodem z pobłażliwą ironią:

— A mnie nic nie dasz przeczytać?

Udając, że nie wiem o co chodzi, czułem wyraźnie, że to ja się w tej chwili wygłupiam: zbyt dobrze znaliśmy się wzajemnie, by rozumieć się bez komentarzy.

— Nie potrzebuję zresztą — przerwał z kpiącym uśmiechem — ja mam swoje źródła.

Roznoszenie i doręczanie w Krakowie powierzonych mi podarunków i *message'y* odbyło się bez poważniejszych incydentów. Z bardzo zabawnym wszelako (w ówczesnej sytuacji) i bardzo przypadkowym dodatkiem w charakterze pointy. Będąc mianowicie w Anglii, rozpytywałem przyjaciół m.in. o Jana Bielatowicza, mego kolegę ze studiów i politycznego przeciwnika. Nie było go w Londynie. Zakupiłem jednak opracowaną przez niego antologię poezji. Ponieważ po moim powrocie od spotkanej w Krakowie jego żony Ireny (również mojej koleżanki z przedwojennej polonistyki) dowiedziałem się, że nie posiada jeszcze tej książki swego męża, uznałem oczywiście, że trzeba jej podarować mój egzemplarz. Umówiliśmy się, że wstąpi do mnie, by go odebrać. Wstąpiła. Oglądając wręczoną jej antologię filuternie i z porozumiewawczym uśmiechem zapytała:

— Przewieziona w walizie dyplomatycznej?

Odpowiedziałem wymijająco. W tej samej niemal chwili u drzwi rozległ się dzwonek. Okazało się, że przyjechawszy nagle do Krakowa, przyszedł do mnie niespodzianie Zygmunt Zaremba, pracujący wciąż w konspiracji razem z Marianem Bombą. Cóż mi zostało innego, jak przeprosić p. Irenę i usadowić ją z Marianem Bombą w jednym kącie pokoju, zaś w drugim prowadzić z Zygmuntem Zarembą rozmowę niemal szeptem? Nie wiem o czym z Ireną mówił Marian, przywykły raczej do wysadzania hitlerowskich *Arbeitsamt'ów* i do innych ataków z bronią w rękę niż do okolicznościowo grzecznościowych pogawędek o deszczu i pogodzie. Za to gdy ja skończyłem już moje szepty i mogłem wrócić do obowiązków gospodarza, Zygmunt Zaremba — *causeur* doskonały z wrodzonym mu wdziękiem i podkręcając węsą, wdał się od razu w rozmowę z p. Ireną. Na domiar z prowokacyjnymi zagraniami, które tak ogromnie lubił. Z miejsca, i na pewno świa-

domie, zagadnął ją tak, aby musiała powiedzieć coś o „władzach”, dając mu pretekst do z góry przygotowanej poprawki:

— Chce pani oczywiście powiedzieć: sowiecki okupant.

I dalej czarował bez przerwy, modelując na różne tony, wypowiedzi przeciw temuż okupantowi i jego „sługusom”.

Nie przerywając mu, myślałem z zażenowaniem o tych jego „zagraniach” i o reakcji jego, Bogu ducha winnej, rozmówczynie. Widział ją przecież pierwszy raz w życiu i nie mógł wiedzieć do kogo mówi. A gdyby tak się złożyło, że byłaby to przysięgła komunista? Pani Irena ze swej strony mogła uważać te wysoki nieznanego jej zupełnie, przypadkowego rozmówcy za grubą prowokację. Odpowiadała więc jak najrzadziej i wyłącznie neutralnymi półsłówkami. Po wyjściu Zaremby z Bombą na odmianę lękałem się jej pytania kim właściwie byli ci dwaj panowie. Nie mogłem przecież dekonspirować Zaremby, ani też wymienić z nazwiska dopiero co uwolnionego z więzienia i mieszkającego w Krakowie Mariana Bomby. Na szczęście, zrozumiawszy chyba nieznanie jej sprężynki incydentu, sama nakazała sobie dyskrecję i choć cały przebieg rozmowy musiał ją mocno zdziwić, nie zadała żadnego pytania. Wiele lat później, już za granicą, spotkałem się z nią i jej śp. mężem i dowiedziałem się, że w istocie nie miała pojęcia z kim wtedy rozmawiała.

Napomknąłem, że chodzi mi o wspomnienie „lekkiego kalibru”. Pisząc je zastanawiam się jednak mimo woli, jak dalece zyskałby ten kaliber na ciężarze, gdyby czysty przypadek nie sprawił, że moim sąsiadem w samolocie był ów pełnomocny minister.

Michał BORWICZ

W OBCYCH OCZACH

Pierre BILLOTTE

LE TEMPS DES ARMES*

Fragmenty

Niesamowite noce kowieńskie

Dalecy od tego by osiągnąć Moskwę za jednym zamachem, zatrzymaliśmy się w Kownie. Kazano nam wsiąść do wozu więziennego, z którego nie mogliśmy widzieć miasta; opuściliśmy tę „trumnę” dopiero w obrębie więzienia państwowego, o wiele większego — jak przystało — od poprzednich. Powiedzieć, że nie byliśmy głęboko rozczarowani, byłoby wierutnym kłamstwem; w stolicy tego zamożnego kraju bałtyckiego istniały zapewne inne schronienia niż więzienie. Ku zdziwieniu naszych gospodarzy daliśmy dobitnie wyraz naszemu rozczarowaniu i naszemu oburzeniu, co jednak w niczym nie zmieniło stanu rzeczy.

Spędziliśmy więc dwadzieścia cztery godziny w małej izdebce, ułożeni na gołej ziemi, przytuleni do siebie, próbując ogrzać się. Spanie na podłodze nie jest rzeczą godną zalecenia; jeśli jeszcze natura obdarzyła kogoś szerokimi ramionami, nie można położyć się na boku nie ryzykując gwałtownych bólów mięśniowych. Zdobyłem wówczas to bolesne doświadczenie, mniej jednak dotkliwe od procedury dostania się za kratki, która była dla mnie zupełną nowością a której poddano nas nazajutrz rano. Wywołano mnie pierwszego i samego do sąsiedniej izby, gdzie przesłuchano jeszcze raz w celu stwierdzenia mej tożsamości; przeprowadzono szczegółową rewizję; odebrano mi wszystkie przedmioty osobiste; w końcu przeprowadzono mnie, nadal samego, przez cały labirynt korytarzy, surowo zamkniętych na końcach kratami i strzeżonych pilnie przez uzbrojonych wartowników, aż do przydzielonej mi celi. Daremnie dopominałem się o moich dwu

* Pierre Billotte, *Le temps des armes*. Paris, 1972, Plon.

towarzyszy; wepchnięto mnie brutalnie za ciężkie drzwi. Sytuacja, w jakiej się znalazłem, nie wyglądała pomyślnie.

Cela była niewielkich rozmiarów i bardzo źle oświetlona małym okienkiem umieszczonym pod sufitem. Był w niej — szczyt komfortu — trzy prycze. Wkrótce dowiedziałem się że była to cela przeznaczona dla ważnych osobistości; coś za zaszczyt dla mnie, który byłbym się zadowolił obecnością moich dwu towarzyszy ucieczki. Wtedy dopiero spostrzegłem, w głębi celi, przytulonych jeden do drugiego i przerażonych, trzech ludzi w więziennych ubraniach, z ogolonymi głowami, wychudłych do skóry i kości. Patrzyli na mnie jakby oczarowani jakimś diabelskim zjawiskiem.

Po kilku chwilach milczenia uznałem za stosowne przedstawić się i dać do zrozumienia że nie jestem ani diabłem ani prowokatorem wsadzonym do celi dla wyłudzenia zeznań, ale oficerem francuskim. Skierowałem do nich kilka słów po polsku, potem przeszedłem na niemiecki, z kolei na angielski a wreszcie na mój język ojczysty. W miarę moich wysiłków wielojęzycznych zdumienie dwu z tej trójki zdawało się rosnąć. Odnosiłem wrażenie, że rozumieli mnie w każdym języku, którym próbowałem się wyśłowić!

Gdy wydawało im się, że skończyłem, najniższy wzrostem i najbardziej wychudzony, zbliżył się do mnie, podał rękę i w doskonałej francuszczyźnie powiedział: „Jest pan oficerem francuskim, witam więc pana w moim kraju i w tym naszym ubogim domu. Nazywam się Woldemaras; zanim się znalazłem tutaj byłem premierem”, a wskazując na swych dwu towarzyszy dodał: „Oto p. Inderszunas, były przewodniczący Izby Poselskiej i były minister skarbu, a tu — co jest jeszcze większym paradoksem — były naczelny dyrektor policji”. Woldemaras, gdyby nie jego skromność, mógł być jeszcze dorzucić, że był, jako minister spraw zagranicznych swego kraju, również przewodniczącym Walnego Zgromadzenia Ligi Narodów a także jedną z najwybitniejszych postaci życia międzynarodowego między dwoma wojnami. Gdy pierwsze chwile podniecenia minęły, wspomniałem mu o tym; był mile dotknięty i z miejsca nawiązała się między nami nić sympatii. To że w więzieniu w Kownie znalazłem się razem z byłym premierem i byłym przewodniczącym parlamentu, gdy przedtem ocierałem się w Taurogach o mordercę, nie wydało mi się bynajmniej takie dziwne.

Tak oto rozpoczęły się tygodnie, które zaliczam do najniesamowitszych w moim życiu.

Przede wszystkim samo to spotkanie wydało mi się z miejsca czymś pomyślnym. Ci wybitni Litwini mogli nauczyć mnie niejednego i przekazać w części własne doświadczenia z Sowietami, o wiele szersze od moich własnych. Przynosiłem im w zamian wieści ze świata, oddech wolności, nieugięty optymizm i cenne informacje o Niemczech i o przebiegu wojny. Przez cały czas naszego wspólnego pobytu w celi okazywali wielką sympat-

cię dla Francji, dając mi jednak do zrozumienia, że oczekiwali pomocy tylko ze strony Niemiec. Zachód był już poza ich zasięgiem. Niktę były widoki byśmy mogli dojść do wspólnych wniosków na temat szczęśliwego obrotu wypadków — a mimo to nasze rozmowy miały zawsze przyjacielski charakter.

Niezmiennie przychylnie stanowisko wobec Helsinek zajmowane przez państwa bałtyckie w czasie wojny fińskiej posłużyło Moskwie za pretekst do rzucenia Czerwonej Armii na te pokojowo usposobione kraje — bez ostrzeżenia zostały zajęte, zanim zdołały pojąć co je spotyka. Oczywiście członkowie plutokratycznych i antyrewolucyjnych rządów w Kownie, Rydze i Tallinie znaleźli się w pierwszej kolejności w więzieniach i zostali poddani szczegółowym przesłuchaniom. W toku śledztwa dowiedzieli się o niezliczonych przestępstwach, których — rzecz prosta — nie popełnili ale do których musieli się przyznać aby usprawiedliwić interwencyjną politykę sowiecką. Oczywiście protestowali przez dłuższy czas ale po niezliczonych bezsensownych nocach, wyczerpani moralnie i nerwowo, przyznali się do wszystkiego czego od nich żądano. Nastąpił potem dłuższy okres wytchnienia ale od kilku dni prowadzący śledztwo przeszli do drugiej fazy przesłuchań. Skoro przyznali się do popełnienia przestępstw, domagać się zaczęto z naciskiem wskazania współników szeroko rozgałęzionego spisku przeciw Związkowi Sowieckiemu uknute — wedle NKWD — z pomocą Niemiec. Ta druga faza śledztwa wydawała się moim towarzyszom z celi o wiele bardziej niebezpieczna od pierwszej; byli zaplątani w intrygę, której końca nie było widać. Znając metody Czeki i stalinowskiego GPU, stosowane podczas procesów trockistowskich, stracili właściwie wszelką nadzieję.

Starąłem się ich pocieszać, jakkolwiek sam nie miałem złudzeń. Rozważaliśmy wspólnie moją sprawę i moi Litwini dali mi do zrozumienia bez ogródek, że nie uważali jej za lepszą od ich własnej. Z punktu widzenia Sowietów popełniłem niewątpliwie ciężkie przewinienie, przechodząc na teren poddany ich władzy w sposób tak nieformalny. Policjantów sowieckich cechowała niemal wrodzona podejrzliwość. Graniczyła z obsesją: dopatrywali się szpiegów wszędzie. Powoływałem się na podpis Litwinowa pod układami genewskimi z 1932 roku, ale chyba nic bardziej nie mogło pobudzić ich do śmiechu. Tak samo bowiem jak lewica nie powinna wiedzieć co czyni prawica, tak i NKWD nie ma pojęcia o tym, co może robić za granicą, kierując się oportunizmem (dla korzyści międzynarodowych), NKID (*Narodnyj Komisariat Innostrannyh Diet*), a jeśli przypadkiem dowie się o tym, strzeże się jak ognia wyciągania z tej znajomości jakichś wniosków.

„Ależ” — odpowiadałem — „na podstawie przebiegu moich przesłuchań w Virbalis i w Taurogach przewiduję, że zostaną odstawiony do Moskwy a potem przekazany ambasadzie Wielkiej Brytanii”. Nowe uśmieszki: „Rosjanin jest z natury dobrotliwy;

gdy powzięcie jakiegś istotnej decyzji nie od niego zależy i gdy jest tylko kółkiem olbrzymiej maszyny administracyjnej, nieskończenie skomplikowanej, nie widzi powodu niepokojenia rozmówcy". Zgodnie z tym przesłuchania w Virbalis i w Taurogach miały za zadanie uspokojenie nas i nie miały żadnego znaczenia. To dopiero teraz poczuję prawdziwą rzeczywistość. Byłoby istnym cudem gdybym uniknął losu niewątpliwie niesprawiedliwego ale nie bardziej niesprawiedliwego od tego, który był udziałem tysięcy niewinnych ofiar Stalina. NKWD nie wypuszcza nigdy z łap swych ofiar i jak daleko sięga pamięć ludzka nie znany jest odmienny wypadek.

Wszystko to wystarczało, by dreszcze przebiegły po plecach ale mimo braku doświadczenia uznałem, że trzeba wierzyć moim Litwinom tylko połowicznie. Ich nienawiść do Sowietów miała pewne uzasadnienie a ich zaufanie do Trzeciej Rzeszy, raczej mniej uzasadnione, z konieczności wpływało ujemnie na ich sądy. O dwudziestej pierwszej gaszono światła, co powitałem jako przerwanie w porę dyskusji nie prowadzącej do niczego. O dwudziestej drugiej, gdy tylko usnąłem, otworzyły się drzwi. Wywołano mnie, niewątpliwie na przesłuchanie, nalegając bym się śpieszył. Woldemaras, zgodnie z obrządkiem, życzy mi powodzenia; oczywiście żaden z nas nie wierzy w skuteczność tych życzeń, gdyż w łapach NKWD nie może być mowy o powodzeniu a tylko o złym losie.

Od uzbrojonego strażnika do uzbrojonego strażnika, od kraty do kraty, od korytarza do korytarza, przechodzę w odwrotnym kierunku moją poranną drogę. Przybywam wkrótce do obszernej sali, w której ustawiono, niewątpliwie bardzo niedawno temu, liczne przepierzenia drewniane tworzące szereg małych gabinetów biurowych. Kazano mi usiąść, co dało początek kilkugodzinnemu czekaniu. Przesłuchującym nie było pilno w przeciwieństwie do strażników. Reakcja psychologiczna tych dwu kategorii wiernych współpracowników sprawiedliwości sowieckiej jest niewątpliwie różna. Strażnicy lubują się w okazywaniu swej władzy w sposób niemal fizyczny i popędzanie jest w ich pojęciu właściwym sposobem. Przesłuchujący uważają się za intelektualistów, za analityków, nawet za psychiatrów a zdenerwowanie i niepokój wywołane czekaniem służą ich zdaniem należytemu urobieniu oskarżonych.

Około drugiej nad ranem przyszła po mnie młoda brunetka: „Towarzysze czekają na was” — oświadczyła mi w zupełnie poprawnej francuszczyźnie. Była to tłumaczka. Ubrana była w czarne wysokie buty, w granatową spódniczkę i jasnoniebieską bluzkę z oznakami stopnia na naramiennikach; pomimo tego nazwałem ją z miejsca Czerwoną Dziewicą na pamiątkę nie wiem już jakiej przedwojennej powieści. Miała ona odegrać pewną rolę w naszej przygodzie.

Stałem przed trójką oficerów NKWD wyglądających raczej dobroniusznie. Po raz piąty czy szósty zapytano mnie *kak wasza*

familia i kazano mi opowiedzieć moją ucieczkę, co też oczywiście uczyniłem. Dowiedziałem się wówczas, że przekraczając granicę bez paszportu i wizy przekroczyłem art. 8 nie wiem już jakiego kodeksu; dowiedziałem się również, że jestem bohaterem francuskim i że przesłuchujący podziwiają mnie szczerze. Zapytano mnie wreszcie czy byłbym skłonny uczynić im zaszczyt zjedzenia z nimi kolacji? W dziesięć minut potem poże-
rałem doskonały posiłek w możliwie najweselszej atmosferze, przy czym Czerwona Dziewica spełniała — nie bez pewnego wdzięku — obowiązki pani domu.

Mój optymizm rośnie w sposób widoczny, mimo tego że moja prośba o umieszczenie mnie razem z Personem i Richemontem została grzecznie uchylona. „Nie może Pan być umieszczony gdzie indziej, jak tylko w celi przeznaczonej dla wybitnych osobistości, gdzie — jak to Pan miał sposobność stwierdzić — nie ma miejsca dla pańskich przyjaciół. Zresztą pojedziecie wkrótce, wszyscy trzech, do Moskwy!”.

Około czwartej nad ranem wracam do mojej celi w pogodnym nastroju. Woldemaras i Inderszunas oczekiwali z niepokojem mego powrotu; uspokajam ich, opowiadając przebieg tej nocy od czasu naszego rozstania. Nie ukrywają zdumienia a ja tryumfuję. O piątej kładę się spać. O piątej piętnaście jest pobudka i strażnicy przypominają mi, że nie wolno spać przed oficjalną godziną spoczynku nocnego tj. 21.30. Nabieram przekonania, że ci strażnicy stoją intelektualnie o wiele niżej od przesłuchujących mnie oficerów.

Dzień mija w nastroju zdecydowanie fałszywym. Moi współtowarzysze, pomimo zaniepokojenia, hamując się, uśmiechają się na widok szczęśliwych perspektyw, jakie zdają się otwierać przede mną. Mimo, iż mam ochotę śpiewać na całe gardło, wybieram postawę ostrożną i pełną rezerwy i daję im do zrozumienia, iż pamiętam dobrze ostrzeżenia z dnia poprzedniego. Wolę więc siedzieć cicho, co mi się też udaje; w ten sposób delektuję się lepiej przebiegiem przesłuchiwanego z ostatniej nocy i snuję projekty na przyszłość. Od czasu do czasu myślę jednak o trzech nieszczęśliwych Litwinach, z którymi dzielę celę i postanawiam sobie uczynić dla nich, co tylko będzie w mej mocy, gdy tylko znajdę się na wolności. Czyż zachowanie się oficerów NKWD nie było w zgodzie z Konwencją Genewską? Dlaczegożby więc rząd w Moskwie a zwłaszcza NKWD uświadomione dzięki moim staraniom o losie, jaki jest udziałem dawnego przewodniczącego Ligi Narodów, nie powziął decyzji ułaskawienia, by nie zrażać do siebie niepotrzebnie opinii międzynarodowej? W ten sposób spędzam dzień pełen złudzeń!

O 21.30 wygaszenie świateł. O 22.00, nic. O 23.00, nic. O 24.00 drzwi się otwierają. Nareszcie! Wywołują mnie; wszystko szybko, szybko, bo przesłuchujący czekają na mnie. Spieszę się więc. Nowe dwugodzinne czekanie. Całe to postępowanie wydaje mi się szyte grubymi nićmi; jest może dobre dla słowiańskich kuła-

ków, ale śmieszne w zastosowaniu do oficera francuskiego. Myślę jednak po zastanowieniu, że może nie tak bardzo śmieszne.

O 2-ej nad ranem Czerwona Dziewica przychodzi po mnie zgodnie ze zwyczajem. Wydaje mi się o wiele mniej wesoła niż poprzedniego dnia, i — choć może jest to tylko moje złudzenie optyczne — jak gdyby zaniepokojona. Wchodzę do jednej z drewnianych przegródek; za biurkiem siedzi trzech przesłuchujących tak jak poprzedniej nocy... Ale to nie są ci sami. Zwolniła ich nowa trójka. Przypisuję tę zmianę ciekawości samych NKWD-zistów, dobrze zrozumiałej, zważywszy, że nie mają codziennie sposobności przesłuchiwania oficera francuskiego. Zapewne przekazano mnie innej ekipie, jako pewien rodzaj rozrywki, którą każdy powinien mieć w swojej kolejce. Nic podobnego.

Trzej przesłuchujący mnie tego wieczora, dalecy od dobroduszości, przyjmują postawę srogą, która wydaje mi się równocześnie śmieszna i niepokojąca. Mówiąc szczerze, mają wygląd ponurych brutalni. Położyli na stole przed sobą rewolwery, co jest zupełną dziecinnadą i pobudzałoby mnie raczej do śmiechu, ale Czerwona Dziewica jest niewątpliwie w złym sosie, co nie pozwala mi na lekceważenie sytuacji.

Długie przemówienie oficera, który przewodniczy. Długie tłumaczenie: „Przekroczył pan nielegalnie granicę, do czego pan się przyznał. Jest to sprzeczne z odpowiednim artykułem naszego kodeksu i zasługuje na karę 8-miesięcznego zesłania na Syberię. Ale są rzeczy poważniejsze, o wiele nawet poważniejsze. Przesłuchaliśmy pańskich dwu towarzyszy ucieczki; między tym, co nam zeznali i pańską wersją zachodzą tak wielkie różnice, że musimy uznać wszystkie trzy zeznania za kłamliwe. Ostrzegamy pana, że będzie panu bardzo trudno przekonać nas, że zdołał pan uciec z obozu Westphalenhof, o którym wiemy, że jest szczególnie pilnie strzeżony, bez współdziałania władz nazistowskich. Pańska podróż koleją przez Pomorze, Polskę i Prusy Wschodnie, wśród ludności będącej pod tak silnym nadzorem policji, jak to ma miejsce w Trzeciej Rzeszy, nie da się również wyobrazić bez zgody Niemców. Nie wydaje się nam możliwe, by mógł nas pan przekonać, że nie jesteście szpiegami na żołdzie Niemców”. Słuchałem tego wywodu od samego początku ze zdumieniem a potem oburzeniem. To ostatnie twierdzenie wywołało u mnie wybuch śmiechu, coś bardziej głupiego nie wydawało mi się możliwe.

Mój śmiech został przyjęty prawdziwym koncertem wymyślań. Zacząłem krzyczeć jeszcze głośniejsze niż trzej przesłuchujący razem wzięci i aby dobrze dać do zrozumienia, że istnieją jakieś granice oskarżenia, uderzyłem z całej siły pięścią w stół. Stół, tandetnej roboty, załamał się a rewolwery poleciały w cztery kąty pokoju. Oficerowie NKWD pozbawieni nagle swego biurka, okazali się tak zbici z pantałyku jakby byli nadzy, co wywołało u mnie dalszy szalony śmiech. Osiągnęliśmy szczyt groteski.

Trzej policjanci, którzy w całym swoim nędznym żywocie nie widzieli ani nie słyszeli o czymś podobnym, osłupieli i nie reagowali. W końcu jednak zaczęli szukać na czworakach swoich rewolwerów, tracąc w moich oczach a także, jak mi się wydawało, i w oczach tej młodej kobiety, wszelką powagę. Usiedli wreszcie, niemal zażenowani. Żaden stół nie rozdzielał nas; teraz role oskarżycieli i oskarżonego nie miały już zewnętrznego wyrazu. Od przesłuchania mogliśmy przejść teraz do rozmowy.

Czerwona Dziewica, kierując się niewątpliwie kobiecym instynktem, była pierwszą, która to zrozumiała i tonem niemal serdecznym odezwała się do mnie: „Postąpił pan błędnie, zachowując się w ten sposób; towarzysze są bardzo niezadowoleni...” i tonem niemal wzruszonym dodała: „Oni polecili mi, bym powiedziała panu odnośnie ostatniego punktu oskarżenia, że na wypadek, gdyby pan nie mógł udowodnić swej niewinności, może wchodzić w rachubę kara śmierci”.

Kara śmierci... Groźba ta wydała mi się tak dalece przesadna, że w danej chwili niemal nie zwróciłem na nią uwagi. O wiele bardziej byłem uderzony tym, że wbrew podstawowej zasadzie prawa francuskiego dla sprawiedliwości sowieckiej nie było rzeczą istotną udowodnienie mojej winy, ale że do mnie należało wykazanie mojej niewinności. To był już szczyt wszystkiego. Nie mniejszym „szczytem” było patrzenie na policjantów, którzy w najlepszym razie mogli być urzędnikami policji kryminalnej, przybierających miny prawdziwych sędziów śledczych. Reżym stalinowski nie zapewniał swemu wymiarowi sprawiedliwości żadnej niezawisłości.

Postanowiłem przejąć inicjatywę i prowadzić przesłuchanie tak jak mi odpowiadało. Przede wszystkim nie należało nigdy przyznawać się do tego czego nie popełniłem. Tu leżał klucz powodzenia. Nauki Woldemarasa były pod tym względem najzupełniej jasne. Z całą energią, jaką dawała mi rozpacz, postanowiłem trzymać się tej zasady bez względu na pogróżki, i złe traktowanie jakie by wobec mnie stosowano. Postępując inaczej, pozwałabym na zapłatanie mnie w sytuację, która mogła być zgubna nie tylko dla mnie ale i dla moich towarzyszy.

„Co do przekroczenia granicy przez zbiegłych jeńców wojennych — oświadczyłem — przypominam, że pan Litwinow położył swój podpis pod Konwencją Genewską z 1932 roku. Wasz Rząd zobowiązał się więc do przestrzegania prawa międzynarodowego, które ma pierwszeństwo przed prawem odnośnego kraju. Skazanie na osiem lat zesłania na Syberię nie wchodzi więc w rachubę, gdyż jest przewidziane li-tylko przez wasze ustawodawstwo wewnętrzne, które może mieć zastosowanie wyłącznie do waszych obywateli”. Nie ulega wątpliwości, że ci trzej Rosjanie nigdy w swym życiu nie słyszeli podobnego rozumowania. „Co zaś do różnic w zeznaniach na temat naszej ucieczki, jakie rzekomo wynikają z zeznań moich towarzyszy, jest to oczywiste kłamstwo i chwyt niżej pasa z waszej strony. Przyj-

mijcie do wiadomości, że nie jestem durniem a najprościej skonfrontujcie nas a będziecie mieli natychmiast dowód tego". Była to oczywiście procedura, o której nie mniej oczywiście nigdy nie myśleli. „Co do oskarżenia o szpiegostwo pozwólcie, że uśmieję się, zanim się pogniewam. Czyż widziano kiedy poważny wywiad, wysyłający w sposób nam znany trzech agentów pozbawionych wszystkiego a zwłaszcza znajomości waszego języka? Jestem gotów uwierzyć, że wasi sprzymierzeńcy nazistowscy są głupi, ale jest nie do pomyślenia by byli nimi do tego stopnia.

Przewodniczący przesłuchania, który do tej chwili nie reagował inaczej niż jego towarzysze, chwycił tutaj piłkę w locie: „A kto nas zapewni, że pan nie mówi po rosyjsku? Może pan to ukrywać. Zresztą po przekroczeniu granicy, gdy znaleźliście się oko w oko z karabinami naszych żołnierzy, zdradził się pan. Powiedział pan wówczas kilka zdań po rosyjsku z doskonałym akcentem". Przyjął wówczas wyraz twarzy pełen wyższości, podczas gdy ja zaczynałem żałować, iż miałem przodków rosyjskich, którzy przez jakieś tajemnicze machinacje mojej macierzystej babki przekazali mi tę doskonałą wymowę. Przesłuchujący mnie, zdając sobie sprawę z tego, iż za wszelką cenę musi odzyskać swój prestiż wobec podwładnych, ciągnął dalej: „Przyjmując nawet, że pan przybył tutaj nie w celu szpiegowania nas, który może nas zapewnić, iż Niemcy nie ułatwili panu podróży przez ZSSR do Anglii, aby szpiegować tam de Gaulle'a na rachunek Pétaina?"

Była to nowa groźba, której nie przewidziałem a którą należało odparować bezzwłocznie: „Zatelegrafujcie więc do generała de Gaulle'a i poinformujcie go o moim wypadku; zna on doskonale moją rodzinę od 1920 roku, nie mam żadnych wątpliwości, że zapewni was o moim stosunku do Wolnej Francji. Na wypadek mało prawdopodobny, iż miałby co do tego wątpliwości, na pewno nie przekaze wam trudu sądenia mnie w zastępstwie trybunałów francuskich, ponieważ wedle sformułowanego ostatnio przez pana oskarżenia, chodziłoby o szpiegostwo na szkodę Narodowego Komitetu Francuskiego a więc o zbrodnię, która podlega wymiarowi sprawiedliwości Wolnej Francji a nie waszemu. W obu tych wypadkach wystarczy odesłać mnie do Londynu".

Moja czysto francuska logika pozornie nie przekonała moich rozmówców ale dała im do myślenia. Zakończyli przesłuchanie w sposób dość żałosny.

.....

O godz. 21.30 kładę się na mym zwykłym miejscu, w bezna-
dzijnym nastroju, w roli oskarżonego. O 22.00 drzwi się otwie-
rają. Nie ruszam się. Wzywają, bym się śpieszył. Nie reaguję.
Zaczynają pokrzykiwać. Woldemaras błaga mnie abym wstał.
Spełniając jego prośbę, ale zwlekając jak tylko mogę, zbieram
się do wyjścia. Zużywam co najmniej 15 minut na ubranie się.

Moi biedni strażnicy nie mogą tego zrozumieć i tracą głowę. Nareszcie kierują się do kabin, w których odbywa się przesłuchiwanie, w sposób możliwie powolny, niemal godny paralytics. Im bardziej moi strażnicy tracą cierpliwość, tym wolniej się posuwam.

Gdy przybywamy do wielkiej sali Czerwona Dziewica jest już na miejscu. Wita mnie szerokim uśmiechem, podchodzi do mnie, bierze mnie za ramię i mówi: „Odwagi! Dzisiaj wszystko pójdzie dobrze”. Rzeczywiście zastaję w kabinie moją pierwszą trójkę dobrodusznym oficerów, uśmiechających się, którzy wstają, aby mi podać rękę i zaprosić mnie na kolację.

„Musi pan wybaczyć naszym kolegom z ostatniej nocy, gdyż nie znali zbyt dobrze pańskich aktów. Ale my je znamy i chcemy pana z miejsca uspokoić. Pojedzie pan *zawtra* do Moskwy, gdzie nie mamy co do tego żadnej wątpliwości, będzie pan skomunikowany ze swoją ambasadą”, — „Ale chyba nie ambasadą Vichy?” — „Nie, ambasadą brytyjską; zrozumieliśmy doskonale pańskie pragnienie walczenia u boku de Gaulle’a i gratulujemy panu”.

Powracałem, aby położyć się, najzupełniej uspokojony.

Rano starałem się przeciągać czas przeznaczony w regulaminie na sen, drzemiąc z otwartymi oczyma. Gdy zbudziłem się naprawdę, Woldemaras, który niewątpliwie porozumiał się z dwoma pozostałymi Litwinami, zwrócił się, starannie dobierając słowa, i starał się przekonać mnie, że jestem ofiarą klasycznego aplikowania na zmianę zimnych i gorących natrysków, szeroko stosowanego w sowieckich metodach policyjnych i doskonale do nich przystosowanego.

Nie uwierzyłem ani jednemu słowu. Trzej dobrodusze robili wrażenie najzupełniej szczerych a już Czerwona Dziewica! Nie mogłem się mylić.

„Ach! jeżeli pan uległ urokowi wiecznej kobiecości”, odpowiedział mi Woldemaras, „nie nalegam”. Postąpił słusznie, gdyż moje przekonanie było nieco zachwiane.

Popołudnie minęło bez niespodzianek. W nocy nie zaszło nic nowego. Ani nazajutrz, ani następnego dnia. Sytuacja stawała się na nowo niepokojąca. Następną noc przysła kolej na przesłuchanie b. dyrektora policji litewskiej. Powrócił wczesnym rankiem w przerażającym stanie. Wedle wszelkich oznak nie był maltretowany fizycznie, ale był zupełnie załamany a raczej rozbity, zupełnie niepodobny do tego, kim był poprzednio; wyglądał na śmiertelnie przerażonego.

Okazało się, że przeszedł przez stadium wielkich wyznań. Woldemaras powiedział mi później, że ten biedny człowiek w obawie o los swojej rodziny, której uwięzieniem mu zagrozono, nie mógł się oprzeć. Dowiedziałem się także później, że zobowiązał się do denuncjowania różnych Litwinów, równie niewinnych jak on sam.

Następny dzień był po prostu straszliwy a noc nie lepsza. Inderszunas, który był z kolei przesłuchiwany, powrócił w stanie zupełnego wyczerpania, a to tym bardziej, że zdołał się oprzeć! Był to człowiek reprezentujący najwyższe wartości moralne. Ale ceną jego nadzwyczajnej odwagi był los jego żony. Był po prostu chory z emocji; my również.

Następnej nocy przyszła kolej na Woldemarasa; nie usnąłem do jego powrotu. Czy znajdzie siły, aby się oprzeć? Fizycznie był cieniem samego siebie. Dzięki Bogu nie załamał się. Woldemaras i Inderszunas, ci dwaj mężowie stanu, znaleźli w sobie dość wartości moralnych, aby uratować godność człowieczeństwa. Cóż za przykład!

Ale jak długo potrafią się jeszcze opierać? Nie dowiedziałem się tego nigdy, gdyż następnego dnia przeniesiono mnie do innej celi, w której miałem za towarzysza tylko jednego więźnia, lekarza batalionowego Czerwonej Armii.

Nie interesował się zupełnie polityką i nie wiedział dlaczego go uwięziono. Był z góry zdecydowany uczynić wszystko, czego by od niego żądano. Czyż nie obiecano mu uwolnienia za cenę zadenuncjowania współników w szeroko zakrojonym sprzysiężeniu, o którym absolutnie nic nie wiedział? Przyznał się już był do wszystkiego czego od niego żądano i zadenuncjował tych, których mu wskazano. Dzięki temu przykładnemu zachowaniu zdobył sobie zaufanie swoich *śledowatielej* i uprzywilejowane traktowanie! Wysilił się do maksimum by mi zalecić podobne postępowanie bez względu na motywy oskarżenia sformułowanego pod moim adresem. „Co pan właściwie zrobił?”.

Wyłożyłem mu zasadnicze punkty oskarżenia, aby nie wywołać wrażenia, że mu nie ufam. „Ale to niezwykle poważne! Niech pan się przyzna, bo to jedyny sposób, żeby uratować skórę; jeżeli pan tego nie zrobi, nie widzę innego finału — jak śmierć!”. Nie rozmawialiśmy już więcej. Nie mógł odgrywać swej roli prowokatora i miał mi to za złe. Było mi go niemal żal, ponieważ zdawałem sobie doskonale sprawę, że postępując w ten sposób, szkodziłem jego nowej karierze informatora policji. Tym gorzej, pocieszałem się. Wobec fiaska swoich starań stał się na nowo niczym — był bezużyteczny a mnie zmieniono celę. Moje trzecie więzienie w Kownie było o wiele gorsze od dwu poprzednich. W tamtych, pod warunkiem że moi towarzysze godzili się na siedzenie, mogłem zrobić trzy lub cztery kroki w każdym kierunku i nie rezygnowałem z tej możliwości aby zapobiec zwirotczeniu mięśni. W tej nowej celi było to już niemożliwe, gdyż miała nie więcej jak dwa i pół metra długości i jeden metr szerokości. Jakiś biedaczysko w typie wiejskiego prostaka był pierwszym mieszkańcem tej celi.

.....

Z drugiej strony okienko było umieszczone tak wysoko, mur tak gruby i widok pod takim kątem, iż nie było mowy o tym,

by zobaczyć nad dachem czy kawałek drzewa czy błękitny skrawek spokojnego nieba. Mimo to instynktownie zacząłem śpiewać nostalgiczną pieśń Reynaldo Hahna. Ku memu zdziwieniu jakiś kobiecy głos dał się słyszeć z okienka sąsiedniej celi, podejmując pieśń śpiewaną przeze mnie! Dowiedziałem się, że była to artystka francuska, która dawała koncerty w Kownie i którą NKWD aresztowało po wkroczeniu Czerwonej Armii. Miała piękny mezosopran, który w tych okolicznościach wydawał mi się doskonały i, przyznam się, bardzo wzruszający. Nie słyszałem jej nigdy więcej i, oczywiście, nie widziałem jej również pomimo mych kilkakrotnych zabiegów w tym kierunku.

Mój towarzysz w celi znał kilka słów niemieckich a rozumiał nieco więcej. Był uwięziony po wkroczeniu Czerwonej Armii, nie wiedząc dlaczego; nie powiedziano mu tego nigdy, nie przesłuchiowano go; był jakby zapomniany w jakimś głębokim lochu. Niewątpliwie nie przeszkadzał mi zupełnie z wyjątkiem nocy, gdy musieliśmy układać się do snu. Nasze kontakty były niezmiernie ograniczone, gdyż mógł tylko reagować ruchami głowy i łagodnymi uśmiechami — a to mało.

Nie interesowano się mną przez dobry tydzień, po czym druga trójka — ci niedobrzy — zaczęła przesłuchiwać mnie noc w noc skrupulatnie i ze wzmoczoną podejrzliwością, zadając mi stale te same pytania na temat naszej ucieczki. Nie mogłem dawać innych odpowiedzi; zawsze te same.

Po powrocie do celi, dla zabicia czasu i nie przyznając się do tego nawet przed samym sobą, a także aby ratować się od obłędu, uciekałem w świat wspomnień.

Niestety moje eskapady myślowe były często przerywane wkraczaniem strażników. Chciano mi na gwałt ogolić głowę, czemu się opierałem. Nowe nalegania i nowa odmowa. Wezwano więc posiłki i trzymany siłą przez trzech strażników musiałem się poddać temu upokarzającemu zabiegowi. Opierałem się, jak tylko mogłem rozpędzając strażników w cztery kąty mego „salonu fryzjerskiego”. Wyszedłem z tego obolały, mniej jednak od strażników, ale w ten sposób przynajmniej ulżyłem sobie.

Byłem już w bardzo kiepskiej kondycji, gdy po kilku dniach samotności, zostałem wezwany około 11-ej przed południem, przed posiłkiem, do ubrania się i pójścia za moimi strażnikami. Zrozumiałem, że zbliża się końcowy akt i że nadeszła chwila, w której musiałem rzucić na szalę resztę mych sił w tej bitwie o życie.

Po 15-minutowej jeździe dotarliśmy istotnie do budynku miejscowego NKWD. Kazano mi iść na trzecie piętro, gdzie miała swą siedzibę nowa trójka *śledowatielej*, która przyjęła mnie w sposób grzeczny ale lodowaty. Przewodniczył człowiek bardzo niski, który rzucił srogie spojrzenia, aby wyrównać niedostatk swojego wzrostu. Asystowała im Czerwona Dziewica. Przez niemal dziesięć godzin pod rząd zadawano mi powtarzające się w kółko pytania. W planie przesłuchujących było, bym odpowiadał stojąc.

Usiadłem jednak spokojnie na podłodze, opierając się plecami o ścianę naprzeciw stołu policjantów. Ci wysilali się, by mnie przekonać, że powinienem wstać, ale nie zdołali tego osiągnąć i zrezygnowali. Nie miałem najłżejszego zamiaru marnowania sił bez potrzeby. Gdy minęło owych dziesięć godzin trzech policjanci dali mi do zrozumienia, iż popełniłem błąd, upierając się przy zaprzeczaniu imputowanego mi szpiegostwa, gdyż postępując w ten sposób ryzykowałem najgorsze, podczas, gdy przyznając się, uniknąłbym niewątpliwie tej ostateczności nie tylko dla siebie ale także i dla pozostałych więźniów francuskich.

Tu nastąpiła przerwa w przeszukiwaniu; dwu asesorów znikło, niewątpliwie „na chwilę”.

Wreszcie otworzyły się drzwi i wezwano mnie na nowo. „Panie Oficerze” — mówi mi najwyższy szarżą policjant — „nie podtrzymujemy już przeciw panu oskarżenia o zbrodnię szpiegostwa”. Uff!

Tak jak się nam to słusznie należy, zasiadamy do kolacji, przekształceni w najlepszych pod słońcem przyjaciół. „Zechce nam pan wybaczyć, panie oficerze, że jeszcze na chwilę wrócimy do naszych zajęć. Czy może nam pan zaręczyć, że pańscy towarzysze ucieczki Jean Richemont i Jean de Person są równie niewinni jak pan?” — „Oczywiście; znam ich doskonale, oni nie myślą o niczym innym poza pragnieniem dołączenia się do de Gaulle’a”. — „Doskonale. Odstępujemy więc także i od tego punktu oskarżenia w stosunku do nich. A ci inni Francuzi, którzy przyszli do naszego kraju w sposób nielegalny, twierdząc, że uciekli z obozów nazistowskich?” — „Są wszystkie dane po temu, że podobnie jak my trzech także i oni nie są szpiegami. Oczywiście jednak nie znam ich a w każdym razie nie wszystkich”. — „Czy mógłby pan ich przeszukać i powiadomić nas o pańskich konkluzjach?” — „Oczywiście”. Kolacja ciągnie się dalej. Jeden z policjantów śpiewa, przygrywając na bałajajce, a Czerwona Dziewica towarzyszy mu. Odnoszę wrażenie, że jest w równie wesołym nastroju jak ja.

„Jeszcze trochę roboty, panie oficerze. Teraz skoro pan już jest człowiekiem wolnym.. lub prawie wolnym, czy byłoby to dla pana wielkim wysiłkiem, gdyby pan odbył jedną lub więcej rozmów z oficerami Sztabu Czerwonej Armii? Zależałoby im bardzo na rozmowie z synem generała Billotte’a i dawnym oficerem Głównego Sztabu Francuskiego”. — „Z największą przyjemnością, — i sądzę, iż nie będzie to bez pewnego pożytku dla Czerwonej Armii”.

Czyż nareszcie wyjdę z tego domu z powieści Kafki, gdzie tragizm przeplata się z absurdem, prostotą, naiwnością i podwójną grą, w których umysł zachodni gubi się, ale policjanci NKWD a także do pewnego stopnia i ich więźniowie słowiańscy, zdają się czuć w swoim żywiole?

.....

A więc los mój odmienił się. Moja strawa poprawiła się wybitnie. Odzyskuję siły. Dwa razy jestem przyjęty w przyjacielskim nastroju w Sztabie Głównym Czerwonej Armii, gdzie wypytują mnie o szczegóły kampanii francuskiej i o przypuszczalny przebieg wojny.

.....

„Jeżeli, jak jestem przekonany, Hitler zostanie zmuszony do szybkiego działania, jakie są kierunki ofensywy najkorzystniejsze dla jego wielkiej strategii? Afryka? Wehrmacht może prowadzić tylko operacje o ograniczonym zasięgu z bazą w Cyrenajce. Zasoby jakie mógłby tam znaleźć nie przedstawiają wielkiego interesu. Bałkany? Obszary zajęte stwarzałyby problemy cięższe od uzyskanych korzyści. Pozostaje więc Związek Sowiecki”. Czuję teraz, że moi słuchacze przywiązują do mych słów rzeczywistą wagę. „Hitler może być zmuszony do zaatakowania was, aby zdobyć zasoby, które byłyby mu niezbędnie potrzebne na wypadek gdyby konflikt objął także Stany Zjednoczone: zboże Ukrainy i nafta Kaukazu mogą mu się wydać *conditio sine qua non* utrzymania jego reżymu”. — „Ale my mamy przecież z Niemcami układ o współpracy”. — „Czy jesteście gotowi wejść do wojny przy boku Hitlera?” — „Nigdy”. — „W takim razie gotujcie się na przyjęcie jego ataku. Mogę was zapewnić, że się do niego przygotowuje. Jadąc przez Prusy Wschodnie widzieliśmy przygotowania do szeroko zakrojonej ofensywy”. — „Ale kiedy zdecyduje się nas zaatakować?” — „Gdy sam będzie przekonany, że Roosevelt jest gotów do wciągnięcia Stanów Zjednoczonych do wojny, uzna prawdopodobnie, iż winien go uprzedzić, atakując was”.

Moi rozmówcy byli bez wątpienia zaskoczeni, ale nie chcą wierzyć, podobnie jak Stalin i jego rząd nie wierzyli Anglikom, którzy począwszy od maja ostrzegali ich przez swego ambasadora w Moskwie, byłego ministra skarbu, Sir Stafford Crippsa. W dniu 22 czerwca, gdy zaczęła się ofensywa niemiecka, gdy bomby niemieckie padały od 5-ej rano na Kowno czy Sewastopol, *Prawda* i *Moscow News*, które opuściły prasę o 3-ej rano, będą pisały: „Reakcyjny i plutokratyczny rząd londyński zachowuje się jak prowokator. Ma odwagę twierdzić, że Hitler przygotowuje się do napadu na nas. Możemy zapewnić, że nasze stosunki nigdy nie były lepsze. Świadczy o tym fakt, że w ciągu ostatniego tygodnia poziom naszych dostaw towarowych do Niemiec wykonywanych na podstawie układu Mołotow-Ribbentrop, pobił wszystkie rekordy!”.

Tak więc moi rozmówcy ze Sztabu Głównego w Kownie nie chcieli mi wierzyć, ale mimo to robili wrażenie lekko zaniepokojonych.

Na początku kwietnia wyjazd do Moskwy.

Opuszczamy Kowno bez szczególnego żalu. Niewątpliwie nauczyliśmy się tam wiele, zwłaszcza tego jak działa w Sowietach bezlitosny system policyjny i związany z nim najściślej wymiar sprawiedliwości.



Wysiadamy na małej i zagubionej stacyjce kolejowej o nazwie Kozielsk i drogą pokrytą śniegiem i lodem, ale starannie odmiecioną, dojeżdżamy autobusem na nasze nowe miejsce postoju. Przed dotarciem tam przejeżdżamy przez pierwszy obóz pełen polskich oficerów i docieramy w końcu do innego obozu, o wiele mniejszego od poprzedniego i oddzielonego od niego wielkim lasem. Wysiadamy i znajdujemy się przed sporym budynkiem z początku XX wieku w stylu typowo rosyjskim, otoczonym ciasno drutem kolczastym. W pobliżu, ale już poza drutami, rozsiane są dość liczne pawilony. Jesteśmy w Miczurinie, w zonie poprawczej Katynia czyli innymi słowy w zonie przeznaczonej przed wojną na internowanie złych komunistów, których trzeba było reedukować ale których uważano za możliwych do odzyskania dla reżymu.

Ku naszemu zdumieniu jesteśmy przyjęci przez pięćdziesiątkę Francuzów, Anglików i Belgów zbiegłych ze Stalagów i obozów jeńców w Niemczech Wschodnich. Większość z nich wita nas entuzjastycznie, przy czym łatwo rozumiemy powody takiego przyjęcia. Zarezerwowano dla nas łaskawie mały pokójk umeblowany trzema łózkami, co wydaje się nam luksusem. Kładziemy się i postanawiamy w pierwszym rzędzie nabrać sił. Odkładamy na później zastanowienie się nad naszą nową sytuacją „ludzi wolnych lub prawie wolnych”! Śpimy długo.

.....

Podczas gdy zbliża się Wehrmacht, jesteśmy ewakuowani pociągiem towarowym. Aby dojechać do stacji kolejowej Kozielsk obsługującej obozy w Katyniu, przejeżdżamy przez obóz polski. Nie widzimy ani jednego Polaka a stwierdzając to odczuwam jakieś dziwne wrażenie. Francuskimi napisami na słupach do koszykówki i siatkówki, które na naszą prośbę przeniesiono do naszego obozu z obozu polskiego, zawiadomili nas w połowie maja o swych śmiertelnych obawach co do oczekującego ich losu i prosili, byśmy się modlili za nich! Od tej pory pomimo zabiegów straciłem ostatecznie ich ślady.

Przekroczywszy Wołgę w Jarosławiu dojechaliśmy wreszcie do Wołogdy, naszego nowego letniska. Gęsta sieć drutów kolczastych dzieli nas od innego wielkiego obozu polskiego. Natychmiast bratamy się z jego mieszkańcami i na odległość mniej niż pięciu metrów nawiązują się rozmowy i to pomimo ignorowanych przez nas nawoływań wartowników z wież strażniczych.

W dwa dni po naszym przybyciu komendant obozu polskiego chce ze mną mówić. Intencją jego było zakomunikowanie mi wiadomości o podpisaniu układu Stalin-Sikorski, tej podstawy odbudowania przyszłej armii Andersa co uważano za pierwszy etap odbudowy państwa polskiego. Składam mu gratulacje i pytam, czy ma jakieś wiadomości o Polakach z Katynia. Nie ma żadnych! Jako że jednak w Rosji sytuacje są tak często paradoksalne, wartownicy na wieżach strażniczych denerwują się i zaczynają strzelać, ponad naszymi głowami, tytułem ostrzeżenia. „Mamy przeklętych sprzymierzeńców!” — mówi mi Polak.

Pierre BILLOTTE

(Z francuskiego tłumaczył M.)
Przekład autoryzowany

ZA WOLNOŚĆ WASZĄ I NASZĄ

„Pułkownik doktor Julian Tobiasz należy do wybitnych znawców dziejów partyzantki radzieckiej na ziemiach polskich, okupowanych przez Niemcy hitlerowskie. Napisał na ten temat wiele rozpraw, artykułów, wygłosił sporo odczytów na różnorodnych konferencjach i sympozjach naukowych. Rozmawiamy o udziale ludzi radzieckich w polskich Ruchu Oporu.

— Badania tych problemów — mówi pułkownik Tobiasz — wymagały żmudnego i skrupulatnego gromadzenia materiałów. Prowadziłem je przez 6 lat. Książka pt. „Na tyłach wroga. Obywatele rodzicecy w Ruchu Oporu na ziemiach polskich 1941-1945 r.” jest wynikiem moich zainteresowań pozastudiowych, ponieważ zawodowo pracuję w Głównym Zarządzie Politycznym WP. Książka ukazała się już w sprzedaży nakładem Wydawnictwa MON.

Tutaj Czytelnikowi należałoby wyjaśnić, skąd obywatele radzieccy znaleźli się na polskich ziemiach, okupowanych przez Niemców. Na naszym terytorium utworzono 40 wielkich obozów hitlerowskich z setkami tysięcy jeńców. Dzięki pomocy polskiego społeczeństwa, szczególnie ludności wiejskiej, PPR oraz innych organizacji lewicowych, AL, BCh, podejmowano często udane ucieczki. Część zbiegów kierowała się na Wschód, inni, pozostając na miejscu, byli przyjmowani do polskich oddziałów partyzanckich. Większość z nich należała do oddziałów partyzanckich Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, Batalionów Chłopskich.

— Jak się układały stosunki miejscowej ludności polskiej i byłych żołnierzy radzieckich — zbiegów z obozów jenieckich?

— Właśnie jednym z ważnych tematów moich dociekań naukowych jest ta mało znana forma Ruchu Oporu, za którą Niemcy rozstrzelali tysiące osób i niszczyli całe wioski. Chodzi o pomoc społeczności polskiej radzieckim zbiegom z niewoli i obozów koncentracyjnych. Według dokumentów hitlerowskich od początku wojny do maja 1944 roku, jeńcy radzieccy dokonali

około 66 tys. ucieczek z obozów, w większości położonych na terytorium Polski. W niektórych próbowały równocześnie wydostać się poza druty setki i tysiące osób. Tak więc komendant obozu w Siedlcach w porannym meldunku podał, że w nocy z 2 na 3 września 1941 roku zbiegło ponad 1 tys. osób. Według ocen polskich organizacji podziemnych było ich około 10 tys., po ucieczce mogli przetrwać dzięki pomocy polskiego społeczeństwa.

— *Towarzyszu pułkowniku, wiadomo, że w polskiej partyzancie walczyło ponad połowa wszystkich obywateli radzieckich działających poza obszarem ZSRR w Ruchu Oporu innych krajów. Czym to się tłumaczy?*

— Jak już powiedziałem, na terenach polskich była większość obozów jenieckich, stąd właśnie partyzantka czerpała swe podstawowe siły. Oprócz tego trzeba zaznaczyć, że niemałoważną przyczyną nasilenia udziału ludzi radzieckich w partyzancie polskiej było bardzo przyjazne ustosunkowanie się społeczności do obywateli radzieckich. Polacy dobrze wiedzieli, że jedynie spodem z ZSRR potrafią zwyciężyć wroga, odczuwali tę wielką żądzę walki, jaką przejawili ludzie radzieccy zbiegli z obozów jenieckich. Stąd też jaskrawe przejawy solidarności, pomocy, przyjaźni miejscowej ludności z uciekierami.

— *Jakie jeszcze zagadnienia oprócz wyżej wymienionych zostały poruszone w Waszej książce?*

— Sporo miejsca poświęciłem omówieniu działań bojowych tzw. oddziałów rajdowych, które przedostały się przez linię frontu na zaplecze wroga. Były to ugrupowania specyficzne dla radzieckiej partyzantki, związane z określonymi rejonami. Największe rajdy odbywały się na Ukrainie. Bazy dla radzieckich partyzantów, m.in. podporządkowanych Ukraińskiemu Sztabowi Ruchu Partyzanckiego, znajdowały się na południu Polesia, w Lasach Briańskich. Tam przeszkolone, dalekimi, szybkimi marszami udawały się na bezleśne tereny, gdzie przeprowadzały akcje dywersyjne przeciwko niemieckiemu transportowi i garnizonom. Równocześnie prowadziły rozpoznanie nieprzyjaciela. Poza tym odgrywały znaczną rolę polityczną. Ich pojawienie się podnosiło na duchu społeczeństwo prześladowane przez hitlerowców, wzmagало opór, utrwalając nadzieję na zwycięstwo.

Oddziały rajdowe przesuwaly się coraz bardziej na Zachód przed linią cofających się wojsk hitlerowskich. Z Ukrainy dotarły w ten sposób w 1944 roku do okupowanej Polski. Niektóre przenikały przez linię frontu z terenów już wyzwolonych, docierały nawet do Zakopanego, Torbacza i pozostawały tam aż do wkroczenia Armii Radzieckiej.

— *A jak było ze zwiadem radzieckim?*

— Inny rozdział dziejów partyzanckich stanowiły losy oddziałów dywersyjno-rozpoznawczych, zazwyczaj rekrutujących się z grup desantowych przetrzucanych do Polski w 1944 roku, które w późniejszym okresie przekształcały się często w oddziały partyzanckie, liczące nawet blisko 500 osób. Ich operacje możliwe były do przeprowadzenia również dzięki współdziałaniu i pomocy ze strony ludności polskiej i naszych jednostek armii podziemnej. Wspólna walka obywateli radzieckich i polskich świadczyła o głębokich tradycjach internacjonalistycznych ugruntowanych w naszych narodach. Cechy te zahartowane w tygłu wojny dają dziś w dniach pokojowego budownictwa komunizmu i socjalizmu piękne owoce.

— Dziękujemy, towarzyszu pułkowniku, za rozmowę. Życzymy dalszych owocnych badań tej nadzwyczaj interesującej strony dziejów braterstwa narodów polskiego i radzieckiego”.

Rozmawiał S.GUDALEWICZ

Warszawa-Wilnius

Czerwony Sztandar Nr 293 (1974).

„JOURNAL SECRET”

Niedawno ukazała się w Paryżu nowa książka znanego francuskiego dziennikarza Raymond Tournoux pt. „Journal secret”. Książka dotyczy roku 1974-go. Polonica są więcej niż szczupłe, ale charakterystyczne.

Na stronie 76-ej czytamy:

„POLSKA I CZECHOSŁOWACJA — (Po sprawozdaniu złożonym Radzie Ministrów przez p. Maurycego Schumanna z oficjalnej podróży do Polski p. Chaban-Delmasa i ministra spraw zagranicznych). Serdeczne przyjęcie przez Polaków było rzeczą należną godności Francji. Ale nie zapominaamy, że Polacy dokonali najazdu na Czechosłowację!”.

I zaraz po tym:

„Podczas swojej wizyty w Paryżu Gierek powiedział mi: W roku 1959 pojechałem do Pekinu. Miałem tam wrażenie, że jestem parszywym białym (*un sale Blanc*).

— Zapytałem go: A więc Hitler wygrał?

Gierek mi odpowiedział: Może...”.

J. L.

RECENZJE

Józef LEWANDOWSKI

OSIEM ESEJÓW O DZIEJACH CZESKICH

Omawiana praca jest jednym z ciekawszych płodów intelektualnych czechosłowackiej wiosny roku 1968. Te same jednak względy, które każą zwrócić na nią szczególną uwagę spowodowały, że książka ta jest prawie nieznana, równie niedostępna i bodajże i nierecenzowana. Z tego też względu uważam za słuszne przypomnienie jej polskiemu czytelnikowi, zwłaszcza że traktując o sprawach czeskich, posiada ona bezpośrednio znaczenie i dla naukowej refleksji nad dziejami polskimi, szczególnie dla tych okresów w których dzieje obu krajów ściśle zazębiały.

W Europie Środkowo-Wschodniej każdy większy wstrząs lub przesilenie obala lub modyfikuje poglądy historyczne, usuwa stare, wprowadza nowe systemy badawcze oraz nowe tabu. O tym wiadomo dość powszechnie, zwłaszcza na emigracji, gdzie czołowi historycy systematycznie zwracali uwagę na tego rodzaju zjawiska. Rzadziej dostrzega się żywotność mitów historycznych. A przecież istnieją duże obszary historii, w których raz ustalony system poglądów utrzymuje się na przestrzeni wieków. Mało tego, właśnie system sowiecki okazuje się szczególnie konserwatywny.

Komunistyczny system historiozoficzny, indoktrynowany w Czechosłowacji po 2-ej wojnie światowej, ma dużo elementów identycznych lub podobnych do odpowiedniego systemu w Polsce. Szereg spraw było jednak rozwiązywanych inaczej.

W Polsce ortodoksyjno-komunistyczny, stalinowski system historiograficzny był stosunkowo krótkim epizodem. Tak zwana „bolszewizacja” nauki historycznej zaczęła się po grudniu 1948 roku, załamała się w 1956 roku. Historycy polscy, w rezultacie

* František Graus, redaktor, *Nasze živa i mrtva minulost*. 8 eseji o českých diejinách (*Nasza przeszłość, żywa i martwa*. 8 esejów o dziejach czeskich). Praha, 1968, str. 212.

adoptowali niektóre elementy marksizmu, uznane przez nich za słuszne, odrzucili stalinizm. Bierni w masie, politycznie i intelektualnie, w tym co zwykliśmy nazywać „Polskim Październikiem”, tym łatwiej przystosowali się do stereotypów odczucia społecznego. W rezultacie otrzymaliśmy coś, co mimo wszystko jest dużym sukcesem, biorąc pod uwagę realnie istniejące możliwości, ale co jednocześnie jest mieszaniną patriotyzmu i warunków cenzuralnych, francuskich wzorów metodologicznych i zaścianowości spojrzenia, doskonałości warsztatowej i tradycjonalizmu ocen. Lata 1957-1972 przyniosły szereg cennych konkretnych pozycji badawczych, niekiedy nawet imponujących pod względem wartości warsztatowych, nie sposób jednak nie zauważyć, że w okresie tym niewiele zrobiono w dziedzinie ogólnego zrozumienia dziejów Polski, a szczególnie dla zrozumienia roli dziejów Polski w ramach szerszego tła dziejów powszechnych. Brak również prób analizy zarówno tradycjonalizmu historycznego jak i systemu historiozoficznego lat 1948-1956.

W Czechosłowacji stalinizm wywarł większy wpływ. Przyjęty początkowo z entuzjazmem przez lewicową i lewicującą inteligencję a zwłaszcza młodzież, stalinizm w nauce miał charakter szczególnie agresywny i totalitarny. Trwając dłużej niż w Polsce, ujawnił wyraźniej swe konserwatywne, również pod względem naukowym, oblicze, bardziej też związał się z nacjonalizmem. Rozkład stalinizmu naukowego był w Czechosłowacji powolniejszy. Stalinizm pozostawał tam oficjalną doktryną państwową nawet w okresie, gdy utraciłszy moc wykonawczą nabył cech bardziej śmiesznych niż groźnych, podobnie jak śmieszny był gigantyczny posąg Stalina, przytłaczający panoramę miasta jeszcze u progu lat sześćdziesiątych.

Stalinizm był zmorą całego pokolenia badaczy, tych którzy wkroczyli w życie naukowe w okresie między zakończeniem wojny a rokiem 1967. Intelktualiści burzyli się przeciwko tak zwanej „bolszewizacji” już w 1956 roku, pod przemożnym zresztą wpływem wiadomości z Polski, ale o ich ówczesnym buncie wiemy prawie tyle co nic. Na szerszą skalę ruch intelektualny ujawnił się w latach 1963-1968, by ulec stłumieniu w latach następnych. Przy okazji: redaktor omawianej publikacji, prof. Graus jest obecnie również uchodzącą politycznym i wykładowcą uniwersytetu w Bazylei.

Esaj Grausa o przeszłości żywej i martwej, który dał tytuł całemu zbiorowi, stanowi swego rodzaju wprowadzenie do problemów niepokojących historyków czechosłowackich. Na czoło wysuwa się zmierzający historycyzm i rozważania na temat roli historii w zbliżającej się cywilizacji. W Polsce, gdzie mimo wszystko nacisk przeszłości jest o wiele silniejszy, a aktualna wartość historii nie jest na ogół kwestionowana, pytanie to rzadziej jest zadawane i nie przybiera tak drastycznej formy, choć i u nas było stawiane w okresie popaździernikowej „odwilży”. W Czechosłowacji znaczenie poznawcze przeszłości było od dość dawna

kwestionowane i raczej dopiero ostatnie dziesięciolecie przyniosło renesans znaczenia dziejopisarstwa. W 1965 roku na łamach bratysławskiego „Kulturnego života” wszczęli dyskusję na ten temat Lubomir Liptak wraz z niżej podpisanym. Graus ponawia pytanie i czyni to w sposób drastyczny.

Jego zdaniem, ujawnia się daleko posunięty dualizm społecznego stosunku do przeszłości, do tego stopnia, że na podstawie tego stosunku można opracować swoistą typologię ludzi, w której „z jednej strony znajdzie się gloryfikator, w przeszłości widzący tylko sławę”, z drugiej ci „dla których nawet wszystko dzisiejsze wydaje się starzyzną”. Można również „napisać historię, w której jeden naród staje się wcieleniem dobra, inny zaś wcieleniem zła [...]”. Stoimy nawet wobec perspektywy że ktoś ułoży nam przeszłość za pomocą maszyn matematycznych w postaci równań i narysuje na tej podstawie skomplikowane wykresy. Z historią uczynić można prawie wszystko — nie można jej tylko uniknąć”.

Autor dowodzi niezbędności historii w procesie poznawczym, ale stawia badaczom wysokie wymagania, nie tyle w sferze (przysłowiowej) uczciwości, nie tyle w sferze warsztatowości, zdaniem Grausa nie najgorzej rozwiniętej, ale przede wszystkim w sferze intelektualnej. Chodzi o to, że wyzwając się z więzów i metodologii narzuconych przez totalitarny ustrój, historycy bardzo łatwo mogą ulec niebezpieczeństwu nawrotu do tradycjonalizmu, nawrotu do ustalonych ocen historii narodowej, do której dodawać jedynie będą nowe, coraz bardziej rozbudowane ustalenia cząstkowe. Jednak nawrót do tradycjonalizmu uniemożliwi spełnienie przez naukę historyczną tych zadań poznawczych, jakie winna ona świadczyć społeczeństwu. Historycy muszą wyjść poza opłotki. Przede wszystkim jednak muszą zerwać z mitologią dziejową, nawet jeśli ma ona pozory naukowości. Albo właśnie dlatego, że ma takie pozory.

Pod tym względem szczególnie ciekawy jest esej Duszana Trzesztika, badacza początków państwowości czeskiej. Jest to sfera, szczególnie przyciągająca uwagę społeczną. W sferze tej po dzień dzisiejszy panuje niepodzielnie system poglądów, skonstruowany przed przeszło stu laty przez wielkiego historyka i polityka czeskiego odrodzenia narodowego, Franciszka Palackiego. Oceniając dość krytycznie jego dzieło od strony naukowej, Trzesztik wysoko ceni literacką konsekwencję. Palacki zastosował poglądy filozoficzne J.J. Rousseau i Herdera, z tym jednak, że herderowska idealizacja Germanów została zastąpiona idealizacją Czechów, względnie w ogóle Słowian, bohaterzy Herdera stali się natomiast ucieleśnieniem zła. Dzieło Palackiego wywarło przemożny wpływ nie tylko na laików ale również na zawodowych historyków: „Pradawni Czesi względnie 'dawni Słowianie' istnieją w naszym powszechnym odczuciu jako swego rodzaju 'dobrzy dzikusi', nie zepsuci przez złą cywilizację, prowadzący żywot prosty a szczęśliwy. Takimi byli nasi przodkowie, takimi

chcemy ich widzieć, albowem koniec końców są to nasi przodkowie i od nich zaczyna się nasza autobiografia. Dlatego archeologowie zawsze starają się stworzyć idylliczny obraz wysokiej cywilizacji Słowian, historycy literatury pomagają im przyczynkami o światowym znaczeniu zabytków słowiańskiego pisma w Czechach X wieku, etnograf znajduje 'staroczeską epikę bohaterską'; wzruszająca walka starzejącego się człowieka o krystaliczność obrazu swego dzieciństwa. Co prawda historyk bada rzeczywistość, ale ta ma niezliczoną ilość janusowych twarzy i zwraca się ku badaczowi tym obliczem, które badacz chce widzieć" (s. 29).

Autor podaje jako dowód szczególnie drażliwy fakt — omijany w publikacjach i poruszany wyłącznie w rozmowach w cztery oczy że „...słowiańska kultura materialna dopiero w okresie Renesansu osiągnęła poziom kultury (przedśłowiańskich) celtyckich mieszkanców naszej ziemi” (*ibid.*).

Nad obowiązującą koncepcją Engelsa „pochodzenia rodziny, własności prywatnej i państwa” autor przechodzi do porządku dziennego. Jeśli istniał czynnik ekonomiczny, leżący u podstaw państwowości, to nie było nim posiadanie, akumulacja poprzez rozwój produkcji, lecz coś całkiem przeciwnego: głód, rodzający przemoc i rabunek: Jedyna alternatywa społeczeństwa wczesno-średniowiecznego „...to albo twarda praca na roli albo łupiestwo” (s. 33). Nie mamy na ogół złudzeń co do ówczesnych germańskich lub skandynawskich organizmów państwowych, nie ma też żadnych uzasadnionych podstaw aby sądzić, że słowiańskie organizmy państwowe były wyjątkiem i powstawały odmiennie niż reszta ówczesnych organizmów w Europie. Jest to zagadnienie nurtujące polskich historyków nie od dzisiaj, znam niejedną tezę, która nigdy nie znalazła wyrazu na piśmie w obawie przed taką lub inną cenzurą.

Rewizja Trzesztika jest dość umiarkowana. Początki państwa widzi w potrzebie samoobrony, czyli w sposób bliski konstrukcji Rousseau. Gorzej z wyjaśnieniem powstawania organizmów ponadplemiennych i ponaddzielnicowych. Jakimś wyjaśnieniem jest obraz „...dziwacznej lecz jedynej możliwej formy władania, władzy sprawowanej nie z tronu lecz z siodła. Rządzący musiał być wszechobecny, wszędzie musiał rozsądzać spory, tłumić powstania. Musiał spędzać życie w siodle, by rzeczywiście panować, by jego autorytet był uznawany przez wszystkie małe, lokalne społeczeństwa, które przecież same wytwarzały wszystko co miały” (s. 34).

Trzesztik żąda również by rozróżniano ówczesne i współczesne zakresy pojęcia *naród*. Wówczas pojęcie to rozciągało się tylko na panującego i jego drużynę, to jest najwyżej na kilka tysięcy ludzi. O pozostałych, „o 500.000 względnie 1.000.000 ludzi wiemy bardzo mało, źródła pozwalają nam na wyciągnięcie jakichś wniosków o ich sytuacji gospodarczej lub socjalnej, jednak nic nie wiemy o ich myślach [...]. Nie wiemy nawet, czy

uwawali się za Czechów, nie wydaje się to jednak prawdopodobne, albowiem na innych terenach, gdzie źródła są wymowniejsze, też nic o świadomości narodowej nie mówi" (s. 40). Narodem czeskim „stali się dopiero ich potomkowie, nasi pradziadowie w XIX wieku, świeżo uwolnieni z poddaństwa" (s. 42). Jest to jednak oddźwięk problemu o wiele bardziej drastycznego w Czechach niż w Polsce.

Polska nauka historyczna już dość dawno zwróciła uwagę na wieloznaczność historyczną pojęcia *naród*; w Polsce pojęcie to się zmieniało, ale nigdy nie została zachwiana ciągłość bytu narodowego, podczas gdy w XIX wieku w Czechach naród odradzał się z warstw, nie będących kontynuacją rycerzy i szlachty. Stąd może i płynie plebejska zawziętość Trzesztika.

Franciszek Szmahel zajmuje się rewizją poglądów na husytyzm, który w jakimś stopniu wpłynął na Polskę bezpośrednio, nie mówiąc już o tym, że ocena tego prądu ma znaczenie dla niekończącej się dyskusji, w znacznej mierze politycznej, na temat reformacji w Polsce, jej powiązania z Odrodzeniem, rolę kontrreformacji, Jezuitów itd.

W Czechach husytyzm przestał być — stwierdza Szmahel — problemem politycznym, choć był nim długie lata, pozostaje jednak ważnym problemem naukowym. I w tej dziedzinie zostawił swoje wyraźne ślady Palacky, a Masaryk też wywarł duży wpływ twierdzeniem, że „reformacja była odrodzeniem, Odrodzenie winno być Reformacją". Próbował podjąć rewizję Vaclav Pekarz, ale naraził się na gwałtowny opór historyków, hołdujących lewicowemu lub demokratycznemu poglądom. Introdukcja marksizmu jeszcze bardziej przyczyniła się do petryfikacji poglądów na husytyzm.

Z marksizmem łączy się przesadnie wyekspozowany klasowy charakter ruchów reformacyjnych, zatarcie tego, co było w nich najistotniejsze, mianowicie pierwiastka religijnego. Traktowanie reformacji przez Engelsa jako przejawu wczesnej rewolucji burżuazyjnej, nie wytrzymuje konfrontacji z materiałami źródłowymi, podobnie jak eksponowanie elementów narodowych: „Jedno jest dziś jasne, że w całym ruchu husyckim ani kwestia narodu ani tym bardziej pojęcie *narodu* nie grały roli kierowniczej ani pierwszorzędnej" (s. 55).

Nie jest też poza dyskusją stwierdzenie — *nota-bene* przejęte i przez polskich historyków — że „husytyzm wzmocnił naród czeski" — bilans strat i zysków jest dość skomplikowany. W dziedzinie kultury husytyzm zostawił po sobie „...spalone kościoły i spalane biblioteki" (st. 70 i dopiero okres jagielloński spowodował regenerację sił twórczych oraz przyniósł zdobycze we wszystkich niemal dziedzinach działalności artystycznej i literackiej".

Specjalną uwagę poświęciłem tym fragmentom dziejów czeskich, w których zazębianie z historią polską jest szczególnie wyraźne. W okresie późniejszym paralelizm dziejowy jest nader

watły. Zwróćmy jednak uwagę na esej Józefa Petrania poświęcony okresowi po bitwie pod Białą Górą (1621). W tym okresie dzieje ojczyste przestały być dziejami Czech, stały się dziejami narodu czeskiego. Zdaniem Petrania wymaga starannej rewizji panujący pogląd, iż okres pobiałogórski cechuje regres we wszystkich dziedzinach. W szczególności poddaństwo — czyli jak je nazywają czeszy historycy „wtórne niewolnictwo” — istniało już przed Białą Górą. Wbrew dominującym poglądom, tracące niepodległość państwo nie było bynajmniej narodowe, naród czeski zaś składał się w dużej mierze z Niemców. Patriotyzm ludowy, który zachował czeskość dla przyszłych pokoleń nie był uczuciem świadomym: „Lud... rzeczywiście mówił i śpiewał po czesku, ale dlatego, że nie znał innego języka, nie potrzebował go, ani przy ówczesnym poziomie oświaty znać nie mógł” (s. 99). W przytoczonej konstatacji znaczący wpływ Liptaka, który konserwatywne cechy ludowości eksponuje jako czynnik narodotwórczy w przypadku Słowacji.

Następni badacze, M. Hroch i J. Korzalka zajmują się kształtowaniem ruchu narodowego czeskiego i samego narodu w XIX wieku. Ich główna teza to konieczność oparcia badań o szeroką bazę porównawczą historii powszechnej. Hroch m.in. wskazuje na korzyści płynące z uwzględnienia analogii i różnic nie tylko kształtowania się narodowego Belgów ale nawet odległych Norwegów. Obydwaj krytykują istniejący „klasowy” schematyzm, co bynajmniej nie oznacza lekceważenia struktur socjalnych w badaniu zjawisk narodowych.

Bardziej partykularne zagadnienia porusza Bedrzych Loewenstein zajmując się czeskim radykalizmem pravicowym w czasie I-ej wojny — zagadnieniem mało znanym, a więc takim, w którym trudno mówić o rewizji utartych pojęć. Zaś zagadnienie państwa czechosłowackiego w okresie międzywojennym opracowane przez najwybitniejszego badacza tych spraw, Verę Olivovou wymaga odrębnego potraktowania, przekraczającego ramy recenzji.

Józef LEWANDOWSKI

POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE*

Evakuacja rozbitej brytyjskiej armii spod Dunkierki, na przełomie maja i czerwca 1940 roku, była dowodem wielkiej sprawności i opanowania Brytyjczyków, ale ułatwił ją sam Hitler, gdy kazał zatrzymać niemieckie czołgi i dał czas na przeprowadzenie

* Stefan Korboński, *Polskie Państwo Podziemne* (Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945), Instytut Literacki, Paryż, 1975, str. 282.

całej operacji. Uczynił tak, bo nie dążył na zachodzie do poważniejszych zdobyczy terytorialnych, wojny z Wielką Brytanią nie chciał i miał nadzieję, że dojdzie z nią do porozumienia.

Sekretne niemieckie sondáže zostały zignorowane, Wielka Brytania nie zgodziła się na nazistowski plan podziału świata i wojna potoczyła się dalej, ale fakt, że Hitler próbował układów i że dosyć łagodnie potraktował pokonane na zachodzie kraje dowodzi, że jego plany w tej części Europy nie były zbyt drapieżne.

Odbiło się to bardzo wyraźnie na formie okupacji tamtych krajów. W niektórych, jak Francja i Dania, pozostały nawet na miejscu legalne rządy i głowy państw, w innych, jak Belgia, Holandia i Norwegia, działali proniemieccy kolaboranci, którzy neutralizowali nazistowską bezwzględność. W krajach tych utrzymały się także prawie wszystkie formy normalnego, narodowego życia. Młodzież mogła się nadal uczyć, bo działały szkoły średnie i wyższe, nie zniszczono instytucji kulturalnych, jak teatry, biblioteki, muzea, galerie sztuki i wiele pism. Przydziały żywności i opatu były prawie wystarczające, życie układało się znośnie. Władze nazistowskie ścigały Żydów, ale nie dochodziły w tym do granic absolutnej bezwzględności. Dzięki temu Dania, której grupa żydowska liczyła zresztą zaledwie 3 tysiące, potrafiła ją uratować i przetrzymać po kryjomu do Szwecji.

Zupełnie inaczej wyglądały te sprawy na wschodzie, bo tam właśnie Hitler szukał realizacji swych wojennych celów. Potrzebna mu była przestrzeń i potrzebni niewolnicy, na najniższym socjalnym poziomie. W stosunku do narodów słowiańskich nie miał żadnych hamulców i dlatego przed atakiem na Polskę a później na Związek Sowiecki, poinstruował swych dowódców, by walczyli z całą bezwzględnością, nie oszczędzając nikogo. Tak też się stało i naród polski odczuł od razu brutalność nazistowskiej okupacji. Celem jej było zniszczenie polskiej warstwy inteligentckiej i kierowniczej, przekreślenie polskiej odrębności kulturalnej i stworzenia bazy typu kolonialnego. Zamknięto wszystkie uniwersytety i szkoły średnie, zrabowano i opieczętowano muzea, kazano spalić ocenzone książki i przetrzebiono biblioteki, zakazano druku książek i pism, zabroniono otworzyć teatry i radio, zlikwidowano wyższe sądownictwo. Na zachodzie ciężary okupacji nie wymagały działań podziemnych wychodzących poza propagandę, sabotaż i dywersję, w Polsce trzeba było odtworzyć w podziemiu prawie wszystkie instytucje normalnego, narodowego życia. Dokonano tego w dużym zakresie i stąd zrodziła się nazwa: „Polskie Państwo Podziemne”.

Ten bardzo obszerny temat był już parokrotnie przedmiotem opracowań¹, ale dopiero Stefan Korboński ujął go w formie

1. Stanisław Dołęga-Modrzewski, *Polskie Państwo Podziemne*, Londyn, 1959 (broszura z licznymi błędami w tekście, doprowadzająca temat tylko do roku 1943); Józef Garliński, „Polskie Państwo Podziemne”, *Zeszyty Historyczne* Nr 29, Paryż, 1974 (artykuł obejmujący w skrócie całość przedmiotu na 40 stronach druku).

książki, której celem jest obszerne przedstawienie całego problemu, ze wszystkimi jego aspektami. Już samo to przedsięwzięcie zasługuje na uwagę i uznanie.

Zanim przejdę do omówienia tej publikacji, trzeba sobie najpierw przypomnieć kim był jej autor w czasie ubiegłej wojny. Stefan Korboński, członek Stronnictwa Ludowego, należał do czołowych polityków, którzy od pierwszych dni wojennej okupacji zajęli się budową ruchu podziemnego w Polsce. Z ramienia swego stronnictwa wszedł najpierw do Politycznego Komitetu Porozumiewawczego (PKP), na którym opierał się Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), a później objął szefostwo Kierownictwa Walki Cywilnej (KWC), stojąc jednocześnie na czele departamentu spraw wewnętrznych Delegatury Rządu. Gdy w lipcu 1943 roku powstało Kierownictwo Walki Podziemnej (KWP), które wchłonęło KWC, Korboński wszedł doń jako przedstawiciel delegata rządu, zostając kierownikiem Oporu Społecznego. Miał on w swej dyspozycji sieć radiową, która pozwoliła mu na bezpośrednią łączność z rządem w Londynie. Na swych funkcjach dotrwał szczęśliwie do Powstania Warszawskiego, wziął w nim udział, pozostał w kraju po jego upadku, wszedł z powrotem w konspirację, uniknął podstępnych sowieckich chwytów po wkroczeniu Czerwonej Armii, odbudował Delegaturę Rządu po aresztowaniu przywódców Polski Podziemnej i za aprobatą władz w Londynie objął obowiązki delegata. W czasie ostatniego posiedzenia na przełomie czerwca i lipca 1945 roku, gdy Rada uchwaliła rozwiązanie Delegatury Rządu i sama się rozwiązała, Korboński został następnego dnia aresztowany przez UB i przeszedł śledztwo, najpierw w Krakowie, później w Warszawie. Zwolniony, rozpoczął jawną działalność w swym stronnictwie² i po wyborach w styczniu 1947 roku wszedł do Sejmu. Obawiając się nowego aresztowania, opuścił potajemnie Polskę w listopadzie tegoż roku i udał się do Stanów Zjednoczonych, gdzie nadal prowadzi działalność polityczną.

Podstawą każdej pracy historycznej i materiałem do oceny muszą być przede wszystkim fakty, odpowiednio uporządkowane i jak najbardziej jasno i dokładnie przedstawione. W tym zakresie Korboński przyjął układ mniej więcej chronologiczny, dzieląc całość na 27 rozdziałów i przerzucając wszystkie przypisy, dotyczące źródeł, na koniec. Praca zaczyna się od okupacyjnego tła, na którym poczęło się tworzyć polskie podziemie, i podąża dalej, uwzględniając wszystkie aspekty konspiracyjnego życia, a więc wojsko, politykę, prasę, propagandę, kulturę, eksterminację Żydów, walkę bieżącą, Powstanie Warszawskie i ostatnie miesiące podziemnego państwa.

Od razu trzeba stwierdzić, że Korboński nie miał zamiaru na-

2. W styczniu 1946 roku zmieniło ono nazwę na Polskie Stronnictwo Ludowe, ponieważ dawna nazwa została przejęta przez komunistów.

pisania dokumentarnej pracy historycznej, czego pierwszym dowodem jest podtytuł: „Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945”. Gdy uwzględnimy tę zapowiedź, gdy weźmiemy się pod uwagę styl, w jakim książka została napisana, raczej dydaktyczny niż naukowy, gdy zanalizujemy poszczególne rozdziały i przejrzymy spis źródeł, trzeba zgodzić się z własną opinią autora, który w przedmowie stwierdza, że praca jego jest próbą „przedstawienia w popularnym, encyklopedycznym skrócie” całości problemu. Tak na pewno jest i w takiej formie ma ona dotrzeć do czytelnika, którym będzie przede wszystkim zwyczajny człowiek, chcący w łatwej formie dowiedzieć się jak w czasie ubiegłej wojny wyglądało polskie podziemie.

Patrząc z takiego punktu widzenia, nie należy zbyt docieklewie szukać w książce błędów faktologicznych, z których część, dotycząca przede wszystkim dat, powstała przypuszczalnie z powodu niedopatrzeń korektorskich. Oto kilka przykładów.

Na stronie 67 autor podaje, że wielki nalot brytyjskich bombowców na Peenemünde miał miejsce w marcu 1943 roku, gdy faktycznie odbył się on w sierpniu. Na stronie 243 podano, że proces płk. Rzepeckiego toczył się w roku 1945, choć całość rozdziału wskazuje, że chodzi o rok 1946.

Błędów takich jest wiele i choć książka nie ma charakteru dokumentarnego, podważają one wartość podtytułu: „Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945”. Co innego lapidarność a co innego błędy, których nie odkryje zwyczajny czytelnik.

Słyszałem głosy, że błędy znajdują się także w rozdziałach dotyczących partii politycznych. Trzeba by wybitnego specjalisty tych właśnie problemów, by błędy te wykazał. Korboński był tak głęboko zaangażowany w prace polityczne, tak dobrze znał to podziemie, że jeżeli i u niego są błędy, trudno ich było chyba uniknąć. Może to być także tylko odmienna ocena tych samych faktów. Poza kilkoma tradycyjnymi stronnictwami konspiracja rola się od małych politycznych twórców, powstałych w czasie wojny, które łączyły się ze sobą, dzieliły, rozłamywały i tworzyły coraz to nowe związki, stwarzając chaos niemożliwy prawie do rozeznania. Ich wpływ na ówczesną polską rzeczywistość i na nasilenie walki był minimalny.

Pewne braki w pracy powstały z powodu niektórych źródeł, wykorzystanych przez autora. Zakładając napisanie książki popularnej i nie mając czasu na przeprowadzenie własnych archiwalnych badań czy na zapoznanie się z wydawnictwami najnowszymi, korzystał on z opracowań dobrych i rzetelnych, ale wydanych wiele lat temu. Do nich, przede wszystkim, należą *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej. Tom III — Armia Krajowa*. Jest to wydawnictwo bardzo wartościowe, ale opublikowane w roku 1950. Wtedy brakowało jeszcze wielu danych i dlatego niektóre rozdziały mają charakter zbyt ogólny lub ułam-

kowy. Odnosi się to zwłaszcza do terenów odległych od Warszawy i do walk i prac lokalnych, często drobnych, które jednak w ogólnym bilansie tworzyły jedną, wielką całość.

Z tego tomu (str. 482) zaczerpnął Korboński tabelę wyników akcji sabotażowo-dywersyjnych, którą podał na str. 90. Dziś, dzięki dalszym badaniom, wiemy, że podane cyfry są przesadzone. To samo, tylko w odwrotnym sensie, dotyczy problemu walki partyzanckiej. Korzystając z danych w Tomie III (str. 534), Korboński podaje u siebie na str. 97 stan oddziałów partyzanckich z połowy sierpnia 1943 roku. Niezależnie od wyników nowych badań, które przynoszą większą ich ilość nawet za ten sam okres, trzeba stwierdzić, że największy rozrost partyzantki to druga połowa roku 1943 i rok 1944. Brak danych z tego okresu stwarza fałszywy obraz siły i wartości bojowej oddziałów leśnych. W ostatnich latach ukazało się w kraju szereg wydawnictw, które dają znacznie pełniejszy obraz osiągnięć Armii Krajowej na tym odcinku walki. Obydwa zagadnienia, i sabotażu i partyzantki, są trudne, dotyczą rozległych terenów i wymagają jeszcze bardzo dokładnego i dokumentarnego przepracowania.

Wydaje się, że w książce nie zawsze została zachowana właściwa proporcja pomiędzy poszczególnymi działami. Nazwa „Państwo Podziemne” jest dlatego uzasadniona, że istotnie w konspiracji odbudowano prawie wszystkie instytucje narodowego życia. Obejmowały one nie tylko politykę i wojsko, ale także sprawy kulturalne, tajne nauczanie, ruch wydawniczy, ochronę zabytków, prasę. Walka była w czasie wojny celem najważniejszym, ale dla rozwoju narodu, dla wychowania dorastającego pokolenia, tajne nauczanie miało wagę kolosalną. Ilekć tysięcy młodzieży mogło wejść po wojnie w normalne życie, mając już poza sobą tajne matury i studia uniwersyteckie, odbyte w czasie czarnych lat wrogiej okupacji. To samo dotyczy ruchu wydawniczego, podziemnego teatru, tajnych odczytów i prasy. Tym zagadnieniom poświęca Korboński bardzo mało miejsca, zaledwie kilka stron w rozdziale o Delegaturze Rządu i w rozdziale o prasie i wydawnictwach podziemnych.

Spójrzmy jednak na zalety tej książki, która nie jest jednostronna. O jej popularnym charakterze i o jej wartości dla szerszego kręgu czytelników już wspomniałem, teraz chciałbym zwrócić uwagę na problemy, które mogą i powinny zainteresować historyka i sumiennego badacza tamtych czasów.

Korboński był i jest politykiem i dlatego zagadnieniom politycznym poświęca bardzo dużo miejsca, wydobywając na jaw fakty, które dotychczas nie zostały wystarczająco naświetlone.

Tak jak w konspiracji reprezentował on pogląd, że wojsko powinno być podporządkowane czynnikiem politycznym, tak i teraz, w swej książce, stara się zwrócić uwagę czytelnika na wzajemny stosunek tych dwóch najważniejszych elementów podziem-

nego działania. Jego zdaniem dominacja wojska trwała nieprzerwanie i przyniosła ujemne skutki. Gdy pisze o Powstaniu Warszawskim, stwierdza na stronie 180, że przy pobieraniu tak ważnej decyzji walki o stolicę, czynnik polityczny odgrywał rolę pomocniczą i drugorzędną. Delegat Rządu był informowany o planach Komendy Głównej AK, ale Krajowa Rada Ministrów nie była w ogóle konsultowana a Rada Jedności Narodowej dowiedziała się o planach powstania via jej komisja główna i nie miała możliwości przedyskutowania tego doniesłego zagadnienia.

Godząc się w zupełności z tokiem rozumowania Korbońskiego odnośnie samej zasady, pamiętać jednak trzeba, że w konspiracji kolegialne dyskusje połączone były z wieloma komplikacjami i z wielkim ryzykiem, nie mówiąc już o powolności takiego działania i trudności pobrania decyzji. W czasie wojny nawet największe demokracje, jak brytyjska i amerykańska, w ręce swych przywódców złożyły władzę prawie dyktatorską, pozostawiając parlamentom rolę raczej dekoracyjną. Oczywiście przywódcami tymi byli politycy a nie wojskowi. Tej zasady trzymano się nawet w dyktatorsko rządzonej Rzeszy niemieckiej i w Związku Sowieckim. Hitler nigdy nie przekroczył szarży kaprała a marszałkostwo Stalina nigdy nie miało waloru wojskowego. Obydwa byli politykami i z racji politycznych funkcji stali na czele sił zbrojnych swych krajów. Można mieć wątpliwości czy w ówczesnym polskim podziemiu działali politycy, którzy mieli szansę na wysunięcie się na bezapelacyjne przywództwo całego walczącego narodu.

Bardzo dużo ciekawego i nieznanego dotychczas materiału przynosi rozdział o Powstaniu Warszawskim odnośnie władz politycznych i cywilnych, które, oczywiście, ujawniły się w czasie walki. Dzięki radiowej łączności z Londynem miały one stały kontakt z rządem i porozumiewały się z nim w sprawie pomocy dla Warszawy oraz uzgadniały problem objęcia władzy na wypadek zwycięstwa. Działała Delegatura Rządu i szereg jej departamentów, działała Krajowa Rada Ministrów, działała Rada Jedności Narodowej. Te dzielnice stolicy, które znalazły się w rękach powstańców, zostały pokryte siatką cywilnych władz administracyjnych.

Wiele ciekawych faktów przynoszą rozdziały dotyczące okresu popowstaniowego. Korboński uniknął niemieckich rąk i pozostał w podziemiu, przyczyniając się do odbudowania władz politycznych. Uniknął także rąk sowieckich, gdy pod koniec marca 1945 roku aresztowano podziemnych przywódców i w kilka miesięcy później postawiono ich przed sądem w Moskwie. Wtedy wysunął się na czoło politycznej konspiracji i jest dziś na emigracji jednym z bardzo nielicznych świadków ówczesnych wydarzeń ze szczebla wysokiej podziemnej funkcji.

W przedmowie autor wyraził pogląd, że każdy z tematów

zawartych w 27 rozdziałach jego książki stanie się w przyszłości dużym tomem opracowanym przez przyszłych historyków.

Miejmy nadzieję, że tak się stanie. Książka Korbońskiego wskazuje kierunek, po którym trzeba się posuwać, by po żmudnych badaniach dotrzeć do wszystkich faktów i do najpełniejszego obrazu „Polskiego Podziemnego Państwa”.

Józef GARLIŃSKI

BIBLIOTEKA "KULTURY"

TOM 253 — STEFAN KORBOŃSKI

POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE

Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945

Książka zawiera rozdziały: *Warunki w jakich rodziło się i rozwijało Polskie Państwo Podziemne.* — *Służba Zwycięstwu Polski.* — *Związek Walki Zbrojnej.* — *Delegatura zbiorowa.* — *Delegaci Rządu.* — *Biuro Polityczne i CKON.* — *Delegatura Rządu.* — *Rozporządzenia, oświadczenia i odezwy delegatów Rządu.* — *Armia Krajowa.* — *Walka cywilna.* — *Kierownictwo Walki Podziemnej (KWP).* — *Krajowa Reprezentacja Polityczna (KRP).* — *Rada Jedności Narodowej (RJN).* — *Podziemie BBWR-owskie i OZON-owe.* — *Podziemie ONR-owskie.* — *Podziemie komunistyczne i komunistujące oraz ANTYK.* — *Prasa i wydawnictwa podziemne.* — *Żydzi pod okupacją.* — *Kolaboracja.* — *Katyń.* — *Przed „Burzą”.* — *„Burza”.* — *Powstanie Warszawskie.* — *Początek okupacji sowieckiej.* — *Ostatnie miesiące Polskiego Państwa Podziemnego.* — *Epilog.* — *Lista „Sprawiedliwych wśród narodów”.* — *Indeks nazwisk.*

Str. 288.

Cena F. 40,00 (dol. 10,50)

LISTY DO REDAKCJI

Londyn, 1 maja 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

W obszernym i rzeczowym artykule p. Romana Buczka „Działalność opiekuńcza Ambasady RP w ZSSR w latach 1941-1943” w *Zeszytach Historycznych* Nr 29, strona 103, znajduje się ustęp:

„Na wielokrotne interwencje Ambasady RP i dziekana korpusu dyplomatycznego [...] zwolniono 9 aresztowanych dyplomatów z poleceniem natychmiastowego opuszczenia granic ZSSR. Do końca października 1942 roku zwolniono dalsze 93 osoby...”.

Tego rodzaju sformułowanie nie daje jasnego obrazu rzeczywistości. Wspomnianym 93 osobom odczytano decyzję Specjalnej Rady NKWD w Moskwie (*Osoboje Sowieszczanie NKWD*) „wysiedlenia z granic Związku Sowieckiego za wrogą działalność przeciwko ZSSR”.

Nie jest to równoznaczne ze zwolnieniem i posiada moc wyroku skazującego.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Inż. Jan PIROŻYŃSKI

SPIS TREŚCI

Bogusław Miedziński: <i>Moje wspomnienia</i> (I)	3
Józef Lewandowski: <i>Między historią a współczesnością</i> ..	28
Kazimierz Smogorzewski: <i>Eugeniusz Kwiatkowski</i>	44

DOKUMENTY

Tadeusz Żenczykowski (opracował): <i>Uchwały Rady Jedności Narodowej w sprawie Jąty</i>	55
Stefan M. J. Komornicki: <i>Fragmenty pamiętnika Stanisława Downarowicza</i> (Wstęp)	91
a) Fragmenty pamiętnika St. Downarowicza	92
b) List Otwarty Wacława Sieroszewskiego do Władysława Sikorskiego, Szefa Departamentu Wojskowego NKN	105
c) List Z-cy Szefa Dep. Wojskowego St. Downarowicza do Wacława Sieroszewskiego	109

WSPOMNIENIA

Zygmunt Borkowski: <i>Wspomnienia</i> (dok.)	115
Emil Jerzy Czerniawski: <i>Z mojej służby w Belwederze</i> ..	148
Wojciech Rostafiński: <i>Wspomnienie z niewoli w Niemczech</i>	187
Michał Borwicz: <i>Trzydzieści lat temu: Ze wspomnień „lekiego kalibru”</i>	202
	239

W OBCYCH OCZACH

Pierre Billotte: <i>Le temps de armes</i> (Fragmenty)	209
<i>Za naszą i waszą wolność</i> — Rozmowa S. Gudalewicza z płk. dr. Julianem Tobiaszem, zamieszczona w „Czer- wonym Sztandarze”	223
J. L.: „ <i>Journal Secret</i> ”	225

RECENZJE

Józef Lewandowski: <i>Osiem esejów o dziejach czeskich</i> ..	226
Józef Garliński: <i>Polskie Państwo Podziemne</i>	231



Jan Pirożyński: <i>List do Redakcji</i> w związku z artykułem Romana Buczka „Działalność opiekuńcza Ambasady RP w ZSSR w latach 1941-1943 w <i>Zeszytach Histo- rycznym</i> Nr 29	238
---	-----

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAL NA POČZĄTKU LUTEGO, MAJA,
SIERPNIA I LISTOPADA KAŻDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA — F. 95,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 80,00.

F. 25 (dol. 6,50)